

II 204 108



MAREK HŁASKO

CMENTARZE

NASTĘPNY DO RAJU

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1958

CMENTARZE

NASTĘPNY DO RAJU

BIBLIOTEKA " KULTURY "

Tom XXVIII

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie «Libella»,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).

MAREK HŁASKO

CMENTARZE

NASTĘPNY DO RAJU

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1958



II 204.108



lit.

Wszystkie prawa zastrzeżone
Copyright by „Kultura” 1958

1958 W 1594

CMENTARZE

„Jeden u nas porządný człowiek —
prokurator; ale i ten, prawdę mó-
wiąc, świnia...”

Gogol, „Martwe Dusze”.

I

Franciszek Kowalski, czterdziestoosmioletni, szczupły, nieznacznie łysiejący mężczyzna o czerstwej cerze, kościstych policzkach i niebieskich oczach, wódkę pił niesłychanie rzadko, tylko przy nadzwyczajnych wprost okazjach, a nigdy nie zdarzało mu się aby przebrał miarę, i aby potem inni musieli go informować o tym co mówił i jak się zachowywał. Był on jednym z niewielu ludzi, którzy budząc się rano nigdy nie potrzebują się wstydzić swego poprzedniego wieczoru. Lecz pewnego dnia, wracając późnym wieczorem do domu z zebrania partyjnego, które ciągnęło się przez wiele godzin i na którym wielokrotnie musiał zabierać głos w sprawach ważnych dla niego i ludzi z którymi pracował, spotkał swego serdecznego przyjaciela jeszcze z czasów partyzantki. Nie widział się z nim od roku czterdziestego piątego, kiedy to on sam pomaszerował na front a jego przyjaciel, ciężko wówczas ranny, pozostał w szpitalu już do końca dni wojny. To spotkanie ucieszyło ich tak szalenie, że postanowili je uczcić kieliszkiem wódki i udali się do najbliższej restauracji. Przyjaciel zażądał od kelnera ćwiartki, a kiedy ukazało się dno, Franciszek przywołał kelnera i, aby jego przyjaciel nie pomyślał o nim, że od czasów partyzantki zdziadział zupełnie, polecił kelnerowi, aby podał następną. Ta ich tak rozochociła, gadało im się tak dobrze, wyblakły czas nabrał w ich oczach tak krwistych barw, że trzeciej zażądali nieomal jednocześnie, a już potem, czwartą, postawił im o nic nie pytając sam kelner. Kiedy wychodzili dniało już, a na szarym niebie poczęły rysować się pierwsze pasma jasności. Pożegnali się czule ściskając sobie przez długi czas dłonie, potem każdy z nich ruszył w swoją stronę.

Franciszek kroczył dzielnie wpatrując się w linię chodnika, lecz czuł, że jakieś nieznane mu dotąd siły kołyszą go na boki a linia trotuaru, raz po raz wymykała się z jego pola widzenia. „Zdaje się — zamruczał — że trochę... tego... co u diabła...” I nagle, niespodziewanie dla samego siebie, zaśpiewał tenorem:

*„Ty polski lesie — dlaczego tak kochamy ciebie?
Że w gąszczu twym, czujemy się jak gdyby w niebie.
Spod skrzydeł twoich,
Bezpiecznie kierujemy na wroga broń...”*

Jacyś ludzie w kombinezonach idący do pracy roześmiali się i obejrżeli za nim. To go tak rozzłościło, że również przystanął.

— Co, u diabła — krzyknął. — Myślicie, że może jestem zalany?

Tamci przeszli, lecz Franciszek krzyczał dalej:

— Myślicie, że jestem zalany? Kto jest zalany? Ja jestem zalany? Wszystko kłamstwo. Sami jesteście zalani, ot i tyle...

Nagle zobaczył przed sobą dwóch milicjantów. Patrzyli na niego zimno i ze skupieniem. Franciszek chciał powiedzieć coś do nich, lecz wciąż jeszcze miał przed oczami tamtych, którzy go zaczepili i zamiast słów przeprosin, po raz któryś krzyknął:

— Sami jesteście zalani.

Teraz milicjanci zbliżyli się o krok i nagle otrzeźwiony Franciszek, zobaczył ich twarze zupełnie z bliska. Byli to młodzi ludzie, jeden w randze kaprała, drugi, z trzema paskami — plutonowego. Plutonowy był bardzo piegowaty i miał zadarty nos, a Franciszkowi zdawało się, że jego błękitne oczy patrzą spod okutego daszka z zimną groźbą.

— Dowód pozwólcie, obywatelu — powiedział plutonowy. Sztynnym ruchem wyciągnął rękę i Franciszek cofnął się.

— Dowód? — wybełkotał ze zdumieniem. — Dlaczego?

— Proszę dowód — powtórzył plutonowy a głos jego brzmiał odrobinę wyżej niż przed chwilą.

Franciszek sięgnął ręką do kieszeni w której trzymał portfel, lecz kiedy dotknął chłodnej skóry, zatrzymał się.

— Ależ... — począł mówić.

Wtedy milicjant w randze kaprała, który stał dotychczas bez ruchu i słowa bacznie śledząc każde poruszenie Franciszka, krzyknął nachylając swoją twarz ku niemu:

— Dowód. Rozumiecie, czy nie.

Teraz Franciszek wyciągnął portfel. Otworzył go drżącymi rękami i podał dowody plutonowemu. Ten obejrzał je, potem oparł swą skórzaną torbę o kolano i począł coś pisać w małej, zatłuszczonej książeczce oprawnej w czarną ceratę.

— Cóż wy piszecie, jeśli można wiedzieć? — zapytał Franciszek usiłując zajrzeć plutonowemu przez ramię.

Plutonowy nie odpowiedział; pisanie w tak niewygodnej pozycji szło mu ciężko i Franciszek widział jak marszczy czoło i wysuwa koniuszek języka. Po chwili znów zapytał:

— Dlaczego spisujecie mój dowód?

— Co, może nie podoba się wam? — zapytał ostro kapral.

— Milicja wam się może nie podoba, obywatelu?

— Nic takiego nie mówiłem — równie ostro odparł Franciszek. Spojrzał na puciołowate policzki kaprala i uczuł, że zaczyna się trząść ze złości. Alkohol wywietrzał mu już zupełnie.

— Teraz nie — powiedział kapral i wykrzywił swą dziecianną buzię w złośliwym uśmiechu. — Ma się rozumieć, że teraz nie. Ale przed chwilą, to potrafiliście wyzywać milicję od pijaków.

— Kto? Ja?

— Nie. Pani Malinowska.

— No, no. Tylko nie tym tonem, proszę — powiedział z oburzeniem Franciszek.

— Teraz, to nie tym tonem. Ale przedtem, potrafiliście krzyczeć, że jesteśmy zalani. — Spojrzał na Franciszka z wyższością i powiedział dobitnie: — Obrażacie mundur, obywatelu.

— Kłamstwo! — krzyknął z pasją Franciszek.

Kapral zwrócił się do plutonowego, który przez cały czas pisał coś uparcie w swojej czarnej książeczce.

— Słyszysz? Ten obywatel powiada, że my kłamiemy. Zapisz to.

Franciszek raz jeszcze popatrzył na ich młode twarze i wstała w niego furia. Podniósł obie ręce do góry i potrząsając nimi dziko, zawył:

— A zapisz to gówniarzu, zapisz. Zapisz i to, że mam cię w dupie, że na wszystko...

Stracił zupełnie przytomność ze złości. Jego własne słowa dochodziły do niego jak zza mgły; nie rozumiał ich i nie rozróżniał. Krzyczał bez sensu i związku wymachując rozpaczliwie rękami. Kiedy wściekłość jego minęła, ocknął się i zobaczył, że plutonowy chowa jego dowód do swej skórzanej torby.

— Idziemy — powiedział krótko.

I zupełnie bezsilny Franciszek Kowalski udał się z nimi na pobliski komisariat.

II

Komisariat znajdował się niedaleko od ulicy, na której zatrzymano Franciszka; szli niecałe dziesięć minut i przez ten czas, Franciszek, którego zupełnie opadły siły po wybuchu wściekłości, odzyskiwał stopniowo dobre samopoczucie. Po jakimś czasie usiłował nadrabiać minę, a nawet gwizdać. Był wściekły



i oburzony, lecz chciał zachowywać się tak, jak zachowywać się powinien niewinny, do głębi obrażony człowiek. Głowę trzymał do góry, kroczył pewnie, a kiedy raz potknął się i napotkał szybkie spojrzenie jednego z milicjantów, uśmiechnął się z pełną ironii wyższością. Kiedy wchodzili już w ciemną i długą bramę komisariatu, pomyślał: „Niepotrzebnie się uniosłem. Wszystkiemu winne zmęczenie i wódka; diabli ją rzeczywiście nadali. Z tymi szczeniakami się nie dogadam. Może rzeczywiście wy-rządziłem im przykrość? Muszę rozmawiać z kimś rozsądnym”.

Przeszli przez podwórko i weszli do dyżurki a wejście to odbyło się w sposób szczególny; wszystko trwało moment, lecz wtedy dopiero, po raz pierwszy od chwili zajścia na ulicy, Franciszek poczuł się nieswojo; najpierw młodszy milicjant otworzył drzwi, następnie cofnął się, a kiedy Franciszek wszedł już do środka i postąpił kilka kroków — wtedy dopiero weszli obaj milicjanci, zamykając drzwi, które wydały szczególnie niemiły odgłos. „Ładne porządki” — pomyślał machinalnie Franciszek. — „Gdzie jak gdzie, ale tu właśnie powinien być porządek; mogliby je naoliwić. Teraz tylko muszę porozmawiać z kimś rozsądnym”.

Rozejrzał się uważnie, wciąż zachowując kamienny wyraz twarzy. Była to prosta izba o nieokreślonym kolorze ścian, przedzielona po środku barierą; mniej więcej na samym środku farba którą niegdyś pomalowana została bariera, była wytarta i wyświecona; Franciszek pomyślał, iż przyczyną tego pewnie jest to, że ludzie zatrzymani opierają się o nią. Na ścianach wisiały portrety dostojników państwowych, nad nimi zaś orzeł. Pod jedną ze ścian stała drewniana ławka; spał na niej jakiś odwrócony tyłem mężczyzna. „Nie można powiedzieć, żeby było tutaj porządnie” — pomyślał raz jeszcze Franciszek i sprawiło mu to pewnego rodzaju złośliwą satysfakcję.

Milicjanci tymczasem zachowywali się tak, jakby Franciszek w ogóle nie istniał. Rozmawiali o czymś półgłosem z mężczyzną siedzącym za barierą; Franciszek słyszał jego nosowy głos, lecz twarzy nie mógł dostrzec; zasłaniały ją plecy stojących milicjantów. Stał bez ruchu około minuty oczekując, że lada chwila poproszą go, aby przybliżył się i złożył zeznanie, lecz nic takiego nie nastąpiło. Przeciwnie; po chwili wsłuchiwania się w ich rozmowę Franciszek zrozumiał, że tamci wcale nie mówią o nim: przedmiotem rozmowy był jakiś skradziony przed tygodniem rower; jeden z milicjantów twierdził, iż ukradł go niejaki Pasterka; drugi — że właściciel sam przepił i boi się przyznać żonie. „Szlag niech to trafi” — pomyślał Franciszek. — „Sam im wobec tego powiem, co o tym myślę”. Przybliżył się do bariery i ze zdumieniem zobaczył, że siedzący za stołem milicjant, również jest w randze kaprała. Zaskoczyło go to zupełnie; spodziewał się, że ci którzy przyprowadzili go tutaj, rozmawiają z oficerem.

— Przepraszam — powiedział głośno i wystąpił na środek.
— Czy mógłbym porozmawiać z kierownikiem komisariatu?
Milicjanci rozmawiali jeszcze przez chwilę z kapralem, potem dopiero odwrócili się.

— Chciałbym rozmawiać z kierownikiem komisariatu — powiedział głośno Franciszek.

— A właśnie — powiedział plutonowy. Zwrócił się do kaprała za stołem: — Tego obywatela chyba weźmiemy na przejściówkę. Jak tam dzisiaj jest?

— Trochę towarzystwa — powiedział siedzący za stołem. Popatrzył na Franciszka nie dłużej od mgnienia okiem. — Ale zmieści się.

— Na jaką przejściówkę? — zapytał Franciszek.

— Rozbierajcie się — powiedział plutonowy. Znow odwrócił się i Franciszek widział tylko jego szerokie plecy przecięte skórzanym paskiem na skos.

— Co takiego? — zapytał.

— Nie słyszycie, obywatelu? Proszę się rozebrać. Pasek, szalik, sznurowadła i dokumenty. Również przedmioty.

— Dokumenty już masz — powiedział kaprał, który przyprowadził Franciszka z plutonowym.

— Ale dlaczego, u diabła? — zapytał Franciszek.

Plutonowy odwrócił się i popatrzył na Franciszka ze zniecierpliwieniem.

— Jak to dlaczego? Jesteście zatrzymani — powiedział tonem wykluczającym dyskusję. — Myślicie, żeśmy was tu przyprowadzili, aby ucisnąć wam waszą szlachetną dłoń?

Wszyscy trzej roześmieli się głośno i hałaśliwie. Franciszek był tak zaskoczony, że śmiech ich uszedł jego uwagi.

— Zatrzymany? — powtórzył. — Za co?

— Nie wiecie?

— Nie — powiedział stanowczo Franciszek. Podszedł teraz zupełnie blisko do bariery i oparł o nią ręce. — Nie wiem. Pamiętam, że się uniosłem w jakiś sposób, ale wydaje mi się, że to jeszcze za mały powód, aby człowieka zatrzymywać przez całą noc w komisariacie.

— Za mały powód? — przeciągnął plutonowy. — A co żeście krzyczeli? Nie pamiętacie już, co żeście krzyczeli?

Papatrzyli na niego wszyscy trzej jednocześnie i Franciszek nagle skulił się. Chwilę trwało milczenie; mężczyzna śpiący na ławce sapał ciężko.

— Nie — powiedział po chwili Franciszek. Przesunął ręką po czole. — Nie pamiętam.

— Więc pogadamy wtedy, jak wytrzeźwiejecie i przypomnicie sobie wszystko dokładnie — powiedział plutonowy. — Wtedy podpiszecie zeznanie i puścimy was do domu.

— A czy nie można by teraz? — zapytał Franciszek.

Siedzący za stołem kaprał roześmiał się.

— Jakże chcecie zeznawać — powiedział — kiedy sami mówicie, że nie przypominacie sobie niczego.

— Jak to niczego? Pamiętam wszystko.

— Wszystko? — zapytał drwiąco plutonowy.

Franciszek znów się zmieszał.

— Wszystko — powiedział niepewnym głosem spoglądając na plutonowego takim wzrokiem, jakby chciał u niego szukać pomocy. — Wszystko... z wyjątkiem tych słów, które krzyczałem. Nie potrafię tego po prostu powtórzyć dokładnie, ale jeśli mi przypomnicie...

Wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Przypomnimy wam jutro — powiedział plutonowy. — Nie chodzi nam o nic innego, jak właśnie o wasze słowa. A teraz koniec tej dyskusji, obywatelu. Proszę oddać pasek, sznurówka, szalik i wszystko co macie w kieszeniach... — Popatrzył na Franciszka jakby z wyrzutem i dodał łagodnie: — Nie utrudniajcie nam pracy, obywatelu.

— Ależ... — zaczął jeszcze raz Franciszek.

Wtedy kapral siedzący za barierą uderzył pięścią w stół.

— Wy rozumiecie po ludzku, czy nie? — krzyknął. — Dawajcie rzeczy i nie gadajcie tyle, bo wam to nie wyjdzie na zdrowie.

Franciszek drżącymi rękami począł wyjmować posiadane drobiazgi i kłaść je na stół; była tam chusteczka do nosa, grzebyk, lusterko, wieczne pióro i ołówek. Kapral spisał to wszystko i władował w ogromną kopertę z szarego grubego papieru; na kopercie niezdarnymi literami napisał: „Franciszek Kowalski. Dnia 28. III. 1952 r.” Następnie podszedł do szafy i otworzył ją; kątem oka Franciszek dostrzegł tam wiele takich kopert; były poukładane równo obok siebie, nie do odróżnienia. Kapral zamknął szafę i z powrotem usiadł za stołem. Podsunął Franciszkowi jakiś formularz i wskazawszy miejsce palcem, rzekł krótko:

— Podpiszcie.

Franciszek podpisał i oddał mu papier.

— Jestem starym partyzantem — rzekł gorzko. — Nigdy w życiu nie popełniłem niczego takiego, za co nie mógłbym spojrzeć ludziom w oczy. — Począł wyrzucać z siebie coraz prędzej: — Ktoś musi być ukarany za to nieporozumienie. Tak nie może być, żeby człowieka zamykano nagle za to, że wypił parę kieliszków wódki. Możecie mi wierzyć, że pierwszy raz w życiu jestem na komisariacie.

— To bardzo ładnie z waszej strony — powiedział kapral nie spojrzawszy nawet na niego. — Ale kiedyś trzeba przecież zrobić początek.

Plutonowy rzekł:

— A teraz pozwólcie ze mną.

Trzymając spodnie rękami, Franciszek udał się za nim. Przeszli kawałek bardzo brudnym korytarzem, którego ciemność zaledwie odrobinę rozświetlały zawieszane pod sufitem i odrutowane, słabe żarówki; potem plutonowy otworzył jakieś drzwi i powiedział:

— Tutaj.

Franciszek wszedł; chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w tym momencie zatrzasnęły się drzwi. Stał chwilę bez ruchu nasłuchując; jego myśli nie nadążały za tempem wypadków. Oparł się ręką o ścianę i cofnął ją ze wstrętem; była szorstka i zimna, trzymała się tutaj wilgoć. Kroki plutonowego umilkły.

III

Aż do chwili kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwiami, Franciszek nie zdawał sobie jasno sprawy ze swego położenia; wszystko co zaszło stało się szalenie szybko, w atmosferze zdenerwowania, jak gdyby na wpół poważnie, tak, że dopiero po chwili pobytu w dusznej celi, kiedy oczy jego przyzwyczaiły się już do półmroku i począł rozróżniać leżące na podłodze ciała, Franciszek zrozumiał, że nieodwołalnie stał się na przeciąg paru godzin więźniem. Fakt ten z początku doprowadził go do pasji; zaczął łomotać w drzwi pięściami i nogami, lecz kiedy nikt mimo to nie przyszedł, po chwili ogarnęło go zmęczenie, a nieco później coś w rodzaju rozbawienia. „To wszystko śmieszne” — pomyślał. — „Ależ to po prostu głupia omyłka, za którą mi później ktoś zapłaci”.

Rozejrzał się uspokojony. Wokół niego, na ziemi i na dwóch pryczach spali ludzie; byli pokurczeni i wydawali się śmiesznie maleńcy; spali w najrozmaitszych pozach; powyginani przedziwnie, z podkurczonymi nogami; jakiś olbrzymi mężczyzna, którego tyśa czaszka świeciła w półmroku mdłym blaskiem, spał na stojąco trzymając się rękami rozpiętej przed ścianą żelaznej siatki. Franciszek usiłował usiąść na podłodze; przykucnął, lecz w tejsze chwili ktoś wyszarpnął spod niego nogi i powiedział ochryple:

— Uważać, psiakrew!

Franciszek wstał natychmiast i znów niezdecydowanie postąpił dwa kroki stąpając po rękach i nogach; nadeptani podkurczali je nagłymi, żabimi ruchami. W powietrzu unosił się gęsty zapach przetrawionego alkoholu; nawet teraz, kiedy spali tocząc z ust ślinę, poznać można było, że wszyscy prawie zatrzymani są nieprzytomni z opicia. „Pierwszy” — pomyślał Franciszek i to go nagle uspokoiło. „Przecież to pierwszy” — myślał dalej — „normalnie co piąty człowiek jest pijany. Im także muszą ręce opadać, tym z milicji; byłem nieco wstawiony, zachowy-

wałem się głośno i stąd te wszystkie perypetie. Czego tu się denerwować? Człowieku — weź się w garść, uspokój się. Zrobiłeś się nerwowy, osłabłeś, to wszystko z przemęczenia. Nie potrzebnie piłeś tyle wódki i dlatego zachowywałeś się na ulicy jak smarkacz. Do końca życia widocznie każdy jest jakimś smarkaczem". W tej chwili, czuł prawie wdzięczność do mścicieli, pijanów i cichociemnych, którzy go przyprowadzili tutaj, do tej ciemnej celi, która wypełniona była w każdym swym centymetrze pijanymi ciałami, tym samym udzielając mu gorzkiej nauki. „Dobrze ci tak” — pomyślał zaciskając ze wściekłością pięści. — „Dobrze ci tak, ty stary, głupi smarkaczu”.

Znalazł w końcu kawałek wolnego miejsca i usiadł na zimnym betonie podkuliwszy kolana pod brodę. „Masz idiotę to, na co sobie zasłużyłeś” — powiedział do siebie. — „Mogłeś spać w wygodnym łóżku, pod ciepłą kołdrą; mogłeś mieć po ręką szklankę herbaty z cytryną i tylko dzięki twojej głupocie ty, stary chłop, musisz udawać embriona aż do chwili, kiedy przyjdzie ranek i wypuszczą cię na wolność. Na pewno będziesz ślicznie wyglądał”.

Koło niego ktoś ocknął się nagle. Usiadł z jękiem na ziemi i ziewnąwszy szeroko począł przecierać oczy; mruczał przy tym jak niedźwiedź. Potem zwrócił w kierunku Franciszka miewyrażającą twarz.

— Rotmistrzu — rzekł. — Nie ma pan czasem papierosa? Franciszek machinalnie poklepał się po kieszeniach.

— Nie — rzekł. — Odebrano mi.

Siedzący przysunął się do niego.

— Za co? — zapytał ochryplym szeptem.

— Co za co?

— Za co pana zatrzymali?

— Och — powiedział Franciszek i uśmiechnął się. — Byłem trochę wstawiony, to wszystko. Po prostu zaśpiewałem na ulicy.

Chwilę trwało milczenie. Potem sąsiad Franciszka powiedział z troską w głowie:

— To niedobrze. Bardzo niedobrze.

— Niedobrze? — powtórzył Franciszek. — Dlaczego?

— Za śpiew można fatalnie wsiąknąć — powiedział sąsiad Franciszka. — Niby śpiew, niby się zdaje że nic, że człowiek jest niewinny, ale zawsze... Szarpał się pan?

— Nie, skąd. Tylko uniosłem się troszkę.

Nieznajomy człowiek ziewnął.

— Postukać — rzekł. — Jak ktoś przyjdzie, to poprosi może wypuszczą. Która teraz może być godzina?

— Czy ja wiem? Piąta, może dalej...

Nieznajomy zastanawiał się przez chwilę.

— Teraz ma służbę sierżant Malinowski — powiedział. —

Bardzo dobry chłop. Jeśli on przyjdzie, to poprosić go trzeba grzecznie i wypuścić. Jeśli naprawdę nic nie było.

— Ależ skąd — rzekł Franciszek i wzruszył ramionami. — Mówię panu; byłem trochę wstawiony i śpiewałem.

— Co pan śpiewał?

— Czy to nie wszystko jedno?

— Jasna sprawa, że nie. Śpiew a śpiew, to kolosalna różnica. O czym pan śpiewał?

— Już nie pamiętam, zresztą to naprawdę nieważne... Wojskowa, stara piosenka.

Nieznajomy gwizdnął.

— Gorzej być nie mogło — powiedział. — Leży pan jak amen w pacierzu... — Pochylił się nad kimś i począł trząść go za ramię: — Panie Sikorski, panie Sikorski... Niech pan zaśpiewa tę piosenkę, za którą pana wsadzili.

Ktoś niewidoczny w ciemności zaśpiewał:

*„Raz późno wracam ja do domu.
I nagle wolność kończy się.
Cywilne płaszcze, automaty.
Legitymacja u-be-pe...”*

Śpiewak skończył swą produkcję i zaklął soczyście. Sąsiad Franciszka powiedział:

— Ot, widzi pan. Piosenka a piosenka — to jest różnica. Jeśli pan śpiewał to samo kiedy pana zahaczyli, to niedobrze.

— Pierwszy raz to słyszę — powiedział Franciszek. — A nigdy bym czegoś tak głupiego nie śpiewał. Mówię panu: jakaś stara, wojskowa piosenka.

— Musi pan sobie przypomnieć — powiedział stanowczo sąsiad Franciszka. — To jest konieczne. Musi pan wiedzieć za co pana wsadzili. W czasie śledztwa musi się pan orientować o co chodzi i jak się zachowywać. Co to może być za piosenka? Legiony? Chyba nie, bo by pan pamiętał. Zresztą „Legiony” to fraszka; dostaje się najwyżej półtora roku. Co to może być za swolocz? Aaa — przeciągnął — może to? Chwileczkę.

Nieznajomy począł potrząsać gwałtownie jakimś ciałem; ciało natychmiast podniosło się i poczęło przecierać oczy rękami. Sąsiad Franciszka powiedział:

— Panie Nowak, co pan śpiewał kiedy pana aresztowano?

Człowiek nazwany panem Nowakiem najpierw załkał krótko, potem odśpiewał cichym, miękkim tenorem:

*„Niech żyje nam marszałek Stalin!
On usta słodsze ma od malin!
On jest marzeniem mym, tęsknotą.
Mojego życia bajką złotą”.*

Skończywszy, ułożył się natychmiast do snu. Sąsiad Franciszka powiedział:

— To samo?

— Nie.

— To dobrze. Teraz ten facet będzie miał kupę czasu na kształcenie swego głosu. A może pan opowiadał dowcipy?

— Nie.

— Proszę sobie dobrze przypomnieć. Czasem za dowcip można dostać więcej jak za piosenkę... — odwrócił się nagle i zawołał w ciemność: — Hallo, panie Aleksandrowicz!

— Tak — odpowiedział ktoś w drugim końcu celi.

— Ile dostał ten facet, który tu w zeszłym miesiącu siedział, i który powiedział na, wie pan kogo, „Ziutek-słoneczko”?

— Nie było jeszcze sprawy — odparł głos z drugiego końca celi — ale myślę, że nie wywinie się bez piątki. Ten, który siedział razem z nim i powiadał dowcip o skupie zboża dostał trójkę, to ile tamten jest wart?

Sąsiad Franciszka westchnął.

— Widzi pan — powiedział do niego. — Słowa są rozmaite. Cóż, niech pan się trzyma... Nie ma pan czasem papierosa?

— Powiedziałem już panu, że nie — rzekł Franciszek; rozmowa poczynąta go drażnić.

Nieznajomy ziewnął.

— Trudno — rzekł. — W takim razie, wybaczy pan, że utnę sobie pokrzepiającą drzemkę. Ile razy nocuję tutaj, zawsze śnię mi się winnice skąpane w ostrym blasku południa. Kocham Grecję. Widzę starców o wzniosłych obliczach ubranych w długie tuniki. Widzę dziewczęta w przewiewnych szatach snujące się wśród rozkwitłych cyprysów. Dochodzi mnie aż tutaj ich słodki, pełen drgającej radości życia śpiew...

Nie dokończył ostatniego zdania; zwałił się na beton; zachrapał nagle i z taką siłą, że Franciszek drgnął. Znow ogarnęła go wściekłość. „Do diabła” — pomyślał. — „Czy to, że człowiek zaśpiewa trochę głośniejsze na ulicy, rzeczywiście stanowi powód, aby przebywać przez całą noc z jakimiś łobuzami i pijakami. Czy ten, który po wypiciu paru kieliszków wódki idzie do domu i po drodze nawet trochę śpiewa, ma być traktowany na równi z łobuzami ostatniego rzędu?...”

Wstał gwałtownie; nie zważając na jęki i pomrukiwania tych, których podczas swej drogi podeptał, podszedł do drzwi i począł długo, aż do bólu przegubów walić w nie pięściami. Nikt nie przychodził; tylko na końcu korytarza, zapewne z innej celi, dochodziły jakieś wrzaski i klątwy. Franciszek kopnął w drzwi raz i drugi; wtedy dopiero, gdzieś z przeciwnej strony dobiegł go trzask zamka i rozległy się kroki. „Nareszcie” — pomyślał z ulgą i otarł czoło. Zaraz potem zazgrzytał zamek. Drzwi otworzyły się powoli i na progu stanął niski mężczyzna o okrągłej, wesołej twarzy w mundurze sierżanta. „To pewno

ten” — przypomniał sobie Franciszek i ogarnęła go radość. — „To pewnie ten sierżant, o którym mówił tamten facet”.

— O co chodzi? — zapytał sierżant. Jego głos brzmiał spokojnie i cicho, bez tak drażniącego sztucznego chłodu o który starają się wszelcy funkcjonariusze świata i Franciszek od razu nabrał do niego zaufania.

— Możecie mnie wysłuchać? — zapytał starając się mówić grzecznie i bardzo wyraźnie.

— O co chodzi? — powtórzył sierżant.

— Mam wrażenie — powiedział Franciszek — że chyba zatrzymano mnie niesłusznie. Po prostu szedłem ulicą; byłem nieco wstawiony i nie wiem dlaczego, chociaż jestem stary byk, przyszła mi ochota zaśpiewać. Miałem kiedyś przestrelone płuca i nie chciałem się zaziębić; czy moglibyście mnie zwolnić?

Sierżant popatrzył na niego przez chwilę.

— Wyciągnijcie ręce przed siebie — rzekł — i zamknijcie oczy.

Powiedział to bardzo grzecznie i Franciszek bez wahania wykonał jego polecenie.

— A teraz — rzekł sierżant — powiedzcie szybko jak się nazywacie, gdzie mieszkacie, gdzie pracujecie i na jakim stanowisku.

— Nazywam się Kowalski. Mieszkam na osiedlu Muranów. Pracuję w zakładach remontowych samochodów jako zastępca kierownika kontroli technicznej.

— W porządku — rzekł sierżant. — Opuśćcie ręce, zobaczmy co się da zrobić.

Otworzywszy oczy, Franciszek zobaczył, że sierżant uśmiecha się półgębkiem.

— Chodźcie — powiedział sierżant.

Zamknął drzwi; znów szli cuchnącym, słabo oświetlonym korytarzem. Wszędzie, we wszystkich pomieszczeniach komisariatu, unosił się ten sam zapach przetrawionego alkoholu, tak silny, że Franciszek poczuł obrzydzenie do siebie.

— Gdzie was tak urządzili z tymi płucami? — zapytał sierżant.

— W lesie — powiedział Franciszek. — W czterdziestym trzecim roku.

— Partyzant?

— Tak.

— Akowiec? Ałowiec?

— Ałowiec.

Sierżant znów się uśmiechnął.

— No i tak dalsie się wziąć na komisariat? — zapytał. W jego głosie Franciszek wyczuł ton przyjacielskiej nagany.

— Ci wasi chłopcy to tacy służbiści — rzekł — że żadną siłą nie mogłem ich przekonać.

— Co zrobić — odpowiedział sierżant. — Dzisiaj pierwszy; ludzie czasami zbyt wiele lubią poszumieć, a w mieście musi być porządek.

Przeszli jeszcze kawałek korytarzem i znaleźli się w pustej, małej izdebce. Sierżant powiedział:

— Zaczekajcie tutaj chwilę. Zaraz was zwolnimy.

Franciszek usiadł na ławce i z rozkoszą wyprostował zdrtwiałe nogi. „Nareszcie” — pomyślał. — „Przynajmniej ten jest rozsądny i można się z nim jakoś dogadać. Swoją drogą, gdyby nie moja zapalczywość, byłbym już dawno w domu. Dobrze, że powiedziałem Elżbiecie o tym zebraniu, nie będzie się demerwować. Okazuje się, że i zebrania mają swoją dobrą stronę, której na razie nie można przewidzieć. Trochę wódki, zmęczenie, zdenerwowanie; czegoż więcej trzeba, aby znaleźć się na komisariacie? Niechże to wszystko diabli porwą”.

Drzwi otworzyły się i do izby wszedł sierżant. Franciszek spojrzał na niego z uśmiechem i wszystko w nim zamarło ze zdumienia; odniósł wrażenie, że patrzy na zupełnie innego człowieka; w ciągu tych kilku minut, sierżant zdołał wciągnąć na swą młodą, sympatyczną twarz, odpychając maskę służbiistości i pogardy. Patrzył teraz na Franciszka zimnym i jadowitym wzrokiem.

— Wracamy — powiedział oschle.

Franciszek wstał.

— Dokąd?

— Do celi.

— Ale dlaczego?

— Jesteście przecież zatrzymany — powiedział sierżant. Patrzył na Franciszka jak na martwy przedmiot; w głosie jego zabrzmiały nuty zniescierpliwienia. — Nie zdążyliście tego zauważyć, Kowalski?

— Ależ dlaczego, za co? — począł mówić Franciszek. — Przecież niczego złego nie popełniłem. Czy nie mogę się przynajmniej dowiedzieć, za co?

— Dowiedziecie się, kiedy przyjdzie czas — powiedział sierżant. Wskazał ręką drzwi: — Proszę.

— Muszę się dowiedzieć teraz — krzyknął Franciszek. — Dopóki się nie dowiem, nigdzie stąd nie pójdę.

Sierżant zbliżył się do niego. Położył mu rękę na ramieniu i pochylił ku niemu swoją twarz. Franciszek skulił się nagle przejęty strachem.

— To, że jesteście byłym partyzantem — powiedział sierżant — to, że jesteście członkiem partii, to w tej chwili nic nie znaczy. Dla nas ważne jest tylko to, że jesteście człowiekiem, którego musimy zatrzymać. Nie myślcie o tamtych rzeczach. Boję się, że to dla was już nie będzie znaczyło. A teraz idziemy.

Zacisnął palce swej ręki i dopiero teraz Franciszek poczuł jej siłę. Wstał i poszedł za sierżantem; przez całą drogę, kiedy znów szli korytarzem, nie odezwał się ani słowa. Sierżant także milczał; szedł wyprostowany, stawiając nogi sztywno niby na paradzie wojskowej.

Wróciwszy do celi znów usiadł na tym samym skrawku betonu z którego był powstał przed kilkunastoma minutami, aby ruszyć w swą jałową wędrówkę. „Co się stało?” — myślał gorączkowo. — „Na miłość boską: czego oni ode mnie chcą?”

Człowiek koło niego poruszył się; znów przysiadł na betonie przecierając oczy małym ruchem.

— Przyniósł pan chociaż papierosy? — zapytał po długiej chwili potężnego ziewania.

Franciszek zatrząsł się ze złości.

— Daj mi pan spokój ze swoimi papierosami — warknął.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Tak to już jest — rzekł. — Im się nie spieszy. Jeśli będą chcieli potrzymają pana jeszcze tak długo, że panu odbiegnie ochota od śmiechu.

— Cóż ja mogłem zrobić — bardziej do siebie niż do niego powiedział Franciszek. — Cóż ja takiego mogłem zrobić? Usiłuję sobie przypomnieć słowo po słowie, fakt po fakcie i niczego nie mogę zrozumieć. Żeby mi chociaż chcieli powiedzieć, ale nawet tego nie mogę się doprosić. Cóż ja mogłem zrobić?

Nieznajomy przeciągnął się rozkosznie.

— Każdemu z nas zdaje się, że nic nie zrobił — powiedział. Każdy w jakiś tam sposób myśli o sobie, że jest niewinny. Ale przychodzi taka chwila, kiedy inni zaczynają mieć nad nami władzę, a wtedy już nasze myśli przestają się liczyć i ważne jest tylko to, co oni o nas pomyślą. — Westchnął i odwrócił się na bok. — Dziękuję Bogu — powiedział — że jestem tylko pijakiem. To jedyne, co daje jaką taką gwarancję; jeśli ktoś o mnie coś pomyśli, to tylko to jedno. Dobranoc. Niech pan stara się usnąć. I niech pan pomyśli sobie, że wszystko jest snem. Podłym, głupim snem, z którego się już nigdy nie obudzimy.

IV.

Przyszedł wreszcie ranek a wraz z nim wtargnął do celi przejmujący chłód. Prostokąt okienka umieszczonego tuż pod sufitem wypełnił się szarym światłem. Twarze leżących poczęły wyrażnieć; wypływali jakby z mroku, opuchnięci, z pomiętymi twarzami, potarganymi włosami i przekrwionymi oczyma. Siadali na betonie jeden po drugim; patrzyli wokół nieprzytomnie, potem ziewając i trzęsąc się z zimna, podnosili się na niepewnych nogach. Z ulicy dobiegały pierwsze odgłosy przebudzonego

miasta : przejeżdżające samochody, pośpieszny tupot nóg, zgrzytanie tramwajów.

Dopóki trwała ciemność i cisza, Franciszek siedział otępiały a jedynym uczuciem jakiego doznawał, było uczucie niepokoju i złości. Teraz jednak, kiedy uświadomił sobie, że zaledwie kilka metrów od niego, tuż za murem komisariatu, toczy się normalne życie setek tysięcy ludzi w którym on nie może brać udziału, ogarnęło go przygnębienie, jakiego dawno nie był zaznał. „Być może” — pomyślał — „że jest to właśnie najgorsza rzecz, jaka człowieka może spotkać. Gorsze od choroby, samotności, takich czy innych klęsk. Niemożność uczestniczenia w życiu innych; czy może być coś gorszego, bardziej wypruwającego siły, bardziej spychającego w dno, w załki gdzie nie ma nadziei i radości? To trwa zaledwie parę godzin; jak straszne musi stać się życie, jeśli stan ten trwa długo?” Cały przeniknięty był jednym, nieprzytomnym wprost pragnieniem: wyjść stąd jak najprędzej, znaleźć się na ulicy, wśród ludzi i gwiełku.

Drzwi zgrzytnęły. Na progu celi ukazał się sierżant. Trzymając w ręku karteczkę, powiedział:

— Romanowski, Bolder, Krupiński — wychodzić.

Wywołani rzucili się ku drzwiom. Franciszek podszedł za nimi.

— A ja? — zapytał.

— Czekać — powiedział sierżant.

— Zdążyłbym jeszcze do pracy — powiedział Franciszek.

Sierżant nie odpowiadając zamknął drzwi tuż przed nosem Franciszka; ten ledwo zdążył odskoczyć. Kilku ludzi się roześmiało. „Zapłacicie mi za to” — pomyślał z nienawiścią. — „Zapłacicie mi za wszystkie wasze wygłupy. Doprowadzę do tego, że wszystkich was wyleją z milicji na zbity pysk. Przekonacie się, że w ten sposób nie można traktować uczciwego człowieka”. Chodził z kąta w kąt i obmyślał najrozmaitsze sposoby zemsty za wszystko co go tu spotkało.

W celi zapanowało pewne ożywienie; ludzie przypominali sobie wszystko co zaszło poprzedniego dnia. Niektórzy dowcipkowali, inni siedzieli patrząc przed siebie tępym wzrokiem. Ktoś mówił głośno:

— Co ja powiem żonie, co ja powiem żonie? W zeszłym tygodniu było to samo. To miało się już nigdy nie powtórzyć...

Na pryczy spało trzech młodych ludzi; wzbudzali sympatię, gdyż przytulali się do siebie jak kocięta. Ubrani byli jednakowo; w samodziłowe marynarki, wąskie spodnie, żółte koszule i nadzwyczaj jaskrawe skarpetki. Wszyscy trzej mieli pośinieczone twarze i porozbijane nosy; widocznie zaaresztowano ich za jakąś awanturę.

W pewnym momencie jeden z nich ocknął się. Poczochnął głowę rękami, potem począł szarpać kolegów.

— Kusiatyńszczak, wstawaj — wołał. — Słoneczko już na niebie. Idziemy do roboty.

Tamci również przebudzili się. Popatrzyli na siebie wszyscy trzej i uśmiechnęli się do siebie z czułością.

Zaśpiewali ochryplymi głosami.

„Witaj w codziennym trudzie.

W radosnym zgiełku, w naszych hut płomieniach.

Kraju, szczęśliwych ludzi.

Narodów czynem wznosim dom z marzenia...”

— Zamknąć mordy — warknął ktoś. Franciszek przyjrzał mu się; był to ów olbrzymi mężczyzna z łysą czaszką, który spał na stojąco.

Drzwi znów zgrzytnęły i spojrzenia wszystkich obróciły się w tamtym kierunku. Na progu stał znajomy już Franciszkowi sierżant wraz z jakimś mężczyzną w cywilnym ubraniu. Mężczyzna był niewysoki; miał zadziwiająco okrągłą twarz, wąski nos i bardzo blisko siebie osadzone ciemne oczy.

— Kowalski — powiedział sierżant. — Pozwólcie tutaj.

Franciszek podszedł do drzwi i stanął naprzeciw ubranego po cywilnemu mężczyzny. Mężczyzna spojrzał na niego uważnie; Franciszek zaledwie zauważył jego oczy, lecz zdawało mu się, że tamten spojrzeniem swym przeniknął do wszystkich jego myśli.

Mężczyzna zwrócił się do sierżanta.

— To ten? — zapytał.

— Tak — odpowiedział sierżant.

— Obywatelu sierżancie — zaczął pośpiesznie mówić Franciszek. — Pośpieszcie się, chciałbym...

— Idziemy — powiedział cywil.

Zatrzasnęli mu drzwi wprost przed nosem, tak, że znów ledwo zdążył uskoczyć. Nieznajomy mężczyzna z którym Franciszek rozmawiał w nocy, gwizdnął cicho przez zęby.

— To tak? — rzekł.

Franciszek obrócił się ku niemu.

— Co to znaczy — to tak?

Sąsiad spojrzał na niego z dobrotliwą ironią.

— Musiał pan nieźle narozrabiać — rzekł. — Jeśli do pana się aż tak czepiają?... — Mlasnął językiem w sposób jakiś niesłychanie wstrętny, potem ciągnął: — Jeśli pan sobie nie przypomina co zaszło, to na pewno nie jest dobrze. Musiał ktoś na pana coś donieść. Nie przypomina pan sobie?

Franciszek spojrzał na niego ostro.

— Co pan ma na myśli?

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Musiał ktoś na pana złożyć jakiś donos — powtórzył. — Może pan słucha „Wolnej Europy”? Miałby pan duże nieprzyjemności, jeśli by się okazało, że słucha pan tego co tam mówią

i potem opowiada pan to innym. Tu przecież jest ktoś taki, to niech panu sam powie.

Zawołał przez ramię:

— Panie Kwiatuśzyński, może pan będzie łaskaw na chwileczkę.

Olbrzymi mężczyzna z tysiączką podszedł do nich.

— Słucham panów — powiedział wspaniałym basem.

Sąsiad Franciszka zwrócił się do niego.

— Pan siedzi za „Wolną Europę”, prawda?

— Nic podobnego — powiedział z godnością olbrzym. — Nigdy nie słucham „Wolnej Europy”. Siedzę za Radio Madryt. Moja żona puszczała na cały regulator i sąsiadka złożyła na nas donos. Kobiety są, jak panom wiadomo, pod każdym względem nieodpowiedzialne.

— Wszystko jedno — powiedział sąsiad Franciszka i uśmiechnął się z triumfem. — Chodzi o meritum, nie o szczegóły. Zresztą Madryt pod tym względem jest chyba gorszy...

— Nieprawda — powiedział ktoś z tyłu. — Najgorszy jest Nowy Jork. Oni się szczególnie nie lubią z naszymi.

— Watykan pod tym względem nie ustępuje absolutnie — powiedział jeszcze ktoś inny i zbliżył się; był to niski, siwy mężczyzna o wyglądzie emerytowanego nauczyciela. — Zdawałoby się, że to duchowna impreza i choćby z tego względu powinny być inne kryteria oceny, ale nic podobnego. Mój pasierb miał za rozpowszechnianie wiadomości z Watykanu takie nieprzyjemności, że nikomu z panów tego nie życzę. Nazwa danej rozgłośni o niczym nie świadczy, wszystko w tym wypadku, jest proszę panów, złudą...

Sąsiad Franciszka przerwał tok jego wywodów niecierpliwym ruchem ręki.

— Powiedziałem już, że to są szczegóły — rzekł. — Chodzi o to, że na tego pana — tu wskazał na Franciszka — ktoś złożył donos a ten pan absolutnie się nie orientuje kto to może być. — Pochylił się do ucha Franciszka. — Może ktoś z rodziny? Pan myśli, że rodzina to już wszystko? Tu proszę pana, jest taki, o którym teściowa złożyła zameldowanie, że posiada broń. Z zemsty za to, że nie zaprosił jej na imieniny.

— Już go nie ma — powiedział olbrzym swoim wspaniałym basem. — Wczoraj go zwolniono.

Franciszek spojrzał ostro na człowieka z którym rozmawiał w nocy.

— Niech pan się ode mnie natychmiast odczepi — powiedział. — Pan mnie obraża i jako człowieka, i jako członka partii. Jestem uczciwy i to, że przebywam w pana towarzystwie, jest tylko żalosną pomyłką. Proszę do mnie w ten sposób nie mówić, bo powiem dyżurnemu oficerowi co o panu myślę.

Sąsiad przyjrzał mu się uważnie.

— Czego pan chce ode mnie? — powiedział wzruszając ramionami. — Ja do pana niczego nie mówiłem.

Napężone do ostateczności nerwy Franciszka, tym razem odmówiły mu posłuszeństwa. Począł krzyczeć z pianą na ustach wymachując histerycznie rękami.

— Nic pan nie mówił? Nic pan nie mówił? Gada pan cały czas obrzydliwe rzeczy. Gdzie pan jest? Jak pan myśli: gdzie się pan znajduje? Jestem byłym partyzantem i nie po to walczyłem przez całą okupację, żeby tacy jak pan mieli teraz szydzić z tego wszystkiego. Takich jak pan, ja w lesie własnymi rękami rozwaląłem. Pan obraża to wszystko w co ja wierzę i w co inni wierzą. Rozumie pan?

Mężczyzna popatrzył na niego zimno.

— Niczego do pana nie mówiłem — powiedział. — Rozumie pan? Niczego do pana nie mówiłem. To pan mnie zaczepił.

— Ja? Ja pana zaczepiłem? — zachłysnął się Franciszek.

Mężczyzna odwrócił się do innych.

— Czy ja coś mówiłem do tego pana? — zapytał bardzo głośno i spokojnie.

Chwilę trwała cisza, potem olbrzymi mężczyzna z łysą zupełnie czaszką, powiedział cicho do Franciszka:

— Ten pan niczego nie mówił.

— Jak to? zaperzył się Franciszek; wciąż jeszcze dygotał a czoło jego pokryło się potem. — Nie mówił mi jakichś bredni o donosach i tak dalej?

— To pan bredzi — rzekł łysy i pchnął Franciszka lekko w piersi. — Panu się wszystko pomieszało w głowie, mój przyjacielu. Sam słyszałem jak pan mówił, że chciałby pan prysnąć na Zachód, bo tam by panu było najlepiej. Pamięta pan, czy nie? Bo tu wszyscy słyszeli co pan mówił!

— Kto? — krzyknął Franciszek. Odwrócił się gwałtownie w kierunku innych ludzi. — Kto słyszał — krzyknął — że mówiłem coś takiego?

Na chwilę zapadła cisza. Franciszek dyszał ciężko. Czuł, że teraz pot spływa mu już wzdłuż całego ciała powodując nieznosne lechtanie.

— Wszyscy — odpowiedziała cela. Łysy mężczyzna dodał: — I niech pan się nikogo nie czepia. Pan był bardzo pijany i pan nie pamięta tego, co wygadywał w nocy. Jeśli bym to powtórzył — miałby pan poważne nieprzyjemności. Radzę panu: niech pan się nikogo nie czepia.

Franciszek cofnął się o krok. Nienawiść przesłoniła mu oczy; sprężył się nagle i szykował do skoku na łysego olbrzymia, lecz w tej chwili znów zazgrzytały drzwi i Franciszek machinalnie odwrócił głowę.

— Kowalski — powiedział sierżant. — Wychodźcie.

Przeprowadził go przez korytarz i weszli do znajomej już Franciszkowi dyżurki. Teraz, w świetle dnia, wyglądała jeszcze

bardziej szaro i brzydko niż w nocy, kiedy oświetlała ją wisząca ze środka sufitu bardzo jasna i niczym nie osłonięta żarówka. Za stołem, na miejscu kaprała, siedział teraz ów cywil o okrągłej twarzy. Obok niego — plutonowy, który przyprowadził Franciszka. Wyglądał na bardzo zmęczonego; jego młodzieńcza twarz była blada, oczy miał podkrążone. Wszyscy trzej, sierżant, mężczyzna ubrany w cywilny garnitur i plutonowy, byli nieogoleni; okrągłe policzki plutonowego, w ciągu nocy stały się mechate jak owoc dojrzewającej brzoskwini i powagi nie dłodał mu ani mundur, ani ciężki pistolet.

Cywil uniósł wzrok znad rozłożonych papierów.

— No, tak, Kowalski — powiedział, a w głosie jego zabrzmiała szczerza troska. Zmarszczył czoło: — Ciężka sprawa z wami.

Franciszek milczał; nachmurzył się, oparł o barierę i patrzył na cywila.

— Niedobrze — powtórzył cywil. Pokręcił głową: — Naprawdę niedobrze z wami.

— Co zrobiłem, u diabła? — zapytał Franciszek.

— Co, może nie podoba się wam? — zapytał sierżant. Wysunął podbródek i patrzył na Franciszka takim wzrokiem, jak mały chłopiec, który szykuje się do walki z przeciwnikiem.

— Ja się chcę dowiedzieć: co zrobiłem? — powtórzył Franciszek.

— A ja — rzekł sierżant — chcę, żebyście mi powiedzieli: podoba się wam, czy nie?

— Tak — wtrącił plutonowy. — Powiedzcie: może wam się nie podoba? Co? Podoba wam się, czy nie?

— Członek partii — rzekł cywil i rozłożył ręce. — Były partyzant, oficer i co? Popatrzeć na was, człowiek, można powiedzieć, przyzwoity, spokojny, na pewno dobry towarzysz. A sięgnąć głębiej: okazuje się — wróg. Zdemaskowaliście się, Kowalski... — Uderzył ręką w stos papierów. — Tak wygląda sprawa — rzekł. Zdemaskowaliście się i koniec.

— Ja? — wyjąkał Franciszek. — Zdemaskowałem się? Cóż to wszystko znaczy?

— Może wam się nie podoba? — zapytał plutonowy. — Powiedzcie: ustrój wam się nie podoba? Czy może milicja?

Cywil podniósł się zza stołu. Stał na szeroko rozstawionych nogach i patrzył prosto w oczy Franciszka.

— Obraziliście partię — powiedział spokojnie. — Obraziliście mundur, który nosi ludowa milicja. Obraziliście Polskę Ludową. Krzyczeliście, że wszystko macie gdzieś; obraziliście partię i władzę ludową takimi słowami, że ja wstydę się wam powtórzyć. To wszystko zostało zaprotokółowane. Pamiętacie to? Wy, jak wynika z waszej legitymacji, towarzysz partyjny, obraziliście nasz rząd, naszą władzę ludową. Tym samym, okazał pan, kim pan jest naprawdę, p a n i e Kowalski. Niech p a n

to przeczyta i podpisze. Potem zapłaci pan mandat i pójdzie pan do domu. Sekretarz organizacji partyjnej zostanie przez nas powiadomiony. Prześlemy mu kopię protokołu. A teraz — proszę.

Wręczył Franciszkowi papier i pióro.

— Boże — wybełkotał Franciszek. — Czy to możliwe?

Drżały pod nim kolana i serce łomotało gdzieś w gardle.

— Niech pan sobie wyobrazi, że tak — powiedział sierżant.

Popatrzył na bladego jak płótno Franciszka i uśmiechnął się krzywo. — Nie graj pan komedii — powiedział ostro. — Pan co innego myśli a co innego mówi. My tu jesteśmy po to, żeby nie dać się nabierać na takie sztuczki. Dzisiaj pan krzyczy na ulicy świństwa, jutro zostanie pan szpiegiem. Proszę przeczytać i podpisać.

— Ludzie — krzyknął Franciszek. — To przecież niemożliwe, żebym tak krzyczał. To jakaś pomyłka. Nie uwierzę, żebym krzyczał takie rzeczy.

— Ja słyszałem — powiedział plutonowy. — A jak wam się nie podoba, to powiedzcie od razu.

— Ja tak nie myślę.

— Pan tak krzyczał — rzekł cywil. — To są pańskie słowa. Tylko, że ja wstydzę się powtórzyć panu, towarzysz partyjny.

— Co po trzeźwemu w sercu — powiedział sierżant — to po pijanemu na języku. Sam pan chyba najlepiej wie, że tak jest.

— Pomyłka — powiedział ochryple Franciszek. Ruchem ślepca podniósł dłoń do czoła. — Pomyłka.

— Tak jest — powiedział cywil. — Pomylił się pan. Pomylił się pan jeśli wydawało się panu, że wroga nie można zdema-skować.

Franciszek spojrzał na podany papier. Usiłował coś przeczytać, lecz litery skakały mu przed oczami zlewając się w jedną bezkształtną i nieczytelną masę. Nagle odniósł wrażenie, że wszystko co go otacza, jest wymyślone i nieprawdziwe. Zamknął oczy a kiedy otworzył je po chwili, zobaczył pochylonego nad sobą sierżanta. Nieco dalej, stał mężczyzna ubrany po cywilnemu, obok niego plutonowy. Twarze ich wyrażały pogardę.

— Tutaj — powiedział sierżant wskazując mu miejsce, gdzie miał umieścić podpis.

— Ja... — zaczął Franciszek. I nagle umilkł; zrozumiał że jest u kresu swych sił i nie potrafi powiedzieć już ani słowa więcej; nie potrafi się obronić ani wytłumaczyć przed tymi ludźmi. Daleko w korytarzu ktoś walił pięściami w drzwi i ryczał: „Wypuście, wypuście”. Wtedy Franciszek pomyślał: „Wyjść stąd. Wyjść stąd za wszelką cenę”. Ujął pióro i podpisał. Sierżant odebrał mu papier i rzucił na stół.

Później, kiedy wydawano mu rzeczy, słyszał, że mówią coś do niego, lecz słowa ich nie docierały do niego bardziej wyraźnie od brzęczenia much. Otworzyła się w nim pustka, której

nie był w stanie zapelnąć ani jedną myślą; zawiązywał krawat, sznurował buty i zakładał pasek poruszając się jak lunatyk. Dopiero kiedy sierżant otworzył przed nim drzwi, usłyszał jak cywil mówi do niego:

— Do widzenia, p a n i e Kowalski.

I znalazł się na ulicy.

V.

Lodowaty wiatr wiejący od Wisły ocucił go trochę; dzień był mglisty i chłodny, a blade słońce pobłyskujące bezsilnie na wilgotnych dachach, nie przywodziło nawet na myśl wiosny; tak samo w wychudzonych i czarnych gałęziach drzew nie czuło się tęgich, wilgotnych soków ziemi. Franciszek szedł szybko przed siebie rozpiąwszy poły wygniecionej płaszcza; nie myślał dokąd idzie; wciąż żyło w nim jedno tylko pragnienie: aby znaleźć się jak najdalej od miejsca swej nocnej udręki. „Wszystko głupi przypadek” — mamrotał do siebie. — „Wszystko — głupstwo... Zaraz się wszystko wyjaśni; do czorta — musi się wyjaśnić. Zaraz wszystko załatwię, pójdę gdzie trzeba...” Napotkał rozbawione spojrzenia przechodniów i teraz dopiero zrozumiał, że mówi do siebie głośno; zapiął płaszcz i zwolnił kroku.

W witrynie jakiegoś sklepiku błysnęła tabliczka: telefon. Pchnął drzwi i wszedł do środka: dzwonek u framugi zabębnił fałszywie. Ciemną norkę wypełniał drażniący zapach nieświeżych jarzyn. Przy telefonie stała jakaś panienka; Franciszek usunął się w bok.

— Służę — rzekł właściciel, nieogolony, w brudnym kitlu. Franciszek wskazał ręką na panienkę:

— Chcę zadzwonić...

Właściciel cmoknął z rozczarowaniem, przykrył gazetą ciemne oblicze. „Wszyscy idziemy do...” — krzyczał tytuł. Odwrócił po chwili gazetę: „Wczorajsze przemówienie odbiło się szerokim...” Panienka szczebiotała do słuchawki składając usta w słodki ryjek:

— Dzidka? Niemożliwe? Tak? Co ty powiadasz?... Właśnie, ona zawsze... Nie chcę nic złego na nią mówić, ale można się było tego spodziewać...

Szczęknął dzwonek nad drzwiami; Franciszek drgnął jak porażony prądem. Wszedł chłopak; spod czapki bystro spoziierały cwaniackie ślepka. Postawił na kontuarze bańkę.

— Mleka i ćwierć kilo masła.

— ...Dzidka? Z Romanem? Tak, ja zawsze...

— Nie ma mleka. Są kartofle.

— ...ja zawsze mówiłam...

— A masło?

— Nie ma. Po południu będzie brukselka.

„Zadzwoń i wszystko się wyjaśni — pomyślał Franciszek. Patrzył ze złością na umalowany ryjek. — Zadzwoń, pójdę do pracy i wszystko minie”.

— A szmaliec?

— Szmalcu nie ma. Są kartofle.

— ...zawsze mówiłam Stefanowi: „uważaj z nią, bo nigdy nie wiadomo, co cię czeka z jej strony...”

— Kiedy będzie masło?

— A skąd że ja do diabła mogę wiedzieć? Co jest, to mówię. Pryskaj.

Znów brzęknął dzwonek i podrzucił Franciszkiem; chłopak wyszedł. Biegł teraz przez jezdnię rozchlapując kałużę nogami; buty miał za duże przynajmniej o trzy numery. „Idiota — pomyślał z irytacją Franciszek — połamie kiedyś nogi... — Spojrzał na zegarek: był już spóźniony o godzinę. — Dzwonić, dzwonić”.

— ...ty mnie znasz i wiesz, że nie lubię mówić źle o innych kobietach, ale w tym wypadku... Co? Nie Dzikka? Ja wiem, że nie Dzikka, skąd. Ale powracając do Władki...

Położył rękę na jej ramieniu: odwróciła się.

— Trzy minuty — warknął. — Kończyć.

— Cham.

— Smarkuła.

Rzuciła pieniądze na ladę i wyszła obrzucając go wściekłym spojrzeniem trzasnąwszy drzwiami; znów dzwonek zakołysał się w samym centrum jego umęczonego mózgu. Wytarta tarcza z numerkami kołysała się łukowatym ruchem w górę i dół: jak wahadło. „Lecznica dla psów; kochaj zwierzę” — zaterkotał głos. — „Przepraszam” — mruknął. Trafił w końcu na właściwy numer: telefon brzęczał przeciągle — zajęty. Odłożył słuchawkę i oparł się bezsilnie o ścianę.

— Szczeniara, co? — powiedział właściciel sklepu. — Dziś jaja mądrzejsze od kury. Zwrócił pan pętałowi uwagę, a ona panu tak buzię otworzy, że ojej. — Machnął ręką. — Ja byłem inaczej chowany. Kiedyś...

Franciszek znów począł nakręcać numer. Usłyszał w końcu znajomy głos telefonistki i odetchnął z ulgą.

— Proszę.

— Kowalski mówi. Połączcie mnie z zakładową organizacją.

Znów usłyszał brzęczenie: tym razem urywane i szybkie.

— Zajęty.

— Poczekam przy aparacie.

Przysunął sobie nogą stół i usiadł. Właściciel znów odłożył gazetę.

— Ja, panie — zaczął — to własnego ojca musiałem po rękach całować. Stary mój, to mówił do mnie: — Janek — bo

ja mam Jan na imię — ty musisz słuchać ojca, żeby potem ciebie własne dzieci chciały słuchać...

— Łączę — szczerknęła telefonistka. I zaraz potem usłyszał znajomy głos: — Peope, słucham.

— Kowalski mówi — krzyknął radośnie Franciszek. — To ty, Pawlak?

— Ja. O co ci chodzi?

— Słuchaj, tutaj małe nieporozumienie. Zatrzymano mnie.

— Na odprawie?

— Nie. W komisariacie.

— W ramach akcji „Miasto — Wsi”?

— Nie. Normalnie.

— Acha: deratyzacja.

— Nie. Rzekomy alkoholizm.

— Przecież do walki z alkoholizmem wydelegowaliśmy Cebulaka. Ty, Kowalski jesteś wydelegowany dla akcji łączności miasta ze wsią.

— Słuchajcie, to nie ma nic wspólnego z żadną akcją... — zerknął na właściciela: czerwono obwiedzione oczki wpatrywały się w niego z uwagą. — Ja — wyjąkał — prywatnie.

Głos w słuchawce podniósł się o ton wyżej.

— Prywatnie, to po akcji, towarzyszu Kowalski. Byliście wyznaczeni na akcję miasto—wieś i koniec. Na drugi raz żeby tego nie było.

— Dobrze — powiedział Franciszek. — Zaraz przyjdę i wytłumaczę. Cześć.

— Cześć.

Stuknęła słuchawka. Franciszek był zgrzany: od koszuli do skarpetek poczuł się nagle przesiąknięty potem. Odliczył drobne na telefon.

— Butelkę oranżady — poprosił.

Właściciel uśmiechnął się z dobroduszną ironią. Zmrużył oko, jakby chciał powiedzieć: „Ty, braciszku nie urządzaj kawałów ze znajomka”

— Nie ma — rzekł. — Może być kwas.

— Niech będzie kwas.

— Kwas może być, ale po południu. Mam trochę własnego mleka; mogę panu odstąpić.

— Tym lepiej.

— He, he...

— Co: he, he?

— Dobra, pij pan. Jestem taki, że każdego staram się zrozumieć.

Podczas gdy Franciszek pił, właściciel mówił:

— Niech pan się tym wszystkim nie przejmuje, proszę pana. Przymknęli pana, to i puszcza. Mnie przymknęli w czterdziestym piątym roku. Siedziałem z pewnym ruskim majorem, który zwiął z wojska i przebrał się za kominiarza. „Nic się nie przej-

muj, Wania — powiada on do mnie — bo ja się nazywam Jan — nic się nie przejmuj. O co by cię nie pytali: mów — nie wiem. Zawsze będzie mniej, niż by mogło być. Ja, Wania — bo mnie jest na imię Jan — siedzę już dwudziesty trzeci raz...”

Franciszek odstawił szklankę.

— Ile płacę?

— Niech pan poczeka, dokończę panu. „Ja, Wania — powiada on do mnie — siedziałem już tyle razy...”

— Nie mam czasu — szepnął Franciszek. Spojrzał na nieogoloną twarz sklepikarza i teraz dopiero uświadomił sobie, że on sam wyglądać musi tak samo. — Ile? — wrzasnął.

— Trzy czterdzieści.

Zapłacił i wyszedł.

— Hej, panie.

Odwrócił się; właściciel kiwał na niego z tajemniczym wyrazem twarzy. W jego stężalym spojrzeniu było tyle wyrazu, że Franciszek podszedł jak zaczarowany.

— Po południu będę miał kawę...

Znów biegł w rozpiętym płaszczu przez mokre, zabłocone ulice. Przystanął nagle. „A ja?” — pomyślał. — „Ja mam na imię Franciszek...” Usłyszał za plecami wściekły pisk hamulców i uskoczył w bok. „Na co pan czeka?” — krzyknął szofer. — „Na oklaski? Na socjalizm” — rzekł ktoś z chodnika. Ludzie zaryczeli uszczęśliwieni; Franciszek spąsował i już chciał coś odpowiedzieć, wtem usłyszał znajomy głos: — Co, nie podoba się panu? Niech pan powie szczerze: kto się panu nie podoba? — Odwrócił się; był to ten sam młody plutonowy, który go przyprowadził w nocy; służbowym ruchem już wyciągał rękę po dokumenty. Franciszek skulił głowę w ramiona i pobiegł dalej — w stronę czerwonego przystanku, gdzie kłębił się zmoknięty, kwaśno cuchnący, wymyślający sobie tłum.

VI

Minął tablicę z nazwą zakładu pracy i wszedł do portierni. Wsunął swą kartę w zegar kontrolny: czarne, nierówne cyferki ze stukiem wybiły godzinę spóźnienia. Podszedł ku niemu wąsaty staruszek portier i wyszczerzywszy pożółkłe zęby w przyjacielskim uśmiechu, zapytał:

— Tramwaj?

— Co — tramwaj?

— Nie mogliście się dostać do tramwaju?

— Dlaczego pytacie?

— Spóźnienie, towarzyszu Kowalski... — Westchnął i rozłożył ręce: — Muszę zatrzymać waszą kartę — rzekł ze smutkiem.

Oddał mu kartę.

— Trudno.

Chciał odejść, lecz portier zastąpił mu drogę.

— Najlepiej — rzekł dramatycznym szeptem — napiszcie w usprawiedliwieniu, że tramwaj... — Zmrużył bure oko: w gęstwinie bielejących zmarszczek wyglądało jak gwiazdka. — Tego się nigdy nie udaje sprawdzić — szepnął. — Tam, w tramwajach taki bałagan...

Franciszek mruknął coś niezrozumiałego i odszedł; siedł wzdłuż pocerniałego muru z cegieł oblepionego plakatami; roześmiane twarze przodownic i przodowników; chłopcy i chłopcy ze snopkami; przedszkolaków i żołnierzy; dywersantów i zdradzieckich księży; kulaków i sabotażystów, patrzyły prosto w jego umęczoną, nieogoloną twarz, jakby pytając: „No i co teraz, przyjacielu?” — musiał przymknąć oczy: otworzył je dopiero na widok amerykańskiego żołnierza przebijającego bagnetem koreańskie dziecko; żołnierz był podobny do orangutana, dziecko zaś — do lemura. Wzdrygnął się i prawie po omacku dotarł do szatni; tam przebrał się szybko w szary, zatłuszczony fartuch; potem przeszedł do lokalu organizacji zakładowej — mieścił się tuż obok w specjalnie na ten cel wzniesionym, w ramach czynu społecznego, baraku. Przed drzwiami z tabliczką zatrzymał się; raz jeszcze przeciągnął dłonią po swojej nieogolonej twarzy, przygładził rzednące włosy i jakby dla pokonania wszystkich swych słabości — w dwójnasób energicznie zapukał.

— Wejść — huknął bas.

Franciszek wszedł. Zza biurka podniósł się otyły mężczyzna o dobroduszej twarzy; miał ziemistą cerę człowieka, który stale niedojada, przebywa w zamkniętych pomieszczeniach i wdycha wielkie ilości przetrawionego dymu z papierosów; obwisłe policzki i oczy zaczerwienione z wiecznego niedosypiania; takie twarze mają przeważnie wszyscy ci ludzie, którym powierzono pieczę nad duszami innych. Wyciągnął rękę; ciężką i owłosioną, lecz ciepłą i przyjazną w uścisku.

— Siadaj — rzekł. — A kiedy Franciszek już usiadł, zapytał: — No, co tam dobrego u ciebie?

— Dobrego? — powtórzył Franciszek. Przez sekundę wydało mu się to pytanie kpina; potem jednak spojrzał na zmęczoną, dobrą twarz swego sekretarza i koszar nocy wydał mu się nagle nierealny; mało — śmieszny. „Ależ to wszystko głupstwo” — pomyślał. Odetchnął z ulgą: — „Teraz nareszcie dogadam się z człowiekiem”. Uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu godzin. — Zaszło takie małe nieporozumienie — rzekł. — Chodzi o to, że...

Ktoś zapukał do drzwi. Sekretarz powstrzymał Franciszka ruchem ręki.

— Chwileczkę... Wejść

Wszedł młodziutki chłopiec o dziecinnej jeszcze twarzy i uroczym zjeżonej czuprynie. Zobaczył Franciszka i przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał się wycofać.

— Chodźcie, Bliźniaczek — powiedział serdecznie pierwszy sekretarz, i jego ciężka dłoń wykonała przy tym okragły gest. — Chodźcie bliżej, u licha, i siadajcie... — Przysunął mu krzesło i spojrzał na chłopaka z sympatią. — Cóż was tam w Zetempie uczą być panienką, czy jak? Siadajcie i mówcie śmiało, po naszymu, po robotniczemu...

Zetempowiec Bliźniaczek usiadł. Spojrzał krótko na Franciszka, potem przeniósł wzrok na końce swych bucików i przypatrywał się im z niesłychanym skupieniem. Długą chwilę trwało milczenie. Za ścianami monotonnie niby telegraficzne druty, na jedną, wyciągniętą nutę, mruczały obrabiarki.

— Cóż jest, u licha? — zapytał w końcu sekretarz. Płasnął dłonią w stół. — Mówicie w końcu, czy nie?

— Chciałbym z wami w cztery oczy — wymamrotał Bliźniaczek.

Sekretarz pokręcił głową.

— To stary towarzysz — rzekł uroczyście. — Możecie przy nim wszystko powiedzieć.

Bliźniaczek spojrzał na Franciszka błękitnymi oczami, potrząsnął niesforną czupryną i rzekł dobitnie:

— Chodzi o to, że Baniewicz i Majewska — wiecie.

Sekretarz skamieniał. Przez jego twarz przeszedł szybki dreszcz. Pochylił się ku niemu.

— Nieprawda — rzekł ochryple.

— Tak.

Uderzył pięścią w stół aż wszystko jęknęło.

— Niemożliwe.

Bliźniaczek podniósł na niego spojrzenie swych czystych, błękitnych oczu.

— Na pewno.

— Skąd wiecie?

— Widziałem.

— Ale przecież... Majewska ma męża, dziecko.

Bliźniaczek uśmiechnął się triumfalnie.

— Właśnie — powiedział. — Właśnie.

— Widzieliście,

— Tak — rzekł Bliźniaczek. — Oni nie mają mieszkania, więc wiecie. Wczoraj, po fajerancie, w magazynie — sam widziałem.

— Mówili coś?

— Tak. To znaczy Majewska mówiła do Baniewicza, że nie kocha męża, ale nie może się z nim rozejść, bo on jest ciężko chory na gruźlicę i ktoś się musi nim opiekować. A on, Baniewicz, mówił jej, że nie ma mieszkania. I mówił, że bardzo mu się to nie podoba.

— Nie podoba mu się? — głos sekretarza zabrzmiał niby echo.

— Nie.

Sekretarz potarł tysiąjące czoło i oblizał usta. Zgarbił się: wyglądał jak człowiek, któremu odebrano rzecz najświętszą.

— Coś podobnego — rzekł a jego donośny bas zabrzmiał niby szept starca. — W magazynie, po fajerancie... A co wyście robili po fajerancie, Bliźniaczek?

Bliźniaczek uniósł głowę.

— Prowadziłem pogawędkę — rzekł. — „Miłość w życiu radzieckiego człowieka”. Zamieniłem się kolejnością z Plaskotą; on za mnie miał przedwczoraj: „Las w życiu komsomolca”.

— W magazynie, po fajerancie — powtórzył sekretarz nie wierząc własnym uszom. — Baniewicz — nasz towarzysz... — Znów rąbnął pięścią w stół: Franciszek z Bliźniaczkiem podskoczyli do góry. — I tu — ryknął. — Na terenie pracy. — Wyskoczył zza biurka, podbiegł do Bliźniaczka z wyciągniętą ręką. — Dziękuję wam w imieniu organizacji — rzekł, potrząsając tamtym. — Chłopcze, ojczyzna nigdy ci tego nie zapomni. Cześć.

Bliźniaczek wstał i podszedł wyciągniętym krokiem do drzwi. Tam zatrzymał się przez chwilę; wzniosł lewą pięść do góry. „Skąd ja to znam? — pomyślał nagle Franciszek. — Skąd ja to znam?”

— Cześć pracy — rzekł głośno Bliźniaczek.

— Cześć pracy — tym samym tonem i tak samo wznosząc pięść odpowiadał sekretarz a Franciszek znów pomyślał niemal z udręką: „Skąd ja to znam?”

Bliźniaczek zamknął za sobą drzwi i twardo stukając obcasami odszedł korytarzem. Sekretarz siedział przez chwilę nieruchomo a jego oczy puste były i ślepe. Potem zwrócił je na Franciszka; milczał; potem znów źrenice jego wypełniło światło.

— Widzisz — rzekł zmęczonym głosem. — Człowiek tu siedzi za biurkiem, niby nic, a gdzie nie spojrzysz — wróg czuwa... — Zabębnił po szklanym blacie niezdarnymi palcami. — Trzeba być czujnym — powiedział. — Stale trzeba być czujnym, Franciszku. Ludzie u nas mało wyrobieni; odchylają się, ulegają podszeptom, łatwo się załamują... Taki Baniewicz. Pośleliśmy go na akcję agitacyjną do górnictwa — wywiązał się. Na akcję złomu — wywiązał się. Na odgruzowywaniu Warszawy był najlepszy, nawet dyplom dostał. W zespole amatorskim pracuje jak szatan; tańczy, śpiewa, przedstawia — niektórzy nawet twierdzą, że talent ma poważny. Spojrzysz, pomyślisz — złoto nie towarzysz. A tu, nagle — buch.

Znów ukrył twarz w dłoniach. Usta opadły mu żałośnie. „Nie powinienem mu przeszkadzać w takiej chwili” — pomyślał Franciszek. Przełknął jednak ślinę i powiedział:

— Słuchaj, muszę już lecieć do swojej roboty — nie było mnie od rana. To wszystko o czym chcę ci powiedzieć, potrwa nie więcej jak pięć minut. Otóż wczoraj, kiedy wracałem do domu po zebraniu w dzielnicy, spotkałem mojego starego przyjaciela z którym razem tłukliśmy się w lesie. Zresztą, mówię ci — wspaniały człowiek, zastępca naszego dowódcy; teraz jest dyrektorem wielkiej budowy gdzieś na prowincji... — Przerwał na chwilę i westchnął ciężko. — Otóż tak; góra z górą a człowiek z człowiekiem i tak dalej... Zaszliśmy do małej restauracyjki, aby wspominać sobie dawne chwile, i — nie ma czego ukrywać — podchmieliłem sobie. Potem rozstaliśmy się...

Ktoś zapukał do drzwi i Franciszek przerwał.

— Wejść — powiedział sekretarz.

Drzwi uchyliły się nieznacznie; ktoś zajrzał do środka i zobaczywszy, że sekretarz nie jest sam chciał się wycofać, lecz ten powtórzył:

— Ależ wejdźcie, wejdźcie.

Mały, szczupły pan o wspaniale siwiejącej głowie i nerwowych rękach wszedł do środka.

— Słucham was, obywatelu Jarzębowski — rzekł sekretarz. — Nie krępujcie się, siadajcie.

Godny pan usiadł ułożywszy swe nerwowe ręce na kolanach. Sztuczne światło neonowej żarówki pobłyskiwało na jego siwych włosach.

— Co powiecie, obywatelu Jarzębowski? — zapytał sekretarz. Spojrzał na Franciszka i pacnął się dłonią w czoło. — Ależ wy się nie znacie, racja. Nasz nowy główny księgowy — obywatel Jarzębowski; towarzysz Kowalski — zastępca szefa kontroli technicznej. Obywatel Jarzębowski jest naszym nowym pracownikiem — wyjaśnił Franciszkowi. — Bezpartyjny aktywista. Będzie u nas w ramach akcji społecznej prowadził kółko śpiewacze.

— Tak, właśnie — podchwycił pan Jarzębowski. Uśmiechnął się do Franciszka. — Może pan także raczy?

— Co?

— Może pan łaskawy raczy należeć i śpiewać?

— Ja? — zdumiał się Franciszek.

— Ależ naturalnie, cóż łaskawy pan widzi w tym dziwnego? — rzekł Jarzębowski z lekką urazą w głosie. — Jakim głosem łaskawy pan raczy dysponować? Baryton? Tenor? Chyba baryton; na bas mi drogi pan — proszę wybaczyć jeśli mimowoli sprawię urazę — nie wygląda. Dziś po pracy mamy pierwszą próbę — „Marsz Entuzjastów”. Więc?

— To może przy okazji — bąknął Franciszek. Jarzębowski skłonił z godnością swoją siwą głowę.

— Będę oczekiwał łaskawej odpowiedzi — rzekł.

Sekretarz zapytał:

— No, co tam u was dobrego, obywatelu Jarzębowski? Walcie śmiało; po naszymu, po robotniczemu.

— Ależ łaskawy panie — rzekł uradowanym głosem Jarzębowski; pokraśniał przy tym z zadowolenia. — To dla mnie niewątpliwy zaszczyt — mam na myśli pańskie łaskawe sformułowanie „po naszymu” — ale, widzi drogi pan — spuścił ze wstydem oczy — ja, niestety, to znaczy nie z przekonania, lecz, że tak powiem, łaskawy pan rozumie — nie wybiera się matki, ni ojczyzny — ja jestem... byłem ziemianinem. To znaczy od dziecka już o tendencjach postępowych, głównie lewica, ale... — wspaniałym gestem rozłożył ręce.

— No więc — rzekł sekretarz. — Co tam słychać?

Jarzębowski splótł z chrzęstem swe nerwowe, prowadzące jakby samodzielny żywot dłonie i cmoknął wargami.

— Właśnie — rzekł przygnębionym głosem. — O to chodzi, że nic dobrego. Łaskawy pan raczy zrozumieć mnie dobrze, gdyż jest to sprawa niełatwa dla mego sumienia, jest mi szalenie przykro, z drugiej strony — drogi pan niech zrozumie, mając arcy-trudną sytuację — obowiązek Polaka, lewicowca...

— Śmiało, śmiało.

— Paczka — rąbnął Jarzębiowski.

— Co za paczka?

— Malinowska, ta z rachuby. To znaczy: z mojego działu — uzupełnił skromnie Jarzębowski, znów z wspaniałym ruchem głowy.

— No to co?

— Łaskawy pan raczył trafić, że tak powiem — w jądro zagadnienia. Właśnie: no to co?

— Nie rozumiem.

Jarzębowski uderzył się w piersi.

— Z mojej winy, drogi panie, z mojej winy. Widocznie nie potrafiłem swojej myśli wyrazić dostatecznie jasno. Malinowska, z rachuby, dostała paczkę.

— Skąd?

Jarzębowski wspiał się na palce. Uniósł dłonie do góry, jakby odwołując się do nieprzeliczonych rzesz świadków.

— Tu właśnie sęk — rzekł metalicznym głosem. — Z Zachodu.

— Z Za-cho-du?

— Z Zachodu. Zresztą — ona się nie kryje. Sama mi powiedziała. Nawet poczęstowała mnie papierosem, który pozwoliłem sobie przyjąć ze względu na dobro sprawy... — Sięgnął do górnej kieszonki kamizelki, wyciągnął stamtąd papierosa i położył go przed sekretarzem. — Proszę — oto on.

Patrzyli chwilę na siebie przeszywając się wzrokiem. Potem sekretarz gwizdnął.

— To tak stoją sprawy.

— Ano właśnie.

Zapanowało głębokie milczenie. Zegar męcząco tykał na ścianie. Gdzieś w halach montażowych próbowano jakiś potężny silnik puszczając go na pełnych obrotach; ryk przycichał co chwilę by potem piłującym wrzaskiem wdrzeć się pod czaszkę.

— Paczka — powiedział w zamyśleniu sekretarz. Delikatnie, końcami palców podniósł papierosa do oczu i oglądał go uważnie ze wszystkich stron; obracał, potem powąchał i pokręciwszy głową — odłożył na bok. — Papieros — rzekł — a cholera właściwie wie co. Zawsze się tak zaczyna; papierosy, paczki, pończochy, fiu bzdziu, a potem, okazuje się...

Umilkł nagle i twarz jego stężała tak, jakby za chwilę z ust jego paść miała myśl potężna a nowa, jedyna w swej formie i wyrazie. Jarzębowski zamarł czujnie i Franciszkowi — który patrzył na niego z boku — zdawało się, iż ciało tamtego zesztynniało na kamień. Zapanowała śmiertelna, gęsta cisza; zdawało się, że nawet zegar bije wolniej.

— Dziękuję wam, Jarzębowski — ochryplym głosem rzekł po długiej chwili sekretarz. — Nasza organizacja zastanowi się nad tą sprawą.

Wstał.

— Dziękuję — dodał. Potrząsnął mocno dłońią tamtego; i kiedy tamten unosił już swą wspaniałą głowę w kierunku drzwi, sekretarz raz jeszcze powtórzył: — Dziękuję wam, obywatelu.

— Ale, ale — przypomniał sobie Jarzębowski. Zwrócił się do Franciszka: — Jak z naszym kółkiem?

Franciszek zacisnął szczęki.

— Potem zobaczymy — rzekł.

— Dziękuję — krzyknął sekretarz. Przysunął swoje krzesło bliżej Franciszka, klepnął go w kolano. — I co ty na to?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Wielu ludzi dostaje paczki stamtąd.

Sekretarz uśmiechnął się szyderczo.

— Paczki — powtórzył. Pochylił się, zniżył głos do szeptu: — Ty ich nie znasz.

— Kogo — ich?

— I c h .

— Przecież te paczki są chyba rewidowane, u diabła?

Uśmiech wyższości nie schodził z oblicza tamtego.

— Nie znasz ich, i — koniec.... — powiedział. — No, ale co u ciebie dobrego? Mówiłeś coś, że akcja ci nie wychodzi.

— Żadna akcja — rzekł ze wściekłością Franciszek. — Zostałem wczoraj zatrzymany na komisariacie, rozumiesz?

— Ty? Na komisariacie?

— Tak. Ja.

— Dlaczego?

Franciszek wstał nagle.

— Słuchaj, Janie — powiedział. Położył dłoń na ramieniu tamtego. — Znasz mnie i nie potrzebuję ci chyba mówić kim

jestem i co myślę, i dlaczego jestem w partii. Ale wczoraj za-
lałem się okropnie... — Przeszedł parę kroków, potem zwrócił
swą twarz w stronę tamtego. — Obraziłem wczoraj partię — po-
wiedział drewnianym głosem.

— Ty?

— Ja.

— Człowieku... — wybełkotał sekretarz. — Człowieku: co
ty powiedziałeś?

— Powiedziałem — rzekł patrząc w ścianę Franciszek —
że mam to wszystko gdzieś. Mówilem jeszcze coś o wiele gor-
szego; ale nawet oni, tam, na milicji wstydzi mi się powtó-
rzyć. A ja sam nie pamiętam. Miałem taki moment zamrocze-
nia w gniewie; i wszystko co właśnie w tym momencie po-
wiedziałem uciekło mi z głowy; po prostu — pustka.

— Człowieku, człowieku — bełkotał sekretarz. — Coś ty
najlepszego narobił?... Na którym komisariacie to było?

— Czterdziestym drugim.

— Ach — rzekł sekretarz z nagłą ulgą. — Żeby cię, bra-
ciszku, wszyscy diabli wzięli, ale masz szczęście. Zaraz tam
zadzwonimy; toż ja tam mam znajomego, kolegę — może się
uda wszystko załatwić.

Ujął słuchawkę; Franciszek powstrzymał jego dłoń.

— Nie — powiedział. — To przecież nie o to chodzi, Janie.

— Więc?

— Ja nie chcę w ten sposób załatwiać tej sprawy, Janie.
Tam to wszystko jest zaprotokółowane; tam — czarno na białym,
że jestem wrogiem, rozumiesz? — Pokręcił głową: — To
wszystko trzeba załatwić inaczej. Ja nie mogę w tej chwili
uwierzyć samemu sobie. To musi rozpatrzyć partia.

— Partia?

— Tak. Ludzie, nasi towarzysze, muszą mnie przyznać
rację, rozumiesz? Ludzie muszą mi powiedzieć, że wierzą mi
tak, jak wierzyli dotychczas. I że moje miejsce — tutaj — jest
słuszne. Jutro jest zebranie: postaw tę sprawę na porządku
dziennym. Słuchaj — ja mam syna, dorosłego syna, który
jest w partii. Mam córkę, która również kiedyś wstąpi do partii.
Moje dzieci muszą mi wierzyć. Im nikt nie może powiedzieć:
„Twój ojciec to jest taki facet, który mówi co innego, a co
innego — myśli...” Jeśli nawet powiedziałem coś takiego, to sam
nie rozumiem jak to się stało. Ja tego nie myślę. Nie myślałem
tak nigdy — inaczej nie stałbym teraz tutaj, przed tobą. Jed-
ność myśli, słowa i czynu; oto co stwarza człowieka. Tak ja
rozumiem wierność i człowieka... Czy rozumiesz mnie, Janie?

— Rozumiem, pewnie, że rozumiem — potwierdził tamten.
Patrzył w okno, przez szyby sączyło się nędzne światło dnia,
walcząc tutaj, w pokoju, z historycznym drganiem neonowej za-
rówki. Sekretarz objął głowę rękami. — Co za cholerny dzień
dzisiaj — powiedział. — Najpierw ty, potem Baniewicz z Ma-

jewską, potem ta paczka... Spojrzysz z wierzchu — paczka niby a jakże. I zaplombowana, i zapieczętowana, i zrewidowana; pomyślałby kto jeszcze, że i prawda. A tu, bracie, czort jeden wie co z tego może wyniknąć... — Popatrzył ciężkim wzrokiem na Franciszka. — Człowieku — rzekł z wściekłością — czy ja mam mało kłopotów? No sam powiedz i przyznaj mi rację. To Baniewicz, to paczka, to inne ścierwo — a niechże to diabli... — Bębnił palcami po stole; w hałach znów narastał i cichł straszliwy ryk silników. — I po coś ty się wygadał? — zapytał sekretarz.

Franciszek zeszytniał nagle, jakby go ze wszystkich stron obłożono lodem.

— Coś ty powiedział? — wycharczał.

— I po coś ty się wygadał? — ciągnął sekretarz patrząc w zakurzone szyby. — Ty, bracie, zastanów się; jesteś towarzyszem partyjnym — jesteś; legitymację masz — masz; stanowisko masz — masz; więc, u diabła, zachowuj się jak towarzysz partyjny. A ty, zamiast tego, to od razu na cały głos: „Wierzę, nie wierzę, mam gdzieś...” O kto się ciebie, do cholery, o to pytał?

Odsunął się w ostatniej chwili; ciężki przycisk z brązu przeleciał mu tuż obok twarzy. Trzasnęła szyba; ryk silników wdarł się świeżą, mocną falą.

— Kanalio — zasyczał Franciszek. Zbliżył się ku niemu ślepo wyciągając rozczapierzone palce. — To ty? Pierwszy sekretarz? Ty tak mówisz. Ja ciebie... Ja jutro... na zebraniu... wszystkim...

Szedł już do drzwi przez czerwoną, huczącą mgłę.

— Franciszku — krzyknął tamten. — Franciszku, przecież ja nic...

W drzwiach minęli się z zetempowcem Bliźniaczkiem.

VII

Zebranie podstawowej organizacji rozpoczęło się o piątej po południu następnego dnia. Franciszek ledwie zdążył zjeść obiad w zakładowej stołówce i jako tako się umyć. Dopinając po drodze guziki, pobiegł do zatłoczonej sali; była to mała bardzo salka i nzbierało się w niej już tak dużo dymu, że zza gęstej zasłony, ledwo widocznie uśmiechały się szczere twarze dostojników z portretów; a pełne radości twarze przodownic i przodowników miały w sobie coś tajemniczego i nie przeniknionego, niby twarze z portretów pędzla starych mistrzów. Za stołem, zasłanym czerwonym, flagowym płótnem, w którym było wiele dziur od nieuważnie gaszonych niedopałków, siedział już pierwszy sekretarz — towarzysz Pawlak, jego zastępcą — młody inżynier o ruchliwej twarzy królika, dwaj towarzysze z Egze-

kutywy oraz delegat z Komitetu Dzielnicowego partii. Franciszek przepychając się między ciasno ustawionymi krzesłami znalazł sobie wolne miejsce i usiadł. Jego sprawa była na porządku dziennym jako trzecia. Pierwszy sekretarz uciszył salę stanowczym ruchem ręki i wstał.

— Otwieram zebranie podstawowej organizacji partyjnej przy zakładach remontowych samochodów „Lepsze jutro”.

Złożył ręce do oklasku, lecz nim zdążył je złączyć — klasnęła już cała sala. Trwało to długą chwilę; potem oklaski stopniowo sichły.

— Wobec tego — rzekł a jego dnośny bas wypełnił każdy zakątek zadymionej sali — zebranie uważam za otwarte. Na porządku dziennym samokrytyka towarzysza Jabłonki; sprawa towarzyszy Gierwatowskiego i Kowalskiego; wolne wnioski i dyskusja. Czy ktoś z towarzyszy prosi o uzupełnienie porządku?

I nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, pierwszy zaklaskał. Oklaski trwały parę minut; potem wstał towarzysz Jabłonka.

— Towarzysze — zaczął wysokim, napiętym głosem. — Powiem prosto, po naszymu, po robotniczemu — pobiłdzilem. Żeby tam nie wiem jak myśleć i myśleć, to zawsze człowiekowi porządnemu lepiej powiedzieć od razu pobiłdzilem i koniec. Bo człowiek to sobie czasem pomyśli: a może zrobić tak? albo tak? A ja nie; ja mówię po prostu, po naszymu — pobiłdzilem i koniec. I takie różne myśli człowiekowi przychodzą do głowy. A po co? Pytam ja się: a po co? Ale przecież czasami człowiek pomyśli sobie, zrobię tak a tak, potem, okazuje się — pobiłdzi. Więc ja powiem od razu, po prostu, po robotniczemu — zbiłdzilem i koniec, żeby tam nie wiem co. — Podniósł głos o ton wyżej. — Towarzysze — krzyknął. — Był głód, był kapitalizm, była nędza, ludzie umierali z głodu, puchli — sam to widziałem, własnymi oczami, towarzysze. Aż przyszedł człowiek imieniem Lenin. I ludzie się obudzili, towarzysze. I sami wiemy jak jest, i wiemy, że będzie lepiej. A ja pobiłdzilem, towarzysze. Ja już jak dziecko — chrapaszczykom skrzydełka obrywałem, muszkom; a z kotami i z żabami to już robiłem takie rzeczy, że żeby tak powiedzieć prosto — zabawiałem się nie po naszymu. Pod moim oknem kiedyś umarł człowiek. A wiadomo, towarzysze, że towarzysz Stalin powiedział: człowiek — to brzmi dumnie. Czasy były straszne. Był głód, i nędza, i kapitalizm; aż przyszedł człowiek imieniem Lenin. A na drugi raz, towarzysze — łopaty do transportu kuźnia dostarczy w terminie.

Umilkł. Ludzie ocknęli się. Potężne brawa wstrząsnęły salą; klaskali wszyscy, nawet ci, których sen lekko zmorzył na początku zebrania; rozglądając się szeroko nieprzytomnymi i przerażonymi oczyma klaskali najmocniej, aby jak najprędzej otrzeźwieć, spędzić resztki snu z powiek i włączyć się w nurt zebrania. Niektórzy towarzysze mieli łzy w oczach i głośno siorpając nosami sięgali do chusteczek. Podeszły wiekiem kierownik gru-

py spawaczy ocknął się zbyt późno; przetańszy gwałtownie oczy, krzyknął: „Niech żyje”. Ktoś natychmiast dodał: „Niech żyją radzieccy spawacze — budowniczości Dnieprostroju”; okrzyk błyskawicznie podchwyciła cała sala i kilkaset gardzieli przez kilka minut wznosiło okrzyki na cześć budowniczych Dnieprostroju, Magnitogorska, Komsomolska; na cześć górników Donbasu; na cześć kubańskich Kozaków; kolchoźników Ukrainy; białoruskich partyzantów; radzieckich uczonych; sewastopolskich marynarzy; bohaterskich obrońców Stalingradu; badaczy koła podbiegunowego; Łysenki, Miczurina i Olgi Lepieszczyńskiej; a zakończono wiwatowania okrzykiem na cześć pracy Józefa Stalina z zakresu językoznawstwa.

Po samokrytyce towarzysza Jabłonki wytworzyła się na sali ciepła i serdeczna atmosfera. Ludzie obdarowywali się wzajemnie uśmiechami; częstowali papierosami; żywo i z uznaniem komentowano przemówienie Jabłonki. Po krótkiej chwili nieodzownego w takiej chwili zamieszania, zabrał głos pierwszy sekretarz; nakreśliwszy w kilku słowach swój punkt widzenia na sprawę Jabłonki, wyraził się jednocześnie z uznaniem o jego szczerości i gorącej odwadze. Następnym punktem zebrania, była sprawa towarzysza Gierwatowskiego. Nim jednak — stojący już Gierwatowski — zdążył pozbierać myśli i przemówić, ktoś z sali wykrzyknął:

— Towarzysz Nowak ma erdelteriera, który się nazywa „Samba”. Pytam się: dlaczego „Samba”? Z tym trzeba raz nareszcie skończyć.

Franciszek poznał po głosie młodego Bliźniaczka.

— To w wolnych wnioskach — podniosły się okrzyki. — To w wolnych wnioskach.

— Dlaczego czekać aż do wolnych wniosków? — krzyczeli inni. — Z takimi rzeczami trzeba skończyć od razu, słusznie. Dzisiaj „Samba” a jutro co? Dzieci koreańskie napalmem bombardować, tak?

— Więcej czujności, towarzysze!

— Oburzające!

— Samba!

— Szkoda, że nie bomba!

— To stamtąd płynie wasze natchnienie, Nowak?

— Wyłamujecie się z ramy!

— Był głód, była nędza, był kapitalizm...

— Złóżcie legitymację!

— Tacy na Korei strzelali do kobiet i dzieci!

Towarzysz Nowak wstał i drżącym głosem wyjaśnił, że psa kupił już tak nazwanego, a kiedy usiłował nazywać go „Bukietem” — pies nie reagował a raz nawet pogryzł teściowej nogi; obiecał jednak, że od dzisiaj zacznie wołać na psa „Burek”, choćby to miało pociągnąć za sobą największe wyrzeczenia. Po chwili niesłychanej wrzawy, zebranie potoczyło się dalej.

— Ja, towarzysze — zaczął Gierwatowski: siwy ślusarz z potężnymi wąsami — będę mówił krótko, po naszymu. Człowiek jestem prosty i nie lubię jak mi ktoś: trele-morele... Ja się zapytam krótko: czy to prawda, że człowiek się urodził od małpów?

Sala zamarła ze zdumienia. Ludzie spojerali na siebie tępo z wyrazem dzikiego przerażenia. Brwi delegata z komitetu dzielnicowego podniosły się aż do włosów; królicza twarz drugiego sekretarza zamarła w stadium ryjka. Pierwszy odezwał się Bliźniaczek — był obecny na zebraniu jako delegat organizacji młodzieżowej.

— Towarzysz Zamodziński zbiera nalepki od butelek...

— Ciszej, towarzyszu Bliźniaczek — posypały się głosy. — To w wolnych wnioskach. Teraz niech mówi Gierwatowski. Śmiało, towarzyszu Gierwatowski.

— Śmiało — powiedział delegat z dzielnicy.

— Śmiało — powiedział Pawlak.

— Śmiało — jednocześnie odezwali się Bliźniaczek z drugim sekretarzem.

— No, przecież mówię — rzekł Gierwatowski. — Czy to prawda, że my wszyscy z małpów?

— Z małp, nie z małpów, towarzyszu Gierwatowski — poprawił Bliźniaczek.

Gierwatowski odwrócił się.

— Z czego?

— Z małp.

— Też ja mówię: czy z małpów?

— Chwileczkę — rzekł delegat z dzielnicy: brwi jego powróciły już do pozycji wyjściowej. — Ale à propos czego pytasz?

— No, bo jakże to: człowiek od małpy?

— Więc co z tego?

Gierwatowski poczerwieniał ze wściekłości.

— Syn przychodzi do mnie i mówi: „Tato, czy to prawda, że człowiek pochodzi od małpów?”. „Idź szczeniaku — mówię — bo jak cię kopnę w tyłek, to ci się odechce małpów. Won do nauki”. „Kiedy uczą tak” — powiada — „naprawdę jest w książce”. „Gdzie?” — powiadam. — „Dawno pasem nie dostałeś”. „A tu” — powiada. Biorę, czytam, oczom nie wierzę; czytam i myślę: „Czy ja zwariowałem na stare lata? Czy ten, co to wydrukował ma pieska w głowie?” A tam napisano jak byk — od małpów i koniec. Szurnąłem szczeniaka w głowę a sam w niedzielę poszedłem do zoologu.

Urwał.

— I co?

— Czy to możliwe?

— Co ma być możliwe?

— Że my od małpów?

Wtrącił się Bliźniaczek; czupryna zjeżyła mu się jak szczotka.

— O co wam chodzi, Gierwatowski? Czy wam nie wszystko jedno, kim był wasz pra-pra-dziadek? To nie jest zagadnienie pochodzenia społecznego, lecz nauki. W ten sposób to ujmijcie:

Twarz Gierwatowskiego przybrała odcień fioletu; kark mu spurpurowiał, a wąsy podskoczyły do góry.

— Gównu — ryknął. — Milcz, pętaku. Mój dziadek był kowalem u Gerlacha i mordy sobie nim nie wycieraj.

Pogroził mu ogromną pięścią. Posypały się okrzyki:

— Krecia robota.

— Chce osłabić czujność.

— Agent.

— Przekazać sprawę bezpieczeństwu. Nie ma się co cackać.

— Wróg.

— Ile dolarów za to dostałeś, Gierwatowski?

— Znamy takich: tu — o małych; a za plecami — piasek w maszynie.

— Towarzysze — nie dajcie się omamić.

— Był głód, była nędza, był...

— Ciszej, towarzysze — krzyknął delegat z dzielnicy. Zwrócił się do Gierwatowskiego: — Waszą sprawę rozpatrzy egzekutywa... — Popatrzył chwilę na niego. — Partia nie spodziewała się tego po was — oznajmił sucho. — Poniesiecie konsekwencje.

Gierwatowski usiadł mrugając oczami. Pierwszy sekretarz oznajmił:

— Sprawa towarzysza Kowalskiego.

Franciszek wstał. Rozejrzał się wokół; spoza zasłony dymu nie widział żadnej twarzy; wszystkie wydały mu się dalekie, nigdy nie widziane i martwe.

VIII

Z ciemnych ulic wybiegł nagle wiatr; podniósł strzępy plakatów i targnął nimi po pustym placu. Druga zmiana już pracowała: to wiatr, to ryk silników i jazgot obrabiarek dławił uszy. Minał bramę i wyszedł na ulicę; biegła daleko w ciemność, a gdzieś — na jej końcu — w martwych kręgach gazowych latarni chybotali się pijacy; ich cienie — to kurcząc się — pełzały po ziemi, to wydłużając — sunęły po ślepych oknach kamienic. Bruk był wilgotny i szklisty. Franciszek patrzył pod nogi; w kałużach, niby tłuste robaki, pływały gwiazdy. Z którejś bramy wyszedł sutener:

— Panie dziedzicu — powiedział uchylając czapki — mam dzisiaj wolną narzeczoną...

Odepchnął go w milczeniu i poszedł dalej. Podniósł głowę do góry i ze wszystkich sił zaczerpnął powietrza; gdzieś w środku jego płuc tkwiła stalowa kłoda. Szedł potykając się co chwila; patrzył w niebo, tak było lepiej i lżej. Nad dachami kurczył się żałośnie mdły księżyc; mrok gęstniał wciąż — lepki i szczelny — dławiąc chore gwiazdy i stłoczone miasto. Przesunął się, dzwoniąc podkówkami, patrol żołnierzy. Księżyc zniknął nagle zagarnięty przez brudną chmurę; żołnierze przeszli patrząc nieufnymi oczyma w mrok i wilgotną pustkę.

«Koniec. Kropka. Taki sam księżyc był wtedy. Wtedy była wiosna; niedonoszona i cherlawka jak i ta. Niebo było szare, ziemia czarna, drzewa także; dopiero ślady po kulach — jasne jak mleko i świeże — mówiły o wiosnie. Tak, to było wtedy. Staliśmy z Jerzym przed bunkrem. Mieliśmy dobry bunkier; z sosnową powalą i zarekwiirowanym dywanem, spało nas w nim chyba ze czterdziestu. Jerzy powiedział do mnie, żebym poszedł do majątku — trzy, może cztery kilometry — i pozorując rekwizycję, przyniósł trochę tłuszczu i mąki. Wziąłem trzech chłopaków i już szykowaliśmy się do drogi — im ciemniej, tym lepiej; im bardziej w sercu nocy — tym lepiej; ludzi spotkanych i poznanych nocą pamięta się przecież krócej, choć silniej przez pierwszy okres czasu. Już odchodziliśmy, wtedy wyszedł sanitarny. „Przynieście trochę spirytusu do obmywania ran — powiedział i postawił przed nami karnister. Rozzłościłem się. „Mam iść do knajpy, tak?” — zapytałem. „Durniu: pół kilometra przed majątkiem jest gorzelnia. Znam gorzelnego, swój człowiek, mieszka obok — w małym domku. O nic nie będzie pytać. Nie raz pomagał partyzantom”... Dał mi karnister; w białej blasze odbiła się tępa morda księżycy. Wzdrygnąłem się — w tym było coś wstrętnego. „Zimno ci?” — zapytał Jerzy. „Nie” — rzekłem. „Dam ci swój kozuch”. „Dziękuję, dam sobie radę”. — I poszliśmy. Było nas czterech; ja i trzech chłopaków, taszczyliśmy plecaki — największe, jakie udało nam się zdobyć. Chłopcy byli młodzi: dwóch ze wsi, jeden — krakowski cwaniak, nie lubiłem go. Miał parę złotych zębów, coś szczurzego w twarzy; pociły mu się łapy i na próżno przecierał je spirytusem narażając się na wściekłość sanitarnego; od dowódcy też dostał parę razy po łbie. Dlaczego właściwie pamiętam go tak dobrze?»

Pod ścianą domu leżał pijany z twarzą we własnych rzygowinach. Franciszek zatrzymał się machinalnie i pochylił nad nim; trząsł dłuższą chwilę ramię nieprzytomnego, lecz leżący pozostał kłodą. Na ścianie domu ktoś napisał kredowymi kulfonami: Mańka jest kurwa. Mieszka na parterze. Dzwonić dwa razy.

Trochę dalej: Ręce precz od Korei. I jeszcze dalej: Min nie ma. Sierżant Błotniak. Po śliskiej jezdni przesunęło się mętne światło samochodu; nad miastem płonął ognisty neon: Młodzież czyta „Sztandar Młod..h”; dwie litery przepaliły się dawno; wyglądało to niby dziura w użębieniu. Franciszek poszedł dalej; dziewczynka o trupiej twarzy spytała:

— Niuniuś: gdzie idziesz, dziecko?

Dalej było błoto i ciemność ubita na placek; Franciszek brnął bezmyślnie a ziemia pod jego nogami bulgotała i mruzczała wściekle. W jakimś oknie na parterze paliło się światło, po firankach przepływały suche cienie tańczących, głośnik wrzeszczał: „Tym mostem ponad rzeką...” Ktoś dobijał się do bramy: „Panie Skowron. Panie Skowron...” Franciszek skrzywił w lewo; tu było światło — ostre, jasne i syczące — pracownicy miejskich tramwajów spawali łuk zakrętu; oblani niebieskim światłem, w niebieskich maskach, wyglądali jak zjawy nie z tego świata.

«Wiem już dlaczego tak nie lubię tego chłopaka: był kawalerzem, znał tysiące, miliony kawałów — na każdy dzień, okazję, lub słówko. Kiedyś opowiadał taki — kiedyś? — tamtej nocy właśnie: dwudziestu pięciu robotników olbrzymimi obcęgami — w nocy, tak jak ci tutaj — przenosi długą szynę tramwajową. Wrzeszczą: Ej-op, ej-op. Szyna posuwa się do przodu — metr po metrze. Przychodzi kierownik robót i kręci głową: „panowie, to nie tak”. Bierze szynę sam jeden i przenosi ją o dwadzieścia metrów. Robotnicy uśmiechają się lekceważąco. „Siła to nie sztuka” — mówią. — „Ale sposobem”. Szczeniak. Tamtej nocy gadał szczególnie dużo i w końcu powiedziałem mu: „Może byś tak przymknął dziób, dobrze?” Wieś była już blisko; skręciliśmy ścieżką do gorzelni; po długim stukaniu wyszedł gorzelany — był w gaciach i w kozuchu, twarz miał opuchłą od snu i mrugał ciągle oczami — Wściec się można było, patrząc na jego latające powieki. Zaprowadził nas pod kufę; napiliśmy się po tęgim łyku i nabrawszy pełny gąsior, ruszyliśmy dalej. Gorzelany drapiąc się w pierś porośniętą siwymi kudłami, pytał: „Długo będziemy czekali na wolność?” Odpowiedziałem mu coś bez sensu i składu — im dłużej człowiek walczy, tym mniej myśli o wolności — gorzelny skinął głową i rzekł: „Niech Bóg pomaga partyzantom”. I znów leżaliśmy po brei trzymając się opłotków; w końcu — dwór, ni zamożny specjalnie, ni upadły; lecz po czystości alei, bieli parakanów, starannie okopanych klombach i słomą opatulonych drzewach, poznać było z łatwością, że rządzi tu ktoś o surowej ręce. „Sprawdzić broń”, rzekłem, po chwili rozległ się trzask zamków. Ja sam nie miałem pistoletu: rewolwer — ciężki i wielki bębenkowiec. Wszyscy śmieli się ze mnie; lubili „Visy”, „Para-

bellum", piętnastostrzałowe „FN”; ja zawsze wolałem niezawodny bębenkowiec: pistolet boi się wody, piasku, odrobiny choćby rdzy; rewolwer — strzelać będzie w błocie. Po długim pukaniu w drzwi — chłopców już diabli brali — wyszła jakaś kobiecina; trochę pisku i zamętu, potem — rozkładająca ręce dziedziczka. „Niczego nie mam, panowie — powiada — sama ledwo żyję”. I nagle — buch, mdleje. W wazonie stały kwiaty — czort ją jeden wie, skąd o tej porze miała kwiaty — chlusnąłem jej wodą na twarz. Już zaczęła przychodzić do siebie, więc mówię do chłopaków: „Idźcie do spiżarni, ja się nią zajmę”. Poszli. Ukłknąłem przy niej i zobaczyłem jej szeroko otwarte, szubrawe oczy: czekała na nas z Niemcami. Tamtych trzech, którzy poszli do spiżarni, kropnęli w sekundę — trochę strzałów, dymu i wrzasku. Wpakowałem Niemcowi — może z dwóch cali — kulę w brzuch; wyskoczyłem na ganek — seria tuż nad moją głową rozłupała futrynę — i pierwsze co zrobiłem, to bezmyślnie złapałem kanister ze spirytusem; biegłem z nim kilkadziesiąt metrów i upuściłem go dopiero wtedy, kiedy w płucach moich pękło jakieś wściekle światło, rozjaśniając na ułamek sekundy wszystko wewnątrz i zewnątrz mnie; biegłem trzymając rewolwer w łapie, jakby w samo centrum słońca; w deszcz, błoto i poszarpaną strzałami noc. Obudził się pies, i biegł za mną wyjąc; potem drugi i trzeci; a potem wszystkie psy kosmosu biegły za mną po błocie i mojej krwi: czułem ją już w pasie; potem — w spodniach; potem — w skarpetkach. Nie wiedziałem, na ile starczy mi sił, aby wdzierać się w noc, w las, między drzewa z poszarpanym oddechem i kawałem ołowiu gdzieś blisko serca i płuc — czułem go, czułem go coraz mocniej, rósł we mnie z kroku na krok niby żywe ciało; wiedziałem jedno — muszę biec, biec jak najbliżej swoich; biec i nie potknąć się, gdyż krok w którym załamia się pode mną kolana, będzie ostatnim moim krokiem — tutaj. Gdzieś za mną, klaszcząc o szklaną tarczę nieba — ślepo i nienawistnie w stężalej wilgoci nocy — bulgotał karabin maszynowy».

Środkiem jezdni przesunęło się dwóch milicjantów; młodo pobłyskiwały ich stalowe numerki; Franciszek zamknięty w kręgu światła ręcznej latarki — przeszedł machinalnie na drugą stronę ulicy: znów szedł wzdłuż jakiegoś parkanu oblepionego plakatami — targał nimi stęchły wiatr; przypominały, groziły, namawiały; zamknięte w nich treści świata drzemały w pustce nocy. Gdzieś na końcu ulicy rozległ się śpiew — Franciszek odwrócił głowę; twarde cienie dwóch milicjantów starty się z trzecim, płynnym — śpiew umilkł, zamienił się w bełkot; razem z bulgotem wody w rynnach wessała go noc.

— Ostrożnie — krzyknął ktoś za nim. — Nie ma pan oczu? Zatrzymał się: tuż pod jego nogami był rów; robotnicy

grzebiący w kanalizacji odeszli stąd nie zabezpieczając wykopu. Na dnie jamy radośnie śpiewały popsute rury; cuchnęło kloaką.

— Dziękuję — powiedział Franciszek. — Dobranoc.

— Dobranoc.

Dotknął dłonią ronda kapelusza; było wilgotne, oślizgłe.

«Upadłem przecie w końcu: po iluś tam krokach przez ciemność pulsującą bólem. Czołgałem się w błocie i wodzie, w stronę lasu, tam, gdzie ciemność zwierała się najsilniej. Nie czułem bólu: myślałem wtedy tylko o błocie; błoto wypełniało mnie całego — czułem je w ustach, pod powiekami, w nosie i uszach; dręczyła mnie absurdalna myśl, że błoto — może poprzez ranę? — wniknie również do moich płuc. Z tyłu za mną miałem psy, strzały i chlupoczące pośpiesznie kroki. Odwróciłem się na bok: widziałem ciemne postacie biegnące ku mnie, poprzez nagie, śliskie pola. Ilu ich było? Ile metrów dzieliło ich ode mnie — nie wiem; wiedziałem tylko jedną jedyną rzecz na świecie — są chwile w których człowiek czuje się nagle obłuskany ze wszystkich innych i żyje jedną tylko myślą: innych nie potrafiłby nawet przywołać — wtedy myślałem o tym, aby ocalić ostatnią kulę dla siebie. Nie wierzyłem rękom; palec żołnierza jest zbyt szybki; wyrwałem kulę z bębna i wsadziłem ją do ust. Potem — o jakąś przekłętą grudę — oparłem rękę z naganem: mierzyłem w pierwszego, który był już blisko; mierzyłem długo — sekundę, jej ułamek — przez wieczność; potem targnęło moją ręką a biegnący złamał się nagle i króliczym ruchem — szmacianą głową pod siebie — runął w błoto; zabrzmiało to, niby młasnienie wielkiego psa. Znów nacisnąłem cyngiel, trzymając pod językiem kulę — czułem wyraźnie jej słodkawy, miedziany smak — i znów targnęło moją ręką, lufa podskoczyła do góry: krótko i sztywno, jak głowa boksera. Widziałem błysk z tamtej strony — takie żółte dmuchnięcie — przed moją twarzą zawrzała nagle fontanna błota zapryskując mi oczy; podniosłem rękę, aby przetrzeć powieki i wtedy jakiś wielki nóż odciął ode mnie wszystko, całą skorupę świata — ból, strzały, kule i wrzask; i posępną ciemność nad bliskim lasem».

— Rznij mnie! — krzyknęła jakaś pijana kobieta; przechodził obok cuchnącej bramy. — Jesteś cieśla, ale nie święty Józef... — Zakotłowali się; mężczyzna uderzył ją w twarz; uderzenie zabrzmiało tak samo wstrętne i lepko jak odgłos kroków po błocie; Franciszek zatrzęsł się jak obłany wodą.

«Umierałem, facet który był cieślą — kiedyś, w cywilu — zrobił mi nosze — plugawy barłóg z desek cuchnący moją krwią

i ropą; prosiłem kiedyś, aby po wszystkim, kiedy już zdechnę, spalili te deski, i aby nikt się ich ani przez chwilę nie dotykał. Zdychałem; wiedziałem o tym i ja i dowódca-Jerzy, i ci wszyscy chłopcy, którzy taszczyli mnie z miejsca na miejsce, potykając się po korzeniach leśnych, dołach rozmokłych dróg i zapadając po pas w błoto wciągani tam ciężarem mojego truchła. Mówili — umierający jest już i tak snem, o którym wszystko można mówić: „Przecież i tak jest zdolowany”. Pytali siebie nawzajem: „Ciało już doszło?” Były marsze, postoje, odpoczynki, ucieczki. Kiedyś, na dłuższym postoju, przyjmowano chłopaków do partii. To trudno wytłumaczyć; jutro mogli przejść stąd do wieczności przez każdą drogę, która tam — w ową płonącą pustkę — prowadzi; lecz ta krótka ceremonia była jedynym prawdziwym kawałkiem naszego życia, ku któremu szliśmy my, lub które kroczyło ku nam; to, nic więcej. Zawołałem Jerzego; był i pozostanie najbliższym mi człowiekiem; obojętni ludzie mają w naszych sercach miejsce — przyjmujemy ich i odrzucamy; kochani przez nas — bliźnię. Przyszedł: szczupły, spokojny, chłodny.

— I jak? — zapytał.

— Dobrze. Co z tamtą, Jerzy?

— Z jaką — tamtą?

— Z dziedziczką.

— Jak myślisz?... Parę dni później.

— Tam, na miejscu?

— W mieście.

— Ty z nią omawiałeś przedtem tę rekwizycję?

— Jasne. Ale po co o tym mówisz?

— Zdechnę.

Jeszcze nie wiadomo.

— Ja wiem na pewno. Chcę wiedzieć przedtem: kto ją dołował?

— Ja.

— Ty?

— Ja też mogę zdechnąć. Muszę przedtem wszystko załatwić; wszystko, co było do załatwienia.

Milczeliśmy przez chwilę. Pamiętam miejsce naszej rozmowy, zadymione wewnątrz jakiejś chaty. W kącie mamrotała modlitwy jakiś starucha; łąził po oknie osowiały kot.

— Jerzy — powiedziałem — przyjmujecie dziś chłopaków do partii?

— Dwóch.

— Przyjmijcie mnie także.

Milczał; pochylił się nade mną i patrzył uważnie. Nie odwracając oczu, powiedział tym samym, obojętnym tonem:

— Nie wiadomo, czy się z tego wygrzebieasz.

— A jeśli nawet nie?

Uśmiechnął się. Wziął kota na kolana i gładził jego płaski łeb.

— Po jakiego diabła partii nieboszczycy?

— Jeśli ty jesteś człowiekiem — rzekłem — i jeśli inni tak o tobie myślą, to dobrze, że mówię wam do widzenia.

Wstał.

— Na moim pogrzebie możecie sobie opowiadać dowcipy — powiedziałem.

— Nie wyprowadzam pogrzebów — rzekł. — Nigdy na to nie ma czasu.

Postawił delikatnie kota i odszedł; ja miotałem się dalej między życiem a śmiercią, gdzieś w nieustalonym punkcie bytu, bezsilny i bezwolny niby ptak uniesiony wysokim wiatrem; rzygałem, bredziłem, odwracałem wzrok od zeszytywniałych krwią opatrunków — mijały dni, godziny i tygodnie zrobione z bolesnej gumy; prosiłem o życie, o śmierć, o lekarstwa, rewolwer; dławiliem się nienawiścią do innych i inni odpłacali mi również nienawiścią taszcząc z wysiłkiem moje wychudłe, budzące pogardę ciało — fioletowe gnaty, obciążnięte żółtą, zwiotczałą skórą — a potem przyszedł dzień, w którym wiedziałem, że gotów jestem umierać choćby codziennie o świcie; wiedziałem, że żyję. Łaziłem już sam.

— No — zapytał kiedyś Jerzy — dobrze już z tobą?

— Tak.

Usiadł. Począł skręcać sobie papierosa ściągając rozpaczliwie brwi; skręcanie papierosów nigdy mu się nie udawało, choć palce jego były zręczne i silne. Przez parę lat partyzantki nie nauczył się rzeczy, którą z łatwością potrafił szczeniak po tygodniu pobytu w lesie; i teraz — wiedziałem jak pochylonemu nad opornym, śliskim papierkiem — oczy zbiegały z wściekłości. Zapalił wreszcie.

— Wiesz, dlaczego tak powiedziałem — wtedy?

— Nic mnie to nie obchodzi. Ty jesteś dowódcą. Nie będę się babrał w twoim sumieniu.

Uśmiechnął się.

— Słuchaj — rzekł. — Nie chciałem, żebyś myślał o partii jak o komunii świętej. Teraz jest wojna: trzeba myśleć o tym, żeby zwyciężyć i przeżyć. Ty musisz żyć, Franciszku; dla takich jak ty, wojna się prędko nie skończy, może nawet nigdy. Wtedy tylko instynkt życia działa niezawodnie, jeśli człowiek potrafi sobie uświadomić, że coś jeszcze zostaje. Coś, co człowiek chce posiadać, lub do czego chce przynależeć. Zemsta, jacyś ludzie, kobieta; coś się musi wczepić we włosy i mówić: wstań i walcz. Wtedy, kiedy zdychałeś, ta sprawa nie była jeszcze w twoim życiu załatwiona. Załatwisz ją teraz, jak będzie okazja.

— Jesteś odważny, Jerzy — powiedziałem. — A gdybym jednak odmeldował się w chmury?

Wzruszył ramionami.

— Wyprawilibyśmy ci pogrzeb, mimo wszystko — rzekł. — Chociaż sam wiesz, że na to nie ma czasu.

— Jesteś odważny — powtórzyłem. — Takie słowa mogą człowieka dobić.

Mocował się z papierosem; skręcał bezustannie zdradziecką bibułkę.

— Nie wiem, czym jest naprawdę odwaga — rzekł; papieros mimo wszystko rozlatywał mu się co chwila. — Całe życie o tym myślę. W młodości wyobrażałem to sobie inaczej: uratowanie człowieka z pożaru, wyciągnięcie tonącego, wspniania czyn wojenny, akt płciowy z własną babką i tak dalej. Teraz, te sprawy trzeba przewartościować; to wszystko co się powszechnie sądzi o odwadze, te wszystkie okoliczności, zawsze stawiają człowieka w niecodziennej, nienormalnej sytuacji; w gruncie rzeczy takie sprawy, jak zachowanie człowieka podczas walki, ataku, czy pożaru — nie mówi o człowieku niczego; tylko o sposobach jego reakcji w tych wypadkach. Nienormalna rzecz i nienormalna reakcja; niczego się nie da przewidzieć i niczemu dziwić.

— Istnieje coś takiego jak normalna odwaga?

Milczał przez chwilę; papieros rozleciał mu się do reszty; kręcił w palcach resztki tytoniu.

— Myślę, że tak — powiedział. — Odwaga, to chyba tylko sprawa zaufania. Świat, Franciszku, to gromada zwierząt wałęsających się po gównie. Człowieka łatwo jest określić i wymierzyć w dół — bydlę w nieskończoność; wszystko robi, wszystkiemu uwierzy, wszystko splugawi. Odwaga, ta najprawdziwsza, to wprawa znalezienia dla człowieka górnej granicy, tej ostatecznej — na ile można mu zaufać i czego potrafi dokonać. Tak ja rozumiem komunizm. A ty? Zaufałem ci, że przeżyjesz.

— Aby zabijać?

W imię życia.

— A tamci?

— Co?

— Tak samo myślą.

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem, co myślą — rzekł. — Wiem tylko, w imię czego zabijają i to jest dla mnie ważne w tej wojnie. Wiem co uczynili z człowiekiem, i wiem, czego ja pragnę dla człowieka; to mnie upoważnia do tego, abym brał udział w tej zabawie. Pragnę takich czasów i takiej ziemi, gdzie człowiek naprawdę może być odważny. To jedyna sprawa jaka mnie interesuje.

Wstał; buty jego zaskrzypiały nieprzyjemnie.

— Nie staraj się znaleźć podczas wojny racji, które nie istnieją — rzekł. — Wszystko co możesz zrobić, to myśleć o świecie, do którego chcesz powrócić. O miejscu w którym chcesz żyć. Odległość od rzeczywistości do marzenia, wyznacza

moralność człowieka, nic więcej. Nie masz porządnego papierosa?

Zapałił. Poszliśmy dalej: dokąd? gdzie? w które miejsce życia, snu, wojny? — nie pamiętam. Dochodziliśmy do jakiegoś miasteczka; było nas tylko kilku. Mieliśmy na jarmarku rozpoznać jakiegoś dowcipnisia, który był konfidentem gestapo i przekazać go wieczności. Było południe. Powietrze sierpnia zgęstniało jak ser. Kiedy wyszliśmy z lasu i miasto leżało pod nami niby bezkształtny placek ugnieciony z brudnej czerwieni — poczęły bić dzwony — posępnie rozkołysane i bezsilne wobec rozżarzonego powietrza. Potem poczęła wyć syrena fabryczna; w tej dziurze, o ile wiem, była tylko jedna fabryczka.

— Facet od syreny zdrzemnął się chyba — powiedział Jerzy.

— Dlaczego? Może daje pierwszeństwo kościołowi.

— Idźcie w lewo, my — w prawo...»

Taksówka z piskiem zatrzymała się o parę kroków za Franciszkiem. Uskoczył zajęczym susem w bok. Szofer wychylił rozwiścieconą twarz.

— Nie słyszy pan sygnału?

— Przepraszam, zamyśliłem się — powiedział Franciszek: patrzył na swoje zabłocone palto.

— Dokąd pan idzie? — zapytał kierowca: silnik pykał kłębuszkami czarnego dymu. — Mogę pana podwieźć.

— Dziękuję — powiedział Franciszek. — Pójdę piechotą.

Samochód odjechał; gdzieś za rogiem złamało się nagle światło jego reflektorów. Po kilkudziesięciu metrach ulica rozjaśniła się nagle: na budowie pracowała nocna zmiana; w kamiennych murach tłukł się śliski pisk dźwigów — wielkie elementy, kołysząc się niby wielkie, bezkształtne ptaki, podjeżdżały stopniowo ku górze. Na ciemnych, wtopionych w puste niebo rusztowaniach pobłyskiwały zielone światła spawaczy: bryłowate, ludzkie pająki w aureolach żelaznego ognia. W wykopach monotonnie syczały kompresory: napis na tablicy głosił: „w tym miesiącu wykonaliśmy...” — cyfra skryta była w cieniu.

— Gdzie pan leżesz — krzyknął do Franciszka ktoś niewidoczny. — Budowa, tu nie wolno się szwendać...

„Budujemy wszystko od podstaw; że się tak szumnie wyrażę — od samego początku — powiedział dzisiaj na zebraniu — kto? — nie pamiętam. — Budujemy sprawę, za którą zginął nie dziesiątek, nie setka ludzi; lecz za którą ginęły całe ludzkie pokolenia; od chwili, kiedy dwóch ludzi popatrzyło na siebie na tym świecie, zaczęła toczyć się walka o sprawiedliwość społeczną. Socjalizm jest ostateczną formą tej walki — brawa; Partia jest jej orężem — brawa; ofiary jakie poniosła partia — brawa;

ofiary jakie poniósł socjalizm — brawa; krótka chwila przerwy — a dalej?”

Był zmęczony, włókł się z trudem poprzez noc i jej mętne odgłosy; pulsowała w nim ciemna fala, której siła rosła z chwili na chwilę. Teraz szedł przez pustkę, przez chemicznie czyste miejsca z bryłą ołowiu w głowie; nie mógł z siebie wykrzesać nic, myśli ni czynu. Jednego pragnął; przeżyć raz jeszcze tę chwilę, którą przeżył był przed kilkoma zaledwie godzinami, choć od chwili tej oddaliło go inne życie: lata, oceany, wszechświaty, które przeszedł, przeżył i przecierpiał z brzemieniem klęski, samotny, niepotrzebny i zużyty. Płynął przez któreś miejsca swego życia nie mogąc uchwycić ich czasu: przeszłość, teraźniejszość, wspomnienia i fakty — wszystko było płynne i nie do zrozumienia; myślał tylko o tej chwili będącej jądrem kosmosu; była to chwila w której czyjś głos powiedział mu, aby złożył legitymację partyjną. To było: tak samo jak ulica którą szedł w tej chwili, jak nędzny świt wykluwający się nad kamieniami miasta; jak neon widoczny i namawiający: Młodzież czyta — gdzie byś nie skrył się, nie usiadł, lub przystanął. Podniósł głowę do góry — Młodzież czyta: Sztandar Młodych — i zaczerpnął rozpaczliwie powietrza. Chciał myśleć, chciał sobie przypomnieć, lecz nie potrafił już niczego: jego myśli obracały się niby ołowiana tarcza w próżni i nic — jak z dwóch wilgotnych kamieni — nie chciało się wykrzesać; pamiętał tylko chwilę w której wstał i spojrzał w twarze obecnych; nic z tego co mówił i czynił; nic z tego co mówili, czynili inni. Lecz pragnął myśleć; uruchomić w sobie aparat świadomości; pragnął, aby go coś naprowadziło na trop. Podniósł z ziemi zmiętą gazetę i przystanął w kręgu światła ulicznej latarni: „Tarnów już przoduje”. „Światowy obóz...” „Młodzież polska rzuca Kałużyńskiemu w twarz swoje potężne — NIE”. Szedł trzymając gazetę w opuszczonej ręce; to pomogło, znalazł trop — słowa układane zawsze tak samo, brzmiące tak samo, naprowadziły jego myśli na właściwy tor: był, pamiętał. Reszta, jak i data gazety, była obojętna.

„Zawsze myślimy, że najboleśniejszą rzeczą jaka może nas spotkać jest śmierć bliskiego nam człowieka. Zostawia on po sobie puste miejsce, my — czujemy je w sobie: kochamy, szanujemy i pielęgnujemy; i mijają czasem lata, nim miejsce to zapełni się jakoś i przestanie boleć. Ale gorzej, towarzysze, od śmierci boli zdrada bliskiego nam człowieka; gorzej, bo za to puste i bolesne miejsce w naszym życiu my sami jesteśmy odpowiedzialni — długotrwale, huczne oklaski — kto to powiedział? Pawlak? Drugi sekretarz? Delegat z Dzielnicy? Ktoś z ławek? Do kogo należał ów głos? Idę teraz sam poprzez miasto, mijam uśpionych, pijanych, przemykających się i zakochanych o których nic nie wiem — a ktoś do mnie mówił; kto miał władzę; komu wierzą inni; kto mógł mnie wykreślić. Przedtem był dzień, potem noc; teraz będzie świt — kto to powiedział? Gdzieś między

murami tego miasta jest mój dom do którego wrócę — inny; gdzieś — na prawo, lewo, wschód lub zachód jest miejsce mojej pracy, gdzie pójdę zaraz — inny; dookoła mnie są ludzie, którym jestem obcy, lecz kto to powiedział? — Długotrwałe, huczne oklaski. Przypadek was zdemaskował. Powiedzieliście to, co myślicie naprawdę. Sprawdzalem na komisariacie i nie mam nawet odwagi powtórzyć tego co mówiliście tam — głosy oburzenia, co wykrzykiwaliście tam — ktoś zaklaskał, pomyłka: głosy wściekłości i oburzenia; zbyt szanuję to, w co wierzymy wszyscy. Jesteście obcy. Obcy. My od małpów? Był głód, był kapitalizm, była nędza. Pytam się, towarzysze: dlaczego „Samba”? Tacy na Korei — napalmem. Gdyby nie przypadek — tkwilibyście wśród nas; robilibyście swoją czarną robotę — byli partyzant, oficer, towarzysz partyjny. I przyszedł człowiek imieniem Lenin. Kto jest za wykluczeniem towarzysza Kowalskiego z partii, niech podniesie legitymację. Wyjdźcie, towarzyszu Kowalski — Kowalski, wejdźcie. Dlaczego „Samba”? Teraz pies, a potem — co? Co? Od małp, nie od małpów. Oddajcie legitymację, Kowalski; nie urządzajcie błazeńskich scen, wiemy, że potraficie się maskować. Niech ten przypadek pouczy nas towarzysze, że w każdej chwili naszego życia, w każdej sytuacji, musimy być czujni: tego wymaga od nas partia; tego uczy nas wielki Stalin. No, a jakże będzie z naszym kółkiem śpiewaczym? Jutro zaczynamy...”

— Upił się — krzyknął jakiś wyrostek. — Taki duży a płacze.

Chodniki zapelniły się ludźmi; wyły syreny fabryczne i głos ich ginał gdzieś pod tekturowym niebem. Przejechał zatłoczony, pełen wrzasku, tramwaj. Neon nad miastem zgasł.

IX

Żony nie miał; umarła w kilka tygodni po zakończeniu wojny, kiedy powrócił już był z lasu; słaba i chorowita kobieta, dawała sobie przez cały czas radę sama, jakby odkładając śmierć do jego powrotu. Mieszkał teraz z synem i córką; syn nazywał się — Mikołaj; córka — Elżbieta; Mikołaj — wspaniałe piękny chłopak — miał lat dwadzieścia cztery; Elżbieta była od niego młodsza. Zajmowali dwa małe pokoje w nowym osiedlu. Kiedy Franciszek następnego dnia po zebraniu wrócił do domu, zastał Elżbietę wraz z jej narzeczoną — Romanem; byli oboje roześmiani i radosni; planowali sobie, iż pobiorą się zaraz po studiach — studiowali razem.

— Jest coś na kolację? — zapytał Franciszek. Stał na środku pokoju; nie zdjął płaszcza, ni kapelusza.

— Odgrzeję ci coś — powiedziała Elżbieta. Wstała; była wysoka, dorodna, płowowłosa. Franciszek patrzył na nią nieraz ze skurczem serca; miał uczucie, że patrzy na tę kobietę z którą przeżywał swe najlepsze chwile dwadzieścia lat temu; między Elżbietą a matką nikt nie potrafiłby dopatrzeć się różnicy; obie wyglądały jak okazy zdrowia — obie kwękały przez całe życie. — Odgrzeje ci makaronu — powiedziała Elżbieta. — Mogę ci jeszcze zrobić jajecznicę... — Wyszła do kuchni, Franciszek siedział sztywno na krześle.

— No, teściulek — powiedział Roman: czarny, krępy chłopak o ognistych oczach. — Co tam? Zmartwionko? — Roman nazywał Franciszka „teściulkiem”, „staruszkciem”, „faterem”; oschły i nieprzystępny Franciszek wybaczał mu wiele, patrząc na tępe z miłości oczy swej córki.

— Każdy ma swoje zmartwienia — powiedział i umilkł natychmiast; przygniotła go głupota własnych słów.

— Bystro to teść zauważył — rzekł Roman. — A myśmy dzisiaj z Elżbietą oblali egzamin.

Franciszek poruszył się:

— Naprawdę?

— Naprawdę. Wypiliśmy butelkę wina po zdaniu egzaminu. He, he, he.

Odetchnął.

— Chwała Bogu.

— Co?

— Chwalić Boga.

— Pojęcie metafizyczne. Zna chyba fater powiedzenie, że religia, to opium dla mas. Tak?

— Tak.

— A kto to powiedział?

— Jestem zmęczony — powiedział cicho Franciszek. — Daj mi spokój, Romku.

— Ojciec po prostu nie pamięta. To fatalnie; ileż pomyłek można popełnić, kiedy zaczyna szwankować pamięć. O pamięci pisał genialnie Lenin, kiedy donosił w liście swemu przyjacielowi, że potrzeba mu pieniędzy na spędzenie płodu.

Franciszek otworzył szeroko oczy.

— Roman, cóż ty wygadujesz? — powiedział. — Gdzież to jest napisane.

Roman zdziwił się.

— Nie przypomina sobie ojciec?

— Nie.

— Ejże.

— Doprawdy nie.

Roman załamał ręce.

— To przecież niemożliwe.

— Daję ci słowo honoru.

Roman zaśmiał się triumfalnie.

— Oczywiście, że to nieprawda — rzekł. — Chciałem tylko sprawdzić, czy ojciec da się nabrać na te bzdury.

Mówił coś jeszcze; bardzo szybko i głośno; dobitnie i sztywno — dużo działał społecznie na terenie swojej uczelni i kiedy mówił do jednego człowieka, czynił to w taki sposób, jak gdyby przemawiał do miliona. Cienie jego gwałtownych rąk biegały po suficie, Franciszek nie słyszał — patrzył na niego spod zmrużonych powiek i choć nie było jej w pokoju, widział obok ciemnej twarzy Romana, surową i czystą twarz Elżbiety. „Więc to tak — pomyślał. — Ten mały, czarny żuczek i ty — spokojna, jasna i czysta. Twój spokój i jego nachalna gwałtowność; on rozwiązuje ci wszystkie sprawy w ciągu sekundy; te, z którymi ty sama porałaś się tygodniami. Wszystko ci potrafi wytłumaczyć i wszystko się zgadza jak w tabliczce mnożenia. Jest twoim błaznem i czarodziejem; ty, mała, myślisz że go kochasz. Jak wy wyglądacie w takiej chwili — ten rozszczękany karzeł i ty?”

— Elżbieta — syknął. — Spiesz mi się.

Weszła po chwili do pokoju niosąc na tacy dymiący talerz.

— Ty i Mikołaj myślicie, że to się wszystko samo robi — rzekła. — Albo, że mam do pomocy w kuchni tuzin krasnoludków.

— Tuzin nie, ale jed... — zaczął Franciszek i ugryzł się w język. Kiedy znów przypomniał sobie, że Elżbieta jest dorosła i nie musi się go pytać i radzić w wielu sprawach życia, nie mógł patrzeć na nią i na Romana kiedy byli razem.

— Co?

— Nic, gorące. Kiedy przyjdzie Mikołaj?

Spojrzała na zegar.

— Powinien już być.

— Zawsze się spóźnia.

— Zawsze.

Franciszek wiedział, że Mikołaj i Roman nie znoszą się nawzajem. Ilekroć chciał pozbyć się Romana, zaczynał mówić o Mikołaju: skutek był natychmiastowy. Tym razem także mierzył dobrze; Roman zaczął kręcić się po pokoju, wreszcie oświadczył, że mu się śpieszy i przyjdzie jutro. Długo żegnali się z Elżbietą w przedpokoju, Roman zdążył jeszcze powiedzieć kilka razy „Czołem teściulku”; wreszcie trzasnęły drzwi i Franciszek odetchnął. Elżbieta wróciła do pokoju.

— Nie lubię go — powiedział.

Skinęła głową.

— Wiem.

— Przykro mi.

— Mnie także. Ale rozumiesz to chyba.

— Staram się.

Uśmiechnęła się skąpo: — Jesteś wspaniały.

— Czy możesz mi na coś odpowiedzieć szczerze? Z całą szczerością, na jaką cię stać?

— Postaram się.

— Chcę żebyś powiedziała: tak, lub — nie.

— Tak.

— Ty go kochasz?

— Wiesz przecież.

— Bardzo?

— Najsilniej jak potrafię.

— Jesteś tego pewna.

Jasne jej oczy wypełniły się światłem. Westchnął.

— Tak — rzekła.

Chciał zapytać o wszystko w ich wzajemnym stosunku, lecz sam zawstydził się nagle tego. „Po co prowadzę z nią takie rozmowy? — pomyślał ze złością. — Boję się po prostu, czy co? To ja jej, a nie ona mnie, powinienem wszystko powiedzieć. Nie, do diabła, powiem jej od razu...” Odłożył widelec i już otwierał usta, lecz ona pierwsza przemówiła.

— Domyślasz się przecież wszystkiego?

— Czego?

Spojrzała na niego uważnie.

— Ty wiesz wszystko — rzekła.

Uczuł jakby lód w żołądku.

— No? — zapytał odwracając głowę. Złakł się nagle, że ona powie coś, co będzie po prostu źle brzmiało; że jest zbyt młoda, aby mu powiedzieć wszystko jasno i dobrze; i że użyje jakiegoś złego sformułowania, które go będzie potem prześladować przez lata. Sam zaczął mówić: — Ja wiem... to jedyny człowiek...

— Nie jedyny — rzekła. — Jest już ten drugi.

— Zakochałaś się?

Szarpnął się ku niej i zobaczył jej spokojny, zwycięski jakby uśmiech.

— Własne dzieci się przeważnie kocha — rzekła. Popatrzył na nią i nagle czas umknął, lata rozstały się niby woda w bajce; to samo i tak samo powiedziała mu własna żona, kiedy miał urodzić się Mikołaj.

— Wiesz o tym na pewno?

— Na pewno.

— Córeczko — szepnął. — Dlaczego?

— Nie mówiłam ci nigdy o tym: on jest bardzo chory.

— Kto?

— Roman.

— Chory?

— Gruźlica — rzekła. — Boję się o niego, tatusiu. Ostatnio jest zupełnie załamany; to już trwa miesiącami. Mówi, że umrze; ciągle o tym myśli. Chcę, żeby myślał — o nim.

— A co on na to?

- Nic.
- Jakto?
- Nie wie po prostu.
- Nie powiedziałaś mu?
- Powiem mu, kiedy będzie czas.
- Możesz mu to powiedzieć w każdej chwili. Musisz. Pokręciła głową.

— Boję się o siebie — rzekła. — Mógłby mnie namówić — jest chory, będzie się bał. Powiem mu wtedy, kiedy już... Umilkła.

- Dlaczego? — znów szepnął Franciszek.
- Chcę, by żyli obaj.

Franciszek odwrócił się; Elżbieta wyszła cicho uprzątnąwszy talerz. Bębnił palcami po szybie; na górze, znęcał się ktoś nad fortepianem; palce niewidocznego grajka wciąż potykały się o tą samą nutę. Ulicą szedł człowiek z długim kijem; zapalał lampy; błysk lampy i fałszywy zgrzyt na górze następowały niemal w tej samej chwili.

— Wyglądasz jak Włoszka, która modli się do Boga o męża. One też stoją w oknie całymi godzinami.

Odwrócił się.

- Kupiłeś może gazety, Mikołaju?
- Tak.
- Czy wychodzisz jeszcze dzisiaj?
- Masz do mnie jakąś sprawę?
- Tak.
- Sekundę, umyję tylko ręce.

Wyszedł. Był niebezpiecznie piękny; natura uczyniła wszystko, aby jego twarzą, sylwetką, głosem, blaskiem jego oczu, uśmiechem lub grymasem, jego zwierzęcym chodem, spokojem snu, aby ruchem, jakim odrzucał wypalonego papierosa — bezustannie upakarzać innych ludzi; aby usuwali się w cień ze swymi twarzami, gestami; aby przedstawiali mówić, uśmiechać się i głośno oddychać. Wrócił po chwili i usiadł naprzeciw Franciszka.

— Posłuchaj, Mikołaju — rzekł Franciszek. — Usunięto mnie z partii.

- Nie piłeś nigdy. Co cię do tego zmusiło?
- Jestem trzeźwy, nie wypilem ani kieliszka.
- Przestań.
- To było wczoraj. Stała się rzecz której nie jestem w stanie zrozumieć. Mnie samemu także się zdaje, że bredzę. Ale to fakt.

Mikołaj podszedł i z bliska zajrzał mu w twarz; Franciszek cofnął się nieco, skurczył; syn patrzył na niego wzrokiem takim, jakim ogląda się obcą, dziwną rzecz. Milczeli; w kuchni Elżbieta pobrzękiwała talerzami.

Mikołaj przemówił wreszcie: — Dlaczego?

— To moja wina.

— Co zrobiłeś?

— Posłuchaj; spotkałem przyjaciela z którym nie widziałem się od czasów lasu. Wypiliśmy po parę wódek. Potem zaczęła mnie milicja; dwóch sztywnych młodziaków; zacząłem się z nimi sprzeczać, gdyż byłem, do nagłego diabła trzeźwy, zupełnie trzeźwy; a oni się mnie czepiali, żebym z nim poszedł na komisariat. Wreszcie rozwścieczyłem się i zacząłem krzyczeć coś, czego zupełnie nie pamiętam. Potem dopiero rano powtórzyli mi, co wrzeszczałem. Ja, Mikołaju krzyczałem, że to wszystko — rozumiesz, wszystko — mam gdzieś, że nie wierzę; obraziłem partię i... — umilkł nagle.

— I co?

— Mikołaju; ja tak przecież nie myślę, ty wiesz. Nigdy tak nie myślałem. Ja tego nie mogę zrozumieć.

— Więc dlaczego krzyczałeś? — głucho zapytał Mikołaj.

— Nie wiem. To jest najgorsze.

— Co było dalej?

— Chciałem tę sprawę natychmiast wyjaśnić. Ale nie udało się. To znaczy — usunięto mnie. Tam na komisariacie jest protokół, rozumiesz. Tam — wszystko zapisane, każde moje słowo. To nie może być omyłka. Musiałem tak krzyczeć, naprawdę.

— To znaczy, że tak myślisz.

— Mikołaju — powiedział błagalnym tonem Franciszek — Znasz mnie chyba na tyle, na ile powinno znać się ojca. Nie wolno ci tak mówić.

— Nie rozmawiamy w tej chwili jak ojciec z synem — powiedział Mikołaj.

— Nie? Tylko?

— Jak towarzysz partyjny z towarzyszem partyjnym.

— Ja tak nie myślę — szepnął. — Przecież ty wiesz, że tak nie myślę.

— Tak mówisz. Krzyczysz. Czy byłeś wtedy trzeźwy?

— Tak.

— Na pewno?

— Jak mnie widzisz, może tylko trochę zdenerwowany.

— Więc w innych wypadkach — kiedy jesteś trzeźwy jak w tej chwili — także mówisz rzeczy których nie czujesz?

— Nie, nie.

— A wtedy?

— Nie rozumiem. Sam nie rozumiem. Może to pomyłka?

— A nie sprawdzałeś?

— Sprawdzałem — szepnął Franciszek; przeciągnął ręką po czole. — Rano kiedy mnie zwalniano, powiedziano mi przecież. I nasz sekretarz też sprawdzał... Nie, to nie pomyłka. Musiałem rzeczywiście obrazić partię.

— Tak — powiedział Mikołaj. — Musiałeś.

— I nie rozumiem tego.

- Że krzyczałeś?
- To jakieś błędne koło. Krzyczałem coś, czego nie czuję.
- A kiedy krzyczysz: „Niech żyje socjalizm, partia, Stalin” — też tego nie czujesz?
- Jakże możesz?
- Jak ty mogłeś?
- Mikołaju...

Mikołaj wstał: — Nie ma żadnego Mikołaja. Usunięto cię z partii, tak?

- Tak.
- Za dwulicowość, tak?
- Tak.
- Kto ma rację: ty, czy — partia?
- Ja.
- A kto krzyczał?
- Ja.

— Więc nie ty miałeś rację. Komu mam wierzyć: tobie — jednemu, który wrzeszczysz coś, czego nie czujesz, czego mi nie potrafisz wytłumaczyć; czy — partii?

- Musimy wierzyć partii — szepnął Franciszek.
- Więc musimy się rozstać — rzekł Mikołaj.
- Chcesz odejść z domu?

Mikołaj nie odpowiedział; czas na zegarze posunął się o godzinę; Franciszek patrzył jak Mikołaj pakuje do walizki swoje rzeczy; skromny garnitur, książki, tanie koszule.

— Więc idziesz jednak — rzekł Franciszek. Milczał długą chwilę: — Kto wie, może na twoim miejscu postąpiłbym tak samo.

- Wrócę wtedy, kiedy oczyścisz się z tego wszystkiego.
- Co mam robić?

— Wstań — rzekł Mikołaj — i walcz. Może znajdziesz ludzi, takich towarzyszy, którzy ci uwierzą i będą potrafili załatwić twoją sprawę. Ja tego nie potrafię zrobić. Muszę wierzyć partii.

— A ja? Przecież jestem twoim ojcem; mimo wszystko, jestem twoim ojcem, czy chcesz tego, czy nie... Mnie nie potrafisz uwierzyć?

Mikołaj był już w płaszczu. Podeszedł do okna; na jego włosach położył się blask ulicy.

— Uwierzyć — powiedział. — Tobie? Tobie jednemu? Nie. — Odwrócił się gwałtownie. — Cóż ty wiesz o świecie, o jego podłościach? Ciągłe żyjesz przeszłością, lasem — czy nie rozumiesz nic z tego, co dzieje się dzisiaj? Czy naprawdę nic nie rozumiesz? — Znowu patrzył w ulicę. — Gdybyśmy rozwalili fasady domów — powiedział — zobaczylibyśmy chlewy. Nie mam siły nikomu w nic wierzyć. Mogę wierzyć tylko partii; gdyby nie świadomość, że jest nade mną partia, stałbym się najpodlejszym z podłych. Nie mogę żyć inaczej. A ty chcesz, żebym

uwierzył tobie; akurat tobie jednemu — krzykliwy, zakłamanym człowieku.

— Jestem twoim ojcem! — krzyknął Franciszek.

Mikołaj uśmiechnął się posępnie: — Jesteś Franciszkiem Kowalskim, usuniętym z partii za dwulicowość. Reszta nie ma znaczenia, kwestia przypadku. Jeśli przyjmą cię z powrotem do partii, przeproszę cię.

Podniósł walizkę.

— Żegnaj.

— Żegnaj — powtórzył Franciszek. Stał przy oknie; widział, jak Mikołaj po chwili wychodzi z bramy; jak idzie wolno ulicą, w jakimś stanowczym zamilczeniu; potem zniknął za rogiem: znów przejeżdżały tramwaje, samochody; przez śliską jezdnię — kiedy choć na chwile pustoszała — kładł się purpurowy blask neonu: Młodzież czyta... — jednego nad zbitym mrokiem miasta.

X

Ulica kończyła się nagle i Franciszek przystanął. Dalej były już tylko pola, drewniane rudery, posępne podwórka i dymiące zwały śmieci; na polach, spod topniejącego śniegu, wyzierały gdzieś wraki starych samochodów, na których rdzy połyskiwało czerwono zachodzące za dalekie mury miasta słońce. Franciszek rozglądał się bezradnie — był tu pierwszy raz pojęcia nie mając o dzielnicy — wreszcie zaczął jakiegoś przechodnia.

— Przepraszam, na Akacjową?

— Tam dalej.

— Gdzie ten wysoki dom?

— Tak. Ja też tam idę.

Omijając kałuże brnęli zamokłą ścieżką. Przechodzień zapisał:

— Idzie pan popatrzeć jak śnieg zgarniają?

— Co robią?

— Śnieg zgarniają.

— Gdzie?

— Ano właśnie, z dachu tego domu. Syn mi powiedział, to idę popatrzeć.

Istotnie: pod wysokim domem, w kierunku którego człapali, stała spora gromadka ludzi zadarłszy głowy do góry. Po dachu krzątał się jakiś człowiek z szuflą zrzucając co chwila zwały śniegu w dół; zabawa polegała na tym, żeby zrzucić kupę śniegu na głowę niezorientowanego przechodnia. Już z daleka dolaływały szczęśliwe śmiechy i pełne zachwyty okrzyki, towarzyszące każdemu pociągnięciu człowieka z szuflą.

— Przepraszam — rzekł nieznajomy i dotknął dłonią czapki — wstąpię jeszcze po kolegę, ucieszy się... — Popatrzył na

Franciszka uważnymi oczkami. — Wy może z Komitetu Blokowego numer trzysta osiemdziesiąt pięć?

— Ja? Skąd to panu przyszło do głowy?

— Tak się pytam. Dzisiaj ma przyjść prelegent z odczytem a ja widzę, że pan nietutejszy, to myślałem. Będzie mówić coś o słońcu. Podobnie, że elektryczność będziemy ze słońca brać. Czy to możliwe?

Franciszek chciał odpowiedzieć, lecz w tym momencie pod wysokim domem wybuchła szalona wrzawa; i Franciszek, i przechodzień odwrócili głowy. To człowiekowi z szuflą udało się spuścić lawinę śniegu na głowy trzech przechodzących garbusów, którzy stali oszołomieni nie orientując się jeszcze w szczegółach i rozmiarach katastrofy. Stojący pod domem zarykiwali się ze szczęścia; człowiek na dachu również krzyczał coś radośnie zwycięsko wymachując szuflą.

— Czy to możliwe? — powtórzył w zamyśleniu przechodzień.

— Co?

— Z tą elektryką.

— Tak, na pewno... kiedyś. Do widzenia.

— Kiedyś — powtórzył przechodzień i rozeszli się. Franciszek przeszedł jeszcze kawałek, odprowadzany zwycięską wrzawą, wreszcie znalazł dom do którego podążał; była to stara, rozlatująca się drewniana rudera, na której wiatr targał kawały zetłalej papy. Franciszek patrzył przez długą chwilę w zdumieniu, wreszcie wzruszył ramionami i jak w ciemną wodę, zanurzył się w cień; brnął po omacku szukając ściany — natrafił w końcu na jej chropawą, szurzącą wilgoć i cofnął rękę ze wstrętem. Pachniało praniem, dziećmi; gdzieś z górnego piętra dochodziły odgłosy sprzeczki. Zapalił zapalną i idąc za jej chwiejnym płomykiem szukał numeru; przystanął wreszcie pod właściwymi drzwiami i zapukał.

Nikt nie odpowiadał; na piętrze rozszczękał się porządnie jakiś kobiecy głos. Franciszek chciał już odejść, lecz wydało mu się nagle, że usłyszał za drzwiami jakiś szelest. Zapukał jeszcze raz, potem bardzo silnie, wreszcie usłyszał człapanie.

— Kto tam? — odezwał się kobiecy głos.

— Czy zastałem pana Zakrzewskiego?

Chwila milczenia. — Pan w jakiej sprawie?

— Chciałem się zobaczyć.

— A kto?

— Kowalski.

Znów cisza.

— Niech pan poczeka — powiedziała kobieta.

Zapalił papierosa; człapanie za drzwiami oddaliło się. Z ulicy dobiegł ryk wściekłości i triumfalna wrzawa: znów kogoś obsypano śniegiem. Zamek w drzwiach zgrzytnął.

— Proszę — rzekła kobieta.

Minął sionkę i wszedł do pokoju. Zza stołu podniósł się olbrzymiego wzrostu mężczyzna; był tak olbrzymi, że Franciszkowi wydało się, iż chwila w której tamten dźwigał swe potężne bary, jest wiekiem.

— Pan do mnie? — zapytał.

Franciszek milczał patrząc mu prosto w oczy. — Niedźwiedziu — rzekł cicho. — Nie poznajesz mnie?

— Przepraszam — wyjąkał mężczyzna. — Ale... ja nazywam się Zakrzewski. Wacław Zakrzewski. Ja... panu... dokumenty.

Niedźwiedziu — powtórzył Franciszek — naprawdę mnie nie poznajesz? To ja, Kowalski. Franciszek. „Chudy”. Zapomniałeś już wszystko? Przecież byliśmy razem w lesie.

Długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Olbrzymi mężczyzna usiadł ciężko.

— Wiedziałem, że kiedyś mnie znajdziecie — powiedział cicho. — Cóż, jestem. Niczego w życiu nie da się wymazać, ani o niczym zapomnieć... — Podniósł głowę: — Czy mogę pożegnać się z żoną?

Franciszek cofnął się.

— Ty oszalałeś — powiedział. — Dlaczego myślisz, że ja jestem z urzędu? Człowieku, chciałem cię po prostu zobaczyć, popatrzeć jak żyjesz, pogadać z tobą... — Podeszedł do niego i wyciągnął rękę. Niedźwiedź cofnął się gwałtownie. — Niedźwiedziu — rzekł Franciszek wpatrując się z przerażeniem w jego pobladłą twarz — co się z tobą stało? Dlaczego tak wygląda nasze powitanie? Niedźwiedziu...

— Ciszej — syknął Niedźwiedź. — Nie nazywaj mnie tak. Czego chcesz?

Franciszek usiadł trzymając kapelusz w rękach.

— To ty tak wyglądasz — powiedział w zamyśleniu. — Ty, który skazany byłeś na dwanaście lat więzienia; ty, który siedziałeś w Berezie, ty, za którego głowę Niemcy naznaczili nagrodę, ty, o którym układano w lesie piosenki... — Przesunął dłonią po czole. — Boże — szepnął — dokąd zaniósł mnie sen, życie? — Znów spojrzał na martwą, ogromną twarz tamtego. Pokręcił głową i nagle wybuchnął śmiechem. — Ty — krzyknął — a ja ciebie pamiętam. Pamiętam, że chciałem być takim samym jak i ty; pamiętam, że byliśmy dumni z ciebie; pamiętam, jak dekorowano ciebie; jak piliśmy samogon, pod twoje krzyże. Jerzy, ja, wszyscy... — Umilkł a po chwili spytał tępo: — Co się stało, Niedźwiedziu?

— Ciszej — syknął Niedźwiedź. — Poczekaj.

Pokręcił gwałtownie rączką patefonu i nastawił płytę. Tuba zaskrzypiała przejmująco:

*„I przyszedł Józio, i przyniósł pączki —
Całuje rączki, całuje rączki...”*

— Po co przyszedłeś? — zapytał Niedźwiedź.

— Postanowiłem odszukać ludzi stamtąd — rzekł Franciszek. — Przypomniałem sobie najlepszych ludzi i postarałem się o ich adresy. Muszę ich odszukać i prosić, żeby mi pomogli... Znacie mnie przecież z lasu i wiecie jaki byłem — powiedział błagalnie. — Wiecie co mówiłem, myślałem, jak się zachowywałem. Potrzeba mi pomocy, Niedźwiedziu. Popełniłem błąd, trudno to zresztą nazwać błędem, jednym słowem chodzi mi o to, że...

Umilkł, ciężko mu było pozbierać myśli. Patrzył na Niedźwiedzia w oczekiwaniu, iż tamten wyjdzie mu jakimś sposobem na pomoc, lecz Niedźwiedź milczał patrząc w podłogę. Patefon skrzypiał:

*„I przyszedł Józio, i przyniósł pączki —
Całuje rączki, całuje rączki...”*

— Upiłem się kiedyś — powiedział Franciszek — i naga-
dałem głupstw. Z początku wydawało mi się to wszystko błahe,
lecz teraz wiem, że mówiłem, iż nie ufam kierownictwu, że nie
wierzę partii, że mam to wszystko gdzieś. Chodzi mi o to, aby
namówić starych towarzyszy, żeby — bo ja wiem? — prze-
mówili za mną. Jeśli będzie trzeba, pójdę do samego Gospo-
darza, ale chodzi mi o ludzi, aby powiedzieli coś o mnie. Ja
przecież tak nie myślę, i mówiłem to wszystko po pijanemu.
A wy przecież chyba pamiętacie mnie. Czy pomożesz mi, Niedź-
wiedziu?

— Poczekaj chwileczkę — rzekł Niedźwiedź. Wyłączył pa-
tefon. — To chyba zwraca uwagę — powiedział. — Tu naokoło
ludzie, może ktoś podsłuchuje. — Zerwał się z miejsca, wybiegł
do drugiego pokoju i po chwili wrócił z małym chłopcem. —
To mój syn — rzekł do Franciszka i ustawił chłopca w kącie.
— Mów Majakowskiego — rzekł i chłopiec zaczął mówić mo-
notonnym głosem wpatrując się okrągłymi ślepkami w pustkę
ściany. — Mów dalej — rzekł Niedźwiedź do Franciszka.

— Usunięto mnie z partii — powiedział Franciszek. —
Sprawa się oprze o Komitet Dzielnicowy, może o Egzekutywę
Komitetu Wojewódzkiego... Ty mi powiedz, Niedźwiedziu: czy
byłem kiedykolwiek... — Chciał powiedzieć „dwulicowy”, lecz
nagle zrozumiał własną śmieszność; czy wiedzą coś o sobie —
on i ten, który siedzi przed nim? Milczał ponuro wpatrując się
w Niedźwiedzia. Wiedział już teraz jedno: jest winien. Musiał
więc uczynić coś takiego, co odepchnęło go od partii, co ode-
pchnęło od niego samego Mikołaja, co w tej chwili zamyka sie-
dzącemu naprzeciw niego człowiekowi usta. Myśl o winie przy-
niosła mu niemal ulgę. — Tak — rzekł cicho. — Popełniłem
coś okropnego, wiem, że coś okropnego i sam nie rozumiem jak
to się mogło stać. Ale czy jedna chwila, w której człowiek nie

jest w stanie odpowiadać za swoje myśli i słowa, może przekreślić całe życie i wszystkie czyny człowieka? Czy rzeczywiście istnieje taka zbrodnia?

Znów umilkł. Chłopiec mówił głosem tak monotonnym jak krople ściekające z rynny:

*„Za górą klęsk błyszczą zorze,
słoneczny kraj czeka nowy.
za głód, za moru morze
niech zadudni nasz krok milionowy.
Choć najemna otacza nas banda...”*

— Czy pomożesz mi, Niedźwiedziu? — zapytał Franciszek.

— Byłeś już u kogoś?

— Nie, dzwoniłem tylko do Jerzego. Powiedziano mi, że jest na urlopie i będzie za parę dni. Ciebie odszukałem pierwszego... — Ujął go za rękę: — Nie odmówisz mi chyba, prawda?

— Teraz zaśpiewaj, Franeczku — rzekł Niedźwiedź do chłopca i chłopiec momentalnie zanucił: „Nad Wisłą, nad Wisłą szeroką, murarzy rozgwarzył się śpiew...” Niedźwiedź powiedział do Franciszka: — Nazwałem go twoim imieniem, na pamiątkę tamtych dni... Cóż ja ci mogę pomóc, człowieku?

— Przepraszam — rzekł zirytowany Franciszek. — To bardzo ładnie z twojej strony, ale czy mały musi śpiewać, musi nam towarzyszyć przy rozmowie? Któż tu w końcu podsłuchuje na Boga i po co?

— Nie — wybąkał Niedźwiedź — nie o to idzie, ale wiesz — cisza też nie jest dobra, więc niech już lepiej nuci; dziecko to zresztą lubi. A jak jest za bardzo cicho u sąsiadów, to ludzie zaraz myślą sobie: Oho, coś knują. Kto słyszał, żeby tak cicho żyć? I od razu im przychodzą do głowy takie głupie myśli: może szpieg? może wróg? My to się czasem z żoną bijemy, żeby tylko nie było za cicho. Niech już lepiej śpiewa. Zresztą... jeżeli cię to drażni, niech mówi wiersze. Franeczku, mów „Włodzimierza Iljicza”.

Franeczek natychmiast przeszedł z piosenki na wiersz i deklamował tym samym znudzonym, obojętnym głosem:

*„Partia — to stos pacierzowy naszej klasy.
Partia — to nieśmiertelność naszej sprawy.
Partia — to jedno, co mnie nie zdradzi.
Dziś jam subiektem a jutro ścieram cesarstwa z mapy.
Mózg klasy, sprawa klasy...”*

— Czego więc chcesz? — zapytał Niedźwiedź.

— Żebyś mi pomógł. Ty, byłeś partyzant, oficer. Nie rozumiesz? Jesteś Niedźwiedziem, czy nie?

— Nie — rzekł Niedźwiedź. — I nawet nie chcę o tym pamiętać. Ani mówić. Ani myśleć. Rozumiesz?

— Zataiłeś to w życiorysie — powiedział Franciszek. — Ty, legendarny partyzant, bohater, duma oddziału... Prawda? Zmierzyli się wzrokiem.

— Prawda — rzekł Niedźwiedź.

— Nie odwracaj się, Franeczku — rzekł Franciszek do chłopca. I podczas kiedy mały mówił, podszedł do Niedźwiedzia i uderzył go w twarz.

Wyszedł; może to rzeczywiście woda spływała nudnymi kroplami, a może to synek Niedźwiedzia wciąż mówił patrząc czarnymi ślepkami w smętną szarość ściany? Na ulicy już dogonił go Niedźwiedź. Szli obok siebie w milczeniu, dysząc ciężko.

— Słuchaj — wybełkotał Niedźwiedź. Złapał go za ramię i zaglądał w oczy potykając się co chwila. — To wszystko nie tak. Posłuchaj, musisz zrozumieć. Ja mam syna...

— Franeczka — rzekł Franciszek. — Na pamiątkę tamtych chwil.

— Tamte chwile, tamte chwile — bełkotał Niedźwiedź. — Cóż one znaczą wobec życia? Wobec strachu, którym trzeba żyć; ciągle, bez przerwy, od świtu do nocy? Rozkoszować się czasem chwałą, kiedy żyje się w czasie moru? Oni nas wykończą: mnie, ciebie, Jerzego. Nasz czas już minął; a tamci, na górze, wiedzą o tym. Oni popełniają zbrodnie kiedy potrzeba, a mimo wszystko zakładają wiarę w człowieka; oni wierzą w ciebie, we mnie, w Jerzego i dlatego nas wykończą, kiedy przyjdzie czas. Oni wierzą w to, że my jesteśmy jakoś uczciwi, i że pewnego dnia — po wariacku, po omacku — ockniemy się i będziemy wrzeszczeć: nie. A może ten okrzyk pochwyti jeszcze kilku innych? Tu gra idzie nie o ciebie, nie o mnie, ale o sprawy wobec których my nic nie znamy. Ech, Franciszku! Szliśmy do życia a zaprowadzono nas na cmentarzyska; szliśmy do ziemi obiecanej a nie widać nic prócz pustyni; mówiliśmy o sprawiedliwości, a nie znamy niczego prócz terroru i rozpacz. Mieszkalem kiedyś na trzecim piętrze i nic więcej, tylko od wieczora do rana, liczyłem kroki na schodach: idą już po mnie, czy nie? Przyjdą przecież kiedyś. Historię nudzą świadkowie. Następne pokolenie poleci na łeb, na szyję — bez względu na to, ku czemu będzie się je prowadzić. Każdą zbrodnię uzna za świętość, każdy cel jako konieczność. A my? Ty? Ja? Zrobiliśmy swoje i teraz trzeba trwać, nic więcej tylko trwać dopóki się da, dopóki można. Chcesz być sprawiedliwym z Gomory? Czego chcesz? Jakich świadectw? Usuń się. Nie potrafisz zdechnąć jak silne zwierzę: w samotności i milczeniu? Przecież i tak nie masz już czym kasać, ani z czego strzelać. Odejdź, a jeśli nic nie rozumiesz, to daj chociaż spokój mnie i innym. Coś nam się przecież należy, za czasy chwały. Choćby to, aby o nas nie pamiętano.

— Czy widziałeś od tamtego czasu Jerzego? — zapytał.

— Nie — rzekł Niedźwiedź. — I nie chcę go widzieć.

Franciszek zwolnił kroku.

— Nie myślisz chyba — rzekł Franciszek — aby on mógł powiedzieć kiedyś coś takiego, co ty powiedziałeś przed chwilą. Prawda?

Milczeli chwilę.

— Nie — rzekł Niedźwiedź. — Jerzy? Jerzy nigdy tak nie powie, ja wiem. Myślę często o nim; on był najczystszy z nas wszystkich, lepszy od ciebie i ode mnie. Może to jego ocaliło?

Przystanęli.

— Żegnaj, Niedźwiedziu — rzekł Franciszek.

— Żegnaj, Chudy — rzekł Niedźwiedź.

Nie widzieli swoich twarzy; stali daleko od latarni, w mroku i deszczu. Po chwili wahania wyciągnęli ku sobie dłonie, udając, iż nie zauważają tego, że ręce ich rozmijają się w ciemnościach.

XI

W mokrym płaszczu wszedł do pokoju.

— Dlaczego nie zapalasz światła, Elżbieto? — zapytał. Podeszedł ku niej i zobaczył, że ma twarz mokrą od łez. — Stało się coś złego, córeczko?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Nic, nic.

Przysiadł koło niej.

— Więc dlaczego płaczesz?

— Mówię ci, że nic.

— Miałaś przykrości?

— Tak — powiedziała i rozplakała się głośno. — Na uczelni.

— Co takiego?

Otworzyła już usta, lecz widział, że zmyśla odpowiedź

— Nie wiem — rzekła patrząc ponad jego głowę. — Asystent czepia się mnie o byle co.

— A dlaczego Romana nie ma przy tobie?

Znów popatrzała w górę.

— Jest teraz bardzo zajęty — rzekła. — Przecież wiesz, że zbliża się pierwszy maj.

— Tak — powiedział. Podeszedł do okna i oparł rozpalone czoło o zimną szybę. — Nie przejmuj się moimi sprawami, córeczko — powiedział. — Jakoś dam sobie radę. Muszę tylko odszukać swoich ludzi a oni mi pomogą.

Popatrzył na histeryczne drganie neonu i myślał: „A jednak coś musiałem zrobić. Gdzieś we mnie musiała być jakaś nieufność z której sam nie zdawałem sobie sprawy; i to wyszło,

przy pierwszej sposobności, przy pierwszej chwili zmęczenia. W co nie wierzyłem? W partię? W ludzi? Czy nie wierzyłem kierownictwu? Może w sprawę? Ileż trzeba mieć jednak siły, żeby iść przez życie z czystą ciągle głową, odcedzać bełkoty, strachy, plugastwa. Kim byłbym, gdyby nie to, że wierzę w sprawę, że szedłem ku niej, idę i iść będę zawsze, jak ku najjaśniejszej z gwiazd? Niedźwiedziem? Szaleńcem? Jak powiedział Mikołaj? Wstań i walcz. Dobrze". Znów był silny i zdawało mu się, że z ciszy miasta, spokoju nieba, światła ulic i gwiazd, idzie ku niemu i ogarnia go całego wiara, silniejsza od wszystkiego co przeżył; i że trwa w nim niewzruszona jak bieg ziemi.

— Dobranoc, córeczko — powiedział.

XII

Wychodził już z pracy zęgnany posępnym wrzaskiem syreny; odbił godzinę wyjścia na zegarze kontrolnym i szedł w kierunku bramy, lecz zatrzymał go portier.

— Mam dla was piśmko — rzekł tonem dziwnie urzędowym; nie mrużył przy tym oka jak zwykle. Wyciągnął książkę podawczą i szukał w niej długo wodząc starczym palcem po rubrykach. — O, proszę — powiedział w końcu z zadowoleniem. — Pokwitujcie tutaj.

Franciszek podpisał i wyszedł. Już na ulicy przystanął i przeczytał. Dział Personalny zawiadamiał go, że rozwiązuje z nim stosunek służbowy w terminie trzymiesięcznym; do tego czasu więc, musi postarać się o inną pracę i o inne mieszkanie.

— Hej, obywatelu — krzyknął ktoś za nim.

Odwrócił się. W rozpiętym palcie, z rozwichrzonymi włosami, biegł ku niemu Jarzębowski.

— No — krzyczał z daleka. — No. A jak będzie z nami?

— Cóż to znaczy?

— Jak że: cóż to znaczy? Z naszym kółkiem śpiewaczym? Talent, niewątpliwy talent...

Uśmiechnął się i odszedł. Patrzył w pogruchotane, mokre flizy chodnika i myślał: „Czyż nie mają racji? Czy mogę tak powiedzieć? Nie ufają mi i nie chcą mnie — proste”. Był dumny w tej chwili z partii, z ludzi, którzy go usunęli; dumny z ich konsekwentnej postawy; z ich nieugiętości, z czystości; był dumny ze swego syna — Mikołaja; i ze szczęściem pomyślał, że on sam postąpiłby tak samo, gdyby znalazł się na ich miejscu. Wstać i walczyć, wrócić do nich czystym i godnym zaufania — oto rola.

Flizy chodnika skończyły się nagle wraz z długim, czerwonym murem; szedł teraz po pustym, błota pełnym placu. Gdzieś na jego końcu, skłębiła się szemrząc radośnie gromadka ludzi;

słyszać było także basowe szczekanie psa — zapewne bardzo wielkiego. Poszedł tam machinalnie i przepchnął się łokciami przez pierścień ciekawych. Przedmiotem zbiegowiska był człowiek ubrany w ochronną maskę szermierczą i także rękawice do łokci; człowiek ten ciągnął na łańcuchu pięknego psa szarpiąc go i wymyślając najgorszymi słowami; widoczne było jednak, że piękny pies niewiele, a właściwie nic sobie z tego nie robi. Franciszek myślał z początku, że dziwnie ubrany człowiek jest jakimś trenerem i już chciał odejść, kiedy ten nagle zmęczonym ruchem zdjął maskę z twarzy i Franciszek ujrzał obłąkane oczy towarzysza Nowaka.

— Nowak — wykrzyknął zdziwiony. — Co wy robicie, u diabła?

Nowak otarł pot z czoła.

— Ach, to wy — rzekł drewnianym głosem. — Macie może papierosa? Już sił mi braknie...

— Cóż wy wyrabiacie z tym psem?

— Z psem? — powtórzył Nowak patrząc przed siebie pustymi oczyma. Uśmiechnął się zjadliwie i gorzko. — Dla was to może istotnie tylko pies, ale dla mnie... — Podniósł nagle obie pięści ku górze i zawył: — Dla mnie on gorszy od szakala, od trądu. — Szarpnął łańcuchem, lecz pies nie poruszył się nawet. — Burek, ty draniu — krzyknął Nowak. — Do nogi. Do nogi, mówię.

Ludzie zgrupowani wokół nich, wybuchnęli radosnym śmiechem. Piękny pies siedział nieporuszenie, patrząc wyniośle brązowymi oczyma.

— Burek — szepnął Nowak unosząc tragicznie prawicę i zataczając się. — Burek, ja cię błagam... Burek, najdroższy, do nogi...

— Człowieku — rzekł gniewnie Franciszek. — Co wy z tym psem wyrabiacie?

Jak to co? — powiedział Nowak. — Sami kazaliście mi przecież zmienić jego imię. — Przysunął usta do ucha Franciszka. — Przedtem nazywał się „Samba” — szepnął namiętnie i wszystko było dobrze. Złoto nie pies: przynosił mi gazetę w pysku, kochał dzieci, małą mi przyprowadzał z przedszkola, opiekował się niewidomym staruszką z przeciwka, i tak dalej... Ale od czasu, kiedy sekretarz partii — pamiętacie przecież — polecił mi zmienić jego imię na „Burek” — wszystko dobre jest już poza mną. Rzuca się na wszystkich, kasa, żona ode mnie odchodzi, bo się gryzą bez przerwy; sprawa jest już u adwokata... — Westchnął. — Przez niego — rzekł. — Na sprawie rozwodowej tego się oczywiście nie powie, żeby nie narażać autorytetu partii... — Zgrzytnął zębami z niebywałą siłą. — Uradziliśmy z żoną tak: ona powie, że ja jej nie zadawałam seksualnie; ja — że jest ona ładacznica z przekonania. Oczywiście będziemy się spotykać jakoś chyba... Ale inaczej nie moż-

na; nie narażając autorytetu — nie można. Innej rady naprawdę nie ma. Przemyślałem wszystko.

— Nie możecie go się pozbyć?

— Pozbyć? — powtórzył nagle rozbawiony Nowak i spojrział na Franciszka jak na idiotę. — Pozbyć? Topiłem go już, dawałem mu dziennie po pół kilo trutki na szczury; nastawiałem radio na cały głos i wyjeżdżałem z rodziną na trzy dni; wywoziłem go o sto kilometrów poza Warszawę i wracał. Ale nie mogę go sprzedać z imieniem „Samba” — to samo, co bym dał wrogowi broń do ręki. W ogóle nie mogę go się pozbyć; zaraz by się wtrąciło Kółko Miczurinowsko-Pawłowskie: „A co zrobiliście z waszym psem? A dlaczego pastwicie się nad zwierzętami? Powinniście wiedzieć, czym pies może stać się dla człowieka a zwłaszcza dla towarzysza partyjnego...” O, nie, Kowalski, nie namówicie mnie do tego... — Stanowczym ruchem założył maskę na twarz. — Przepraszam was — rzekł — ale muszę pracować. To jest moje zadanie partyjne; na ten cel zwolniono mnie z akcji „Miasto — wsi”... — Szarpnął rozpaczliwie łańcuchem. — No, Burek — krzyknął. — Do nogi.

Pies uniósł jedno ucho, po czym ułożył się na brzuchu rozciągnąwszy szeroko rasowe, długie łapy; wyglądał teraz, niby futro położone przed czymś łóżkiem. Nie pomogło ani szarpnięcie łańcuchem, ani donośne klątwy, ani pieszczoty, pełne obietnic. Nowak dwoił się i troił, ludzie ryczeli szczęśliwie i w tym całym zgiełku, tylko pies zachował powściągliwy spokój.

— Co się tu dzieje — zawołał nagle świeży głos. Energicznie przepychając się łokciami, wkroczył młody milicjant. — Co to jest? — Zwrócił się do pierwszego z brzegu gapia i surowo zajrzał mu w twarz. — Może wam się nie podoba, co? Powiedźcie lepiej szczerze: ustrój wam się nie podoba?

— Panie władzo — rzekł przechodzień. — Mnie już nie ma. Mnie tu nigdy nie było.

Uchylił kapelusza i zniknął. Ludzie poczęli rozchodzić się do domów, niechętnie i z ociąganiem. Na placu pozostali tylko Franciszek, Nowak i milicjant, oraz pies wykwintnie liżący łapę.

— Wy co? — rzekł milicjant do Nowaka. — Co jest z wami? Żarty gracie czy jak? Ja widzę, że wam się nie podoba. Jak nie, to powiedźcie lepiej od razu.

— Trenuję psa — odparł wyniośle Nowak. Zdjął maskę i wachlował nią gorącą twarz. — Jeśli nie wierzycie, to tam — wskazał ręką — jest mój zakład pracy i możecie się wszystkiego o mnie dowiedzieć. Psa uczę na polecenie sekretarza.

Popatrzyli na siebie z napięciem.

— Czego go uczycie? — zapytał milicjant.

— Postawy — odparł sucho Nowak. — Postawy godnej psa.

Znów patrzyli na siebie, świdrując się nawzajem uważnymi spojrzeniami.

— Jeśli tak — rzekł w końcu milicjant — to w porządku... — Odwrócił się gwałtownie do Franciszka. — A wy co tu robicie, obywatelu? — zapytał ostro. — Może wam...

— Podoba mi się — rzekł Franciszek. — Wszystko jest prawidłowo... — Nowak odszedł już wlokąc za sobą psa niby burlak barkę; Franciszek i milicjant patrzyli na siebie w milczeniu. Franciszek uśmiechnął się nagle. — Pamiętacie mnie? — rzekł. — Musicie mnie chyba pamiętać?

Milicjant postąpił o krok naprzód i nagle twarz jego rozjaśniła się gwałtownie.

— No, jakże — zawołał szczęśliwym, jasnym głosem. — Pewnie, że pamiętam, oczywiście. To przecież ja was przyskrzytnięm, za zakłócenie spokoju publicznego... — Był uradowany jak dziecko, które otrzymało piękny prezent i poklepywał Franciszka po ramieniu. — Tak, tak — powtarzał z roziskrzonymi oczyma. — To przecież wy zakłóciliście spokój.

— Cóż — rzekł Franciszek i uśmiechnął się posępnie. — Można to i tak nazwać.

— A co — rzekł milicjant i twarz jego zachmurzyła się nagle. — Nazwa wam się nie podoba?

— Skądże. Nic takiego nie powiedziałem.

— I to wam się pewnie strasznie podoba, tak?

— Co mi się podoba?

— To żeście nic nie powiedzieli. Mówcie szczerze.

Szli powoli przez opustoszały plac.

— Ech, człowieku — powiedział Franciszek. — Gdybyście przeżyli tyle, co ja, to zrozumielibyście, że tu nie wystarczy: podoba się — nie podoba się. Podniosłem rękę na rzeczy, które trudno jest ogarnąć sumieniem i rozumem i które wyrastają ponad człowieka. Ja wiem; wiem to doskonale, że mówiłem wam wtedy, że nie ma takich rzeczy. Mówiłem wam wtedy, to fakt i wiem o tym, że tak mówiłem, że wszystko o czym się mówi, iż „wyrasta ponad człowieka” jest w gruncie rzeczy kłamstwem i nonsensem, i zbrodnią, i że jest nie „ponad” ale wbrew człowiekowi. Mówiłem to, tak jest. Mówiłem, że każde działanie ludzkie, można mierzyć tylko wytrwałością i życiem człowieka, i tym, czy człowiek działający, będzie mieć z tego chociaż odrobinę radości. Tak jest, mówiłem. Cóż? Miałem tak jak każdy chwilę zwątpienia. Mój drogi: im więcej chwil zwątpienia, które można pokonać rozumem, tym silniejsza jest wiara.

Odwrócił się do niego, lecz szedł sam — nie było nikogo. Gdzieś pod płotem stały plotkujące trzy staruszki i tam biegł podkasując poły płaszcza młody milicjant; i stamtąd dobiegł Franciszka jego donośny głos: „Podoba wam się, czy nie?”, i przerażony świergot trzech staruszek.

Wstąpił do budki z automatem i nakręcił numer. Po chwili z tamtej strony podniesiono słuchawkę.

— Przepraszam — rzekł Franciszek. — Czy mógłbym mówić z Jerzym?

— Kto prosi?

— Moje nazwisko — Kowalski.

Chwilę trwało milczenie.

— Nie ma Jerzego — rzekł kobiecy głos. — Czy pan nie wie o tym?

— Nie — rzekł Franciszek. — Nic nie wiem. A gdzie jest?

— Nie wie pan?

— Nie.

Znów chwila milczenia! ktoś stukał gwałtownie w szybkę kabiny.

— Na urlopie — rzekł głos. — Rozumie mnie pan: n a u r l o p i e. Należy mu się chyba urlop, prawda?

Franciszek chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz z tamtej strony trzasnęła odłożona słuchawka. Wyszedł; znów szedł przez puste i ciemne miasto, które nie chciało obudzić się do wiosny; które od wielu tygodni obmywał deszcz i nad którym świecił tylko jeden, jedyny neon: Młodzież czyta — *Sztandar Młodych*; siedział u siebie w domu, przy oknie od którego wiało chłodem, patrzył na migające litery i zdawało mu się, że poprzez szum i zgiełk miasta, dochodzi do niego ostry wrzask: „Podoba wam się, czy nie? Podoba się wam, czy nie? Podoba się...” Odwrócił się nagle.

— Dlaczego nie dajesz kolacji, Elżbieto?

Słyszał jak podnosi się ciężko i idzie do kuchni. Poszedł za nią.

— Pokłóciłaś się z Romanem, prawda?

Oparła się na jego ramieniu i zapłakała nagle.

— Minie — rzekł głaszcząc jej chłodne, ciężkie włosy. — Wszystko minie, córeczko. Wszystko co złe, głupie, co nie-ludzkie. Trzeba myśleć i wierzyć w to, że ciągle idzie się do światła...

Umilkł nagle; patrzył w ciemność za oknem i rozedrgane litery neonu znów — wbrew własnej woli — przeczytał je od początku do końca, uzupełniając w myśli brakujące litery. Potem odepchnął Elżbietę, i z trzaskiem, obrywając kółeczka, zasunął firankę.

XIII

Przystanął przed wysokim, białym domem i sprawdził adres zapisany na kartce: zgadzał się. Wszedł do bramy i począł wchodzić szerokimi schodami ku górze, gdy ktoś zawołał nagle z tyłu:

— Hej, obywatelu.

Odwrócił się trzymając rękę na poręczy: w bramie stał żołnierz z automatem przewieszonym przez ramię.

— Do kogo? — spytał Franciszka.

— Do znajomego.

— I jak to? — rzekł żołnierz a jego młoda twarz zachmurzyła się nagle. — Tak, bez przepustki? Wróćcie, obywatelu — powiedział i wyciągnął rękę: — Dowód.

Wypisywał mu długo przepustkę na różowym blankiecie, ślinił przy tym ołówek i mrucał z namaszczeniem; wreszcie oddał Franciszkowi dowód wraz z przepustką i rzekł:

— Trzecie piętro... — Podczas gdy Franciszek wchodził już ku górze, żołnierz dodał tonem nagany: — Na drugi raz, obywatelu, nie wchodźcie bez przepustki.

Przystanął na trzecim piętrze i zadzwonił; otworzono mu, chwilę trwały szept; wreszcie stanął przed człowiekiem do którego przyszedł.

— Poznajesz mnie, Brzoza? — zapytał Franciszek.

Stojący przed nim mężczyzna; szczupły i ciemny, o schorowanej twarzy i zapadniętych, czarnych i wygasłych oczach, patrzył na niego uważnie.

— Chudy — rzekł wreszcie i wyciągnął rękę. — Chudy, prawda?

— Tak — rzekł Franciszek. — To ja.

Usiedli w fotelach. Patrzyli na siebie szukając zmian we własnych twarzach i gestach; chwilę panowała kłopotliwa cisza, wreszcie Franciszek, chcąc pokryć zmieszanie, począł mówić pospiesznie:

— Musisz mi wybaczyć, że fatyguję ciebie — wiem, że ludzie tacy jak ty nie mają czasu nawet dla bliskich, ale moja sprawa...

Zawahał się nagle.

— Mów — rzekł Brzoza. — Przecież słucham.

— Czy pamiętasz mnie jeszcze z lasu?

— I ciebie, i innych.

— Czy możesz mi pomóc?

— To chyba jasne — rzekł Brzoza. — Mów.

— Ja — powiedział Franciszek starając się patrzeć prosto w oczy tamtego — podniosłem rękę na partię. Sam nie rozumiem jak to się stało... — Zaczerwienił się okropnie. — Wiesz, byłem trochę pod gazem i zacząłem wrzeszczeć. Mówiłem...

Umilkł znowu ogarnięty nagłym poczuciem beznadziejności tej rozmowy. „Co mówiłem — pomyślał rozpaczliwie. — Co mówiłem? Mówiłem przecież prawdę, to co czuję...” — Mówiłem — rzekł — że nie wierzę aby... aby...

— Aby co?

— Aby można było — powiedział Franciszek — zbudować cokolwiek dobrego, popełniając zbrodnie i kłamstwa, i niszczyć godność ludzką, i wierność komunistów zamieniając w niewolnictwo.

— I czego chcesz ode mnie w związku z tym?

— Żebyś ty, ty, jeden z ludzi, którzy mają władzę i znają władzę, powiedział mi: gdzie jest granica między wiernością a niewolnictwem? Między zbrodnią a koniecznością? Zawsze rozum ustalał tę granicę, rozum i sumienie. Teraz — mówiłem wtedy — człowiek stał się tylko smętną igraszką polityki; o rozumie stara się zapomnieć we własnym interesie, a sumienie? Ten zasrany balast? Lepiej myśleć, że tego nigdy nie było.

— Komu to mówiłeś?

— Komu? — powtórzył Franciszek. — Komu? Czyż to nie wszystko jedno? Sobie tak mówię, to jest ważne.

— Co było dalej?

— Dalej się już nie liczy. Usunięto mnie z partii. Ale nie o to chodzi przecież.

— Więc?

— Chcę, żebyś ty mi powiedział.

— Co?

— Że nie mam racji.

Milczeli chwilę. Tamten patrzył na Franciszka swymi wygaśniętymi oczyma, pochyliwszy głowę.

— Słuchaj — rzekł wreszcie. — Pierwsze lata po wojnie pracowałem w bezpieczeństwie. Miałem chłopaka: był przez całą okupację w lasach, potem chodził na bandy, postrzelali go całego, stracił jedno płuco, wreszcie, jako schorowany człowiek — wylądował u mnie. U mnie, gdzie musiał pracować za trzech zdrowych. I tak pracował: przesłuchania, śledztwa, szpiegzy, sabotażyści, dywersanci. Kiedyś przesłuchiwał jakiegoś dywersanta; przesłuchanie trwało już którąś tam noc z rzędu, ten łobuz zachowywał się prowokacyjnie wobec mojego chłopaka, i wreszcie ten — schorowany, nieprzytomny ze zmęczenia, z nerwami napiętymi do ostateczności — nie wytrzymał i dał temu dywersantowi w pysk.

Umilkł.

— I co? — zapytał Franciszek.

Brzoza uśmiechnął się dziwnie.

— I nic — rzekł. — I musiałem mu dać osiem lat. Jemu — ja sam się o to postarałem. A wiesz, ile dostał ten dywersant? Pięć. Bo to był chłopak z ćwiartką mózgu, który nie bardzo wiedział gdzie żyje, co robi i na czyją działa szkodę. A mój chłopak był świadomym, bojowym partyjniakiem i musiał wiedzieć co robi.

Wstał nagle i począł chodzić po pokoju: kark mu spurpurowiał a górna warga podskoczyła.

— Do cholery — rzekł. — Do cholery z tą przeklętą gadaniną. Najważniejsze są konsekwencje, konsekwencje do końca. Jeśli się raz zaczęło rewolucję, to trzeba sobie uświadomić, że nie można jej ani zatrzymać, ani złagodzić, ani odkręcić, ani

opóźnić. Rewolucję można tylko przegrać lub wygrać i to wszystko. Co cię przeraża? Rozmiary? Metody?

— Konsekwencje — powiedział Franciszek. — To, o czym mówiłeś przed chwilą. Czy rewolucja jest ślepą, brutalną siłą?

Brzoza chwycił Franciszka za ramię i pociągnął do okna; rozpościerało się pod nim mokre, pełne rusztowań miasto.

— W to miejsce — rzekł Brzoza — za ileś tam lat przyjdzie człowiek, który się dziś jeszcze nie narodził. Przyjdzie i będzie chciał żyć, mieć jedzenie, mieszkanie, dzieci, rodzinę; będzie chciał żyć bezpiecznie i będzie wymagał od czasu wszystkiego, co się tylko człowiekowi należy. I zapewniam cię, że nic go nie będą obchodzić moje czy twoje cierpienia i wątpliwości. Będzie na miarę swojego rozumu oceniał to, co zastał i czas w którym żyje. I to wszystko.

Umilkł; patrzył w dół, na moknące rusztowania miasta a jego żółta, chora twarz stała się jeszcze ciemniejsza.

— Nie wiedziałem — rzekł Franciszek — że masz syna.

Brzoza uniósł głowę.

— Mam? — powiedział ze zdziwieniem. — Miałem. On jest tak chory, że tego wszystkiego nie przetrzyma... — Podeszedł do radia i przekręcił gałkę. — Przepraszam się, Franciszku — rzekł — ale byłem wczoraj na wiecu, mówiłem tam do ludzi, a teraz będą to nadawać przez radio i chcę posłuchać.

Franciszek milczał. Po co tu przyszedł? Komu mówił to wszystko? I czego oczekiwał w odpowiedzi? Usłyszał tylko to, co sam powtarzał bez przerwy: nie raz i nie tysiąc razy. Usłyszał tylko to, co sam sobie i innym powtarzał, aby znaleźć siłę do działania. I gdzie jest ta siła? W odejściu Mikołaja, w bankructwie Niedźwiedzia, czy w zmęczonym głosie tego człowieka, który skazał swego syna? Gdzie jest cel i nadzieja? Czy istotnie jest ona w tym człowieku, który się jeszcze nie narodził i który stanie wobec swego życia jak ślepiec, nieświadom ofiar i wyrzeczeń, i klęsk, które dla niego ponieśli inni — ci, których zadręczono i zgnojono? Jeśli ten zadowolony ślepiec, który chodzić będzie z uśmiechem po plugawej skorupie świata ma być nadzieją i tym wszystkim, czemu trzeba poświęcić siły i życie, to jakąż rację mają te wszystkie słowa i ofiary?

„Zbliża się święto pierwszego maja” — powiedział z radia głos Brzozy. — „Towarzysze. Twórcy marksizmu-leninizmu uczą nas, że klasa robotnicza nie może wyzwolić sama siebie, nie wyzwalaając wszystkich uciskanych i wyzyskiwanych, nie znosząc raz na zawsze wszelkiego ucisku i wyzysku człowieka przez człowieka. Klasa robotnicza — to klasa, pod której przewodem ludzkość wyzwala się od wszystkich form krzywdy społecznej, od wszystkiego, co hamuje rozwój społeczeństwa. Klasa robotnicza, to klasa, pod której przewodem ludzkość dokonuje historycznego skoku z krainy konieczności do krainy wolności.

staje się władczynią przyrody, zaczyna w oparciu o znajomość praw rozwoju społecznego, własną świadomą wolą kształtować swe losy”.

Przerwały mu burzliwe, długotrwałe oklaski, a po chwili Brzoza ciągnął dalej:

„Naukę Marksa i Engelsa rozwinęli na nowym etapie historycznym Lenin i Wielki Nauczyciel — Stalin. Rozwinęli ją w epoce imperializmu, kiedy kapitalistyczny ucisk i wyzysk objęły całą kulę ziemską i zespoliły się ze wszelkimi przedkapitalistycznymi formami użyczenia ludzi pracy, kiedy zachłanność i zaborczość imperialistycznych wyzyskiwaczy wtrąciła ludzkość w rzesze wojenne o nieznanych dotąd w historii rozmiarach, kiedy burżuazja i jej ideologowie zdradzili podeptali wszystkie ideały, choćby ograniczonej wolności i sprawiedliwości, które sami kiedyś głosili, a w masach pracujących całego świata wezbrało i nabrało siły namiętne pragnienie pełnej sprawiedliwości społecznej i pełnej wolności — pragnienie socjalizmu...”

Burzliwe, długotrwałe oklaski.

„Lenin i Wielki Nauczyciel” — ciągnął dalej mówca — „rozwinęli naukę Marksa i Engelsa o klasie robotniczej jako klasie, która uwolni ludzkość od wszelkiego wyzysku i ucisku — w nauce o hegemonii proletariatu w walkach narodowo-wyzwoleńczych, w walkach mas chłopskich przeciwko ustrojowi pańszczyznianemu i jego przeżytkom, w walkach wszystkich ludzi pracy przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu...”

Znów rozległa się wrzawa na sali.

— Długie, niemilkące oklaski — powiedział Franciszek.
— Tak będzie napisane w gazecie.

Tymczasem mówca ciągnął dalej: „Stojąc na czele wszystkich uciskanych i wyzyskiwanych w walce o obalenie tyranii imperialistycznej, realizując w tej walce sojusz robotników z chłopstwem pracującym i masami ludowymi, prowadzącymi walkę narodowo-wyzwoleńczą — partia proletariatu wznosi sztandar wyzwolenia w imieniu olbrzymiej większości społeczeństwa przeciwko jego znikomej mniejszości. Hegemonia klasy robotniczej zmierza do realizacji przez proletariat wielkiej misji rewolucyjnej, polegającej na zmianie stosunków społecznych w interesie olbrzymiej większości ludzi na całym świecie i zbudowaniu społeczeństwa socjalistycznego...”

— Wszystko było prawidłowo — rzekł Franciszek — tak? I wynajęta sierota z kwiatami, i jakiś stary pierdoła — weteran

rewolucji dziewięćset piątego roku z którym się całowałaś przed obiektywem; i tajniacy w granatowych garniturkach za tobą. Prawda?

— Prawda — rzekł Brzoza. — I byli ludzie, którzy po tym wszystkim prosili mnie, czy nie mógłbym wpłynąć na bufetową, żeby swój kramik otwierała o godzinę wcześniej; i był facet, który szepnął mi na ucho: „Malinowski to złodziej”.

— Ale tego już w radiu nie będzie — rzekł Franciszek. — Prawda?

— Prawda — rzekł Brzoza. — Tego nie będzie.

Umilkł i słuchał własnego głosu: „Ze zwycięstwa *Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej* powstaje pierwsze państwo proletariackie — państwo radzieckie. Wierność proletariackiemu internacjonalizmowi — to odtąd przede wszystkim wierność Październikowi. Nie przypadkowo zdrada kliki Tito ujawniła się na samym początku w jej antyradzieckiej postawie, w jej zaprzeczeniu przodującej roli Związku Radzieckiego. Nie przypadkowo tendencje antyradzieckie legły u podstaw gomułkowszczyzny, tej polskiej odmiany titoizmu. Wielkie budownictwo Związku Radzieckiego — to wzór, przykład i nadzieja świata. To wzór świadczący, że istnieje droga wyjścia z kryzysów i nędzy, z zacofania gospodarczego i kulturalnego, droga zniesienia ucisku narodowego i waśni narodowych. To przykład uczący jak obalić panowanie kapitalistów i obszarników, jak budować nowe, sprawiedliwe społeczeństwo. To nadzieja dla tych wszystkich, których gnębią wyzyskiwacze, których uciskają imperialiści, nad którymi znęca się, nienawidząca człowieka pracy, reakcja. Wielkie budownictwo Związku Radzieckiego — to źródło siły dla ruchu proletariackiego, dla ruchów postępowych i wolnościowych całego świata. To o siłę Związku Radzieckiego rozbiły się hitlerowskie marzenia o panowaniu nad światem faszystowskiej rasy panów. To siła Związku Radzieckiego staje na drodze magnatom Wall Street usiłującym powtórzyć hitlerowską próbę ujarzmienia ludzkości. Międzynarodowy proletariacki pod przewodnictwem Związku Radzieckiego stał się awangardą całej ludzkości, wszystkich ludzi pracy, wszystkich uciskanych i wyzyskiwanych całego świata w walce o lepsze jutro bez wojen, o jutro bez ucisku i wyzysku, o jutro dobrobytu materialnego i rozkwitu kulturalnego...” Głos jego urwał się na chwilę; i znów zaszumiało w wielkiej hali i rozległy się szczęśliwe okrzyki; gdzieś nawet przedarł się głos: „Była nędza, był kapitalizm, aż przyszedł człowiek imieniem — Lenin...”

— Teraz długotrwałe, burzliwe oklaski — rzekł Franciszek. — To śmieszne.

— Co?

— Jak wy musicie gardzić tymi ludźmi i nienawidzić tych wszystkich biednych mrówek, tej klasy robotniczej, tego hegemona narodu. Z jednej strony — musicie im się bezustannie podlizywać, żeby wykrzesać z nich jakikolwiek wysiłek; z drugiej — zmuszać ich do rzeczy, które wam samym wydają się chyba nie-ludzkie. — Wstał i podszedł do okna. — A jednak chyba przyjdzie czas — powiedział — kiedy będziecie musieli przestać mówić o hegemonii, a spojrzeć im w twarz. I co wtedy zobaczycie? Kogo? Jakich ludzi? Konsekwencje przejdą oczekiwania... — Znow wrócił na fotel. — Jedyna pociecha — rzekł — że nie macie już nic wspólnego z żadną klasą, ani z żadnymi ludźmi. O ile w ogóle istnieje pociecha.

Oklaski stopniowo uciszyły się i z głośnika znów mówił głos Brzozy: „*Zbliża się pierwszy maja, święto robotniczej walki, święto proletariackiego internacjonalizmu, święto międzynarodowej solidarności proletariatu. Obchodzić pierwszy maja będziemy w czasie, gdy dzień przynosi nam nowe wieści o pokojowych zwycięstwach budownictwa komunizmu w wielkim Związku Radzieckim, państwie zwycięskiego socjalizmu, nădziei pracującej ludzkości...*” Na nowo rozszalała się burza oklasków i okrzyków; potem stopniowo uciszyło się wszystko i speaker zapowiedział koncert symfoniczny. Franciszek i Brzoza popatrzyli na siebie.

— A potem — rzekł Brzoza — po długotrwałych, niemilknących oklaskach, wyszedłem na podwórko, przed fabrykę. I wtedy podszedł do mnie ten, o którego pytałeś — stary pierdoła, weteran rewolucji. Pracuje w fabryce jako nocny stróż; prosił mnie, czy nie mógłbym tego zrobić, aby go przeniesiono na etat psa. — Jak to — psa? — pytam. — A — powiada — bo etat nocnego dozorca wynosi czterysta złotych z kawalkiem, a na utrzymanie psa przeznaczono prawie sześćset. Więc towarzyszu, może mógłbym się pomieniać z psem. Zwierzęcia — powiada — robotnicze słowo, że nie zagłodzę, a mnie samemu będzie lżej i nikt nie straci. No, Franciszku? Śmiać się, czy strzelać? — Wstał; znów począł chodzić po przekątnej pokoju; zatrzymał się wreszcie przed Franciszkiem. — Pamięć — powiedział. — To jedyna tarcza przed wątpliwościami. Trzeba bez przerwy pamiętać skąd się idzie.

— Wyście zapomnieli — rzekł Franciszek.

— O czym?

— To bardzo komiczne — powiedział Franciszek — i ja sam często także się z tego śmieję, ale jedyną logiką każdego działania jest człowiek i jego krótkie, smutne życie; i niestety nic się nie da na to poradzić, żebyśmy nawet nie wiem jak tego pragnęli. Tak już widocznie musi być, że w tym przeklętym świecie małeńki człowiek jest olbrzymem; i w rzeczywistości

układzie sił wszystko inne jest małe: i wielkie budowle, i zapory wodne, i kanały, i Dnieprostroje i Bóg wie jeszcze co. Tego się nie da niestety postawić na głowie.

— Po co tu przyszedłeś, Franciszku? — zapytał Brzoza. — Po wiarę?

— Tak — poważnie odpowiedział Franciszek. — Po wiarę.

— Więc nie wierzysz?

— Wierzę — powiedział Franciszek — ale już nie w was. Wierzę w komunizm, jeśli uda się go ocalić przed wami, i jeśli wy w czas odejdziecie. Wraki nie mogą prowadzić nikogo po morzu... — Umilkł, potem szepnął: — Może Jerzy?

Dostrzegł nagły skurcz na twarzy Brzozy.

— Co, Jerzy? — zapytał ostro.

— On musi być inny.

— Jerzy — powiedział Brzoza i uśmiechnął się. — Tak, masz rację: idź do Jerzego. On jest inny. Inny nawet, niż ci się wydaje.

— Pamiętasz go? — zapytał Franciszek.

— Jak najbardziej.

— Tak — powiedział Franciszek i pokręcił głową z uporem. — On musi być inny. Inny — od nas wszystkich.

— Idź do niego — powiedział Brzoza. — Ja mogę zrobić dla ciebie tylko jedno: kiedy pójdiesz stąd, mogę postarać się, żeby mi się zdawało, że gawędziliśmy sobie o dobrych, kochanych, prostych czasach w lesie.

Franciszek wstał.

— Mogę cię podwieźć — rzekł Brzoza. — Już wyjeżdżam.

— Dokąd jedziesz? W którą stronę?

— Do fabryki wielkich maszyn elektrycznych.

— Na wiec?

— Tak.

— Będiesz mówił do ludzi?

— Tak.

— O hegemonii klasy robotniczej?

— Tak.

Wyciągnął rękę; i obaj udawali, że nie zauważyli tego, jak mijają się ich ręce.

— Żegnaj, Brzoza — powiedział Franciszek.

— Żegnaj, Chudy — powiedział Brzoza.

I znów siedł wieczornym miastem brnąc po rozmokłym, wstrętym śniegu; wiosna wciąż jeszcze nie nadchodziła i nie zapowiadał jej niczym najmniejszy nawet znak — i gdziekolwiek spojrzał, nie widział nic prócz błota, resztek śniegu topniejącego w czarnych stertach, i brudu pływającego po jezdniach; nic prócz mroku zbitego w lepką masę nad miastem gdzie histerycznie drżał jedyny neon. „Jerzy — myślał Franciszek. —

Oczywiście Jerzy. On jest inny: czystszy i lepszy. On na pewno walczy i wie, jak walczyć; walka z tym świństwem jest jego przeznaczeniem". Na rogu był automat telefoniczny i począł iść szybko w tym kierunku. Stał długo przed szklanymi drzwiami; ktoś odwrócony do niego tyłem rozmawiał gestykulując zażwzięcie lewą ręką; maniacko i w sposób jakiś dziwnie znajomy. Wreszcie położył słuchawkę i wyszedł.

— Roman — powiedział ze zdziwieniem Franciszek. — Dobry wieczór.

Wyciągnął do niego rękę. Narzeczony córki przystanął i spojrzał mu ostro w twarz. Jego dziecinna jeszcze buzia napęczniała pogardą. Nie powiedziawszy ani słowa odwrócił się i odszedł pogwizdując: głośno i fałszywie. Franciszek długo stał bez ruchu oniemiały ze wściekłości i zdziwienia; wszedł wreszcie i nakręcił numer — a po chwili znowu usłyszał ten sam kobiecy głos.

— Czy mogę mówić z Jerzym? — zapytał.

— Kto prosi?

— Proszę powiedzieć: Franciszek. Lub najlepiej: Chudy.

Chwilę trwało milczenie: w oszklone drzwi kabiny walił rączką parasola jakiś zażywny jegomość. Potem kobieta rzekła:

— Jerzy jest na urlopie. Jerzy jest na urlopie. Rozumie mnie pan dobrze? Na u r l o p i e.

XIV

Szedł ciemnym korytarzem potykając się co chwila o butelki wystawione na mleko; o jakieś graty, które od lat nie wzbudzały niczyjego zainteresowania; deptał po kotach i psach szwendających się tutaj w niezliczonych ilościach — ogarnięty mrokiem i zapachem kurzu posuwał się do przodu po omacku młócąc rękami powietrze. Gdzieś tam, mrok rozświecały żarówki, otoczone drucianymi koszulkami; od ich mętnego blasku, od zapachu kurzu, wrzasku kotów; od odoru prania i od parteru do strychu gotowanej kapusty już po minucie rozboleła Franciszka głowa. Był to stary dom; gruchnęła kiedyś bomba otwierając go w swej lewej części niespodziewanie i strasznie: klatka schodowa urywała się nagle — w dole widać było mokrą ulicę, tłusty asfalt i przemykających ludzi. Franciszek przystanął.

— Odwiąż mnie wujciu — powiedział ktoś cienkim głosem.

Odwrócił się; na korytarzu siedział mały chłopiec przywiązany do balustrady żelaznym łańcuchem — łańcuch zamykała kłódka.

— Kto cię przywiązał? — zapytał Franciszek.

— Mama — powiedział mały.

— Mama? Dlaczego?

— Żebyś nie spadł — wyjaśnił chłopiec i wskazał ręką mglistą pustkę w dole. — Ale ja i tak nie spadnę — oświadczył.
— Odwiąż mnie, wuju.

Ktoś wrzasnął obok: — Odwiąż mnie, wujciu. Mnie, nie jego. On spadnie. — Franciszek odwrócił się: Parę kroków dalej przywiązana była dziewczynka, potem znów dziewczynka: jeszcze dalej — dwóch malców, którzy bawili się z sobą nie zwracając na nic uwagi: mieli przed sobą stertę kolorowych klocków.

— Gdzie wasza mama?

— Poszła do pracy — powiedział malec pierwszy. Rozzłościł się: — Cóż ty myślisz, wuju? Mamy sami siedzieć w pokoju. Tak można się przynajmniej pobawić. — Chwycił parę okruszków cegły i zaczął rzucać w inne dzieci; chowały się przyciskając łebki do balustrad; piszczały przy tym i melodyjnie pobrzękiwały łańcuszkami; dziewczynka miała na łańcuchu parę kokardek. Koło siebie trzymała laleczkę, której łebek przywiązany był chromoniklowym łańcuszkiem od zegarka.

Milczał przez chwilę, potem przykucał koło małego. Szukał bezmyślnie po kieszeniach, chciał mu coś dać, lecz nie było tam nic — grzebyk, lusterko, dokumenty. Powiedział:

— Musisz poczekać na mamę.

Mały wykrzywił ze złością pyszczek.

— Muszę — powtórzył. Podskoczył jak małpka grzechocząc łańcuszkiem. Odwiąż mnie wujciu — powiedział. — Nudzę się. Albo opowiedz. Umiesz coś opowiadać?

— Co ci opowiedzieć?

Zastanowił się; między dwoma malcami na końcu korytarza wybuchła walka; tarzali się ze wściekłością płacząc łańcuchy. Chłopiec powiedział do Franciszka:

— Opowiedz co widzisz. Tam.

Wskazał ręką w dziurę i Franciszek pochylił się nad miastem; patrzył w ciemność aż do bólu oczu. Nic się nie działo na ulicy i niczego prawie nie było widać: przeszedł pijany, potem dwóch pijanych, potem trzech pijanych — jeden z nich przytrzymał ręką kapelusz; potem matka z dzieckiem i stary człowiek pchający wózek z węglem; mrok, cisza i mgła, pijane kroki, śmiech budzący wściekłość innych; i tylko trwalszy — jak się zdawało — od światła gwiazd blask neonu przyciągał oczy.

— Co widzisz, wuju? — powtórzył chłopiec i szarpnął Franciszka.

— Miasto — powiedział Franciszek. — Miasto. Białe, jasne domy, ludzie wracają z pracy i śmieją się; teraz kilku chłopców pobiegło za piłką; teraz dziewczynka ze skakanką potknęła się niezdarnie. Neony. I światło. Światło, światło, światło... — Urwał, potem zapytał chłopca: — Gdzie tu mieszka malarz w waszym domu?

— Ten, co maluje dziadka?

- Dziadka?
- Dziadka z wąsami? Ten?
- Ten sam.

— Ostatnie drzwi — powiedział mały. A kiedy Franciszek odchodził, krzyknął za nim: — Przyjdź kiedy, wuju.

— Przyjdę — powiedział Franciszek. I pomyślał stojąc przed połyskującym słabo dzwonkiem: „Jeszcze jedno drzwi. Po co tu przyszedłem? Czego się spodziewam. Ty, tam za drzwiami nie możesz być inny. Po to przyszedłem. Nie ruszałem się wcale z domu; spojrzę tylko w lustro. To ja sam otworzę sobie drzwi. Zawrócić? Odejść?” Zapukał jednak. Mężczyzna w szlafroku długo wpatrywał się w jego twarz nim wskazał mu drogę. Milcząc przeszli przez ciemną sień a potem nagle Franciszek znalazł się w kręgu światła; jasnego, nieprawdopodobnego, wielkiego jak świat blasku, którym tamten rozświetlał swą pracownię. Zamknął oczy i usiadł machinalnie na podsunętym mu krześle. Dopiero po długiej chwili otworzył oczy; powoli i z wysiłkiem, jak człowiek, który gotuje się do przyjęcia bólu.

— Kawy? — zapytał malarz.

— Nie, dziękuję.

— Herbaty?

Pokręcił głową.

— Nie sprawiaj sobie kłopotu... — zaczął, ale malarz przerwał mu natychmiast.

— Stop — powiedział i władczo unióś rękę. — Każde słowo opóźnia naszą radość. To tylko formalności; w domu i tak nie ma odrobiny kawy i herbaty. Napijemy się wódki.

Pozostawił go w bolesnym blasku i odszedł. Przyniósł po chwili butelkę i dwie szklanki; postawił na ochlapanym farbami, surowym stole. Nalał podśpiewując cichutko.

— Zdrowie — rzekł i unióś szklankę.

— Zdrowie — powtórzył Franciszek.

Wypili; malarz natychmiast nalał.

— Za las — powiedział Franciszek i unióś szklankę; lecz malarz odstawił swoją.

— Dlaczego za las? — zapytał. — Za jaki las? Dlaczego za las, a nie, na przykład — siupla, nieustające zdrowie pięknych pań?

— Za las — powtórzył Franciszek. — Byliśmy obaj w lesie.

— Kiedy?

— Nie wiem kiedy — powiedział i zamknął oczy: niesamowity blask łupał mu głowę. „Czy blask ma kolor — pomyślał. — Ma. Biały. To jest właśnie biały blask”. — Podczas wojny — powiedział.

— Racja — rzekł malarz patrząc w denko szklanki. — Słuszna racja. Przecież jesteśmy bohaterami. Zapomniałem, przepraszam bardzo. Więc — najlepszego.

Trącili się.

— Najlepszego.

Zapalili papierosy; patrzyli na siebie z niedowierzaniem — nic nie znajdując, nic nie wskrzeszając; za oknem natrętnie szumiało miasto, skrzeczały koty na korytarzu: chłopięce głowy powtarzały nierównomiernym chórem: „Wujciu, odwiąż mnie. Ciociu, odwiąż mnie...” Nagle spojrzenia ich skrzyżowały się; i obaj naraz uśmiechnęli się z ulgą.

— Teraz przypomniałem sobie ciebie — powiedział malarz.
— Jesteś „Chudy”, tak?

— Tak — rzekł Franciszek. — A ty „Kronikarz”.

— Ale nas załatwili — powiedział malarz uśmiechając się radośnie. Gównu zupełne, ha?

— Gównu — powiedział Franciszek. — Po co tu przyszedłem, na Boga? Chciałem przecież jednego; żebyś był inny ode mnie, żebyś myślał co innego, żebyś powiedział co innego. Nie wiem; może chciałem coś powiedzieć i chciałem, żebyś mi odpowiedział plunięciem w pysk... — Obracał w rękach pustą szklankę, potem rzekł: — Warto by się już raz na zawsze umówić, że to naprawdę nie ma sensu. Właściwie mogę już iść.

— Ty już jesteś w tajnej policji?

— Nie. A ty?

— Ja też jeszcze nie.

— To ja mogę już iść.

— Właściwie możesz już iść — powiedział malarz. — Możesz już iść i nie chodzić dalej, bez względu na to gdzie chcesz iść. Nic innego nie usłyszysz naprawdę. Ale możesz spróbować oszukać samego siebie od początku. Może ci się uda. Wszyscy tak robią.

Rozglądał się po pracowni malarza i nagle zrozumiał skąd tu tyle jasności; wszędzie piętrzyły się stosy popiersi Wielkiego Nauczyciela; śnieżno-biały gips odbijał ostre światło żarówek; jednakowe, wąsate twarze patrzyły ze wszystkich ścian martwymi żrenicami.

— Chryste — wybełkotał Franciszek. — Skąd tu tyle tego?

— Na zamówienie — rzekł malarz. — Robota łatwa i czysta: gips, woda, forma. Idzie jak rzodkiewka. Mam takiego faceta: prowadzi tajną strzelnicę na peryferiach. My, Polacy, lubimy zawsze protestować... — Zanucił coś, potem westchnął i rzekł: — Z początku malowałem tylko premiera i Świętego Franciszka z Asyżu. Mało roboty, bo obydwaj są łysi. Ale z nim — podrzucił odlew w rękę — nikt nie wytrzymuje konkurencji. *Pin up girl* socjalizmu numer jeden. Dać ci jednego na pamiątkę?

Franciszek milczał. Siedział nieruchomo ściskając głowę pięściami. Z każdego zakątka pracowni patrzyła uporczywie martwa twarz. Znów ktoś przechodził korytarzem i znów rozległ się błagalny chór: „Odwiąż mnie, cioteczko”.

— Zawsze tak krzyczą?

— Nie — rzekł malarz. — Tylko do któregoś roku życia. Potem już potrafią pęłzać bezpiecznie.

— Nazywaliśmy cię „Kronikarzem” — rzekł Franciszek. — Pamiętam, że po wojnie miałeś namalować to wszystko, czym żyliśmy tam: las, walkę, człowieka, który zwycięża strach, i strach, który łamie ludzi. Sprawę życia i sprawę śmierci. Już wtedy robiłeś jakieś szkice.

— Guzik mnie obchodzi co było wtedy — powiedział malarz. — Szkice wyrzuciłem. Nie chcę o tym mówić. Jest dobrze tak, jak jest. Jeśli o mnie chodzi, może tak trwać wiecznie. Za dużo rozumiem, żeby się czymkolwiek zainteresować.

— Śmieszne — rzekł Franciszek. — Człowiek zawsze marzył o jednym: o świadomości. Na tym polegała jego wieczna walka. Marzył o jednym: żeby zrozumieć swój czas, swój cel, swoje miejsce, swój sens i swoją chwilę w wieczności. Teraz, kiedy jest najbliższy tego, świadomość jest jego głównym przeciwnikiem. Lepiej nic nie rozumieć — to choroba.

— No — rzekł malarz — to — śmierć. To gorsze od śmierci. To nadprogram. Nadprogram czegoś, czego nie było, czego się nie jest w stanie wziąć na serio... — Machnął radośnie butelką: — Napijesz się?

— Chętnie — rzekł Franciszek. Znów obracał w palcach szklankę i mrużył oczy: twarz raziła bezustannie i bezlitośnie. Patrzył w odrobinę wódki przelewającej się po płaskim dnie. — Tak się to wszystko zaczęło — powiedział. — Tak samo.

— Co?

— Moja sprawa. Mój koniec.

— Dopiero teraz?

— Dopiero. Ale to nie ma znaczenia. Ty także nie jesteś idiotą a mimo to żyjesz.

— Nie zwracam na to po prostu uwagi — powiedział malarz i uniósł szklankę. — Najlepszego.

— Najlepszego — powtórzył Franciszek. Wypił i odstawił szklankę. — Wiesz — powiedział. — Byłem parę dni temu u „Brzozy”.

— U „Brzozy” — powtórzył malarz ze zdziwieniem. Uśmiechnął się: — Teraz, o ile wiem, nazywają go „Konik”.

— „Konik”?

— Tak. Specjalność — śledztwo psychologiczne. Punkt wstępny: wchodzi na biurko i stamtąd skacze delikwentowi na zębra. Stąd przezwisko. Wali wyciorem w genitalia. Urządza białe noce i policyjne sądy. Figlarz. Ludzie srają ze strachu na samo wspomnienie.

— Ładne co mówisz — powiedział Franciszek. Uśmiechnął się. — On mi opowiadał takie wzruszające anegdoty — rzekł.

— Zgadza się — powiedział malarz. — Anegdoty też były. Z tym synem, tak?

— Z synem.

— No, dobrze. To pod tego syna. Można ci nalać jeszcze trochę?

— Proszę.

Wypili. Dzieci na korytarzu znów apelowały do czyichś kroków: „Cioteczko, odwiąż mnie”. Potem zaskrzeczał kot. Potem warczenie psa. Potem znów czyjes ciężkie kroki i dzieci: „Wujciu, to tylko na chwilę...”

— Może kawy? — zapytał po chwili malarz.

— Nie, dziękuję.

— A herbatki?

— Nie sprawiaj sobie kłopotów...

— Żaden kłopot — powiedział malarz. — Mam w domu tylko wódkę. Od pięciu lat nie wypilem ani kropli wody. Moje pytania to frazesy: powinieneś się przyzwyczaić. Przepraszam.

Wstał; powlókł się do któregoś kąta swej olbrzymiej pracowni i wrócił stamtąd niosąc nową butelkę. Chłopcy, koty i pies zaskrzeczeili jednocześnie. Malarz przystawił szklankę do szklanki i nalał niby w menzurki: bez milimetra różnicy.

— Za drzewa — powiedział malarz.

Otworzył oczy; nie rozumiał w pierwszej chwili ani jasności, ani słów tamtego.

— Za jakie drzewa?

— Las. Przecież byliśmy razem w lesie — niecierpliwie wyjaśnił malarz. — Przecież jesteście bohaterami. Przecież robiliśmy rewolucję, partyzantkę co chcesz. Zapomniałeś już o tym?

— Nie.

— Więc?

— Czy to wszystko się liczy?

— Niestety. Kretynom i zbrodniarzom nie udziela się kredytu. Bohaterom także. Wiesz kim jesteśmy?

— Nie. Ty?

— Też nie. Ale mnie to już nie interesuje. Jestem truposzem. Tak jak ty. Tak jak komunizm. I to wszystko. Myślę często o Hitlerze. Czegóż on w końcu dokonał takiego? Pewnie, że był kłopotliwy, ale w końcu cóż? Wymordował nie więcej osób niż to czyni w myślach każdy przyzwoity człowiek. Starał się o konsekwencje i był konsekwentny w granicach swojej głupoty. A w końcu się usrał jak każdy Zbawiciel. Spokój. Kropka. Wielki Nauczyciel dokonał rzeczy o wiele większych. Zbudował cmentarz. Od tej chwili przyszłe pokolenia będą się rodzić i żyć na cmentarzach. Widocznie do życia, do słońca idzie się przez groby. Mam to w dupie... — Pochylił się nagle do Franciszka i ze straszną siłą chwycił go za przegub. — Mów — syknął. — Jesteś już agentem tajnej policji, czy nie?

— Jeszcze nie. Ty?

— Też jeszcze nie. Sam powiem — kiedy. Więc nic się nie da zrobić? ?

— Nic. Trzeba by ocalić komunizm przed komunizmem. Ale ludzie nie obejdą się bez idei. Nigdy. Łatwo byłoby zdychać, gdyby to był już ostatni wielki mit ludzkości. Zdychać, dokonywać największych zbrodni po temu, żeby ludzie już nigdy nie uwierzyli w żadne słońce. Cóż z tego? Po jakimś czasie zawsze się znajdzie jakiś szaleniec, który chwyci ikonę i pobiegnie z nią przez miasto... — Roześmiał się krótko. — Gdybym urodził się jeszcze raz — powiedział — i chciał się zemścić na ludziach, stworzyłbym im nową ideologię. Poprowadzić tłumy ku słonecznym dniom przyszłości — to najwspanialsze.

— Tak musi być — rzekł Franciszek. — Żaden człowiek nie wytrzyma świadomości. Nie można nawet tego wymagać. Społeczeństwa trzymają się do kupy dzięki mitologii, nie dzięki świadomości.

— Więc — powiedział malarz — stwórz nową ideę. Każdy Chrystus przyda się ludzkości. Do krzyża wszystko jest w porządku, jeśli chodzi o wielkie idee; ale zmartwychwstanie — to już obłęd. Niestety, ciągle się powtarzam. Zresztą dzisiaj Chrystusa zgnoiliby psychologicznym śledztwem. Miernik postępu. Piję za próchniejące krzyże. Wiwat.

— Wiwat.

Kołysały się im już głowy i narastał groźny blask; siedzieli w środku miasta; w sercu konającej w brudnych kałużach nocy, otoczeni i przygwożdżeni martwym spojrzeniem dziesiątków oczu, i Franciszkowi wydało się nagle, że prócz tej jednej, sztywno uśmiechniętej twarzy nie widział nigdy żadnej innej — on, malarz, Elżbieta, chłopcy skowyczący bezustannie na korytarzu; wszyscy ludzie pętający się pod słońcem tej ziemi — wyglądają tak samo. Tak wygląda człowiek i jego sprawa; nadrzędna sprawa tej nieszczęsnej istoty — sprawa wierności i sumienia, w którą wyposażył ją Bóg, Diabeł czy Natura, aby jeszcze bardziej kruche, trwożniejsze i cięższe stało się jej życie, zawsze i bez względu na okoliczności będące cmentarzem: wzdłuż, wszerek i wpoprzek obojętnej ziemi.

— Nie — powiedział. — Nie to wszystko jest najgorsze. Jeśli żyję, to znaczy, że decyduję się na to i nie powinienem pisać. Można przejść przez każde piekło, można przeżyć każdą tyranię, można wydostać się z każdego bagna i z każdej udręki, jeśli istnieje choć odrobina pewności, czy choćby nadziei, że gdzieś istnieje człowiek, który chodzi tak samo jak ty, oddycha tak samo jak ty; tak samo cierpi, poszukuje czy walczy pozostając czystym. U nas nikt nie może mieć tej nadziei. U nas, między nami, umarło serce świata. Tu skończył wielki, biedny mit. Nie gdzie indziej, ale właśnie tu; tu, gdzie zwrócone są oczy wszystkich nieszczęśliwych i sponiewieranych. Tu umarło zaufanie świata. Nadzieja. Wszystkie słowa. Wszystkie pojęcia. Wszystkie marzenia o wyzwoleniu człowieka. Masz rację: to cmentarz. To jest najgorsze. Z czego brać siłę?

— Jak to z czego? — powiedział malarz. — Z tego, że znajdują się nowi krety. To jest właśnie najgorsze. Chcesz pociechy?

— Tak — powiedział Franciszek. — Chcę pociechy.

— Ale pociechy nie ma — rzekł malarz. — Gdyby istniało coś bardziej kretynskiego, świńskiego i niepotrzebnego niż ludzkie życie — może to by była jakaś pociecha. Niestety, dotychczas nic takiego nie odkryto, ale ludzkość czeka na swój wielki dzień. Na razie wymyślili sobie wieczność, tę z kupą trupiego gnoju. Pchaj się tam, jeśli cię to bawi. Wszyscy przecież tam idziemy, a zawsze jest tak, że człowieka wobec wieczności ustawia się kopniakiem w tyłek. Taki jest sens chwały i sławy.

— A gdybym znalazł — powiedział Franciszek. — Gdybym znalazł choćby jednego spośród naszych, który myślałby inaczej?... — Wpatrzył się w malarza gorącymi oczami — A Jerzy? — zapytał cicho.

— Co — Jerzy?

— On myśli tak samo?

Umilkli obaj; i zrobiło się nagle cicho i uroczyście. Za oknem — niewidoczne i powalone w mroku, niby groźny owad brzęczało miasto. Po suficie szybko przelatywały cienie i światła; monotonnie skrzypiał piec; a oni obaj — Franciszek i malarz, uczyli nagle obecność czegoś wielkiego; czegoś, co jest wierne i uroczyście; coś, jakby wieczność pochyliła się ku nim swą obojętną, nikomu do końca nie ukazaną twarz.

— Tak — rzekł wreszcie malarz. Pochylił do przodu swą ogromną głowę i wpatrywał się w splecione na kolanach, farbami przeżarte ręce. — Może on jest inny? Tacy jak on nie giną. — Poderwał nagle głowę. — Słuchaj — rzekł. — Idź do niego. Idź już zaraz, nie zwlekaj. On jeden może ci pomóc. On był najlepszym z nas. Najczystszy. Jemu jednemu możesz zaufać. Idź.

— Chodź ze mną — powiedział Franciszek.

Patrzył na niego badawczo i widział jak w oczach tamtego — krótki niby ruch skrzydła — zapalił się błysk. Trwało to chwilę; potem znów oczy jego upodobniły się do oczu posągu.

— Nie — powiedział. — Nigdzie nie pójde... — Wskazał ręką na błyszczące popiersia. — Mam zamówienie, muszę pracować. To jedyna nadzieja.

— Co?

— Doczekać — rzekł malarz. — Doczekać i widzieć jak ludzie będą jawnie rozwalać moje wstrząsające dzieło. To jedno. Adieu.

— Co mu powiedzieć od ciebie?

— Ode mnie? O mnie?

— No?

— To przecież jasne, Franciszku — powiedział malarz. — To przecież jasne. To samo co o nas wszystkich. Że zdechłem. Do widzenia. Przyjdź kiedy na dobrą herbatę.

Franciszek wyszedł. Znow kroczył ciemnym korytarzem; piszczwały koty i psy; i szedł zataczając się w kurzu i mroku — kolejno wyszarpując z dziecięcych rąk nogawkę swoich spodni.

XV

— Czy to dzisiaj niedziela? — zapytał Franciszek.

— Nie — rzekła Elżbieta. — Dopiero piątek.

Odłożył aparat do golenia i odwrócił się do lustra.

— Więc dlaczego nie idziesz na wykłady? — zapytał.

Milczała pochyliwszy głowę. Oczy miała podpuchnięte i obwiedzione sino; twarz jej w ciągu ostatnich dni dziwnie zmaląa i poszarzała a kąciki świeżych ust opadły w dół. Podeszedł do niej bliżej i stał bezradnie. Czekał na jakiś gest z jej strony, lecz siedziała nieruchoma z jakimś nieznanym mu dotąd wyrazem wrogości.

— No.

— Nie mam dzisiaj wykładów — powiedziała. — Ani dziś, ani jutro... — Chciała wstać, lecz przytrzymał ją za rękę.

— Córeczko... — zaczął.

Odepchnęła go wtedy z niespodziewaną siłą jakby ten pieszczotliwy wyraz był jej szczególnie wstrętny.

— Odejdź.

— Co się stało?

— Nic się nie stało — krzyknęła. — Cóż się jeszcze mogło stać. Daj mi tylko święty spokój.

Wyszedł nie jedząc śniadania; głodny, niestaranie ogolony człowiek. Wciąż jeszcze nie było znaku wiosny; od tygodni padał deszcz ze śniegiem, od tygodni miasto nasiąkało wilgocią — szczególnie jakąś brudną, wstrętną i nie do zniesienia, gdyż gałązki anemicznych, miejskich drzew pozostały twarde i suche; po szarym niebie pętało się bezcelowo tłuste oko słońca — niepotrzebne i budzące gniew. „Co jest z tą wiosną” — myślał idąc z zadartą głową. — „Czy miałem już kiedyś taką wiosnę?” Zobaczył na rogu automat telefoniczny; za szklaną taflą nie było nikogo, wstąpił. Nakręcił numer i znow usłyszał ten sam kobiecy głos.

— Czy mogę mówić z Jerzym?

— Kto prosi?

— Kowalski — rzekł. — Franciszek Kowalski. Więc Jerzy już wrócił?

— Proszę chwilę poczekać — rzekła kobieta i odłożyła słuchawkę. Czekał z rozkołatanim sercem. Wreszcie kobieta powróciła. — Jerzy jest trochę niezdrowszy — powiedziała. — Czy może pan przyjść po południu?

— Tak — powiedział — oczywiście. Przyjdę zaraz po pracy. Do widzenia.

— Hallo — rzekła kobieta nagle ściszym głosem. — Chwileczkę. Czy pan mnie dobrze słyszy? Jerzy jest trochę niezdrow. Jerzy źle się czuje. Proszę o tym pamiętać. Pan mnie rozumie, prawda?

— Tak — rzekł — naturalnie, w taką pogodę. Do widzenia, przyjdę zaraz po pracy.

Odłożył słuchawkę i wyszedł; znów biegł do pracy razem z tłumem podnieconych i rozzłoszczonych ludzi — wymyślano sobie, deptano po nogach; ktoś głośno obiecywał zadenuncjować konduktora; ten odszczekiwał się zgrzytliwym tenorkiem z drugiego końca wagonu: — Pan utrudnia ludziom pracę. — A ja pana mam... — A pan mnie może w... — Franciszek patrzył w przesuwające się za oknami wagonu szare, wilgotne mury i myślał: „Wiosna, wiosna...” — Pan jesteś bosi... — krzyczał ktoś tęgi wymachując teczka nad głowami pasażerów. — Pan to rozumie? — A pan? Radziecki uczony. — Ludzie skłębieni na pomoście zaskowyczeli nieśmiało ze szczęścia. — Co jest? — odezwał się nagle świeży, znajomy głos. — Komu się nie podoba? Powiedzcie szczerze: podoba się wam, czy nie? „Jesteś” — pomyślał z ulgą Franciszek. — „Jesteś, czekałem przecież na twój głos. Musiałeś przyjść, mój ptaku burzy...” Tramwaj zahamował; Franciszek wspiął się na palce i wyjrzał — milicjant z grupką aresztowanych kroczył już po chodniku.

Potem zawyla syrena; i nie mógł w żaden sposób doczekać się powtórnego jej ryku oznaczającego koniec dnia pracy; a kiedy wreszcie usłyszał basowy jej głos — biegł pierwszy przez podwórko, ogłuszony łoskotem własnego serca, który nie umilkł nawet wtedy, kiedy stał już przed drzwiami mieszkania Jerzego; stał z opuszczoną ręką, nie mając siły podnieść jej do dzwonka; milczał, porażony niemocą przed ostatnimi drzwiami tego miasta; milczał nawet wtedy, kiedy gospodyni pomagała mu ściągać palto w przedpokoju i nie słyszał nic z tego, co mówiła do niego prowadząc go przez przedpokój — dziwnie długi był to przedpokój, i jakiś bardzo staroświecki, i ciemny; pełen szaf, kufrów i jakichś piekielnych chodników, które utrudniały chodzenie zwijając się w złośliwe naleśniki pod nogami. Wszedł wreszcie do pokoju.

— Jerzy — powiedział. — Jerzy.

Łzy przesłoniły mu oczy i nie widział stojącego przed nim mężczyzny, który także coś głośno mówił i potrząsał mocno jego ręką. Nie wstydził się swoich łez i swojego bełkotu; miał pewność, że osiągnął wreszcie jakiś kres, że ukończył swoją wędrówkę i że osiągnął spokój; nie wiadomo jaki, lecz spokój. Wreszcie oprzytomniał i spojrzał na tamtego; stał przed nim wynędzniały szkielet o zapadniętych policzkach i oczach bez krzty blasku, w ubraniu jakoś żałośnie za dużym — chude rę-

ce sterczały śmiesznie w szerokich rękawach; był to on i nic poza tym nie miało już znaczenia. Usiedli bełkocząc i klepiąc się po kolanach.

— No, Franciszku — rzekł Jerzy. — Mów, co u ciebie słychać.

— Jerzy — rzekł Franciszek. — To nie zabrzmiało mądrze. Ja nawet nie wiem jak to powiedzieć. Wiem tylko, po co przyszedłem do ciebie. Daj mi jeszcze to, co dałeś mi kiedyś. Kiedyś — w lesie. Kiedyś, kiedy zdychałem.

— Co, „Chudy”!

Uśmiechnęli się do siebie patrząc wprost w swoje twarze i Franciszek drgnął: siedzący naprzeciwko szkielet, odsłonił w uśmiechu starcze, bezzębne dziąsła.

— Co, „Chudy”? — powtórzył dowódca.

— Wiare. Wiare w cokolwiek. Choćby w to, że jesteś taki sam.

— Jestem taki sam — powiedział Jerzy. Powiedział to za szybko; spojrzał w jego oczy i dostrzegł strach. Może to nie był strach; ale mogło to być wszystko, prócz wiary. Uśmiechnął się i rzekł:

— Nie jesteś taki sam.

— Wiare — rzekł Jerzy. Wstał, i podszedł do Franciszka, i położył mu na ramionach swoje chude ręce. — Gdzie twoja wiara — powiedział patrząc na niego surowo. — Gdzie twoja wiara, Franciszku? Czy nic nie widzisz?

— Widzę — rzekł Franciszek. — Gdziekolwiek się tylko nie odwrócę, widzę rzeczy, przeciw którym człowiek powinien wstać i walczyć. O ile istnieje jeszcze jakaś walka i jakiś sens.

— Ja widzę co innego — powiedział Jerzy patrząc w kąt pokoju. Potem począł mówić bardzo szybko krztusząc się śliną. — Ja widzę wyzwolonego człowieka. Człowieka, który zwyciężył samego siebie i wyrzekł się samego siebie. Nie ma innego zwycięstwa. To sens ostateczny: zwyciężając nie myśleć o sobie. Każdy zwycięzca musi najpierw zabić siebie... — Odwrócił się i Franciszek spostrzegł z przerażeniem, że łzy spływają po jego zapadniętych policzkach. — Człowiek — wybełkotał Jerzy wznosząc obie pięści nad głowę i potrząsając nimi bezradnie. — Człowiek, wszędzie był człowiek. Na biegunie, na końcu świata, na szczytach i w głębinach morza. Wynałazł tabliczkę mnożenia i stos atomowy; film i radio; maszynę parową i preparat sześćset sześć; był w obozach koncentracyjnych, w krematoriach, w masakrach, a mimo to żyje, odradza się, rozmnaża. Oto życie, oto zwycięstwo. A ty pytasz o wiare. Gdzie twoja wiara, bydlaku? — krzyknął dziko. — Gdzie twoja wiara? Ja jestem taki sam; byłem, jestem i będę tylko takim, jakim znałeś mnie zawsze. Znowu mi nie ufacie. Znowu przysyłacie szpicli w mój dom. — Teatralnym gestem wyciągnął rękę i pokazał na drzwi. — Won — krzyknął. — Nie chcę was widzieć. Nie chcę ni-

kogo widzieć. Zrobiłem, czego ode mnie żądaliście, a teraz dajcie mi spokój... — Stał chwilę niemy jak posąg, a w następnej chwili rzucił się przed Franciszkiem na kolana. — Przebaczone — szepnął. — Wiem jeszcze dużo. Wiem wszystko i mogę być pożyteczny. Wiem co myślą — wszyscy, wszyscy, wszyscy. Wtargniemy w każdą myśl, w każdy uczynek, w każdy zakamarek mózgu; nawet w taki, gdzie rodzą się myśli płochy. Ale to nieprawda — krzyknął. — Nie ma myśli płochych. Można myśleć tylko tak, jak my tego chcemy, albo nie myśleć wcale. Nie trzeba innych myśli. Dostyc już było myśli, z których nic nie wynikało. Teraz trzeba zwyciężyć. — Pocałował Franciszka zaślinionymi wargami w rękę. — Zwyciężymy — pisał. — Zwyciężymy wszystko. Trzeba tylko zmienić niektóre rzeczy. Wtargniemy nawet w sny; z głupich snów też mogą wyniknąć komplikacje dla sprawy. Trzeba zwyciężyć sny — krzyknął z piekielną siłą zaciskając swoje trupie palce na ramieniu Franciszka. — To teraz będzie naszym zadaniem. A teraz śpiewaj.

Zaśpiewał piskliwie patrząc na Franciszka zmętniałymi oczami:

„Bóg to jest nasz ostatni...”

Śpiewał. Ramiona drżały mu konwulsyjnie, łzy przeciekały przez palce którymi osłonił starczą twarz. Wyglądał ohydnie; jego siwa głowa trzęsła się żałośnie na czerwonej, cienkiej szyi. Franciszek siedział zdrętwiały i pół przytomny z przerażenia. Ktoś szarpnął go za ramię.

— Niech pan już wyjdzie — powiedziała kobieta. — Proszę już wyjść.

Ubierał się w milczeniu.

— Pan nic nie wiedział?

— Nie.

— Był aresztowany — rzekła. Dwa lata. Przestuchiwali go po swojemu. Nawet mnie nie chce powiedzieć jak to było. Każdego, kto tylko przyjdzie do domu, podejrzewa że jest stamtąd. Dlatego ma te straszne ataki... — Zbliżyła się do niego. — Pan naprawdę nie wiedział, że on jest...

Zawahała się.

— Nie tylko on — powiedział Franciszek. — Wszyscy. Proszę mu nigdy o mnie nie wspominać.

On przecież i tak nie rozumie — rzekła.

— Tym lepiej dla niego. Dobranoc.

XVI

Wchodził już na schody kamienicy, kiedy ktoś zawołał za nim:

— Hej, obywatelu Kowalski.

Przystanął. Był to stróż; wymizerowany człeczyna w granatowej, postrzępionej kurtce. Stali w milczeniu i spoglądali na siebie: obrzękła gęba stróża zdradzała wstydlive zakłopotanie. O kilka klatek schodowych wyżej, jacyś dwaj mężczyźni nieśli coś dużego i ciężkiego; hałasowali i jeden stale krzyczał do drugiego: „Stefan, bokiem...”

— O co chodzi? — zapytał Franciszek. I nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył: — O co chodzi, obywatelu gospodarzu kolonii?

Stróż patrzył jeszcze przez chwilę psimi oczyma, potem zawrócił na pięcie i wszedł do dyżurki. Franciszek wzruszył ramionami i począł wchodzić na górę. Zdziwił się: mimo późnej dość godziny, przed wszystkimi niemal drzwiami stali mieszkańcy kamienicy: kobiety w szlafrokach, mężczyźni w opadających spodniach; jacyś staruszkowie, studenci; zawieruszył się nawet skądś pijany żołnierz; wszyscy szeptali i gestykulowali gorączkowo a ich rozbiegane oczy zdradzały najwyższe podniecenie; kiedy jednak Franciszek przechodził szeptu milkły i ludzie usuwali się w cień. Na którymś półpiętrze jakiś starszy pan gorączkował się nie mogąc otworzyć okna, szarpał bezsilnie mosiężną klamkę, powtarzając ze złością; „Młodzi, młodzi...” „Skąd ci ludzie — myślał sennie Franciszek. — Skąd tylu ludzi w tym domu?” Mijał ich ciągle, rozpychał się łokciami; mieszkał wysoko i siedł bardzo wolno; był zmęczony, tak zmęczony, że słodkawy zapach gazu poczuł dopiero w ciemnym korytarzu prowadzącym do jego drzwi; do wywalonych siłą, krzywo wiszących na jednym zawiasie drzwi, z których wychodził człowiek w gumowym fartuchu z maską na twarzy.

Elżbieta leżała na boku; skurczona i zwinięta jakoś dziwnie jak postrzelony ptak. Żyłu obu rąk miała otwarte w dwóch miejscach; poniżej łokcia i powyżej przegubu. Lekarz kończył pakować swoje przybory; dwaj pielęgniarze stali obok trzymając maski w opuszczonych rękach. Krew już zastygła i zesztyniała; wiatr wpadał przez wybitą szybę i targał firanką. Lekarz spojrzął na Franciszka i rzekł:

— Jakieś dwie godziny temu.

Kiwnął głową. Pewnym krokiem zbliżył się do stołu; wziął kopertę i rozerwał ją. „Wybacz — napisała — ale to najrozsądniejsze co mogłam uczynić. Wyzucono ciebie z partii — i Mikołaj odszedł z domu; Mikołaj odszedł z domu — i mnie wyrzucono ze studiów, gdyż nie ma sensu, aby studiowały dzieci ludzi, których usuwa partia. Rozesłam się z Romanem, dlatego, że on sam złożył samokrytykę, iż żył z córką takiego człowieka jak ty. Nie chcę, aby ten łańcuszek doszedł do mojego dziecka, a już za późno, aby go się pozbyć w inny sposób. Pieniądze są w kredensie. Praczka przyjdzie we wtorek. Żegnaj”.

Lekarz zapytał:

— Pojedzie pan z nami do kostnicy?

— Do kostnicy? — ze zdziwieniem powtórzył Franciszek. — Nie.

— Co mogę dla pana zrobić? Może jakieś środki uspakajające?

— Och — rzekł z rozdrażnieniem — niechże pan da spokój... — Podeszedł do łóżka i patrzył na sztywną twarz Elżbiety: łóżko stało blisko otwartego okna, wiatr unosił firankę, i wtedy, w mlecznych żrenicach Elżbiety migotał czerwony blask. — Skąd ten blask — mruknął Franciszek. Zwrócił się do lekarza: — Pan jest pewny?

— Niech się pan postara zasnąć — powiedział lekarz. — Jutro będzie pan musiał załatwić formalności.

— Dobrze — powiedział Franciszek. — Ale jutro.

— Oczywiście.

Jeden z pielęgniarzy rzekł:

— Musieliśmy wybić szybko — i machnął trzymaną w ręku maską. A drugi dodał: — Naprzeciwno jest szklarz. Ja tam mieszkam. Zapisać panu adres?

— Dziękuję — rzekł Franciszek. — Będę pamiętał. Naprzeciwno?

— Tak.

Wyszli uginając się pod ciężarem; lekarz uśmiechnął się głupkowato i także wyszedł; jeszcze przez chwilę słyszał ich kroki na schodach i pomruk ludzkich głosów; potem przeciąg zatrzasnął nieodmknięte przez nich drzwi. Podniósł kołnierz palta i podeszedł do okna; znów wtargnął wiatr unosząc firankę i wtedy Franciszek zrozumiał skąd pochodził czerwony blask w oczach Elżbiety. Neon płonął zwycięsko i pewnie; wstawiono już nawet brakującą literę; na brudnym, bezgwiezdnym niebie, ponad ciemną masą wilgotnego miasta, drżały olbrzymie litery; tym razem odczytał je starannie, od początku do końca, jak rzecz widzianą po raz pierwszy i nie poznaną dotychczas przez nikogo.

XVII

Długo nie nadchodziła wiosna tego roku; chłody i deszcze dręczyły miasto; i fakt, że święto pierwszego maja wypadło w pierwszy wesóły i ciepły dzień, stał się czymś dodatkowo radosnym i uroczystym — powoływali się na to sprawozdawcy radiowi i prasowi. Już od rana ulice zapelnione były ludźmi — ożywionymi i odświętnie ubranymi; na wielkich placach formowały się pochody; z tysięcy zainstalowanych gigantofonów huczały dziarskie marsze i masowe pieśni; w barwnym tłumie pawimi kolorami migotały regionalne stroje: czarne kity na górniczych czapkach, marynarskie kołnierze i fantazyjne stroje hutników, którzy za kolorowym szkłem masek kryli swe rozrado-

wane twarze. Wiatr łopotał w transparenty i girlandy a słońce zdążyło już zaróżowić twarze stojących od rana ludzi — był to doprawdy piękny dzień. Wreszcie — o godzinie dwunastej, którą uroczyście wydzwoniły zegary miasta — pochód ruszył.

Zapijaczony człowieczek w lichym ubranku stał na brzegu zatłoczonego chodnika. Wpatrywał się z napięciem w maszerujących dziarsko ludzi i półgłosem odczytywał transparenty: „W odpowiedzi na atomy — budujemy nowe domy”, „Człowiek — nasze najwyższe dobro”, „Klasa robotnicza — hegemonem narodu” itd. Zapijaczony człowieczek zacierał ręce i śmiał się cichutko, lecz radośnie; wspinał się na palce, wsadzał głowę pod pachę ludziom stojącym przed nim; a kiedy w tłumie maszerujących zobaczył grupę pracowników zakładów samochodowych „Lepsze jutro” — począł klaskać tak silnie, że wzbudził powszechne uznanie i sympatię. Istotnie, grupa pracowników „Lpszego jutra” prezentowała się imponująco; nieśli olbrzymi model samochodu, jednakowo ubrani w granatowe kombinezony; a jeden z manifestujących prowadził nawet na smyczy wspaniałego airdelterraiera; piękny pies miał zawiązaną na łebku czerwoną kokardkę i kunsztownie wykonany kaganiec na rasowym pyszczku. Człowieczek ogarnięty euforią, klaskał tak mocno i z takim zapalem, że w pewnym momencie zachwiał się ze zmęczenia, zatoczył i wpadł na jakiegoś człowieka stojącego z tyłu; człowiek ten spokojnie, lecz stanowczo przywrócił kolaniem poprzednie miejsce zapijaczonemu.

— No — powiedział z oburzeniem człowieczek. — Tylko się nie pchać.

— A co — rzekł świeżym głosem człowiek z tyłu — może wam się nie podoba? Powiedzcie szczerze: podoba się wam, czy nie?

Człowieczek odwrócił się jak porażony prądem: stał przed nim dorodny zdrowy milicjant w galowym mundurze. Sprzączki jego pasa, skuwka daszka od czapki, kłamra, mosiężny wycior pistoletu, świeża skóra pasa i butów — wszystko to lśniło aż do bólu oczu w wiosennym słońcu. Człowieczek uśmiechnął się radośnie.

— I pan tutaj? — zapytał.

— Ma się rozumieć — odparł milicjant i lekko popchnął kolaniem człowieczka; tym razem człowieczek posunął się bez protestu i nawet uchylił rondo zatłuszczonego kapelutka.

— Tak — rzekł człowieczek — tak... — Zatarł radośnie brudne ręce i znowu powtórzył: — Tak, tak... Pan mnie pamięta, ma się rozumieć?

Milicjant popatrzył na niego krótko i uśmiechnął się z wyższością.

— Zakłócenie spokoju publicznego w nocy — powiedział. — Ja doprowadzałem.

— O — rzekł człowieczek — właśnie: pan doprowadzał. Zgadza się: pan sam. To znaczy: we własnej osobie. Bo był z panem także drugi milicjant. Prawda?

— Zachwiał się znowu, lecz kolano nadało jego postawie godność.

— Tak jest — rzekł milicjant. — A bo co? Nie...

Człowieczek przerwał mu ruchem ręki.

— Wszystko — rzekł. — Wszystko jest prawidłowo. Zdaje się, że wtedy to wszystko powiedziałem. Inaczej musiałbym maszerować razem z tymi tutaj. A tak, spokojnie sobie stoję, jak pan widzi. Tym bardziej, że to dość długi pochód jak pan widzi: na przędzie rozstrzeliwują a ci z tyłu nic nie widzą i śpiewają.

— No to co? Po cholere...

— Tak — rzekł człowieczek — oczywiście. Mówiłem wam to przecież wtedy, mój drogi: i zbrodnie, i wypaczenia, i ideologia przemieniająca się w totalizm, wszystko to razem nie działa na niczyją szkodę. Dramat człowieka jest nieprzekazywalny: podczas gdy jedno pokolenie dojrzewa i nabiera doświadczeń, historia produkuje już następne pokolenia beztroskich, którzy ochoczo włączają się do szeregu. Może pan być spokojny: będzie pan miał zajęcia do końca swoich dni. Mówiłem panu przecież wtedy.

— Kiedy? — zapytał milicjant. — Kiedy?

Człowieczek pogroził mu palcem i zachichotał.

— Figlarz, figlarz... — zaśmiał się nagle. — A ja, wie pan — rzekł — jednak sobie trochę zamieszałem w życiu przez to.

— Przez co?

Człowieczek rozzłościł się nagle.

— Jak to: przez co? — zawołał z gniewem; znów kolano przytrzymało go na miejscu. — Przez to, co mówiłem wtedy. Mówiłem to wszystko wtedy panu i innym na komisariacie. Co pan myśli? Ten pochód, radosne twarzyczki? Właśnie tak powinno być, i uważam że wszystko jest prawidłowo, wszystko — jak powiedziałem. Każda tyrania kończy się mniej więcej tak, jak uroda kobiety; im wspanialsza fasada — tym więcej zgnilizny od środka; im piękniejsza suknia — tym plugawsze ciało; im więcej słów o sile i wierności — tym więcej terroru, tym słabsi są ci, którzy rządzą. Kurwy i tyrani kończą tak samo — że też pan nie rozumie najprostszych rzeczy. A tu się przecież wszystko zgadza jak w łamigłówce. O co panu chodzi, czego panu brakuje? Nadziei? Masz pan nadzieję: tę świadomość, że tysiącami innych tak pomiatają i pogardzają jak mną; że ci, którzy rodzili się przed nami, byli tak samo pomiatani i dręczeni; i że ci, którzy urodzą się po nas, również przejdą przez to samo co i my. Daje to panu satysfakcję? Ile razy mam to panu mówić, he?

— Czekaj pan — rzekł milicjant i potarł czołko. — Ale kiedy pan mi to mówił?

— Wtedy — rzekł człowieczek — wtedy wam to wszystkim mówiłem. Wtedy, czy teraz; wcześniej, czy później — jakaż różnica? Zawsze znajdzie się ktoś, kto pewnego dnia zrozumie zbyt wiele i będzie musiał zginąć. A jeśli nawet nie zrozumie, to zawsze trzeba będzie znaleźć jakiegoś człowieka, zadenuncjować go i oskarżyć, za nic i dla niczego; którego będzie się ścigać i dręczyć, którego w końcu złapie się i straci; któremu każe się śpiewać hymn na cześć zabijających; i trzeba to będzie zrobić choćby dlatego, aby innym członkom społeczności nie przyszła pewnego dnia ochota pomyśleć sobie, iż to oni potrafią decydować o innych. Tak powinno być i co u diabła pana tutaj dziwi? Czym jest w końcu człowiek, ze wszystkimi swoimi cierpieniami, pragnieniami, miłościami? Wiecznym nonsensem w nieskończoność. Żeby go ocalić od świadomości, zawsze trzeba będzie znaleźć jakiegoś Franciszka.

Na zdrowej twarzy milicjanta malowała się bezgraniczna rozpacz.

— Jakiego Franciszka? — zapytał ocierając pot z czoła. — Świętego Franciszka z Asyżu?

— Nie — rzekł człowieczek i tupnął ze złością nogą. — Mówiłem wam już wtedy, że nie ma bohaterów i świętych: jest tylko konieczność, która w danej chwili wycisnie z człowieka to, co trzeba. Po co zaraz święty? Wystarczy Kowalski. Z każdym Kowalskim można zrobić to co trzeba, w tę lub w tamtą stronę, jeśli tylko zajdzie po temu potrzeba.

— Panie — rzekł milicjant. — Komu pan to wszystko mówił? Powiedz pan, bo ja wejdę do bramy i się zastrzelę. Mów pan — krzyknął łzawym głosem — bo mnie już wszystko jedno.

— Panu — rzekł mściwie człowieczek.

— Mnie?

— Panu i innym. Wtedy, na komisariacie.

— Jesteś pan idiota, jakiego w życiu jeszcze nie widziałem — rzekł milicjant i na jego twarzy odbiła się kolosalna ulga. — Pan nic nie mówił i dlatego żeśmy pana puścili. Pan był spokojny i greczny i dlatego wszyscy żeśmy do pana podeszli z sercem. Widzieliśmy — człowiek partyjny, greczny, spokojny — więc postraszyło się pana trochę i rano puściło do domu. Nasz szef komisariatu z każdym tak robi, żeby to nawet była zasrana prawiczka od komunii świętej. Jak przejdzie przez próg komisariatu, to musi się bać, żeby tam nie wiem co. Strasz było się dla pańskiego dobra; żeby się na drugi raz uspokoić, posadki nie stracić, żeby legitymacji nie odebrali. Rozumie się?

Franciszek milczał.

— Więc nie mówiłem nic — rzekł w końcu.

— Ani jednego słowa. To znaczy: pipi i tak dalej. Ale nic złego.

— I jestem niewinny?

— Jasne. Pana się wypuściło, protokół do kosza — i cześć. Pomaga się ludziom jak się może. Każdy wie, że o dupę potłuc tę całą zabawę i nikomu nic pan nie potrzebowałeś tłumaczyć; jakbyś pan chciał coś tłumaczyć — to by się panu dało w ryj, i do izolatki. Wracaj pan do domu i nic się pan nie przejmuj.

— Nie ma już domów — rzekł po chwili Franciszek. — Są tylko cmentarze... Więc wszyscy kłamali, to jednak zabawne. I wy, i mój sekretarz, i Jerzy. Ale teraz to już nie ma znaczenia: prawda okazała się głupsza niż przypuszczałem.

— No, no — rzekł milicjant. — Nie podoba się wam może? Zmierzyli się wzrokiem.

— Nie — rzekł Franciszek.

— Nie?

— Nie.

— Naprawdę nie?

— Naprawdę nie.

Wyprostowali się obaj; i obaj naraz poczuli ogromną ulgę; po raz pierwszy od wielu chwil; stali bez ruchu patrząc na siebie — czyści i spokojni; spokojni jak zwykle, kiedy zaczyna się coś ważnego.

— Idziemy — powiedział milicjant.

— Idziemy — powtórzył Franciszek.

Wkroczyli w tłum; rozradowani ludzie rozłączyli ich na chwilę. Franciszek rozejrzał się; błyszcząca czapka milicjanta mignęła gdzieś z boku. Rzucił się ku niemu.

— Daj mi rękę! — krzyknął. — Daj mi rękę, bo znów się zagubię!

1955-1957.

NASTĘPNY DO RAJU

GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC

Gęsty śnieg padał już od czterech dni. Zmniejszał prawie do zera widoczność i natychmiast zasypywał wszelkie ślady; kroki, tropy, odciski protektorów — wszystko umierało natychmiast, zmiecione wielką, białą łapą. Ludzie, którzy szli gęsiego wschodnią przełęczą Wężowego Jaru, potykając się i wpadając na siebie, już od wielu godzin na próżno wytrzeszczali oczy, starając się dostrzec cokolwiek w dolinie. Byli zmęczeni i zziębnięci; śnieg oblepił ich buty wielkimi bryłami i zdawało im się, że każdym krokiem ciągną za sobą tony; klątwy ich brzmiały tak słabo, iż po jakimś czasie zaprzestali — nie dawało im to żadnej satysfakcji. Szli w milczeniu kołysani znużeniem i wiatrem. Szarzało już, kiedy przystanęli.

— Marna historia — powiedział Warszawiak. Zdjął czapkę z głowy i otrzepywał ją przez chwilę o kolano. Teraz, bez nakrycia głowy, wyglądał o wiele młodziej; miał cwaniacką twarz, szerokie usta i długie, w kant na karku przyszczyżone włosy, które trzymały mu się kupy niepojętym cudem. Założył z powrotem czapkę i przytknięciem przesunął ją na tył. — Marna historia — powtórzył. Przysiadł na pniu i wyciągnął swobodnie nogi. — Nie znajdziemy go dzisiaj. Za godzinę będzie już ciemno. W taki dzień można się klepać po tyłku, a nie szukać wozu.

Wyjął paczkę papierosów i podał dwom pozostałym; prze-miękły i nie chciały się palić. Ssali przez chwilę mokry tytoń klnąc i marnując zapalki, potem odrzucili je w śnieg: zniknęły prawie natychmiast.

— Nic z tego nie będzie — powiedział Warszawiak.

— Jeśli nie znajdziemy go dzisiaj — rzekł Orsaczek — do jutra zostaną z niego kosteczki. Wilki rozciągną go w nocy.

— I tak pošlemy go wdowie w puszcze od konserw — powiedział Dziewiątka. Skrzywił się; grymas nadał jego ciemnej twarzy wyraz przebiegłości. — Będzie go musiała pompką od roweru pakować do trumny. Ten, który zwał się dwa tygodnie temu na przełazie, był potem jak mały karzełek. Nawet chyba wagi mu ubyło.

— Jedziemy do domu — powiedział Warszawiak. Wstał gwałtownie. — Do cholery z tym wszystkim. Przyjechałem tutaj, żeby wozić drzewo, a nie po to, żeby bawić się w grabarza. Chowałem już tu dwóch truposzów, trzeci może mi przynieść pecha.

— Może sam nim zostaniesz? Wtedy nie będziesz miał kłopotów.

— Spójrzcie tam dobrze w dół — odezwał się nagle Orsaczek. — Czy to czasem nie on?

Wszyscy trzej położyli się na skraju przepaści. Kilkadziesiąt metrów pod nimi, między kępą uschłych drzew, leżały szczątki samochodu. Wiatr szedł doliną i zdmuchnął na chwilę śnieg z kupy żelastwa. Widzieli pogiętą ramę, potrzaskane dyferencjały a nieco dalej koła, które oberwały się z piast. Potem wiatr odleciał jak ptak i w ciągu krótkiej chwili wszystko zniknęło pod śniegiem. Powstali; Dziewiątka uśmiechnął się szyderczo.

— Zdrowo się przejechał — powiedział Warszawiak.

— Tak myślisz?

— Trudno się domyśleć?

— Ty, Warszawiak!

— No?

— Co byś chciał powiedzieć w takiej chwili?

— Kiedy co?

— Kiedy będziesz frunął.

— Ja?

— Ty.

Warszawiak spojrzał na niego krótko.

— Pocałujcie mnie wszyscy w dupę — rzekł.

Dziewiątka zaśmiał się sucho.

— Wymyśl sobie coś innego — powiedział. Poklepał Warszawiaka po policzku. — Wymyśl sobie koniecznie coś innego.

— Bo?

— Nie zdążysz, synu. To musi iść galopem jak numer z prawiczkami. Raz, dwa i koniec krzyku.

— Idź do diabła — powiedział Warszawiak. Stał na szeroko zostawionych nogach i patrzył spode łba na Dziewiątkę. — Idź do diabła.

— Tu wszędzie mieszka diabeł — powiedział Orsaczek. — Niech szlag trafi taką robotę. W zeszłym miesiącu były trzy kraksy, w tym — nie ma jeszcze połowy — a już dwa. Trupek na tydzień. Gdyby nie to, że przychodzą dzisiaj te nowe wozy, rzuciłbym to wszystko do cholery... — Zdenerwował się nagle i odwrócił ku nim: — Bierzemy go, czy nie?

— Skocz z Warszawiakiem po pudło — powiedział Dziewiątka. Ziewnął; błysnęły jego białe zęby. — Ja zostanę tutaj i podgrzeję Orsaczkowi karter. Musimy go wyciągnąć kabe- stanem Warszawiaka. Nie chce mi się łaźić. Idźcie już, dzieci. Inaczej będziemy się pieprzyć do rana w tej mazi.

Znów ziewnął.

— Spać ci się chce, co? — zjadliwie spytał Orsaczek. — Wczoraj schlałeś się jak bela. Dzisiaj pewnie zrobisz to samo. Dobranoc.

— Dobranoc? — powtórzył Dziewiątka jakby ze zdumieniem. — Dobranoc? — Roześmiał się nagle i zatoczył szerokie koło ręką. — Te góry, te przepaście, to wszystko... Tu nawet spać nie można spokojnie. Każdej nocy śni mi się, że lecę na łeb, na szyję. Śni mi się mój pokiereszowany kadłubek i wasze głupie mordy nad nim. Kiedy budzę się rano, jestem zlany potem jak ruda mysz. Ciągłe tylko kombinuję: kiedy polecę? jak polecę? jak będę potem wyglądać? — Kopnął ze wściekłością jakiś przymarznięty kamień i syknął z bólu: noga jego odskoczyła jak młot od szyny. — Kiedyś spałem inaczej — powiedział. — Jak kamień, jak niedźwiedź. Mogłeś mi strzelać nad łbem i na tym samym łóżku obracać zadrutowaną prawiczkę. Tutaj śnię strachem. Diabeł tylko tutaj może spać spokojnie. On jeden. — Strzepnął śnieg ze swoich ciemnych, kudłatych włosów i z błazeńskim gestem skłonił się nad przepaścią. — Dobranoc — powiedział. — Dobranoc, kurwa wasza mać. Dobranoc diable.

— To był najlepszy wóz — powiedział Orsaczek. Wciąż jeszcze pochylał się nad nisko leżącymi szczątkami. — To był najlepszy wóz.

Odeszli. Dziewiątka ściągnął portki i wypiął tylek nie zrażony lodowatym wiatrem.

NIEBOSZCZYCY

Wóz pozostawiony przez nich godzinę temu na szosie, tracił już zarysy jak spuchnięta twarz człowieka, którego przez tydzień bolały zęby. Na plandecę rozpiętej nad kabiną warstwa śniegu utworzyła gruby kożuch; Warszawiak wchodząc do środka rąbnął w plandekę pięścią i śnieg sfrunął. Oliwa w karterze już zgęstniała na smar i Warszawiak na próżno przyciskał starter; silnik nie chciał przerzucić i automat starteru był rozpaczliwie. Warszawiak kopął przez chwilę akcelerator, potem zaklął wściekle i rzucił Orsaczkowi korbę.

— Kręć — warknął. Oparł się plecami o siedzenie i znów wdeptał nogą rozrusznik. Przednia szyba oblepiona była śniegiem i nie widział twarzy mocującego się z silnikiem Orsaczka; przez śnieg i wiatr dochodziły słabo jego klątwy.

— Sprzęgło — ryknął Orsaczek. — Wciśnij sprzęgło!

— Myślisz, że nie wiem o tym? Kretynie...

Silnik zaskoczył w końcu. Krztusząc się i parskając przechodził powoli na duże obroty. Orsaczek rzucił korbę pod nogi Warszawiaka i usiadł obok niego. Ocierał mokre czoło rękawem.

— Opuść szybę — powiedział Warszawiak. — Śnieg zalepia.

— Nie mogłeś jej wysmarować denaturatem?

— Dziewiątka z tamtym drugim wychlali. Specjalnie do tego skombinowali maskę gazową: cedzą przez filtr i zaprawiają sokiem. Opuść, mówię ci. Jak rozwalimy mordy, będziemy przynajmniej wiedzieli o co.

Włączył powoli lewarek biegu. Wchodził opornie i kiedy już ruszył, ostrożnie, po milimetrze odpuszczając pedał sprzęgła, aby nie spalić tarczy — z trudem udało mu się rzucić na dwójkę. Przycisnął akcelerator prawie do deski; silnik pracował teraz na pełnych obrotach i wszystkie tryby dyferencjałów, skrzynki biegów i duplikatora były potępieńczo. Kiedy znów wycisnął sprzęgło, wrzask się urwał; wóz płynął teraz szybko rozdmuchując ciszę gór swoim potężnym basem.

— Rozsypią się któregoś dnia — powiedział Orsaczek.

— No to co?

— Lubię ich głos — powiedział Orsaczek. — Jeździłem już na różnych, ale żaden inny wóz nie ma takiego gangu jak Dżems. Tak, jakby niedźwiedź siedział w silniku. Warszawiak słuchaj!

— No?

— Jak się nazywają te nowe wozy?

— Jeszcze ich nie ma.

— Przyjdą dzisiaj. Powinny być już przed wieczorem. No więc?

— Latil.

— Latil... — powtórzył Orsaczek. Uśmiechnął się. — Jak myślisz, będą dobrze chodzić?

— Diabli wiedzą. Nie widziałem ich jeszcze.

— Podobno są czerwone.

— Co za różnica: czerwone, niebieskie czy zielone?

— Lubię ładne wozy — powiedział Orsaczek z utajonym wyrzutem w głosie. Westchnął. — Mój Dżems wygląda jak stara prostytutka na urlopie — powiedział. — Łatam go jak mogę, ale wstyd mi już na nim jeździć.

Umilkł. Oparł się wygodnie i spod przymkniętych powiek obserwował umykającą szosę. Kiedy zjeżdżali niżej, nie widział nic — wszystko było białą: niebo, góry, lasy i ziemia. I tylko wtedy, kiedy pięli się wzwyż, widać było granatowe, omiecione ze śniegu korony drzew; chwiały się pełne szumu i wiatru. Wiatr był wrogiem: wyskakiwał nagle, sypał w oczy śniegiem, mroził ręce do tego stopnia, iż stawały się jak dwa kołki — bez czucia i precyzji: z nich wszystkich, jeden tylko Warszawiak potrafił jeździć trzymając kierownicę kolanem lewej nogi; tym, którzy patrzyli na to z boku, cierpły zęby. Pędzili szosą jak dudniący, ciemny pocisk. Strzałka szybkomierza drżała tuż przed cyfrą pięćdziesiąt. Orsaczek uniósł wyżej powieki.

— Pięćdziesiąt mil — powiedział. — Przeszło osiemdziesiąt kilometrów. Dokładnie: osiemdziesiąt cztery. Będziesz miał lekką śmierć, Warszawiak. Szybko jeździsz.

— Nie byłbym tutaj inaczej.

— Dlaczego?

— Rozpieprzyłem autobus razem z pasażerami — wyjaśnił Warszawiak. Uśmiechnął się. — Było na co popatrzeć, mówię ci. Zwalilem wszystko na hamulce, sam wyskoczyłem, ale z pudła i lebków marmolada; ładowali ich w trumny jak smar. Potem nie chcieli mnie nigdzie przyjąć. Kręciłem trochę u prywatnego taksówkarza. Raz wziąłem dziwkę i pojechałem za miasto. Noc, las, księżyc i milicja drogowa. Zwiewałem jak tylko mogłem, ale na zakręcie rąbnęła mi guma. Władowali się na mnie; mnie się nic nie stało, ale ciała tak się pomieszały, że nawet doktorzy nie mogli odróżnić gdzie dziewczyna, gdzie wóz i gdzie milicja. Gospodarz mnie zaskarżył i musiałem drapać tutaj... — Westchnął; brawurowo przeleciał przez za-

kręt, potem powiedział : — Wszystko ta cholerna, szybka jazda. Jak mam tylko kawałek wozu i drogę, nie mogę się powstrzymać. Mówię do siebie : Wszawisz. Żyjesz jak menda, poruszasz się jak menda, kradniesz jak menda, kochasz mendy i jak menda. Przynajmniej na wozie czuj się człowiekiem... — Poklepał Orsaczka po ramieniu. — Rozwalam jedno pudło po drugim — oświadczył pogodnie.

— Nie żal ci wozów ?

Wzruszył ramionami.

— Kto mnie żałuje ? Gdzie życie ? Gdzie młode lata ? Siedzę tutaj, daleko od Warszawy, od ludzi, od miasta. Jedyna dziwka, która myje tyłek chociaż raz na miesiąc mieszka o pięćdziesiąt kilometrów stąd i żyje ze wszystkimi kolejarzami z powiatu. Tylko drzewo, droga i wilki.

— A jednak szkoda wozu — mruknął Orsaczek. — Wózek to piękna rzecz. Mówię ci : szkoda.

— Tylko życia szkoda.

Zbliżali się do zakrętu; mignęła już pierwsza tablica. Warszawiak nie zdejmował nogi z akceleratora. Patrzył przed siebie zimnymi oczyma, w których nikt nigdy nie dostrzegł strachu lub wściekłości. Nie zwolnił nawet wtedy, kiedy poczęli mijać białe kamienne słupy. Orsaczek złapał się rękami za siedzenie i wbił nogi w deskę. Wszystko trwało sekundę; kiedy wóz był już w środku łuku, Warszawiak uniósł nieco nogę z akceleratora, by potem przycisnąć ją gwałtowniej. Przelecieli z wyciem dyferencjałów, lecz jak po szynach — wóz nie zboczył ani na milimetr. Potem kierownica odbiła i znów lecieli prosto. Orsaczek mruknął :

— Szczęść Boże !

Zjechali niżej. Śnieg walił tak gęsty, że Warszawiak musiał zwolnić. Wychylił głowę z kabiny i zobaczył stojącego na środku szosy Dziewiątkę. Wyrzucił bieg na luz i zahamował tuż przy nim. Wskoczyli; Warszawiak wdrapał się na pakę zrzucił stamtąd kłęb sznurów, łańcuchy i olbrzymią skrzynię. Dziewiątka kopnął ją i zapytał :

— Widły wzięłeś ?

— Zapomniałem, psiakrew !

Dziewiątka oparł nogę na skrzyni i przez chwilę patrzył w koniec swego buta. Potem oświadczył :

— Nie będę ładował tej galarety gołymi rękami.

— Nie ?

— Nie.

Popatrzyli na siebie. W czarnych oczach Dziewiątki gotowała się złość; oczy Warszawiaka pozostały przezroczyste, jakby ze szkła.

— Jak chcesz, Dziewiątka — powiedział Warszawiak. Był wyższy o prawie całą głowę od Dziewiątki i musiał się pochylić ku jego twarzy. Wysoki, chudy, stał z rękami w kieszeniach

i kołysał się jak wahadło zgrabnie przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę. — Jak chcesz. Ale jeśli ciebie to spotka, nie ruszę palcem i zostaniesz wysrany przez wilki.

Odwrócił się. Podeszedł do skrzyni i zepchnął ją kopniakiem na dół; poleciała z hukiem kurząc śniegiem. Potem przywiązał sznur do samochodu. Sprawdził węzły szarpiąc je ciężarem całego ciała, a kiedy zaciśnęły się już ze skrzypem — koniec sznura zrzucił w dół.

— Dawaj rękawice — powiedział do Orsaczka. — I smar, dużo smaru.

Orsaczek rzucił mu z wozu grube, szoferskie rękawice. Nałożył je i począł smarować gęstym, żółtym smarem. Kiedy skończył już pracę i odstawił puszkę, podeszedł do niego Dziewiątka.

— Idę z tobą — powiedział. — A za to coś powiedział, pogadamy jeszcze.

Wisieli już nad przepaścią. Pierwszy schodził Warszawiak, o parę metrów za nim, jak ogromny pająk, machał nogami Dziewiątka.

— Gdzie pogadamy, Dziewiątka? — krzyknął Warszawiak.

Echo w dolinie powtórzyło ostatnie słowa.

— W piekle! — krzyknął tamten.

— Dlaczego?

— To najlepsze miejsce dla nas.

— Tak myślisz?

— Jestem pewien.

— Dlaczego mamy iść do piekła?

— W niebie na pewno są samochody! — krzyknął Dziewiątka. — Rady zakładowe. Personalnicy. Składki. I takie zaszrane góry... Po tych wszystkich historiach tutaj, wolę się trzymać z daleka od wysokości.

— Wczoraj opylileś na lewo dziesięć kubików. Może dlatego mówisz o piekle?

— W zeszłym tygodniu ty opylileś przeszło trzydzieści, synu! Zapomniałeś już o tym?

— Stul lepiej mordę! Tam na górze wszystko słychać.

— On też kradnie.

— Kombinuje — powiedział urażonym tonem Warszawiak. Dziewiątka nie dosłyszał tego. Ryczał z góry:

— Nigdy się nie skończy ta dziura?

— Już niedaleko. Uważaj, kamień tu wystaje...

Stanęli właśnie na ziemi. Byli zgrzani: pot zlewał im włosy. Musieli przysiąść na chwilę; wędrownka po sznurze wyczerpała ich. Dziewiątce udało się wygrzebać skądś suchego papierosa i wypalili go na spółkę. Potem uwiązali skrzynkę na sznurku i ciągnąc ją po śniegu, doczołgali do szczątków samochodu.

— Jest — powiedział Warszawiak. — Tam.

Człowiek leżał obok. Twarz miał zmiażdżoną. Krew skrzepla na mrozie i nie widać było ani oczu, ani ust. Kiedy odwrócili go na bok, ujrzeli, że czaszkę ma zmiażdżoną a kończyny wszystkie tak powykręcane, jakby go ktoś rozmontował a potem złożył z powrotem w sposób śmiesznie złośliwy. Przypominał laleczkę, która dostała się w ręce ciekawego dziecka. Odwrócili głowy.

— Peklujemy go — powiedział Dziewiątka. — Dawaj pudło.

Warszawiak przysunął skrzynkę, odszarpnął wieko i z jej wnętrza wyjął parę gwoździ. Włożyli zwłoki, potem przybili wieko waląc w gwoździe kawałkiem złamanej piasty. Odechnęli.

— Szkoda go — powiedział Warszawiak.

— Dobry był, fakt.

— Miał swoje szusy.

— Durniu! Mówię o jego Dzemsie.

— Pompę miał słabą, ale chodził.

— Można było podłożyć fibrową wkładkę i latać. Ja swoją pompę w ten sposób podszykowałem i jest w porządku. Dawaj, ciągniemy go. Potem będziemy wracać po nocy.

Chwycili sznurek i poczęli ciągnąć skrzynię. W niektórych miejscach nogi ich zapadały po kolana.

— Taka owaka jego mać! — dyszał Dziewiątka: oczy mu szczerwieniały. — Żeby go szlak trafił...

— Już go trafił — warknął Warszawiak. — Stul mordę i ciągnij...

Uciągnęli kilkadziesiąt metrów — pochyleni i dyszący ochryple. Nagle Dziewiątka powiedział:

— Zaczekaj!

Rzucił sznurek i puścił się pędem w kierunku samochodu. Po chwili wrócił.

— W porządku — rzekł. — Idziemy.

— Co tam rąbnąłeś?

— Tam? Nie ma nic do rąbnięcia. Kupa szmelcu i zelówki, mój drogi. Wziąłem tylko Pawełka.

Odchylił pazuchę: błysnęła nagle ludzka, spreparowana czaszka. Dziewiątka przytknął kościotrupa w szczękę.

— Przynosi szczęście, Warszawiak — oświadczył. — Jeździł z Pawelkiem; bólcem go zahaczył do błotnika. Mówię ci, Warszawiak: maskota z krakusy to fart.

— Myślisz?

— Przekonasz się.

Znów szli pochyleni z twarzami wystawionymi na wiatr. Sznur wrzynał im się w ramiona, skrzynia co chwila zapadała w śnieg. Śapali. Dziewiątka spojrzał na Warszawiaka z boku i parsknął śmiechem: Warszawiak wysunął na wierzch prawie cały język.

— Czego ryczysz?
— Z ciebie. Wyglądasz jakbyś srał złotem.
— Obchodzi cię to?
— Nie, mój drogi — powiedział Dziewiątka. — Tego w pudle też nie. Chyba pierwszy raz od dzieciństwa jedzie sankami. Powinien być zadowolony. Jak myślisz?

— Przekonasz się, jak ciebie będziemy ciągnąć.

Dziewiątka przystanął.

— Mylisz się, przyjacielu! — Uroczystym ruchem podniósł rękę do góry. — Dziewiątka rozpieprzy się honorowo — powiedział. — O nie, synu! Ze mną nie będziecie mieli kłopotu. Jeśli co po mnie zostanie, to tylko długie w knajpach. Mężczyzna tak powinien umierać. Ciągnij!

Orsaczek obserwował ich z góry. Kiedy umocowali już skrzynię sznurami, wziął koniec sznura i okutym chwytem przymocował go do liny kabestanu. Puścił w ruch silnik i włączył dźwignię wyciągu. Potem stanął nad przepaścią i obserwował jak skrzynia obracając się wokół sznura idzie powoli w górę. Nie mógł powstrzymać śmiechu, kiedy uświadomił sobie, iż jest to fragment ostatniej drogi nieboszczyka. Pomachał ręką do Dziewiątki i Warszawiaka.

— W porządku! — krzyknął.

— Co on wrzeszczy? — zapytał na dole Dziewiątka; dostał kiedyś potężnie w ucho i słyszał słabiej.

— Że w porządku.

— Ummm...

Orsaczek wyciągnął skrzynię i odczepił od niej sznur. Potem przymocował do bębna wyciągowego drugi sznur i wyciągnął na nim Warszawiaka. Dziewiątka oczekiwał swojej kolejki na dole.

— Czekaj! — powiedział Orsaczek do Warszawiaka. — Ja go teraz urządzę.

— Co chcesz mu zrobić?

— Zobaczysz.

Rzucił linę w dół; Dziewiątka oplątał się nią. Orsaczek włączył dźwig i patrzył jak tamten — niby ogromny pajak — unosi się w górę. Kiedy był już w połowie drogi, Orsaczek wstrzymał silnik. Pochylił się nad przepaścią.

— Ty, Dziewiątka! — krzyknął.

— Co jest?

— Kiedy mi oddasz te pięć kawałków?

— Ciągnij do góry, bydlaku.

Orsaczek włączył dźwignię i przycisnął gaz; Dziewiątka ruszył w górę jak wystrzelony z procy, lecz po chwili Orsaczek nie zmniejszając obrotów silnika, włączył dźwignię na przeciwną pozycję i Dziewiątka leciał teraz na łeb, na szwąg w dół. Potem zatrzymał bęben gwałtownym szarpnięciem i Dziewiątka znów zawisł nieruchomo.

— Daj mu spokój — powiedział Warszawiak.

— Niech mi odda forszę — warknął Orsaczek. — Ty sam wiesz, że forsa mi jest potrzebna.

Pochylił się w dół.

— No jak, oddasz?

— Ciągniesz, czy nie?

— Najpierw powiedz: kiedy?

— Na najbliższą wypłatę.

— Słowo honoru?

— Ciągnij, chamie!

— Oddasz?

— Tak.

— Słowo?

— Słowo honoru.

— W porządku — z satysfakcją stwierdził Orsaczek. Włączył silnik na pełen gaz. Po chwili Dziewiątka był na górze.

— Nie leżałeś już dawno w szpitalu — powiedział do Orsaczka. — Ale nie minie cię to chyba.

Władowali skrzynię na samochód Orsaczka i przywiązali ją sznurami do ramy. Potem Warszawiak spod siedzenia wyciągnął butelkę i podał ją Dziewiątce.

— Stypka jak złoto — powiedział Dziewiątka. Skinął głową Warszawiakowi: — Za twoje zdrowie, dziecko.

Potężnym łykiem opróżnił ćwierć butelki. Westchnął, jego ciemne oczy przysłoniła mgła. Mlaskał chwilę smakowicie, potem oddał butelkę Warszawiakowi.

— Rozwijaj się — rzekł.

Warszawiak pił wolno. Grdyka na jego chudej szyi chodziła miarowo. Płyn był lodowaty i tym dotkliwiej raził gardło. Dokończyli; Warszawiak chciał rzucić butelkę w przepaść, lecz Orsaczek wyrwał mu ją z ręki:

— Czekaj.

— Przyda się, co? — powiedział Dziewiątka patrząc na niego krzywo. — Można sprzedać za dwie dychy. Tysiąc butelek dwadzieścia kawałków. Gówniarz.

— Nie mieszaj się... — zaczął Orsaczek, lecz Warszawiak przerwał mu nagle:

— Cicho! Słyszycie?

Wskazał ręką na zakręt. Odwrócili głowy. Z daleka — w białej ciszy zimowego przedwieczoru — coraz głośniejsze i wyraźniej dobiegało głucho dudnienie silników. Ich głos odbijał się z wielokrotnionym echem o ściany wąwozów i aż tutaj czuć było drganie rzadkiego powietrza i dygot ziemi. Głos narastał i odnosił wrażenie, jakby zbliżał się ku nim olbrzymi owad.

— Jadą — powiedział Warszawiak. Wsunął do przodu swój długi nos i węszył nim chciwie. — To nowe wozy dla nas. — W jego zimnych oczach zapaliło się nagle jadowite światło. Zerwał czapkę z głowy i z wściekłością cisnął ją o ziemię. —

Niech ich cholera weźmie — powiedział. — Teraz, jak połowę ludzi szlag trafił.

— Fraszka, synu — powiedział Dziewiątka. Uśmiechnął się. — Najważniejsza, że już są. Może nareszcie będzie można coś zarobić.

— Daj Boże — mruknął Orsaczek.

— Ty się tylko o to troszczysz, bydlaku.

— A o co mam się troszczyć? Jeśli będzie czerwony, to ja go biorę.

Głos zbliżał się coraz bardziej.

— Co jest? — powiedział Warszawiak. Jeszcze bardziej do przodu wysunął swój nos. — To nie nasze wozy chyba. Tamte miały być Diesle, a ja wyraźnie słyszę Dzemsa.

I nagle głos urwał się. Zapadła cisza. Spojrzeli na siebie zdumieni. Czekali chwilę w milczeniu, lecz cisza zastygła na dobre. Górą, nad ciemnymi już i bezkształtnymi w tej chwili lasami, biegł wiatr i wszystko co było między niebem a ziemią, stało się nagle szumem; szumem, przez który nie przebił żaden inny odgłos. Wężowy Jar nappełnił się ciemnością, nie było już widać szczątków samochodu, ani strzaskanych drzew. Między lodowatymi chmurami płynął ostry księżyc. Ziemia stężała; wiatry uniosły się nagle i mknęły szlakami gwiazd.

— Co jest, do cholery? — wybuchnął nagle Dziewiątka. — Kamfora, czy co?

— Może skręcili? — rzekł Orsaczek.

— W niebo chyba... Pięć kilometrów w dół nie ma żadnej drogi. Musiało mu się coś stać.

Warszawiak wszedł do swego wozu.

— Siadajcie — warknął. — Podjedziemy tam, to niedaleko.

Wskakiwali już w biegu. Popędził w dół jak huragan; przy zmianie biegów nie zdejmował nawet nogi z akceleratora, Dyferencjały wyły, kiedy przelatywał przez zakręty. Kłął; Dziewiątka jadący na stopniu skulił się jak kot. Włączył reflektory; kiedy podjeżdżał w górę, światło ich nikło wśród gwiazd. Potem wydostał się na długi spadek i wtedy wszyscy zobaczyli stojący w dole samochód; maskę miał otwartą a w silniku grzebał człowiek.

— Dzems — powiedział Warszawiak.

Podjechali blisko niego. Warszawiak zatrzymał tak gwałtownie, że Dziewiątka mało nie runął w śnieg. Podskoczyli do kierowcy.

— Co się stało? — szczechnął Warszawiak.

Tamten wyprostował się nad silnikiem.

— Już nic — powiedział. Zamknął maskę i zeskoczył na ziemię. — Dysze się pozatykały. Mogę jechać dalej.

— Dokąd pan leci?

— Do bazy „Drzewa”.

— To do nas — powiedział Warszawiak. — Oko panu zblednie jak pan zobaczysz tę bazę.

— Gdzie nowe wozy? — zapytał Dziewiątka.

Kierowca milczał przez chwilę. Nie widzieli jego twarzy. Mrok i mgła zgęstniały tak bardzo, że poruszali się wszyscy niby w ogromnych ilościach ciemnej, mlecznej zupy. Orsaczkowi zrobiło się nagle bardzo duszno i szarpnął głowę w górę; stąd, z doliny, nie widać było gwiazd. Tylko wiatr był ten sam i siekł wściekle gorące ich twarze.

— Nie będzie nowych wozów — powiedział kierowca.

DROGI

Warszawiak zerknął na Dziewiątkę i wydało mu się, że pomimo zmroku i mgły dostrzegł, jak pociemniała twarz tamtego. Dziewiątka schował głowę w ramiona i pochylił się do przodu, jakby miał runąć na kierowcę, który im przywiózł wiadomość. Tylko jeden Orsaczek trwał bez ruchu z rozdzielwionymi ustami.

— To po cholere tu przyjechałeś? — wykrztusił wreszcie Dziewiątka. Zabulgotało mu w gardle. Zbliżył się o krok do tamtego.

— Wozić drzewo — powiedział kierowca.

— Drzewo? Drzewo... A trumnę sobie przywiozłeś?

Kierowca wskazał ręką na lasy.

— W razie czego desek starczy.

— Drzewo — znów powtórzył Dziewiątka. — Drzewo... — Skoczył nagle do kierowcy i szarpnął go za ramię. — Chodź! — warknął. — Pokażę ci twoje drzewo...

Pociągnął go za sobą z całej siły i podbiegli prawie do wozu Orsaczka. Dziewiątka ze zręcznością małpy wskoczył na pakę i kopnięciem zrzucił skrzynię; runęła pod nogi kierowcy.

— Masz tu swoje drzewo — powiedział syczącym głosem. — Tamtemu też się zdawało, że potrafi wozić dłużycę na tych trupach. Teraz już tego nie myśli. Możesz go sobie wziąć na pamiątkę i wrywaj stąd, póki ci się jeszcze łeb trzyma na karku.

Umilkł. Oczy lśniły mu dziko.

— Kiedy? — zapytał kierowca.

— Dwa dni temu. Dwa dni szukaliśmy go jak wariaci. Cud, że wilki nie rozciągnęły do tej pory. W zeszłym tygodniu zwałił się jeden facet z sąsiedniej bazy. Szukaliśmy go wszyscy, a kiedy wreszcie znaleźliśmy, nie wiadomo było, jak go wrzucić do trumny, bo prawie całego zżarły. Na sąd ostateczny będzie się meldował bez kutasa. Potrzebne ci to?

Pchnął tamtego lekko i podszedł do Warszawiaka; Warszawiak poczuł na twarzy jego gorący, wódką i tytoniem prze-sycony oddech.

— Jedziemy — powiedział Dziewiątka. Ulokował się w wozie. — Niech Orsaczek odwiezie go do miasta. A tego — wskazał ręką na kierowcę — niech szlak trafi razem z drzewem. Jutro rano zwijamy manatki i chodu. Mam dosyć tych gór.

— Musicie zostać — powiedział kierowca.

— Musimy? — powiedział przeciągle Warszawiak. Zajrzał w twarz nieznajomemu. — Ktoś ty taki, przyjacielu? Nie widzę nawet twojej mordy, a ty mówisz, że muszę tu zostać? Kto nam każe? Ty?

— Ja.

— A ktoś ty taki? Gównu ojca świętego?

— Zamknij pysk — powiedział nieznajomy. — Jeśli chcesz, to ja ci go zamknę. — Chwycił Warszawiaka za przegub dłoni; trwało sekundę i Warszawiak siedział na stopniu swego wozu. — Przysłali mnie tu, żebym się bujał razem z wami i żebym wam pomagał. Musimy wozić drzewo na tych trupach, dopóki nie przyjdą nowe wozy.

— Kto cię przysłał?

— Partia.

— Acha — powiedział Dziewiątka. — Partia cię przysłała. To bardzo ładnie. Ale drzewa nie można wozić partią. Drzewo trzeba wozić samochodami. Dobrymi samochodami. Niech ci, którzy przysłali cię tutaj, sami przyjadą i zniosą drzewo na plecach. Tak będzie najłatwiej.

Po chwili złości, wszyscy nagle umilkli. Warszawiak masował obolały przegub. Orsaczek znów wciągnął skrzynię na pakę. Warszawiak podniósł się ociężale i wszedł do swego wozu.

— W porządku — rzekł do nowego kierowcy. — Teraz jedziemy do bazy. Orsaczek odwiezie szarlotę i przyjedzie później. Znasz drogę?

— Nie — powiedział nieznajomy.

— Nie szkodzi. Trzymaj się mojego tylnego światła. Jedź zaraz za mną i nie zapalaj reflektorów; biją w śnieg a potem oczy tak bolą, że nie można sobie znaleźć miejsca. Ja znam drogę na pamięć. Poprowadzę cię. Ja zapalę tylko na chwilę, muszę zawrócić.

Nieznajomy kierowca odszedł. Warszawiak włączył reflektor i począł manewrować. W świetle latarni śnieg przesypywał się jak złoto.

— Dlaczego nie kazałeś mu zapalać świateł? — zapytał Dziewiątka.

Warszawiak nie odpowiedział. Patrzył przed siebie rozszereżonymi oczyma a jego długi nos jakby się nagle wyostriżył. Dopiero kiedy ruszyli z miejsca, rzekł cicho:

— Przez takiego jednego faceta musiałem wyrwać z Warszawy. Miały przyjechać wozy a przysłali politruka. Ja go skończę.

— Co takiego?

— Skończę go — powtórzył cicho Warszawiak. — Nie chce wracać, to zostanie tu na zawsze. — Pochylił twarz do Dziewiątki: — Nie lubię cwaniaków, rozumiesz? Widziałem nie takich mocnych a potem działo się z nimi jakoś dziwnie. — Wychylił się na sekundę do tyłu; widział za sobą pędzący wóz. — Jedzie — powiedział. — Jedzie za moim światłem.

— Uważaj, synu — powiedział dobrotliwie Dziewiątka. Siedział z zamkniętymi oczami i wyglądał jak człowiek, który oddaje się marzeniom. — Uważaj, żebyś się nie znalazł tam, gdzie ja byłem.

Warszawiak zaśmiał się cicho. Położył rękę na trzonie szperacza i wykręcił reflektor do tyłu.

— Cztery miesiące czekaliśmy na te nowe wozy — powiedział cicho. — Cztery miesiące, rano w rano wyjeżdżałem i nie wiedziałem, czy wrócę do was z powrotem. Przed każdym zakrętem żegnałem się z życiem. Czego człowiek jest pewny gdy jeździ na trumnie? Trumny. Przez cały czas nie powiedziałem ani słowa. Teraz mam dosyć. Oszukali ludzi, to wystarczy. Wszyscy czekali i każdy myślał: może będzie lepiej, może więcej zarobię? Zamiast tego wszystkiego, przystali kapusia. Módl się za niego.

Powolnym ruchem dopchnął pedał akceleratora, ziemia jęczała. Uśmiechnął się i zacisnął palce na kole kierownicy; całe ciało jego przenikała teraz vibracja wozu. Położył rękę na wyłączniku przednich reflektorów i rozciął na chwilę ciemność, by potem znów pograć się w nią, stale zwiększając szybkość. Dziewiątka patrzył na podnoszącą się wskazówkę szybkościomierza.

— Czterdzieści mil — powiedział.

Warszawiak milczał. Patrzył w mrok z czujnością sowy. Wiatr uderzył w nich z boku i plandeka załomotała jak bęben.

— Czterdzieści pięć — powiedział Dziewiątka.

— Jeszcze trochę — rzekł Warszawiak. Docisnął pedał do deski, a kiedy wyczuł opór, wyciągnął nieco dźwigienkę ssania. Nie słyszeli już teraz ani wiatru, ani tamtego z tyłu. Wszystko głużył potężny bas silnika.

— Zobacz go — powiedział Warszawiak.

Dziewiątka wychylił się.

— Ciągnie — oświadczył. Znowu spojrzał na szybkościomierz; zjeżdżali teraz po spadku. — Pięćdziesiąt — powiedział. — Pięćdziesiąt mil, synku. I w dodatku ciemno. Ciemno jak cholera. Jeśli pożyjesz jeszcze trochę, zostaniesz wielkim człowiekiem. Możesz nawet bawić się w politykę. Ty jesteś człowiek do tych rzeczy. Ja go chciałem inaczej, widzisz? — Pokazał Warszawiakowi żyłkę oprawną w ołów. — Ale tak będzie lepiej — rzekł. Umilkł a po chwili mruknął: — Pięćdziesiąt pięć.

— W porządku — rzekł Warszawiak. Znow się uśmiechnął. Chwyć-no się rękami za siedzenie, Dziewiątka. Zakręt już blisko.

Dziewiątka gwizdnął.

— Teraz ?

— Żal ci ?

— Przejedź tylko sam.

— On z tyłu nic nie zobaczy. Tu nie ma tablicy. Pójdzie za moim światłem jak ćma.

Wjeżdżali już na zakręt ; Dziewiątkę przez chwilę oblał żar. Białe słupy po obu stronach szosy przeleciały w szalonym pędzie zlewając się w jedną krechę. Warszawiak krzyknął do Dziewiątki.

— Światło !

Dziewiątka szarpnął się do tablicy i przerzucił kontakt. Jadący w tyle człowiek, oślepiiony został nagle potężnym snopem światła i blask ten wdarł mu się dzikim bólem aż pod czaszkę.

— Gaz ! krzyknął sam do siebie na cały głos. Rozpaczliwym ruchem wdepnął pedał. Przejechał przez zakręt prawymi kołami nad przepaścią, śnieg na boku szosy bryzgnął w górę wściekłą fontanną. Uczepił się kierownicy i całym ciężarem swego ciała ściągnął ją na lewą stronę ; walczył teraz z ciężarem pięciu ton. Po chwili jechał już prosto ; czuł tylko dotkliwe zimno ; to wiatr bijący z boku mroził pot na jego ciele. Zagryzł usta.

Dziewiątka wychylił głowę z kabiny i spojrzał w tył.

— Ciągnie — powiedział. — Ciągnie na swoich światłach. Masz jeszcze coś dla niego ?

— Wyłącz szperacza — powiedział Warszawiak. — I nie troszcz się o to.

— Dobrze, synku — rzekł Dziewiątka. Zapalał papierosa i ręce drżały mu z emocji. — Następny skręt masz za jakieś dwa kilometry.

— Ale to jego ostatnie dwa kilometry. Gdyby żył wiecznie, wiecznie by je pamiętał.

Dziewiątka zaśmiał się krótko — zabrzmiało to jak szczenięcie. Jechali bokiem wiatru, a kiedy znow osłoniły ich góry i tylko silniki druzgotały ciszę, powiedział :

— Nie kochasz ich, co ?

— Nie lubię, jak ktoś ze mnie robi wariata. Jestem większy cwaniak od niego.

— Myślisz ?

— Zobaczysz, czy źle myślę.

Dziewiątka spojrzał na niego z boku.

— Ile ty masz lat, Warszawiak ?

— Dwadzieścia pięć.

— Jestem starszy od ciebie o piętnastaka — powiedział — ale zaczynasz mi się podobać coraz bardziej. Przedtem tacy jak ty żyli krótko, ale gorąco. Teraz za późno. Ludzie mijają

się ze swoim prawdziwym ocaleniem i to jest najsmutniejsze. Uważaj, zakręt... — Wychylił się do tyłu, potem rzekł: — Nic z tego, trzyma się daleko. Reflektorem go nie weźmiesz.

— Zrobię go inaczej — mruknął.

Powoli wyhamował na zakręcie i zatrzymał się w połowie łuku. Włączył wsteczny bieg i czekał, aż nadjedzie tamten.

— Wrzucę go tyłem — wyjaśnił. — On teraz wskoczy na mnie, zaprzyj się nogami. Albo najlepiej wyjdź, Dziewiątka. Ja w razie czego będę skakał.

— Popatrzeć nie kosztuje. Zostanę.

Czekali przez chwilę ze zgaszonymi światłami. Nie słyszeli wiatru, ani tamtego; ogarnięci ciszą i mrokiem, znajdowali się w samym sercu nocy. Nieznajomy wciąż nie nadjeżdżał. Warszawiak wyskoczył z kabiny.

— Stoi sto metrów w tyle — powiedział. Usiadł za kierownicą. — Zrobię go innym razem — rzekł cicho. — Zrobię go tak na szaro, że jeszcze w piekle będę mu się śnił po nocach.

Ruszył. Znow gnał przez śnieg i mrok. Dziewiątka patrzył na niego z boku i widział jak drgają ostre jego szczęki. Do bazy dojechali w milczeniu. Warszawiak wyskoczył szybko i nie patrząc na Dziewiątkę, wlał pod wóz. Odkręcił kurki chłodnicy i bloku. Woda spłynęła bulgocąc; owionęła ich ciepłą parą.

— Z tym reflektorem, to był głupi przypadek, Dziewiątka — rzekł Warszawiak.

Tamten wzruszył ramionami.

— W porządku — rzekł. — Nigdy nie mówi się o takich rzeczach, synu. Inaczej nie udają się wcale.

— Ta uda się na pewno.

— Ładnie. Idziesz się wytentegować?

— Poczekam na niego.

Dziewiątka odszedł skrzypiąc ogromnymi butami po śniegu. Warszawiak podniósł głowę do góry. Niebo rozdarte było gwiazdami, płynęły po nim groźne mgły. Kiedy przyjechał tamten, Warszawiak stał na środku podwórza i odlewał się srebrnym łukiem. Nieznajomy podszedł do niego.

— Zapnij portki — rzekł cicho. — Nie wstyd ci przy kobiecie?

Warszawiak drgnął.

— Przy jakiej kobiecie?

— Przy mojej żonie.

Warszawiak szarpnął głową do tyłu. Teraz dopiero zobaczył, że z samochodu wyszła kobieta; tam, w ciemnościach i mgle nie zauważył jej. Stała na środku białym światłem zalanego podwórza i wobec gór, drzew i nieba, wydawała się nieśkończenie mała. Warszawiak uczył, że mu od bólu aż zaschło w gardle.

— Dziwnie jeździsz — powiedział nieznajomy.

— Bo? — wykrztusił Warszawiak.

— Masz swoje sposoby.

Milczeli. Kobieta stanęła obok nich. Warszawiak poczuł nagle, jak odeszły go wszystkie siły.

— Gdzie jest ten barak? — zapytał nieznajomy.

Tam — ochryple powiedział Warszawiak. Uniósł rękę z żelaza i wskazał na dom. Potem ruszyli w milczeniu; ciemni i niezgrabni, oświetleni nieruchomym światłem gwiazd.

BARAK

Izba była mroczna; nowy kierowca i jego żona przystanęli w progu i zmrużyli oczy. Lampa naftowa wisiała na środku sufitu a mętne koło jej światła robiło wrażenie rozlanej oliwy. Kiedy weszli, Warszawiak podszedł do lampy i podkręcił nieco knot, lecz było to tylko złudzenie; mrok pozostał nieruchomy. Warszawiak zdjął czapkę i watowaną kurtkę; czapkę powiesił a kurtkę zwinął w kłębek — zastępowała mu poduszkę. Potem upadł ciężko na prycę i odwrócił głowę do ściany. Za chwilę wszedł Dziewiątka. Zamknął z hałasem drzwi; w mroku błyszczała jego oszroniona głowa i wilcze zęby. Kierowca z żoną wciąż stali w drzwiach.

— Siadajcie — powiedział Dziewiątka. Wykonał gościnny gest ręką, a kiedy usiedli, wskazał na kobietę: — Któż to?

— Żona.

— Jechała razem z wami?

— Tak. Dlatego nie mogłem wyminąć tego łamagi — powiedział nowy. Wskazał ręką Warszawiaka, który nie odwrócił się nawet i leżał z twarzą w kurtce. — Słabo jeździ — powiedział. — Nie powinien się pchać w góry, jeśli nie potrafi jeździć ostro. W górach, życie kierowcy zależy często od szybkości. — Popatrzył chwilę na Dziewiątkę. — Co o tym sądzisz?

— Jest młody — rzekł Dziewiątka. — podciągnie się jeszcze. Jeśli będziecie mieli jeszcze raz okazję pojechać we dwóch, przekonasz się, że nie jest taki zły.

Warszawiak uniósł się. Patrzył przez chwilę na nowego, potem znów ułożył się tyłem do nich. Dziewiątka zwrócił się do kobiety:

— Jak się pani podobała podróż, drogie dziecko? — zapytał uprzejmie.

Nie odpowiedziała nic. Dziewiątka czekał przez chwilę, potem westchnął.

To jest właśnie baza — powiedział. — Nas czterech i ta nora. Do przedwczoraj był piąty, ale już dobija do rajy. Jutro przyjedzie komisja, obejrzy tę kupę szmelcu i na pewno napisze, że kierowca poniósł śmierć z własnej winy. Tak robią za każ-

dym razem. Wozy garażują na dworze. Rano trzeba podgrzewać olej lampą benzynową.

— Teraz będzie nas sześciu — powiedział nowy kierowca. Wyciągnął przed siebie nogi; były nadzwyczaj długie i zajmowały kawał izby. — Przyprowadziłem ze sobą jeszcze jednego — wyjaśnił. — Zostawiłem go w mieście. Powinien już niedługo nadjechać, tankuje benzynę. — Umilkł. Osadził papierosa w zgryzionej cygarniczce, potem zwrócił się do Dziewiątki: — Jak do was mówić?

— Dziewiątka.

Uniósł brwi.

— To nazwisko?

Dziewiątka siedział na pryczy i ściągał buty. Kiedy upadły już ze stukiem na ziemię, począł odwijać onuce. A kiedy uporał się wreszcie i z tym, podniósł głowę. Patrzył uważnie w twarz tamtego swymi cygańskimi oczyma.

— Słuchaj, dziecko — przekł po chwili dobrotliwie — nazywają mnie po prostu Dziewiątka, a ja sam zbacpomniałem, jak się nazywam naprawdę. Nazywają mnie tak już od dawna. Ale tu są te zasrane góry i nikt tu nie siedzi dla przyjemności. Każdy z musu, dziecko. Siedziałem kiedyś za niewinność w kryminale. Artykuł dwieście dwadzieścia pięć. Wiesz co to jest?

— Morderstwo.

Dziewiątka skinął głową.

— Zgadza się. Jeśli dodasz do siebie dwa plus dwa, plus pięć, to zrozumiesz, dlaczego nazywają mnie Dziewiątką. A tutaj? To było jedyne miejsce pracy, gdzie się mogłem dostać i dlatego tylko, widzą mnie tutaj twoje piękne oczy. Ten tam — wskazał ręką na Warszawiaka — rozwalil parę samochodów i dekuje się tutaj jak szczur przed właścicielami taksówek. Ten facet, który leży koło pieca jest w tej chwili śmiertelnie pijany i dogadasz się z nim nie wcześniej, jak jutro rano. Najlepszy mechanik jakiego znasz, ale był już pijany w pięć minut po przyjsciu na świat. Wyrzucili z piętnastu tysięcy miejsc i dlatego jest tutaj. Orsaczek, który pojechał z truposzem do miasta, machnął jakiejs dziwce dzieciaka i dlatego widzisz go tu. A co tobie się przytrafiło na kamienistej drodze życia?

— Przyjechałem wozic drzewo.

— Ładnie. Ksywki masz w porządku?

— Jak najbardziej.

— I chcesz zostać tutaj?

— Zostanę tutaj.

Dziewiątka podbródkiem wskazał na kobietę.

— Z nią?

— Zostanie ze mną.

— Jak się nazywasz?

— Zabawa.

— Słuchaj, Zabawa. My wszyscy jedziemy jutro rano. Dostaliśmy swoją pralkę, a teraz mamy dość. Kim jest tamten facet, który jedzie tutaj z benzyną?

— Młody. Dobry kierykant.

— Pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt dwa, sto trzystaście?

— Nie. Przyjechał tutaj pracować. Mówi, że lubi las. Był kiedyś w partyzantce.

— Jeśli koniecznie chce, żeby go szlag trafił w lesie, to ma okazję jak nigdy. Będziecie wozić we dwóch. Chyba, że swoją kobietę nauczysz jeździć na wozie.

— Jeśli będzie trzeba, nauczę ją jeździć na kiju.

— Każdy to potrafi bez ciebie — powiedział Dziewiątka. Rozwalił się wygodnie na pryczy; nogi oparł na ścianie. Gwizdał przez chwilę, potem rzekł z zamkniętymi oczyma: — Jak chcesz, dziecko.

Umilkli. Lampa kopciła prosto w sufit. Wiatr zerwał się gdzieś od wysokich gór i przez długą chwilę wszystkie drzewa Karkonoszy ugięły się pod jego naporem. Potem, jak zwykle w górach bywa, nastała chwila ciszy. Naftówka przygasła i wi-dać było prostokąt okna wypełniony gwiazdami. Przed dom zajechał samochód; skrzypnęły ciężkie kroki na śniegu i do izby wszedł Orsaczek.

— Odwiozłem go — powiedział od progu. Powiesił czapkę i kozuch; teraz dopiero był ładny i gibki jak młody kot. — Myślałem — rzekł — że razem z nim szlag mnie trafi. Taki wiatr... — Spostrzegł nagle kobietę i zamilkł. Oczy jego stały się okrągłe.

— Zabawa przywiózł sobie pomocnika — pogodnie wyjaśnił Dziewiątka. — Chce popełnić samobójstwo rodzinne. Można i tak.

Wstał z pryczy. Podszedł do stojącego w kącie piecyka i po-grzebał w nim drutem. Wszystko już wygasło, na podłogę wyleciało nieco popiołu. W stojącym na fajerce garnku zamarzała woda. Dziewiątka wziął trochę pakuł i oblał je ropą. Podpalił i piecyk zaczął natychmiast wesoło trzeszczeć. Dziewiątka usiadł przy stole i wyciągnął z szuflady talię kart.

— Zagrasz, Warszawiak? To już ostatni raz.

Warszawiak i Orsaczek przysiedli. Karty były brudne i lepiły się do rąk; wszystkie rogi ktoś poobcinał, aby nie oszukiwano.

— Zbudzę Apostoła — rzekł Orsaczek. — Ostatnim razem karta mu nie szła.

Podszedł do pryczy obok pieca, na której spał mężczyzna i począł nim potrząsać. Śpiący przez długą chwilę otrząsał się jak od muchy, wreszcie obudził się. Usiadł gwałtownie i przecierał oczy rękami.

— Chodź do nas, Apostoła — powiedział Dziewiątka. —

Pogramy sobie jeszcze trochę w miłym towarzystwie. Wozy nie przyszły i jutro wszystkich nas stąd diabli biorą.

— Nie wyrażaj się — powiedział głębokim basem Apostoł. Wstał z pryczy i podciągnął spodnie. Był ogromny. Kiedy człapał powoli mierzwiąc palcami skudłone włosy, jego ogromny brzuch trząsał się jakby o krok przed nim. Oczy miał zapuchnięte, czerwone i potężne worki pod nimi. Kiedy usiadł, krzesło zatrzęszczało załóżnie. Jak z beczki szedł od niego zapach przetrawionego alkoholu.

Dziewiątka zwrócił się do Zabawy.

— Grasz ?

— Poker ?

— Tak.

Zabawa rozejrzał się.

— W pięciu ? Za dużo nas.

— Jeden spauzuje.

Dziewiątka rzucił karty na stół i rozłożył je w wachlarz. Ruchy jego były szybkie, trudno uchwytne dla oka.

— Ciągnąć — powiedział. — Najstarsza pauzuje. Sprawiedliwie.

Sam ciągnął pierwszy ; wyciągnął waleta i rzucił go z uśmiechem. Asa miał Orsacek. Odszedł. Wyciągnął spod pryczy drewniany kuferek, wyjął pompę benzynową i począł dłubać w niej śrubokrętem. Warszawiak spojrzał na niego i zobaczył, że Orsacek trzyma w ręku zupełnie zużytą pompę, którą sam niegdyś wyrzucił na szmelc. Dłubał w niej śrubokrętem zupełnie bezmyślnie, rzucając przy tym spojrzenia na żonę Zabawy. Siedziała nieruchomo z rękami splecionymi na kolanach. Patrzyła przed siebie bez wyrazu. Podniósł rękę do góry i udając, że odkręca knot, nakierował światło na twarz kobiety. Wtedy zobaczył spływające po niej łzy ; przesunął lampę w bok.

Dziewiątka zwrócił się do Warszawianka :

— Otwarcie ?

— Jest.

— Ty, Apostoł ?

— Jest.

— Zabawa ?

Skinął głową. Wyglądał na bez reszty pochłoniętego grą. Warszawiak patrzył na Zabawę spod przymrużonych powiek, lecz na twarzy jego nie dostrzegł nic poza skupieniem. Dziewiątka podrapał się w podbródek.

— Teraz dopiero — rzekł — przypomniałem sobie, że nieboszczyk był mi winien dwie stówki... — Westchnął z żalem : — Już mi ich nie odda — powiedział — chyba, że diabli upomną się o mnie.

Apostoł spojrzał na niego krwawymi oczyma :

— Jaki nieboszczyk ?

— Grzegorzewski Stefan. Ty nic o tym nie wiesz, Apostoł? Racja, byłeś przez cały czas pijany. Niech cię cholera weźmie!

— Nie wyrażaj się — zagrzmiał Apostoł. Przełożył karty z prawej ręki do lewej i wykonał śpiesznie znak krzyża. — Kiedy się ten złodziej zwał?

— Dwa dni temu. Co ci się śniło przez ten czas?

Apostoł westchnął.

— Wieczne odpoczywanie daj mu Boże — rzekł uroczyście.

— Ty, Dziewiątka, trzymaj swoje brudne łapy na stole... — Popatrzył przez chwilę w karty: — Dwa i cztery. Żeby tylko pochowali po chrześcijańsku.

Warszawiak rzucił swoje.

— Odpadam — rzekł. Odchylił się z krzesłem do tyłu i spojrzał na kobietę. Siedziała bez ruchu nie zmieniając pozycji.

— Grasz, Zabawa? — spytał Dziewiątka.

— Cztery i osiem.

Apostoł spojrzał na Zabawę.

— Dzisiaj przyjechałeś?

— Tak.

— To twoja żona?

— Uhm.

— Niedobrze — z troską w głosie powiedział Apostoł. — Jak to Pismo święte mówi? Niewiasta, niewiasta, coś takiego... Jakbym nie pił z tydzień, to bym sobie przypomniał. Po wódce mam głowę jak dziurawe wiadro. Nie mogę sobie przypomnieć, jasna cholera! W każdym razie coś z niewiastą i coś, że źle... Ty nie pamiętasz?

— Nie — powiedział Zabawa.

— On nie wierzy w Boga — wyjaśnił Dziewiątka. — Komunista. Partia go przysłała, żeby nas przytrzymał. Z nim się nie dogadasz, Apostoł.

Apostoł spojrzał koso na Zabawę.

— To prawda?

— Osiem i szesnaście — powiedział Zabawa. — Prawda.

— Trzydzieści dwa.

— Jestem i sprawdzam.

— Kareta.

— Jaka?

— Burdel.

— Nie wyrażaj się. Dobry jesteś.

— Boże Narodzenie — powiedział Dziewiątka. Sprawnym ruchem zagarnął pieniądze. Znowu począł tasować karty; w jego zonglerskich rękach tworzyły kolorową tęczę. Nagle przerwał, pochylił głowę charakterystycznym dla siebie gestem: prawym uchem naprzód. — Cicho — rzekł. — Zdaje się, że ktoś jedzie.

Zabawa wstał. Położył karty na stole.

— Muszę wyjść — powiedział. — To pewnie on.

— Kto? — zapytał Apostoł.

— Ten, co ze mną przyjechał. Jak on się nazywa?... Ten... no... partyzant.

Wyszli przed barak; mroźne powietrze ścięło im gardła. Widzieli już ślizgające się po śniegu reflektory. Za chwilę wóz wtoczył się na podwórko. Kierowca zatrzymał silnik i wyszedł. Był średniego wzrostu, ubrany w porządną nowy kozuch, a obuty — w odróżnieniu od nich wszystkich — w lśniące oficerki.

— Droga była ładna — rzekł. Rozprostował ramiona. — Przywiozłem cztery pełne beczki. Starczy na jakiś czas. Jutro je zwalę.

— Chodź do środka — powiedział Zabawa.

— Chwilę. Tylko się rozpakuję.

Dziewiątka, Zabawa, Apostoł i Orsaczek wrócili do baraku. Na dworze został tylko Warszawiak. Bolała go głowa. Oparł się plecami o wóz i szeroko oddychał. Ten, który przyjechał, wdrapał się na ramę i zdejmował stamtąd jakieś skrzynki. Ogień papierosa rozświetlił na chwilę jego młodą, junacką twarz.

— Zgaś papierosa jak jesteś koło benzyny — zmęczonym głosem powiedział Warszawiak. — Chcesz urządzać Boże Narodzenie?

— Boisz się?

— Nie chcę się meldować do nieba przez twojego peta. Widziałem raz takiego, który się bawił benzyną i papierosami. Teraz się zresztą odzwyczaił.

— Dlaczego?

— Bo mu w grobie zapałki wilgotnieją.

Tamten zatrzymał się nagle w pół ruchu. Trzymał w ręku jakąś skrzynkę, potem cisnął ją nagle na ziemię.

— Myślisz, że jesteś cwaniak? — zapytał.

Warszawiak podszedł do niego. Brutalnym ruchem wyrwał mu papierosa z ust i rzucił go w śnieg.

— Jesteś gówniarz, rozumiesz? — powiedział. — Widziałem nie takich kierowców jak ty. Strugaj chojraka tam, gdzie trzeba.

— A teraz nie trzeba?

— Teraz pakuj manatki i idź do baraku.

— Jesteś cwaniak, tak? — powiedział tamten. — To teraz patrz!

Pochylił się nad jedną z beczek i odkręcił korek. Szarpnął nią: beczka była napelniona po brzegi i benzyna rozlała się po powierzchni. Zakręcił korek i wytarł koło niego benzynę. Potem przytknął do kałuży papierosa; zaczęła natychmiast płonąć silnym, niebieskim płomieniem. On sam stał na szeroko rozstawionych nogach i palił papierosa.

— Jeszcze parę sekund — powiedział Warszawiak — a tamtych wszystkich w baraku szlag trafi. Gaś!

Nie odpowiedział. Stał bez ruchu i patrzył w górę. Na tle rozjaśnionego poświata gwiazd nieba, rysowały się ciężko jego ramiona. Blask płonącej benzyny oświetlał nieruchomą, stęziałą w wyrazie obojętności twarz.

— Beczka się rozgrzeje — powiedział ochryple Warszawiak. Wrzasnął: — Gaś!

Teraz dopiero odwrócił się ku niemu.

— Wiesz coś o strachu, cwaniak?

Warszawiak skoczył na beczkę i przywarł do niej całym ciałem. Stało się to w chwili, kiedy niebieski płomyk podpełzał już do otworu korka; Warszawiak nakrył go rękawem. Syknęło jego mokre ubranie i po chwili pograżyli się w ciemności.

Zeskoczyli z wozu.

— Ładnie — powiedział Warszawiak. — Nie zgasiłbyś?

— Nie.

— Śmierć z frajerstwa?

— Po co mówiłeś o strachu? — powiedział tamten. Uśmiechnął się nieznacznie; uśmiech nadawał jego młodej twarzy wyraz pyszałka. — Co ty wiesz o strachu, cwaniak? Przez całą wojnę byłem w lesie i nic o tym nie wiedziałem, a ty mi teraz mówisz o strachu? Człowieku, popatrz!

Rozpiął kożuch, potem koszulę i obnażył smagłą pierś. Warszawiak spojrział: niewyraźnie białe wielkie, poprzeczne blizny. Zapiął się.

— Gdzie byłeś?

— Kieleccyzna, Kampinos, gdzie chcesz.

Przysiedli się na zderzaku. Obok stał wóz Dziewiątki. Czaszka była już umocowana bolcem na wachlarzu i szczyrzyła do nich białe zęby. Warszawiak wzdrygnął się.

— Co cię tu przyniosło? — zapytał. Starał się patrzeć w zupełnie inną stronę, lecz czuł na plecach ślepe spojrzenie oczodołów.

— Co za życie, tam, w mieście? Rano idziesz do roboty a potem co? Możesz lazić jak głupi z rękami w kieszeniach. Forsy mało, nic się nie dzieje, zebrania, pogadanki. Wszystko co masz, to woda i dziwki. Dziwki kłamią, a od wody łeb boli. Lubię czuć, że żyję naprawdę. Złożyłem podanie o przyjęcie do szkoły lotniczej. Myślę sobie: jak się coś zacznie, to przynajmniej się odkuję z góry. Będę tłukł tak, jak oni w tej wojnie nas. Odmówili. Niedobra przeszłość: za dobrze walczyłem. Chciałem do marynarki, to samo. Mówili coś o ochotnikach na Koreę, ale to bujda. Przyjechałem tutaj. Kiedy mnie przyjmowali tam, w Centrali, mówili, że tu trzeba być odważnym — zaśmiał się. — Przypomnę sobie stare dzieje.

— Zarobić nie można — powiedział Warszawiak. — Wozy się rozlatują, strach na nich jeździć. Chcemy stąd jutro wiać... — Zaciął się nagle i urwał.

Tamten wzruszył ramionami.

— Jak chcesz — powiedział. — Ja zostaję. W mieście jest jeszcze bardziej nudno. Dziwki się nudzą, konie się nudzą, starzy się nudzą, żołnierze się nudzą. Zdechnąć można i człowiek nie wie nawet dlaczego. Do cholery z takim życiem! Wolę góry. Tu jest coś naprawdę. Bez gadania i pucu... — Wstał. — Chodźmy do środka; zimno.

Warszawiak przytrzymał go za rękę.

— Sekundę — powiedział. — Kto to jest ten, który przyjechał z żoną?

— Ona ci się podoba?

Zachnął się.

— Nie widziałem jej nawet. Chodzi o faceta.

— Jest ładna — powiedział tamten w zamyśleniu. — A on? Był kiedyś sekretarzem w Bazie Centralnej. Przyszli go tutaj, żeby was zaagitował, czy diabli wiedzą co. Są straszne awantury o drzewo, ciągle go za mało. Budowy stoją całymi tygodniami. Nic o nim nie wiem. Bardzo dobrze jeździ, to fakt... — Spojrzał nagle w twarz Warszawiaka i wzdygnął się: — Co ci jest, do ciężkiej cholery?

— Nic — powiedział Warszawiak. Otarł czoło rękawem. — Chodźmy.

Weszli do izby. W ciemnej norze zrobiło się gorąco; rura piecyka rozgrzana była do czerwoności. Wszyscy, prócz Orsaczka i żony Zabawy siedzieli przy stole. Nad ich głowami wisiał gęsty dym z papierosów. Przed rozpartym niedbale Dziewiątką rósł stos banknotów. Kiedy weszli, spojrzał na nich krótko.

— Siadajcie, dzieci — powiedział dobrotliwie.

Usiedli obaj. Partyzant nim położył łokcie na stole, zdmuchnął zeń okruszyny i wytarł chustką. W oczach Warszawiaka zapaliła się drwina.

— Znów jest nas o jednego za dużo — powiedział Dziewiątką. Uderzył o stół talią. — W pięciu, to już nie poker, dzieci. Poker jest ostrą grą, mówię wam. To jest właśnie gra dla mężczyzn i tylko ten może wygrać, kto się nie boi, gra ostro, bluffuje, a kiedy trzeba, potrafi mądrze oszukać. Ludzie robili na pokerze fortuny ale i przeczyniali wszystko do ostatnich łachów. Szkoda, że jutro się rozstajemy, bo mielibyśmy jeszcze nie jedną ciekawą rundkę.

— Musicie zostać — powiedział Zabawa. Uniósł głowę i przez długą chwilę patrzył na nich z napięciem. Wyglądał na bardzo zmęczonego. — Musicie zostać — powtórzył. — Czy nie rozumiecie? Tam na to drzewo wszyscy czekają. Wolałbym zdechnąć, niż wrócić do miasta z gołymi rękami. Musicie to zrozumieć.

— Rozumiemy to — powiedział Dziewiątką. — Rozumiemy to tak dobrze, że jutro o tej porze będziemy już w mieście. Nie trać czasu na gadanie, Zabawa. Sprzedaję. Ile ci dać?

— Dwie.

— Podpierasz się, a to niedobrze. Znałem kiedyś jednego faceta: on naprawdę rozumiał pokera. Kiedy nie miał dobrej karty, wyciągał pistolet. Cóż z tego, kiedy już dawno wzięła go cholera.

— Nie wyrażaj się — powiedział Apostoł. — Daj mi kartę. Zabawa pochylił się ku Dziewiątce.

— Myślisz, że to dobry system?

— Osiem — odpowiedział Dziewiątka. Spojrzał na Zabawę z roztargnieniem. — Co mówisz, dziecko?

— Czy myślisz, że to dobry system? — powtórzył pytanie Zabawa.

— Co?

— Pistolet.

Dziewiątka wzruszył ramionami i wydał swoje grube wargi. Wykonał pełen wyrazu ruch ręką.

— Mówimy o pokerze — rzekł. — To ostra gra. Można wiele wygrać, ale i wszystko przerznąć. Z chwilą, kiedy mężczyzna rozpoczyna grę, powinien wiedzieć co go czeka. Człowiek zawsze powinien być sobą i grać tak jak potrafi. Inaczej, byle pętał będzie go bił w...

— Nie wyrażaj się! — pospiesznie wtrącił Apostoł.

— Chciałem powiedzieć: w skórę — powiedział z wyższością Dziewiątka. Rzucił karty na stół: — Widzę przecież, że między nami jest kobieta...

Wstał i podszedł do niej. Wszyscy patrzyli za nim i teraz dopiero spostrzegli, że zasnęła na krześle, opierając głowę na ramieniu ptasim ruchem. Włosy ciemnym skrzydełkiem opadły jej na policzek. Twarz jej była zaróżowiona. Dziewiątka pochylił się nad nią i westchnął.

— Biedna mała — rzekł po chwili. Wyprostował się i zmiął ze złością papierosa. — Czy to jest miejsce dla niej? Tu święta Agata stałaby się prostytutką, gdyby tylko mogła.

— Nie wyrażaj się, stary skurwysynu! — powiedział Apostoł.

ON I ONA

Leżał bez ruchu. Poprzez ciemność starał się dostrzec jakiś punkt na suficie, którym mógłby zająć wzrok i wyobraźnię, aby w ten sposób ustrzec się od snu; rozwierał powieki aż do bólu żrenic; był zmęczony i wyczerpany, dławilo go pragnienie snu i świadomość, że sen jest blisko, niby ciepły i miękki worek, w który można zapaść. Obok, z głową na jego ramieniu spała żona. Oddychała równo i głęboko; spokój jej odpoczynku budził w nim chwilami nienawiść. Nie spał już od wielu nocy i jedyne czego pragnął w tej chwili, to ciemności bez marzeń i widziadeł. Bronił się przed tym ze wszystkich sił. Kiedy ogarnęło go głębokie przekonanie, że wszyscy obecni w izbie śpią, poruszył delikatnie ramieniem żony.

— Wanda — szepnął. — Wanda...

Po chwili dostrzegł błysk jej oczu.

— Wstań po cichu — rzekł. — Pamiętaj, żebyś nikogo nie obudziła. Rozumiesz? Musisz być zupełnie cicho. Ubieraj się i wyjdź na dwór. Ja zaraz przyjdę.

Przesunęła się po nim i przez chwilę ogarnęło go pragnienie, aby nie myśląc o niczym, przygarnąć ją do siebie. Zamknął oczy i przycisnął się do ściany. Ubierała się szybko; księżyc tkwił w środku okna i kiedy zbudzony szelestem Warszawiak otworzył oczy, zobaczył tuż przy sobie jej nogi: długie i białe w dziwnym świetle. Serce podeszło mu pod gardło i oddychał szybko. Kobieta potrząsnęła włosami i jednym ruchem zebrała je w gruby węzeł; były teraz srebrne i kiedy przestoniła je na chwilę wkładaną przez głowę sukienką, odczuł żal. Gwałtownie odwrócił się na drugi bok i zamknął oczy, lecz sen już uciekł na dobre. W ciemnościach, pod powiekami kołysała się srebrna jej głowa.

Zabawa zapytał szeptem:

— Już?

— Tak.

— Wychodź na dwór i czekaj na mnie.

— Co ty...

— Wychodź!

Skrzypnęły drzwi: chwilę mocowała się z wiatrem, potem zamknęła je i została sama w rozświetlonej bieli. Niebo było jasne, lecz zdziwiła się spostrzegłszy, że cień jej jest fioletowy. Nabrała w obie dłonie śniegu, natarła sobie nimi twarz i ręce. Przez chwilę zdrętwiała i wydało jej się, iż w ciało jej wchodzi tysiące małych igieł, lecz po chwili uczuła gorąco. Weszła do jednego z samochodów i przykucnęła na siedzeniu. Teraz już Warszawiak, który leżał przy oknie, stracił ją z oczu. Patrzył jak z izby wychodzi Zabawa, idzie ku niej i wchodzi do tego samochodu co ona. Roześmiał się ochryple:

— Kurwa — powiedział w mrok.

Nakrył się kożuchem, lecz poza ciemnością, zmęczeniem i wszystkimi plugawymi myślami, widział jej srebrną głowę i gest, jakim zgarniała włosy. Walczył z sobą przez długą chwilę, lecz było mu coraz bardziej gorąco i nieznosnie; zaraz potem odczuł ulgę, pomyślał z pogardą o sobie i o niej; usnął wreszcie przygnieciony snem.

Zabawa wszedł do wozu, gdzie na siedzeniu leżała Wanda. Myślał, że śpi; pochylił się nad nią, a wtedy przygarnęła go do siebie. Z trudem oderwał się od niej.

— Chodź — powiedział. — Pomożesz mi.

— Co ty chcesz zrobić?

— Pomożesz mi — powiedział. — Zasłonisz sobą światło tak, żeby oni tego nie dostrzegli. Musisz być cicho, zupełnie cicho, rozumiesz?

Wyskoczył. Otworzył maskę pierwszego z brzegu samochodu i pochylił się nad silnikiem. Cicho powyciągał z kieszeni narzędzia i pracował nimi jak chirurg: bez jednego zbędnego ruchu. Żyłki nabrzmiały mu na czole, kiedy mocował się z opornymi mutrami. Klucze mroziły ręce tak, jakby w nich zawarte było wszelkie zimno świata.

— Chcę stąd wyjechać — powiedziała Wanda. — Słyszysz?

Nie odpowiedział. Skończył pracę, wyjął jakąś odmontowaną część i zamknął maskę. Przeszedł do innego samochodu; idąc stapał na palcach, lecz zdawało mu się, że cichy skrzyp jego butów szumi w dolinie. Otworzył maskę.

— Chcę stąd wyjechać — powiedziała. — Kiedy wyjeżdżałam z Francji, mówiłeś mi, że tutaj będzie inaczej. To jest twoja Polska? Ta nora, ci ludzie? Byłam przez chwilę sama na dworze i słyszałam wilki. Chcę żyć z ludźmi. Czy po to wyszłam za mąż za siebie, aby żyć między wilkami?

— Podaj mi śrubokręt — rzekł. — Leży na siedzeniu w tamtym wozie. Szybko!

Przyniosła po chwili.

— Zabierz mnie stąd — powiedziała. — Zabierz mnie stąd i wracajmy do miasta. Będziemy żyć spokojnie. To są niedobrzy ludzie.

Podniósł głowę.

— Ale dobrze jeżdżą — powiedział. Uśmiechnął się wstrętnie. — Zwłaszcza jeden. Podaj bliżej światło.
— Nie kochasz mnie?
— Klucz francuski. Leży na ziemi.
— Czy długo chcesz tu zostać?
— Dopóki nie zwozę drzewa.
— Dużo tego drzewa trzeba?
— Bardzo dużo.
— Dlaczego akurat ty musisz to robić?
— Jedni robią to, a drudzy tamto. Ja jestem od drzewa.
— Drzewo jest ważniejsze ode mnie?
— Ważny jest obowiązek.
— A ja?
— Co?
— Nie masz obowiązku wobec mnie?
— Taki sam jak i ty wobec mnie. Musisz zostać ze mną.
Milczała przez chwilę. Potem ujęła nagle jego rękę i pocałowała ją.
— Jedźmy stąd — szepnęła.
Wyszarpnął rękę.
— Uważaj! — powiedział. — Benzyna. Porobią ci się pęcherze na ustach.

Odsunęła się od niego. Znów usłyszała wilki. Były wszędzie; w granatowych lasach, w wąwozach, przemykały drogami i po polach, zostawiając na białych płaszczyznach ślady wstrętnych łap. Podniosła głowę do góry; przeraźliwie białe i monotonne światło milczało, przykryte kloszem szklanego nieba. Jedyne co żyło teraz w tym pustkowiu, co było ciepłe i żywe, to tylko wilki; ich oczy, ich oddechy i szybki bieg ich kosmatych łap. Zatrzęsa się, nagle ogarnięta wstrętem i przerażeniem.

— Jeśli ty zostaniesz, to ja wyjadę — rzekła.
— Zostaniesz ze mną.
— Dokąd?
— Do końca.

Znów przeszli do następnego wozu. Drętwiała z zimna; oparła się ręką o coś, co było białe i kuliste. Nagle palec jej zabłądził do jakiegoś otworu; spojrzała i odskoczyła. Była to przymocowana do błotnika czaszka.

— Wyjadę stąd — powiedziała z rozpaczą. — Nie chcę wyglądać jak to.

— Jesteś sama — powiedział nie unosząc głowy. — Jesteś sama i nie masz w Polsce nikogo poza mną.

— Nienawidzę cię!

— Młotek. I światło, światło niżej, do cholery. Oni nie mogą zobaczyć.

— Co ty właściwie robisz?

Zamknął maskę i zeskoczył.

— Jeszcze jeden wóz i koniec — powiedział. — Jutro będzie gorący dzień.

— Jutro wracam do miasta — powiedziała.

— Co będziesz robić?

Oświeciła latarką swoją twarz. Uśmiechnęła się.

— Wszystko — powiedziała. — Wszystko. Wolę wyjść na ulicę, niż zdychać w tej białej ciszy. Chodź do wozu, ty bydlę! Prześpijmy się ostatni raz.

Zamachnął się krótko i uderzył ją w twarz. Latarka wypadła z jej rąk. Stał naprzeciw: wysoki, dyszący szybko, z ciemną twarzą. W jego oczach drżały zimne gwiazdy.

— To koniec — powiedziała. Przysunęła się bliżej niego. — Wiem co zrobiłeś. Chcesz ich zatrzymać. Nie uda ci się.

Nabrała w płuca powietrza, aby krzyknąć z całych sił. Wtedy na szyi poczuła jego palce. Ścisnął coraz mocniej i krew szumiała jej w uszach; potem biel wokół niej, bez początku i końca, stała się nagle krwią i szumem, który zagłuszył wszystko; odgłosy i ból uderzeń. Kiedy ocknęła się, zobaczyła go stojącego nad sobą. Był ogromny i wydało jej się, że cieniem swym sięga gwiazd.

— Weź latarkę — powiedział. — Świeć nisko i uważnie. I bądź cicho, stałaś się ostatnio nerwowa... — Zatoczył ręką. — Cisza i pustka zrobią ci dobrze — powiedział.

Podniosła się i oblizła słone wargi. Przeszli do następnego samochodu. Nie mówili do siebie nic; w dławiącą ciszę wdierał się od czasu do czasu głos wilków.

REWOLWER

Pierwszy wstał Orsaczek. Wciągnął pospiesznie spodnie i buty, wziął z kąta obtłuczoną miednicę i wyszedł na dwór. Oślepiiony roziskrzoną bielą zmrużył oczy i stał chwilę bez ruchu, wdychając pełną piersią ostre powietrze. Bliskie szczyty dymiły w jasnym słońcu, a lasy były teraz ledwo niebieskie, pełne prześwitów.

— Cholera ! — powiedział głośno Orsaczek. Pochylił się, ulepił potężną pigułę i rąbnął nią w drzewo ; rozsypała się pięknie i sucho jak kryształ. Nabrał pełną miskę śniegu i wrócił do izby. Wrzucił kilka polanek do piecyka i oblał je naftą ; ogień momentalnie zaśpiewał.

Dziewiątka wysunął spod kozucha rozkudłaną głowę. Twarz miał napuchniętą od snu, a oczy zamglone. Przez chwilę obserwował krzątającego się rażno Orsaczka.

— Czego mnie budzisz, do cholery ? — powiedział w końcu. — Na mszę się spieszysz, idioto ?

— Chcę się umyć. Takie dziwne, czy co ?

Dziewiątka ziewnął rozpaczliwie.

— Dlaczego akurat dzisiaj ? Tyle czasu chodziłeś z brudną szyją i też było dobrze.

Orsaczek milczał zakłopotany, potem rzekł z nagłą radością :

— Przecież dzisiaj kończymy, nie ?

Dziewiątka rozpromienił się. Zatopił obie dłonie w swoje kudły i przez chwilę czochrał się z rozkoszą.

— Racja, dzisiaj zmartwychwstanie...

— Co ?

— Już teraz nie powtórzę, język mi się łamie... Ale znaczy, że wypieprzamy stąd, do jasnej cholery.

Wyciągnął spod kozucha kosmate nogi i przypatrywał się im ze skupieniem. Całe łydki pokryte miał tatuażami : kobiety, jaszczury i kotwice. Orsaczek zagapił się także i w pewnej chwili spojrzenia ich spotkały się.

— Ładne — powiedział Orsaczek. — Do głowy by mi nie przyszło, że można z własnymi pieszczelami robić takie cuda.

Dziewiątka wzruszył ramionami.

— To jeszcze nic, dziecko — rzekł. Uśmiechnął się lekceważąco, potem powiedział: — Na samym szpicu patafiana, mam napis: Ola.

— Nie wygłupiaj się — z podziwem rzekł Orsaczek.

— Nie wierzysz?

— Nie.

— Nie?

— Nie.

— Patrz!

Jak z procy wyskoczył na środek izby i począł odwiązywać tasienki skomplikowanych kalessonów. Warszawiak uniósł się nagle na łóżku.

— Stulcie mordy!

Dziewiątka odwrócił się ku niemu.

— Co jest?

Spotkał wtedy wzrok leżącej z Zabawą kobiety i wskoczył natychmiast do łóżka.

— Wybacz, dziecino — powiedział miękko. — Odzwyczajiliśmy się wszyscy od kobiet. Czasami się tylko śnią, ale także obrzydliwie... — Uniósł się na łokciu i zapytał: — Jak ci na imię?

Po chwili wahania rzekła:

— Wanda.

Cmoknął.

— Ładnie — powiedział — ale nie wiem, czy by się zmieściło. Pięć liter, to jednak nie to, co trzy... — Westchnął. — Mój Boże — powiedział — zanim przyjechałem tutaj, mogłem sobie wytatuować: Hermenegilda. To góry zrobiły ze mnie pająka.

— Bóg cię ukarze, ty bydlaku! — odezwał się Apostoł. Siedział na pryczy i czochrął palcami swój ogromny łeb. Ziewnął potężnie i przeciągnął się. — W nocy było diabelnie zimno — powiedział. — Myślałem, że skonam.

— Co wy wiecie o zimnie, do diabła! — szorstko powiedział Partyzant. Był już ubrany: miał na sobie czystą koszulę, czarny sweter i zaprasowane w kant bryczesy, które w nocy trzymał pod prześcieradłem. Siedział na pryczy i czyścił z zapalem swoje wspaniałe, oficerskie buty. — Tu macie chociaż kawałek chaty, a jakby wam przyszło spać w lesie przez całą zimę, to co wtedy?

— No, no, ty, Partyzant — powiedział Dziewiątka. Wykrzywił swoją ciemną gębę. — Posiedzisz tutaj trochę dłużej, to ci jeszcze niejedną raz woda w głowie zamarźnie.

Tamten przerwał czyszczenie.

— Co zamarźnie?

— Woda we łbie.

— Woda?

— A bo co?

— Gówno.

— Stulcie mordy — powiedział Warszawiak. — Porozmawiacie sobie na dworze.

— Bóg was skarże — powiedział Apostoł. Trzymaną w ręku książeczką od nabożeństwa, trzasnął Orsaczka w plecy. — Nie wypinaj mi dupy przed twarzą, kiedy się modłę.

Orsaczek rozstawił sobie na stole lusterko i zaczął się golić. Wydymał okrągłe policzki, odciągał sobie skórę, lecz tępą brzytwa z trudnością pokonywała kilkudniowy zarost i zaciął się raz po raz. Dziewiątka przez jakiś czas obserwował w milczeniu jego działalność, potem rzekł marzycielsko :

— Ileż to czasu nie byłem porządnie ogolony, Chryste Panie... — Przeciągnął ręką po twarzy. — Ogolić się u jakiegoś parszywego fryzjera — powiedział — ostrzyć łeb, dziewczynkę pod pachę i na spacer. Najpierw do kina, potem do knajpy, potem do parku, potem...

— Gdzie mieszkałeś przed wojną, Dziewiątka? — przerwał nagle Warszawiak.

— Mówiłem ci już chyba ze sto razy : we Lwowie. Potem za rączkę, potem...

— Ładne miasto, Lwów?

— Myślisz, że tylko twoja Warszawa jest ładna?

— Była ładna — powiedział Partyzant. Wstał. Buty jego lśniły jak dwa czarne słońca. Przeszedł parę kroków po izbie i z lubością wsłuchiwał się w ich skrzyp. Potem przystanął obok Warszawiaka. — Niewiele zostało z twojego miasta — powiedział. — Przedzieraliśmy się tam podczas powstania, ale nic z tego nie wyszło. Łupnęli mnie wtedy w nogę.

Dziewiątka założył ręce pod głowę. Na twarzy jego odbiło się zniechęcenie.

— Wojna skończyła się pięć lat temu — powiedział — a ludzie wciąż jeszcze o tym gadają. Jak było wtedy, jak było tam, mnie łupnęli w tyłek, temu oberwało łeb... Nie macie o czym innym gadać?

— O czym gadać, do cholery?

— Trzeba żyć, kochani — powiedział Dziewiątka. — Trzeba żyć i cieszyć się, i płakać, i przeklinać, i diabli jeszcze wiedzą, co robić, ale nie wolno wspominać. Jesteście młodzi, Tak, jak śpiewa Orsaczek... jak to tam idzie, no?

— Skończę się golić — powiedział półgłosem Orsaczek.

— Nie, zaśpiewaj teraz.

Orsaczek odłożył brzytwę : połowę twarzy miał ogoloną. Wyciągnął spod łóżka harmonię i przepasał się. Potem przymknął oczy i zaśpiewał :

*Harmonia z cicha na trzy czwarte rżnie.
Ferajna tańczy, ja nie tańczę.*

*Z szaconkiem, bo się może skończy źle,
Kiedy w lokalu bawimy się.*

— Dalej — powiedział Dziewiątka.
Zaśpiewali razem :

*Bez jedzenia i bez spania.
Ale było za co pić.
Antoś na harmonii z cicha zaiwania,
Trzeba tańczyć, trzeba żyć.*

— Dalej !

*We mgle już latarnie świecą.
Z cicha gwiazdże nocny stróż.
A pod szubienicą, tam daleko, na Antosia,
Kat Maciejewski, czeka już...*

Orsaczek skończył i zdjął harmonię. Dziewiątka powiedział :

— Tak się kiedyś żyło, dzieci. Tak się żyło i nie wiadomo było, co z życiem robić... — Westchnął, potem zwrócił się do Warszawiaka : — Chodź, synu. Pójdziemy się...

— Uważać ! — powiedział groźnie Apostoł.

— ...przejsć po śniegu — powiedział Dziewiątka.

Wyszli. Śnieg skrzypiał jak kalafonia; przez noc napadało go tyle, że koła stojących wozów przysypane były do piast. Warszawiak przystanął nagle.

— Co się stało ? — powiedział. Wskazał ręką na wozy. Zobacz : wygląda tak, jakby na jeden wóz napadało więcej a na drugi mniej.

Dziewiątka popatrzył.

— Może ci się zdaje — powiedział niepewnie. — Cudów przecież nie ma... Ustawione były bokiem, a w nocy wiatr mógł tańczyć oberka.

Warszawiak chciał podejść, lecz Dziewiątka przytrzymał go za ramię. Zmrużył oko.

— Przyjrzałeś jej się dobrze ?

— Komu ?

— Zonie tego idioty.. tej Wandzie, no !

Wzruszył ramionami.

— Niech się jej mąż przygląda — powiedział. — Bo co ? Dziewiątka sapnął.

— Widziałeś, jakie ma podkrążone oczy ? — powiedział żałośnie w głosie. — Wygląda jakby ją byk posunął.

Warszawiak strącił jego rękę z ramienia.

— Odczep się.

Rozpiął ze wściekłością rozporek. Mocz parował ; słońce wisało nisko nad obrośniętymi szczytami i widzieli teraz nowe

ślady wilczych łap ciągnące się krętymi pasmami wzdłuż doliny. Wszystko, co otaczało ich teraz : niebo, góry i płynące jakby w swym ciągłym szumie lasy, było jasne i ostre jak na rysunkach dzieci.

— Przekłety, biały świat — powiedział Dziewiątka. Podciągnął za szerokie na jego szczupłe biodra spodnie. Zapalił papierosa, a płomyczek zapalki trzeszczał wesoło na mrozie. — Czasem przestaję już wierzyć — powiedział — że gdzieś na świecie są prawdziwe domy, miasta, dziwy, sklepy, kościoły... — Szarpnął ku sobie Warszawiaka. — Człowieku — powiedział gorąco — ty rozumiesz; przecież nawet gdybyś tu narozrabiał, nie byłoby tu ani jednego gliniarza, żeby cię wziął za pysk i zaprowadził na dechy. Kiedy o tym spokojnie pomyślę, szal mnie ogarnia.

— Tęsknisz za kratkami?

Dziewiątka popatrzył na niego ze smutkiem.

— Nie urodziłem się dla kochanej wolności — powiedział. — Na wolności co i raz dostaję chrypy — a w pudle, przez dziesięć lat nie kichnąłem nawet.

— Co będziemy robić? — zapytał po chwili Warszawiak. Wyciągnął do słońca twarz i wietrzył swoim długim nosem. — Myślisz, że będzie nam lepiej?

— Gdzie?

— Sam nie wiem, gdzie.

— W mieście?

— Tak.

— Wszystko — powiedział Dziewiątka. Gapił się na spacerującą po śniegu wronę; zadartszy ogon podskakiwała na swoich wstrętnych łapach. — Wszystko co chcesz, synku, aby tylko wyrwać się z tej pustki. Tu za dużo czasu na myślenie, a to się dla człowieka zawsze źle kończy.

— Dziewiątka! — odezwał się Warszawiak.

— No?

— A może te wozy przyjdą niedługo?

Dziewiątka spojrzał na niego szybko.

— Wierzysz w cuda? Dotychczas był tylko jeden.

— Jaki?

— Pewien pop otworzył parasol w tyłku swojej małżonki. Ale po rewolucji go i tak rozstrzelano. Chodź, synu...

Orsaczek skończył się już golić. Wytarł twarz ręcznikiem, starannie wypłukał brzytwę i pędzel, potem pochylił się nad swoim kuferkiem. Grzebał w nim dłuższą chwilę, potem wyciągnął buteleczkę wody kolońskiej. Pogwizdując odkręcił korek i pochylił ją ku dłoni. Nagle na twarzy jego odmalowała się wściekłość.

— Co jest z moją wodą? — wrzasnął.

— Stało się coś ? — zapytał Dziewiątka.

Orsaczkowi oczy nabiegły krwią.

— Jak to, co się stało ! — Trzasnął pięścią w stół. — Miałem pełen flakon wody kolońskiej, a... a...

— Nie pokazywałeś jej nigdy — stwierdził Dziewiątka.

— Co się miałem perfumować do tych samochodów ? Żenić się z nimi będę ?

Warszawiak spojrzał na niego.

— Dzisiaj się żenisz ?

Orsaczek umilkł nagle. Ściskając w dłoni pusty flakon rozglądał się z wściekłością po wszystkich. Potem jednym susem dopadł do Apostoła.

— Ty wychlałeś ! — powiedział. — Kiedy przedwczoraj byłeś pijany i tak dziwnie od ciebie jechało, to mówiłeś, że doprawiłeś wódkę domowym sokiem. Pokaż teraz ten sok.

Apostoł dzwignął się z pryczy. Twarz jego wyrażała święte oburzenie. Chwytił ogromną dłonią kark Orsaczka i potrząsnął nim jak szczeniakiem.

— Lekkomysłny młodzianku — powiedział — wypilem twoją wodę, aby cię uchronić od pokus piekielnych... — Trząsł nim i mówił : — Komu się chciałeś podobać ? Nam ? Chciałeś pojechać do miasta, aby tam oddać się brudnej rozpuście. Mógłbym mieć takiego syna jak ty. Precz !

Orsaczek pod jego potężną dłonią załamał się nagle. Stał ogłupiały i rozcierał kark.

— Zresztą — powiedział Apostoł — woda twoja była obrzydliwa, myślałem, że mi łeb pęknie na drugi dzień. Nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą, Grzegorzewski używał o wiele lepszej. Po jego perfumach czułem się jak ptaszę.

— Czy moglibyście wyjść ? — zapytał Zabawa. Był już ubrany, lecz żona jego wciąż jeszcze leżała w łóżku przykryta po samą szyję. Wskazał na nią ręką. — Chciałaby się ubrać — rzekł.

Wyszli wszyscy kolejno. Na dworze Partyzant powiedział do Apostoła :

— Gdybyś to zrobił w lesie, chłopcy załatwili by się z tobą inaczej.

— Co ?

— Gdybyś komuś coś rąbnął.

— To co ? — zapytał Apostoł. Spojrzał na Partyzanta swymi wiecznie przekrwawionymi oczami i roześmiał się nagle.

— Idź do diabła, szczeniaku ! — powiedział.

— Jak ?

— Idź do diabła, szczeniaku, mówię.

— Tylko nie szczeniaku, ty stare próchno !

Apostoł natarł na Partyzanta swoim potężnym brzuchem i przycisnął go do ściany. Złapał jedną ręką kant ściany, drugą kłamkę i przyciskał Partyzanta coraz mocniej. Tamtemu oczy

wyszły z orbit. Poczerwieniał; obleżony wielkim ciałem tamtego, nie mógł złapać tchu, ani wykonać najmniejszego ruchu.

— Puść — jęknął.

— Za to, co powiedziałeś, postawisz ćwiartkę — rzekł Apostoł. Wszyscy stali z boku i widzieli jak na czole Partyzanta nabrzmiewa czerwona żyła.

— Puść...

— Litr.

— Puść.

Rzęził a twarz jego z krwawej stała się fioletowa. Apostoł powiedział :

— Półtora litra.

— Tak.

Zwolnił nieco uścisk.

— Słowo ?

— Tak... słowo honoru...

Apostoł odszedł. Partyzant zatoczył się i usiadł na śniegu. Patrzył przed siebie błędnymi oczami, jakby nie rozumiejąc nic z tego, co zaszło. Dziewiątka pokiwał głową.

— Kiedy byłeś w lesie — powiedział — nie miałeś widocznie do czynienia z czołgami.

Partyzant wstał z trudem. Począł otrząpywać śnieg z bryczesów. Potem uniósł wciąż jeszcze nabrzmiałą od krwi twarz.

— Skurwysyny — powiedział cicho. — Wy skurwysyny !

— Milcz ! — groźnie ryknął Apostoł i Partyzant umilkł, spojrzął na niego w nienawiścią i odszedł.

— Dziwak — powiedział Apostoł i pokręcił głową. Westchnął, potem dodał z żalem : — Gdybym go jeszcze trochę przytrzymał, wycisnąłbym z niego całą skrzynkę. Człowieka gubi słabość... — Machnął ręką. — Chodźcie, chłopcy — rzekł. Wskazał na samochody. — Będziemy zapalać te zasrane trumny świętego Rocha.

Odeszli. Zabawa odwrócił się od okna. Milczał chwilę trąc o spodnie spotniałe nagle dłonie, potem powiedział do żony :

— Zamknij się teraz i nie otwieraj nikomu, dopóki ja nie przyjdę.

Milczała.

— Słyszysz ?

Siedziała nieporuszona, nawet kiedy powtórzył pytanie po raz trzeci, a twarz jej miała taki wyraz, jakby nie docierał do niej żaden głos.

— Musiałem tak zrobić — powiedział. — Oni muszą zostać. Musiałem ich zatrzymać za wszelką cenę. Ty wiesz, że musiałem tak zrobić. Czy chcesz, żeby tamci mnie uważali za szmatę, której nie można powierzyć żadnego zadania ?

Milczała w dalszym ciągu i ani jednym drgnięciem oka nie potwierdziła jego obecności. Zbrakło mu nagle sił i oparł się ciężko o stół, dotykając swym ciałem jej ramienia. Odsunęła

się. Patrzył spod przymkniętych powiek jak błyszczy grzebień w jej ręku. Pochyliła głowę do przodu i włosy rozsypały się po ramieniu zakrywając połowę twarzy. Na karku jej zobaczył ślady własnych dłoni. Wyprostował się powoli.

— Musiałem — powiedział bezbarwnym głosem.

Wyszedł na osłabłych nagle nogach i dopiero cios jaki otrzymał w głowę tuż za drzwiami, ocucił go brutalnie przywracając ciału jego moc. Schylił się; złapał napastnika w pól i rzucił nim w śnieg, pod nogi tamtym. Orsaczek podniósł się i otarł krew z warg; on pierwszy rzucił się na Zabawę. Stali naprzeciw niego: pięciu z rękami w kieszeniach. Oparł się o ścianę baraku.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Dziewiątka.

— Musicie zostać — powiedział. — Musicie zostać tutaj i wozić drzewo, dopóki nie przyjdą nowe wozy.

— Rozmontowałeś gaźniki — powiedział Warszawiak. Teraz dopiero Zabawa zobaczył, że nie trzymają oni rąk w kieszeniach jak wydawało mu się w pierwszej chwili, lecz skryte za plecami. Kiedy poruszyli się, ujrzał, że w rękach mają korby i błysk stali raził jego oczy. — Rozmontowałeś wszystkie gaźniki — powiedział Warszawiak. — W drobny maczek. Żeby uruchomić wozy do jazdy, trzeba paru dni. Chcesz nas zatrzymać w ten sposób?

Zabawa milczał. Po chwili rzekł:

— Zatrzymam was w każdy sposób.

Oderwał się od ściany i szedł tyłem do samochodów, gdyż tamci poczęli wolno zbliżać się ku niemu. Przez całe podwórko szli w milczeniu śledząc wzajemnie najmniejsze swoje poruszenia; potem oparł się plecami o swój wóz. Kiedy byli już o pięć kroków przed nim, sięgnął do kieszeni.

— Stać! — powiedział cicho. Wymierzył rewolwer prosto w serce Dziewiątki i tamten wzdrygnął się nagle spojrzawszy w czarne, ślepe oczko.

— To nic nie pomoże — powiedział. Roześmiał się ochryple.

— Pojedziemy wszyscy na twoim wozie. Wrócimy do miasta, a ty baw się sam tutaj z tymi trupami.

— Zostaniecie.

— Twój trup zostanie.

— Razem z twoim.

— Jesteś silny, bo masz spluwę w łapie.

— Zgadłeś pan.

— Nie zostaniemy tutaj.

— I owszem.

— Żywi nie.

— Trudno — wskazał lufą białą dolinę. — To bardzo przyjemne miejsce na cmentarz — powiedział.

Dziewiątka postąpił krok do przodu.

— Wszystkich nie rąbniesz — powiedział przez zdławione gardło. — Nie starczy ci pestek.

Popatrzyli sobie w oczy i wzajemnie widzieli, jak coraz mniejsze stają się ich źrenice. W ciszy słyszeli tylko własne urywane oddechy. Jakiś ptak z wrzaskiem przeleciał nad ich głowami. Potem Zabawa podniósł rewolwer do góry; strzelał aż do chwili, kiedy stuknął pusty bęben: pięć grzmotów prze-waliło się doliną i kiedy przebrzmiał już huk, który odbił się od nieba i który powtórzyła zastygła w zimnej ciszy dolina, Zabawa położył rewolwer na błotniku.

— Dokładnie pięć — powiedział. Uśmiechnął się krzywo i postąpił do przodu. Pchnął palcem pierś Dziewiątki. — Starczyłoby dla wszystkich. Dla ciebie nawet dwie, bo on — wskazał na Partyzanta — i tak by przecież został.

Odwrócił się i odszedł. Szedł bardzo wolno patrząc na swój cień; czekał chwili, aż splecie się nagle z innym, i nie mógł przemóc się, aby nie kulić głowy w ramiona. Stali jednak w miejscu i nikt nie ruszył się za nim. Zapadła cisza przerywana tylko natrętnym skrzypieniem jego kroków. Potem ktoś roześmiał się szyderczo i Zabawa poznał głos Partyzanta.

— Tchórze! Przecież wszystkich rzeczywiście by nie zdążył...

Teraz dopiero uczuł zmęczenie; z trudem dowlóknął się do baraku. Wanda siedziała przed lustrem i grzebień w jej dłoni tak samo błyszczał jak przed kilkoma minutami. Kiedy wszedł nie uniosła głowy.

DALEKO JEST MIASTO

— Takiego bydlaka nie spotkałem jeszcze w swoim życiu — oświadczył Dziewiątka. Siedział na zderzaku z rozkraczonymi nogami i grubymi palcami wkręcał maleńkie śrubki gaźnika : szło mu to niesporo i kłął co chwila z taką wściekłością, że dolina powtarzała jego głos. — Powinno mu się jaja wyrwać obciążkami i kazać połknąć.

Pracowali wszyscy do wieczora, udało im się zaledwie położyć do kupy gaźniki. Zabawa w ciągu nocy rozkręcił je tak, że na brezentowej płachcie zastali tylko górę śrubek i sprzężyn. Kiedy ściemniało się już, Orsaczek pierwszy otarł ręce w szmaty.

— Diabli wiedzą, czy coś z tego wyjdzie — oświadczył ponuro. — Żeby go jako tako podregulować, trzeba się męczyć ze dwa dni... — Rzucił szmaty na siedzenie samochodu. — Zrobił nas na cacy — powiedział. — Jeszcze nikt w życiu mnie tak nie zrobił.

— Jak ?

— Tak głupio.

— A ojciec ?

— Ty, Dziewiątka...

— Chodź, dziecko — powiedział — pograsz nam trochę... I nie przejmuj się tym za bardzo : my go jeszcze tak zrobimy, że w piekle mu się będzie odbijać jak kurwie po komunii. Przejmować się warto tylko w dwóch wypadkach : kiedy poznajesz babkę i kiedy się z nią rozstajesz... — Wstał, rozprostował ramiona. Kołysał się przez chwilę, potem pochylił głowę ku Orsaczkowi i Warszawiakowi : — Zrobię go dziś w nocy — powiedział. — Na pewno będzie spał ze spluwą, ale wszystko sobie obmyśliłem. Zamienię się tylko z tobą na łóżko, Warszawiak... Kończcie, idziemy.

Orsaczek poszedł do baraku. Warszawiak zatrzymał Dziewiątkę.

— Chcę ci coś powiedzieć.

— No ?

— Daj mi rękę.

— Po co?

— Daj.

Uściskał dłoń Dziewiątki.

— Sam go zrobię — powiedział. — Nie mieszaj się w to. Chcę go zrobić sam, rozumiesz.

Dziewiątka popatrzył na niego uważnie.

— Dlaczego ci tak na tym zależy?

Warszawiak milczał. Patrzył przed siebie swymi pustymi oczami, potem cisnął niedopałkiem.

— Zrobię go sam — powtórzył.

Dziewiątka pokiwał głową.

— Jak chcesz — powiedział. Przytknął go palcami. — Mówią, że ludzie są rozmaici — rzekł po chwili. — Nigdy w to nie wierzyłem. Ludzie dzielą się chyba tylko na tych, którzy lubią jabłka i na tych, co nie znoszą jabłek. Ale jestem ciekaw, dlaczego? Wdowa cię bierze?

— Dałeś rękę — powiedział Warszawiak. — Starczy.

Zapadł wieczór i wszyscy siedzieli przy stole. Partyzant leżał na łóżku i patrzył ponuro w sufit.

— Przerobiłeś nas — powiedział Apostoł do Zabawy. — Ale i tak wrócimy do miasta... — Zajrzał mu w oczy. — Powiedz nam: czy tu można żyć?

— Nie — powiedział Zabawa. Patrzył z napięciem w talie kart; przesuwając je kciukiem. Potem podniósł wzrok. — Gorzej. Trzeba.

— Wrócimy i tak.

— Oczekujecie cudów w mieście? W mieście jest gorzej jak tu. Tłok, bieda, trudniej o wszystko... Zwolnią raz dyscyplinarnie, to raz. Z takim świadectwem nie dostaniecie nigdzie roboty, dwa. A po trzecie: ktoś tu do cholery musi zostać i robić.

— Dlaczego my? — zapytał Warszawiak.

Zabawa odwrócił się ku niemu.

— Wiesz, gdzie żyjesz?

— W piekle.

— Więc musisz cierpieć.

— Bóg mówił tak samo. Mnie to nie bawi.

— Co?

— Że trzeba cierpieć.

Zabawa milczał przez chwilę.

— Ale Bóg nie był komunistą — rzekł.

— Nie było go w ogóle.

— Co cię więc obchodzi gładzenie kogoś, kogo nie ma.

— Chciałbym zagrać w pokera — powiedział Dziewiątka. Plasnął kartami o stół. — Gracie? Odłóżcie na kiedy indziej swoje pogaduszki.

— Kiedy przyjechałem tutaj — powiedział Orsaczek — mówili mi, że będę mógł zarobić trochę forsy przez parę miesięcy. Nie piłem, nie grałem, liczyłem każdy kawałek chleba przed pyskiem. Myślałem, że uda mi się odłożyć trochę forsy i kupić sobie wóz na taksówkę... — Uśmiechnął się marzycielsko. — Taksówka... — powiedział. — Wy wiecie, co to jest? Człowiek robi, kiedy chce i ile chce, jest panem u siebie, nie ma żadnych kierowników, dyrektorów, innych drani. Można oszczędzać, kombinować jakoś, potem założyć sobie mały warsztacik, wziąć chłopaka do pomocy... — Roześmiał się nagle: — I co? Jutro będzie wypłata: zobaczycie ile zarobiłem. Nie starczy mi nawet na żarcie do następnej.

— Kto przywozi wypłatę? — zapytał Zabawa.

— Goniec z Centrali, na motocyklu — powiedział Orsaczek. Milczał przez chwilę, bębniąc palcami po stole, potem zapytał: — Jakim prawem zatrzymujesz nas tutaj?

Zabawa wstał nagle.

— Do cholery — powiedział — myślisz, że mi jest tu przyjemnie? — Podeszedł do Orsaczka i pochylił ku niemu pociemniałą twarz. — Ty dupku — powiedział — czy naprawdę myślisz, że po to tu przyjechałem, żeby usłyszeć od ciebie, że chcesz sobie założyć warsztacik i kombinować pieniądze? Niech cię jasny szlag trafi z twoim warsztacikiem i taksówką!

— Nie wyrażaj się — rzekł z kąta Apostoł.

— Ciebie także niech diabli porwą razem z twoimi książkami do nabożeństwa.

Apostoł wstał ociężale. Przeszedł wolno przez izbę i stanął przed Zabawą. Patrzyli na siebie w milczeniu.

— Śnieg — powiedział ochryple Apostoł. — Nędza, głowa i strach przed złamaniem karku, i wilki po nocach, i wasze przekłete obietnice, i te baraki, i te kurwy w miastach, i te cholerne samochody... — Osłabł nagle i oparł się ciężko o stół. — Bóg — powiedział cicho. — Straciłem na wojnie wszystkich, teraz sam tracę tu siebie z tymi zwierzętami. Bez Boga dla mnie nic nie ma sensu.

Umilkł. Patrzył na Zabawę wzrokiem takim, jakby od niego oczekiwał litości.

— Nawet drzewo? — powiedział Zabawa. — Dziwny z ciebie człowiek.

Kopnięciem otworzył sobie drzwi i wyszedł na dwór. Z wysoka zerwał się wiatr; szedł więc samotnie poprzez szum, przez fioletowy, roziskrzony śnieg. Stanął pod jakimś drzewem i patrząc w górę, przez ciężkie od śniegu gałęzie, widział wyszczerbiony księżyc; tkwił nieruchomo na samym szczycie nieba przesłaniany co chwilę zimnymi chmurami.

Drgnął kiedy stanęła przed nim żona.

— Wracamy — powiedziała cicho. Przytuliła się do niego nagle; wtedy śnieg z gałęzi obsypał ich głowy i gorące twarze.

— Ja się boję.

— Czego?

— Oni cię zabiją.

— Nie zabiją.

— Czy po to tyle lat siedziałeś w więzieniu, żeby teraz przyjechać na to pustkowie i męczyć się tutaj? Czy po to?

— W więzieniu miałem czas przemyśleć, co potem robić.

— Więc zostajesz?

Odsunął się delikatnie. Uniósł jej głowę do góry.

— Musimy zostać.

— Niczego nie muszę! — krzyknęła. — Ale jeszcze ty mnie będziesz o to prosił!

Pobiegła do baraku. Wypalił papierosa i ruszył za nią. Po-
tem przyszła noc i kiedy wszyscy już usnęli, kiedy słyszał ich
ciężkie, zmęczone oddechy i kiedy księżyc — tak jak i po-
przedniej nocy — chwiał się niewyraźnie w oblodzonych szybach
okna, szepnął do niej:

— Wanda...

Nie odpowiedziała, lecz oczy jej były otwarte. Chciał ją
przygarnąć do siebie, lecz odepchnęła go. Wtedy obudziła się
w nim wściekłość: chwycił jej kruchą dłoń i ścisnął z całych
sił, aż zatrzęszczały w stawach palce. Zapragnął nagle prze-
rwać ciszę choćby jej jękiem, lecz nie poruszyła się nawet:
silniej tylko lśniły jej oczy w ciemnościach. Puścił dłoń i pierwszy
raz od wielu dni zapadł w sen: ciepły i szczelny.

Przyszła rana i pierwszy obudził się Partyzant; nie leżąc
ani sekundy wyskoczył z łóżka — ubrał się w strażackim tem-
pie i wyszedł na dwór. Przez parę minut gimnastykował się
zawzięcie, wykonując całe mnóstwo skomplikowanych ruchów,
potem natarł nagi tors śniegiem i zaczął biegać dla rozgrzewki.
Orsaczek, który wyszedł na dwór po chwili — ziewając i po-
mrukując rozkosznie ze snu — przystanął zdumiony.

— Zaziebisz się, frajerze — powiedział.

Partyzant przystanął.

— Jak powiedziałeś?

Orsaczek cofnął się przezornie.

— Czego się czepiasz słów, do cholery? — powiedział. —
Mówię do ciebie jak do człowieka, a ty od razu jakbym ci matkę
zjadł.

— Posłuchaj, pętaku — rzekł Partyzant. — Z Apostołem
się załatwię przy okazji, kiedy będziemy sami. Wczoraj było
was kilku i nie chciałem, żeby mi taki kretynek jak na przykład
ty, przyłożył z tyłu żelazo do głowy. Ale pomyśl najpierw
trzy razy, zanim dziób otworzysz do mnie. Tak?

— Tak.

Partyzant zaczął lepić kule ze śniegu i rzucać nimi w naj-
bliższe drzewo; trafiał prawie każdą. Orsaczek mruczał coś jesz-
cze pod nosem i odszedł.

— Celnie rzucasz — powiedziała nagle Wanda. Wyszła z baraku i stanęła niepostrzeżenie za Partyzantem. Odwrócił się i popatrzył na nią krótko; była jeszcze zaróżowiona od snu, bezradna, usta miała pełniejsze niż zwykle. Trwało to chwilę; potem Partyzant schylił się i z powrotem począł lepić kulę.

— Miałem czas się nauczyć — powiedział cicho. — Kiedyś rąbnąłem w sam środek pędzącego samochodu z Niemcami. — Zaśmiał się: — Takiego bigosu nawet twoja matka nie potrafiłaby ugotować.

— Nie mam matki — powiedziała.

— No to kto inny.

— Kto?

— Pojęcia nie mam. Masz chyba kogoś w rodzinie, kto potrafi ugotować bigos, nie?

— Nie mam nikogo — powiedziała.

Partyzant odwrócił się od niej, podrzucał kulę w rękę.

— Po kiego diabła przyjechałaś tutaj?

— Gdybym miała kogoś w mieście — powiedziała cicho — nie siedziałabym tu ani chwili... — spojrzała nagle na niego. — A ty nie chcesz wracać?

Uśmiechnął się.

— Wrócić — powiedział nagle zupełnie innym tonem niż zazwyczaj. — Wrócić i tłuc swoje życie w mieście jak gówno w moździerz. I co jeszcze? Pracować, ożenić się z taką jak ty, mieć dzieci, chodzić pod rączkę na spacer do kościoła, odkładać forszę na garnitur, albo przepijać ją z koleżkami... I co? Co więcej? To nie dla mnie. Lepiej już tutaj.

— Nie słyszysz co oni mówią?

— Co?

— Możesz tutaj zdechnąć.

— W mieście wszyscy zdychają codziennie.

Zamachnął się z całej siły i rzucił. Tym razem chybił; kula poszła wyżej, między gałęzie — zerwało się stamtąd stadko czarnych wron i kracząc przeleciało nad ich głowami.

Zaklął i wrócił do baraku. Warszawiak stał przy piecyku i czyhał na chwilę, kiedy zagotuje się kawa. Apostoł, jak zwykle mamrotał coś wbijając oczy w książeczkę do nabożeństwa. Dziewiątko, który siedział przy stole zdrapując brzytwą twardy zarost, skończył golenie i przejrzał się z zadowoleniem w szczerbatym lusterku. Dłuższą chwilę wydymał ciemne policzki, potem zwrócił się do Orsaczka.

— Nie masz czasem trochę brylantyny?

— Brylantyny?

Oczy Orsaczka zrobiły się okrągłe jak kulki.

— No, tak.

— Mam, ale...

— Ale co?

— Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

Dziewiątka zerwał ręcznik i rzucił go na stół.

— Jestem człowiekiem, czy nie do cholery? Mam chyba prawo się uczesać, co? Jak dotąd, nie ma takiego paragrafu.

Orsaczek podał mu mały słoiczek. Patrzył z żalością, jak Dziewiątka ładuje ogromne ilości brylantyny na włosy i rozprowadza ją grzebieniem. Po chwili głowa jego zalszła mdłym odbłaskiem.

— Dziwne — powiedział głębokim głosem Apostoł i uśmiechnął się zjadliwie. — Orsaczek goli się codziennie, tamten dureń gimnastykuje się na podwórku, Dziewiątka smaruje łeb smalcem, a ty Warszawiak co? Chyba pójdziesz do wiecznej ondulacji?

Warszawiak zwrócił ku niemu swoją martwą twarz :

— Stul mordę!

Dziewiątka spojrzał na Apostoła krzywo.

— Ty sobie za to możesz umyć nogi — powiedział. — Jeśli by cię dzisiaj szlag trafił, nie dostałbyś się z takimi brudnymi kopytami do nieba. Święci także mają nosy. Dostałbyś od aniołów po szyi i wont na dół.

Włożył sweter i wyszedł na podwórko; w porannym słońcu jego wypomadowana głowa lśniła jak kask; gładził ją z lubością palcami. Pospacerował sobie parę kroków, nagle spostrzegł leżący na ziemi skrawek materiału. Pochylił się i podniósł go : była to wstążka od włosów. Obracał ją w rękach zdumiony a kiedy uniósł wzrok, zobaczył przechodzącą Wandę. Pomachał wstążką.

— To twoje, dziecko?

— Tak — powiedziała. Wyciągnęła rękę, lecz Dziewiątka schował swoją za siebie. Wyszczrzył zęby.

— Znalezionych rzeczy nie oddaje się — powiedział. — Przywiozę ci kiedyś inną.

Podszedł do swego wozu i począł zawiązywać wstążeczkę pod szczękę kościotrupa. Wanda stanęła przy nim i patrzyła z odrazą na wyszczzerzone zęby.

— Przywieziesz?

— Jaką chcesz : niebieską, czerwoną, czarną...

— Przecież chcesz uciekać stąd.

— Racja — mruknął. Przerwał zawiązywanie, podniósł głowę. — Więc co? — zapytał. — Chcesz ją z powrotem?

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Muszę ustawić gaźnik — powiedział ze wściekłością. — Myślisz, że to takie proste? W warsztatach ludzie męczą się nad tym po parę dni. Ten dureń, twój męzulek ma szczęście. Trzeba go było...

Urwał nagle.

— Co? — zapytała cicho. Patrzyła spokojnie w jego oczy. Uśmiechnęła się nagle. — Co trzeba było?

— Wytłumaczyć mu jakoś — powiedział.

— Masz dom w mieście? — zapytała.

Odwrocił się ku niej, gwizdnął cicho. Patrzył w jej twarz ciemnymi oczyma, potem kołysząc się na piętach obejrzał ją całą od góry do dołu. Stuliła usta w uśmiechu; wtedy wszystkie zmarszczki zbiegły się nagle, nadając mu wygląd kocura.

— Wiem o czym myślisz, dziecko — powiedział. Prztyknął w palce i pokręcił głową. — Ale ze mną nic by z tego nie wyszło — rzekł. — Jestem sam, nie pamiętam nawet, gdzie mieszkiałem przedtem, nie wiem, czy dostanę w mieście jakąś robotę... — Przysiadł na zderzaku i splótł z chrzęstem palce. — Raz w życiu pomyliły mi się kroki — rzekł — i od tego czasu chodzę krzywo.

Przysiadła koło niego.

— Byłeś w więzieniu?

— Tak.

— Długo?

— Starczy.

— Dlaczego?

Milczał przez chwilę.

— Przez kogoś takiego jak ty.

— Kim byłeś przedtem?

Otworzył usta, lecz odpowiedział dopiero po sekundzie.

— Nie pamiętam.

— On też był — powiedziała.

— Kto?

— On.

— Twój mąż?

— On.

— Który?

— Nie rozumiem?

— Pytam: który paragraf?

— Nie wiem. Za politykę.

— Aaa — powiedział Dziewiątko. — To daleki kolega...

— Dojrzał sińce na jej szyi i powiedział: — Powiedz mu, żeby cię tak nie gryzł, córeczko. Innym niepotrzebnie przykro. — Wstał ze zderzaka, prztyknął czaszkę w zęby. — Może ty mu ładniej zawiążesz tę wstążeczkę?

Pochyliła się nad maską. Apostoł, który gapił się w okno i widział ją i Dziewiątkę, powiedział w zamyśleniu:

— Zaczęło się.

Odwrocił się od okna i potracił Warszawiaka; nie zauważył go przedtem. Popatrzyli sobie w oczy.

— Co się zaczęło, Apostołe? — spytał cicho Warszawiak.

— Nie wiem — powiedział Apostoł. — Ale na mój rozum, to nic dobrego. Tak jest, że jeśli w piekle znajdzie się kobieta, to wychodzi z tego jeszcze gorsze piekło.

— Ona ma ciemne oczy — powiedział z kąta Orsaczek. Siedział na stole i przebierał leniwie palcami po klawiszach swej harmonii. Warszawiak odwrócił się wolno.

— No to co?

Orsaczek uśmiechnął się marzycielsko, lecz zmroziło go spojrzenie pustych oczu Warszawiaka. Pochylił głowę nad harmonią.

— Nic — mruknął. Grał przez chwilę, potem urwał nagle melodię i wstał z hałasem. — Co się z wami wszystkimi stało, do cholery? Rzucacie się sobie do gardła jak psy... ten bydlak bierze mi pół brylantyny... co jest?

Skrzypnęły drzwi. Wszedł Dziewiątka trzymając sztywno swoją błyszczącą głowę.

— Gdzie Zabawa?

— Diabli go wiedzą. Polazł gdzieś wachać kwiaty.

— Idiota — powiedział Partyzant. Siedział na łóżku i czyścił swój kozuch szmatką maczaną w benzynie. — Łazi gdzieś, zamiast wziąć nas wszystkich za mordę i do galopu. W lesie takich dowódców rozwalano.

Dziewiątka usiadł przy stole i śrubokrętem czyścił paznokcie. Gwizdał przez chwilę, potem uniósł głowę.

— Partyzant...

— No?

— Popatrz na mnie.

— Czego chcesz?

— Popatrz, nie bój się.

Partyzant natychmiast uniósł głowę. Dziewiątka obrzucił go krótkim spojrzeniem, potem znów wziął się do czyszczenia paznokci. Gwizdał fałszując niemiłosiernie.

— Czego chciałeś? — zapytał.

— Ech, nic — rzekł Dziewiątka. — Tylko kiedy patrzę na ciebie, to sobie tak myślę, że ciebie twój tato to zrobił z nudów. Niepotrzebnie. Powinien ... wbić w ścianę; miałby przynajmniej kapelusz na czym powiesić.

Partyzant wstał z łóżka i odłożył kozuch. Przeszedł wolno przez izbę w swoich skrzypiących butach i stanął przed Dziewiątką.

— Tu — zapytał — czy na dworze?

Dziewiątka wbił śrubokręt w pokrywę stołu.

— Na dworze.

— Chodź.

Dziewiątka wstał. W drzwiach baraku minęli się z Wandą. Przystanęła i popatrzyła za nimi; obaj szli wolno, jakby w ociąganiu. Potem zwróciła się do Apostoła:

— Dlaczego oni tak dziwnie wyglądają?

Apostoł zdjął okulary i złożył je starannie.

— Jak?

— Mają takie dziwne twarze.

— Może ci się zdawało?

— Każdy człowiek ma dziwną twarz — powiedział Warszawiak. — Trzeba się tylko dobrze przyjrzeć.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

— Ty w ogóle nie masz twarzy — rzekła.

— A co?

— Kiedy będę miała dzieci, będę je straszyć kimś takim jak ty. Ty w twarzy nie masz nic. Pusty plac.

Orsaczek przestał brzdąkać.

— Tamci poszli się łać — powiedział.

— Bić?

— No.

— Dlaczego?

Apostoł podniósł palec do góry.

— Żeby tam nie wiem jak liczyć — powiedział z rozważą — to każdy człowiek ma te swoje czterdzieści królików na mózgu i od czasu do czasu, zaczynają się chromolić między sobą... — Poskrobał szczecinę podbródka, potem dodał: — Tamci mają właśnie dzisiaj taki dzień.

Stała chwilę bez ruchu.

— Pójdę za nimi — rzekła.

— Po co?

— A po co mają się bić?

Apostoł trzasnął książką do nabożeństwa w stół.

— Nie mieszaj się między mężczyzn, do jasnej cholery — powiedział z gniewem. Jego siwe, skudłone włosy zjeżyły się nagle. Znów uniósł rękę do góry. — Przyniesiesz tylko nie-szczęście temu domowi — powiedział uroczyście.

Popatrzyła na niego z pogardą.

— Ty masz w głowie sto królików — powiedziała — a dzisiaj połowa z nich rodzi. Lepiej byś się ogolił, zamiast siedzieć z nosem w książce... — Tupnęła nogą ze wściekłością. — Jesteś taki nudny — powiedziała — że nie przyjmą cię ani do nieba, ani do piekła.

Usiadła obok Orsaczka. Zrobiło jej się gorąco i ze złością rozpięła sweter. Orsaczek zagapił się na nią i wtedy zauważyła jego wzrok.

— Ty jesteś zdaje się taki sam idiota jak i oni, prawda?

— Czego chcesz? Nudzisz się?

— Pojęcia nie masz jak.

Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek i uśmiechnął się w jakiś dziecinny, miły sposób.

— Dziwne — rzekł. — Miałaś chyba kawałek ciepłego mięsa w nocy, nie?

Zanim zdążył pomyśleć, zamachnęła się i głowa jego odskoczyła do tyłu. Zagryzł wargi. Ktoś roześmiał się zjadliwie; podniosła głowę i napotkała spojrzenie Warszawiaka: jego puste oczy jarzyły się teraz jak dwa węgle. Mierzyli się przez długą chwilę wzrokiem, potem ona sama spuściła głowę.

— Nie gniewaj się — szepnęła do Orsaczka.

Położyła dłoń na jego dłoni: harmonia nagle zamilkła. Oczy w kącie baraku zgasły.

Dziewiątka z Partyzantem szli przez polanę. Dziewiątka trzymał głowę w ramionach, pochylił plecy, a długie jego ręce kołysały mu się gdzieś koło kolan; milczał ze zgnębionym wyrazem twarzy. Partyzant głowę trzymał prosto, szedł paradowym krokiem. W pewnym momencie przystanął.

— Tu.

Dziewiątka wskazał głową na barak.

— Chcesz im zrobić kino? Zapłacili ci?

Partyzant wzruszył ramionami. Skręcili w las i po kilkunastu krokach przystanęli. Partyzant podwinął rękawy swetra i przybrał postawę zasadniczą. Dziewiątka roześmiał się głośno.

— Nie, dziecko — rzekł — w ten sposób waliliśmy się po gębach w szkole. Ale to było dawno i nieprawda. Teraz będziemy się bić bez cudów, sam tego chciałeś. Zdejmuj pasek.

— Po co?

— Zdejmuj, dziecko. Zobaczysz. Potem w życiu jak znalazł.

Ściągnęli paski; Dziewiątka związał je końcami. Potem obwiązał sobie paskiem przegub lewej ręki, Partyzant zrobił to samo.

— To jakby jeden z nas dostał mojre — objaśnił Dziewiątka. — A teraz poszukaj sobie ładnego kamyczka. Kolor i kształt możesz sobie wybrać dowolnie.

Schylili się obaj i poczęli rozgrzebywać śnieg. Nagle Dziewiątka wyprostował się. Nasłuchiwał z kamieniem w ręku.

— Słyszysz?

— Co?

— Motocykl.

— No, to co?

— Gonic jedzie z Centrali.

— No, to co?

— Wyplata, durniu! — wrzasnął Dziewiątka.

Skoczył naprzód, pociągnął za sobą Partyzanta. Biegli złączeni paskiem obrzucając się nawzajem przekleństwami, a gałęzie chłostały ich po twarzach.

Przed barak zajechał motocykl; wszyscy wybiegli z wrzaskiem i otoczyli go kołem. Motocyklistą był młody, przystojny chłopiec o jasnych, kręconych włosach i różowej cerze.

— Matki Boskiej pieniężnej — powiedział. — Jak wam się żyje?

— Dawaj forszę, Bużka. Nie gładź!

Wyplacił im. Zapiął skórzaną torbę, zapiął rękawice. Potem odwołał na bok Warszawiaka.

— Skąd macie taką dziwę?

— Przyjechała z Zabawą.

— Przyjemna.

— Co z tego, Bużka?

— Nie wiesz?

— Nie — powiedział Warszawiak. Nos wyciągnął mu się do przodu.

Bużka popatrzył na niego i roześmiał się. Zmrużył oko; było teraz przysłonięte długimi rzęsami i prawie niewidoczne.

— Dzisiaj mi się spieszy — powiedział. — Ale przylecę następnym razem to ci pokażę co z tego. Jak zabawa, to zabawa. Trzymaj się, prawiczek!

Warszawiak milczał. Bużka włączył ze zgrzytem bieg i ruszył wariacko. Śnieg sypnął mu się spod kół i zawirował w słońcu jak złoty talerz.

— Ty, Bużka! — wrzasnął nagle Warszawiak. Podbiegł parę kroków.

Lecz tamten już nie słyszał; zniknął za zakrętem drogi, a ostry ryk jego motoru, jak nóż ciął ciszę doliny. Warszawiak stał bez ruchu długą chwilę, potem podszedł do swego wozu i pochylił się nad silnikiem. Pracował aż do momentu kiedy ciemność udaremniła jego ruchy. Wtedy z trzaskiem zamknął maskę i począł myć ręce w benzynie.

— Skończyłeś?

Odwrócił się; stał przed nim Zabawa.

— Chyba będzie dobrze — powiedział Warszawiak.

— Zapuć silnik.

— Po co?

— Posłuchamy.

— Nie trzeba. Musi być dobrze.

— Tak sobie wierzysz?

— Przejadę się, wypróbuje go — powiedział Warszawiak. Zapalił papierosa i zaciągnął się chciwie dymem; dym zaostrzył jeszcze czyste jak szkło powietrze.

— Słuchaj, Zabawa! — powiedział Warszawiak. — Może masz się ochotę ze mną przejechać?

— Dobrze — powiedział Zabawa — ale posłuchaj najpierw silnika. Po diabła mamy się rozkraczyć gdzieś w polu.

— Cóż ciój wóz obchodzi? — rzekł Warszawiak. Ogień papierosa rozświetlił jego suchą twarz. — Ja pojedę na swoim, ty na swoim.

Milczeli patrząc na siebie z natężeniem. Wilki musiały być gdzieś blisko; ich łkanie brzmiało tuż pod lasem.

— Chcesz mi pokazać góry? — zapytał cicho Zabawa.

— Postaram się.

— Lubisz jeździć, co?

— Tylko jeździć.

— Mówili mi, że jeździsz najlepiej ze wszystkich z „Drzewa”.

— Przekonam cię.

Znów umilkli.

— Dobrze — rzekł po sekundzie Zabawa. — Wezmę tylko kozuch.

Odwrócił się i poszedł w stronę baraku. Warszawiak szedł dwa kroki za nim. Światło księżyca splotło w pewnym momencie ich cienie i popatrzyli na siebie. Niebo było bez gwiazd i księżyc biegł samotnie, niby pies po ogromnym, pustym placu. Weszli i od progu zakreśliło im się w głowach; powietrze było tu gęste i ciemne od dymu.

— Gdzie się wybieracie? — zapytał Orsaczek; w półmroku przeblyskiwały klawisze jego nieodłącznej harmonii.

— Na spacer — powiedział Zabawa. Ściągnął kozuch pasem. — Nie wychodź nigdzie — powiedział do żony.

Leżała na pryczy trzymając założone ręce pod głową. Patrzyła w kąt sufitu, gdzie na nitce kołysał się pajak. Kiedy Zabawa przemówił do niej, nie drgnęła nawet. Westchnął i wyszedł w mrok.

Warszawiak ruszył za nim; po kilku krokach dogonił go Dziewiątka.

— Gdzie jedziecie?

Przystanął.

— Słyszałeś? Na spacer.

— Teraz chcesz? — szepnął Dziewiątka.

Warszawiak popatrzył na niego z góry.

— Za dużo wzięłeś brylantyny — powiedział. — Śmierdzisz jak fryzjer, a jej się i tak nie podobasz.

Odwrócił się i odszedł. Dziewiątka patrzył za nim chwilę, potem gwizdnął i zawrócił do baraku. Przed samymi drzwiami zatrzymał się; potarł głowę dłonią i powąchał ją. Zaklął ze wstrętem; schylił się, nabrał w obie dłonie śniegu i długo tarł nim włosy. Zaklął po raz drugi, najplugawiej jak potrafił i wszedł do środka.

Usiadł przy stole i oparł głowę na pięściach. Słyszał, jak silniki kaszłą i krztuszą się; potem — jak grają już coraz równiej i mocniej. Podniósł głowę i spojrzał na Orsaczka.

— Graj — powiedział.

— Mam już dosyć — powiedział Orsaczek. Odłożył na bok harmonię. — Od rana brzęczę jak głupi. Nikt mi za to nie płaci.

Uchylił głowę w ostatniej chwili: butelka rozprysnęła się tuż nad nim.

— Graj — syknął Dziewiątka: oczy jego zbiegły się w dwie szparki. — Graj, rozumiesz?

Orsaczek pośpiesznie naciągnął rzemień. Począł grać drżącymi palcami: melodia uciekała mu w fałszywe tony.

— Śpiewaj! — wychrypiał Dziewiątka. — Śpiewaj, co chcesz, ale śpiewaj...

Orsaczek zaśpiewał czystym tenorem:

*Jeden ze siekierką w dłoni,
Drugi z pistoletem w drzwiach.
Antoś na frajera,
Z pompką od rowera,
Zaiwania, że aż strach.
Harmonia na trzy czwarte rżnie.*

- Dość! — ryknął Dziewiątka. — Co innego!
- Może być „Capri”?
- Ale już!

*Więc nie czekaj już miła dłużej na powrót mój,
Na dnie morza znalazłem dzisiaj swój wyteśkniony grób...*

— Dość! powiedział Dziewiątka. — Starczy... — Pochylił głowę, potem rozejrzał się po wszystkich nieprzytomnie. — Morze, morze — powiedział. — A tu jest po prostu wielkie gówno, rozumiecie? Kupa gówna i śniegu...

— I jeszcze głupie piosenki — powiedziała Wanda.

Apostoł ocknął się. Spojrzał na Dziewiątkę krwawymi oczami, potem rzekł.

— Nie wyrażaj się.

Warszawiak siedział w kabinie i rozgrzewał silnik na wolnych obrotach; pracował równo, bez zakłóceń, krztusząc się tylko od czasu do czasu zimnym powietrzem. Wtedy klekotały zawory. W następnym wozie siedział Zabawa. Twarze ich obu skryte były w ciemności; tylko światło liczników dawało słaby odblask.

— Jesteś gotów? — zapytał Warszawiak.

— Przodem lecisz, czy tyłem?

— Wszystko mi jedno.

— Mnie też.

— Myślę.

Zabawa wychylił głowę.

— Mówiłeś coś?

— Zdaje ci się.

— Mam dobry słuch.

— Zdaje ci się.

Zabawa ruszył pierwszy. Warszawiak odczekał parę chwil, potem włączył pełne światło i wcisnął gaz do deski. Niby ogromne ciemne zwierzę z rozjarzonymi oczyma przewalił się obok baraku, aż zaśpiewały cienko szyby; grzmot narastał a potem urwał się nagle niby ucięty — zjechał z doliny.

Orsaczek odszedł od okna.

— Zarzynają te wozy, aż przykro patrzeć — powiedział. Wyglądał w tej chwili na bardzo zmartwionego. Pokręcił głową.

— Kiedy będę miał własny wózek — oświadczył — nie dam się nikomu nawet palcem dotknąć. Z wozem trzeba jak z dzieckiem... A oni? — Kopnął ze złością krzesło.

— Działkę będziesz miał nie wózek — warknął Dziewiątka.

— Dlaczego działkę? — zdumiał się Orsaczek.

— Własną działkę po śmierci.

Partyzant zaśmiał się cicho.

— Już teraz wszystko rozumiem — powiedział.

— Co rozumiesz?

— Wszystko — rzekł. — Las, trupy, partyzantkę, Polskę, która mi się śniła... Teraz wiem, po co to było: żeby gdzieś na końcu drogi przyjechać i żyć z wami.

Umilkł. Położył się twarzą do ściany. Dziewiątka siedział chwilę bez ruchu, potem nałożył kożuch i wyszedł z baraku. Nastawił uszy, lecz nie słyszał nic: dolina milczała niby martwa woda. Poszedł do swego wozu i położył się na siedzeniu; teraz niebo pełne było gwiazd i wzrok jego gubił się gdzieś między ich światłem. Usłyszał skrzyp kroków, a potem podeszła do niego Wanda.

— Daj mi papierosa — rzekła.

Odwrócił się.

— Nie palisz przecież.

— Ale teraz mam ochotę.

Podał jej pudełko. Zapaliła i usiadła obok niego.

— Chcę stąd uciekać.

— Dokąd?

— Nie wiem.

— Nikt tego nie wie.

— Co to znaczy?

— Nic.

Gdzieś od lasu odezwało się wycie i drgnęła nagle.

— To tylko wilki — powiedział. — Nie ma się czego bać.

Są gorsze rzeczy.

— Co?

— Katar.

— Udajesz idiotę, czy jesteś nim?

— Wolałabyś, żebym udawał mądrałę?

— Ja? Wszystko mi jedno.

— To dobrze — powiedział. — A teraz uciekaj stąd. Ale już!

Zwróciła ku niemu twarz, wokół której wiatr rozrzucił włosy.

— Dlaczego?

— Przypominasz mi coś, kiedy patrzę na ciebie.

— Coś przykrego?

— Coś o czym nie chcę pamiętać.

— Co?

Milczał. Na samym środku nieba płynęła w mroźnych

mgłach Wielka Niedźwiedzica. Wiatr przeszedł szumem nad doliną i znów odezwały się wilki.

— Życie — powiedział Dziewiątka.

I zaraz potem uczuł jej wargi : były ciepłe i miękkie.

— Uciekajmy stąd — szeptała mu do ucha. — Chodź, uciekaj stąd. Gdzieś jest przecież życie, a tu nawet wierzyć się w to nie chce. Ludzie gdzieś idą ulicami, są światła, domy... Uciekajmy stąd... razem.

— Mógłbym przecież pracować — powiedział w zamyśleniu Dziewiątka. — Dostać jakąś pracę, spać w łóżku, mieszkać, nie bać się...

Nagle przygarnął ją do siebie : leżeli przytuleni na zaoliwionym, brudnym siedzeniu ; pachniały smary i benzyna ; i znów dławiała cisza znad doliny.

— Nie teraz — szepnęła. — Zaczekaj...

Roześmiał się :

— Czekać ? — powiedział. — Na co ? Na nowe samochody ? Na życie ?...

Szarpali się przez chwilę ; zdenerwowani i milczący, niecierpliwi i niezdarni, a potem wszedł na nią i było mu ciepło, bardzo ciepło, tak bardzo, że musiał zacisnąć szczęki i przytrzymać jej usta dłonią, gdyż było to jedyne ciepło tej nocy, tego świata, tego życia i światła dalekich, martwych gwiazd ; potem wstrząsnął nim dreszcz, który jak prąd przebiegł każdą komórkę jego ciała i strącił go z wysokości ; a potem leżał bezsilny i zdruzgotany, pusty i czysty, bliższy śmierci niż życiu, z twarzą w jej splątanych, chłodnych, pachnących już benzyną włosach.

Po chwili szepnęła :

— Kiedy ?

— Co ?

— Wyjeżdżamy stąd ?

— Jutro, pojutrze...

— Dlaczego nie jutro ?

— Muszę z wozem zrobić porządek.

— Na pewno ?

— Na pewno... kochanie.

Zerwał się nagle i począł nastuchiwać.

— Jedzie — rzekł po chwili.

— Kto ?

— Jeszcze nie wiem, który z nich.

— Jeden ? A gdzie drugi ?

Zeskoczył na ziemię.

— Daleko — rzekł.

Popatrzył w dolinę.

— Jadą obaj — powiedział cicho. — Niech to jasna cholera trafi... — Zwrócił się do niej : — Wracaj do tamtych. Pogadamy jutro.

Spojrzała mu w twarz.

— Ale na pewno?

— Tak.

— Przysięgnij.

Uśmiechnął się.

— Na co?

— Na co chcesz. Będę wierzyć.

— Dobrze — powiedział. — Na to co było przed chwilą.

To jedyne, co jest coś warte... — Wyciągnął rękę w niebo. — On robi w tej chwili to samo i jeszcze może nas podglądać — powiedział. — A teraz uciekaj.

Stał bez ruchu aż do chwili, kiedy wozy wtoczyły się w podwórko; pierwszy jechał Zabawa i ciągnął na linie Warszawiaka. Zatrzymał się i wysiadł z wozu.

— Pompa mu nawaliła — powiedział. — Jeździć się już nauczył, ale chodzić koło wozu jeszcze nie.

Dziewiątka popatrzył na Zabawę, na Warszawiaka; splunął i poczłapał do baraku. Drzwi trzasnęły jak strzał i drgnęli obaj.

— Góry są ładne — powiedział Zabawa. — Zaczynam się przyzwyczajać. Zaczyna mi się tu podobać. Myślałem, że będzie gorzej.

Warszawiak milczał. Patrzył na niego zgasłymi oczyma. Zabawa poklepał go po ramieniu.

— Nie martw się, chłopcze — rzekł. — Kiedyś w końcu nauczysz się jeździć. Jesteś młody, życie masz przed sobą. Najtrudniejsze jest zawsze te pierwsze dwadzieścia pięć lat, a potem...

— Co potem? — zapytał cicho Warszawiak; zobaczył nagle z bliska jego twarz i cofnął się.

— Potem — powiedział Zabawa — zrozumiesz, że gówniarzowi ciężko jest zabić nawet kota.

Uderzył go w twarz, raz i drugi. Potem, nie oglądając się za siebie, odszedł. Warszawiak stał bez ruchu i patrzył za nim; czas umknął mu nagle, patrzył wciąż jeszcze, kiedy drzwi za Zabawą zamknęły się dawno. Po wielu chwilach otarł dłonią usta i wyciągnął rękę ku światłu księżyca i wiele chwil jeszcze minęło, wiatr przewalał się nad doliną raz za razem, a on wciąż jeszcze oglądał krew na swoich rękach.

WIELKI BLUFF

— To idiota — mruknął Dziewiątka.

Orsaczek rozpałił na polanie wielkie ognisko i w nadzwyczaj sprytny sposób zawiesił nad nim beczkę napelnioną wodą; brał z niej wrzątek wiadrami i szorował swój wóz. Kiedy udało mu się już odskrobać z błota i lodu żelazo i blachy, wyszprycował wszystko ropą. Potem odszedł o parę kroków i oglądał swoje dzieło, a jego umorusana twarz jaśniała zadowoleniem; wielki wóz błyszczał w słońcu jak brylant.

— No i jak? — zapytał przechodzącego Apostoła.

Tamten wydał wargi.

— Wygląda jak dziwka — powiedział z namaszczeniem. — Dziwka, która idzie wiosną na spacer i szuka faceta.

Orsaczek stropił się.

— Dlaczego?

— Nie to jest w wozie najważniejsze — powiedział Apostoł. — Wóz, tak jak człowiek musi mieć serce... — Wyprężył się. — Popatrz na mnie — rzekł. — Mordę mam podobno wredną, ale tu — grzmotnął się pięścią w pierś — tu, bracie, złoto. Zresztą, co tu dużo gadać. Zapuść go.

Słuchał przez chwilę warkotu silnika, potem rzekł:

— Dostaje za bogatą mieszankę, już to słyszę. Przykręć.

Silnik pracował teraz lepiej. Orsaczek spojrział zachwyconym wzrokiem na Apostoła.

— Mówią o tobie, że jesteś najlepszym mechanikiem w „Drzewie” — powiedział. — Po co się włóczysz po tych górach, zamiast siedzieć w mieście? Mógłbyś zostać majstrem, żyć spokojnie, lepiej zarabiać...

Dziewiątka, który przysłuchiwał się ich rozmowie, zaklął i rzucił śrubokręt na ziemię.

— Apostoł! — zawołał. — Chodź tu na chwilkę!

Ten zbliżył się dostojnym krokiem.

— Nie mogę dać rady — wyznał Dziewiątka. — Pomóż mi trochę. Nie ma wolnych obrotów, ani przejścia... Ja na gaz, a on zgąsł... i tak dalej.

— Wóz ino gwizda, tylko szofer... i tak dalej — powiedział Apostoł. Wgramolił się z trudem i usiadł na wachlarzu. Przez chwilę gmerał w silniku ogromnymi łapami, potem spojrział w twarz Dziewiątce.

— Czego ona się tutaj kręci?

— Kto?

— Kobieta.

— Tak? — powiedział Dziewiątka. — Kręci się?

— Ciągłe tu chodzi koło ciebie. Ja to widzę.

— Nie wiem. Widocznie lubi samochody. Jedna lubi z tyłu, druga z przodu, a ona widocznie to. Zagadka życia.

— Znałem parę kobiet — powiedział Apostoł. — Ale żadna z nich nie miała żadnego cugu do wozów. Chciałem kiedyś nauczyć swoją żonę jeździć, ale nie odróżniała hamulca od sprzęgła, a gazu od reflektora. Jak zobaczyła kogoś przed sobą, to zamykała oczy i naciskała wszystko na raz... Ta jest jakaś inna.

— Widocznie — przyznał Dziewiątka.

— W tym nieszczęście, że każda jest inna — powiedział Apostoł. Wyprostował się nagle. — Słuchaj, Dziewiątka — zasycał — jeśli zobaczę, że tu jakiś grzech między wami, to tak z tobą...

Zeskoczył na ziemię. Chwycił ze zderzaka korbę i wzniosł ją nad głowę; jego twarz stała się purpurowa i zdawało się, że za chwilę tryśnie z niej krew. Dziewiątka patrzył jak twarde żelazo wygina się w pokorny łuk. Potem Apostoł wyprostował korbę na kolanie i odrzucił ją.

Kiedy miałem twoje lata — powiedział do Dziewiątki — robiłem u rzeźnika. Wtedy potrafiłem dać pięścią wołu w łeb i jucha mu szła z pyska: szedł spać tam, gdzie ty pójdziesz — do bydłęcego raj. Rozumiesz?

— Owszem.

— Więc jakby co...

Dziewiątka poklepał go po ramieniu.

— Jakby co, to opowiem ci potem jak było — rzekł. — Nie przejmuj się, Apostoł. Któryś ze świętych był w młodości alfonsem; tak nam mówił kapelan więzienny. Jeśli jednemu z naszych się powiodło, to dlaczego ja mam być gorszy? Jak się nazywa takie coś dookoła głowy?

— Co?

— No, takie, takie.

— Ale co, do licha?

— A ja wiem? To ty się modlisz.

— Co mam wiedzieć?

— Czekaj.

Skoczył na tył wozu i wyciągnął stamtąd oponę. Założył sobie ją na plecy: kudłaty jego łeb znajdował się teraz w kole.

— To — rzekł triumfalnie. — Bo w tym byłoby mi chyba ładnie, nie?

Apostoł potarł czoło.

— Wiedziałem — rzekł. — Już mam, bracie, na końcu języka... Zaraz, zaraz... Kółeczko, ma się rozumieć, że kółeczko. Czekaj, czekaj... Jak się nazywa ta dziwka, do której jeździliśmy we dwóch?

— Ta kurwa?

— Ona, ona.

— Ruda?

— No... chyba ruda.

— Sabina.

— Nie, nie... A ta druga?

— Ta, na której Warszawiak złapał tryńca?

— O, o!... Ona sama.

Dziewiątka poskrobał się w szczękę.

— Zapomniałem — wyznał wstydliwie. Spojrzał na Apostoła ze złością. — Ale przecież rozchodzi się o kółeczko.

— Czekaj — rzekł Apostoł. — Zaraz sobie przypomnę.

Wyciągnął zza pazuchy butelkę wódki i w oka mgnieniu opróżnił połowę; brzuch jego zabulgotał jak silnik. Dziewiątka dokończył: pił jak herbatę, ze smakiem. Otarł usta.

— Przypomniałeś sobie? — zapytał.

Apostoł pstryknął rozpaczliwie palcami.

— Nie — rzekł. — Ale coś tak pod kółeczko... — Westchnął. — Fajna była zresztą dziewczyna. Warszawiak potem wybił jej wszystkie zęby.

— Wcale nie wszystkie, tylko cztery — powiedział urażonym głosem Dziewiątka. — Dlaczego mówisz źle na kumpla? To jej się zresztą przydało.

— W jaki sposób?

— Podobno teraz pięknie ciągnie druta.

Apostoł huknął pięścią w maskę.

— Bóg cię skarże, bydlaku — powiedział. — Ale czekaj, chcę sobie przypomnieć... Hm... hm... hm... No, nie ma rady.

Znów wyciągnął butelkę wódki: wypili. Dziewiątka objął Apostoła za szyję i przytulił się do niego.

— Apostoł — wyszeptał gorąco. — W życiu trzeba być zawsze człowiekiem. A ja, bracie, zawsze jestem sobą. Ty mnie rozumiesz? — Szarpnął na nim watowaną kurtkę. — Ty mnie rozumiesz?

— Kółeczko — mówił Apostoł opędzając się od Dziewiątki. — Kółeczko, do jasnej cholery. Kiedyś jej dałem w mordę, bo chciała mi rąbnąć portcygar. Cycki, bracie, miała do kolan, ale tak w ogóle, to złego słowa nie dałbym na nią powiedzieć. — Znów uderzył pięścią w maskę. — Kochasz Pana Jezusa?

— Kocham, kocham... Miałem kiedyś kumpla księdza. Piliśmy, a potem on mnie spowiadał. „Ty — mówi — bydlak jesteś, można powiedzieć — grzesznik, ale ja cię wolę od takiej cholery, która się trzy razy na dzień przychodzi spowiadać, bo w tyłku ma pusto...” Pocałuj mnie. Ja jestem taki.

— Kóleczo, kóleczo — powtarzał Apostoł. — Gdzie Warszawiak? On będzie wiedział.

— Co?

— Kóleczo.

— Po cholere ci kóleczo?

— Ale jak ona się nazywała?

— Kto?

— Ta dziwka.

Dziewiątka zaklął.

— I świętego Asyżka z Franciżu też kocham — powiedział. — Ale po co ci dziwka? Patrz — roślinność się pnie...

Pocałował Apostoła w rękę.

— Ty chciałeś — wybełkotał Apostoł. — Grzeszysz, ale będziesz zbawiony. Powiedz do Pana Boga: „Boże — świnia jestem...” a ja powiem tak samo. A święty Krzysztof powiada: „Boże, ja znam tych skurwysynów. To chłopaki z „Drzewa”. Przyjmij ich na swoją klatkę z pierściami cierpiącą...”

Nagle zaryczał pełnym głosem:

Pijem, kole i stradam.

Wsiech legawych przeklinajem.

Ech — zaczęł nas mama radila...

Objęci ramionami potoczyli się w stronę baraku. W drzwiach Apostoł przystanął.

— Mam — wybełkotał. — Mam... kóleczo. A... arel... Aurelia... — Przytulił Dziewiątkę do swojej ogromnej piersi. — Aurelia, ty szmato, daj mordy... Kóleczo...

Jak piorun wdarli się do baraku. Zwalili się na prycze i zachrapali natychmiast. Partyzant spojrzał na Zabawę.

— I ty chcesz z nimi coś zrobić?

— Sam nie zwiozę.

— Kiedy chcesz jechać po drzewo?

— Jutro można spróbować.

— Nie będą chcieli jechać — powiedział Partyzant. — Podszkrywali wozy i będą chcieli wracać do miasta. Wczoraj wzięli forse... Czym ich zatrzymasz?

— Nie wiem — powiedział Zabawa.

Partyzant zerknął na zegarek.

— Masz czas do jutra, do świtu — rzekł. — Teraz jest czwarta. Jakies szesnaście godzin. Co przez ten czas możesz zrobić?

Zabawa wstał i podeszedł do okna : swoimi szerokimi plecami odciął prawie światło. Potem odwrócił się.

— Nie wiem co można zrobić przez szesnaście godzin — rzekł. — Można się najeść, zakochać, zabić... Ale przekonać człowieka ? To się czasem nie udaje przez całe życie... — Zamilkł; patrzył na ciemniejący las i rzadkie niebo nad nim. Potem rzekł z rozpaczą : — A oni muszą tu zostać.

— Pozabijają się na tych trupach — rzekł Partyzant. — Ja to widzę. Tymi wozami można wozić słomę a nie dłużyce. — Spojrzał mu w twarz. — Ty przecież wiesz o tym, Zabawa.

— Wiem tylko to, że muszę zwieźć drzewo. I to jest wszystko.

Partyzant zaśmiał się cicho.

— Nie masz dla nich litości, co ?

— Mam kupę drzewa do zwiezienia.

Partyzant wstał i nałożył kozuch.

— Przejadę się trochę, obejrzę to sobie — rzekł. — Do diabła z tymi pijanymi bydlakami.

Wyszedł. Zabawa patrzył za nim; wysoki, jasnowłosy, szedł sztywnym krokiem przez plac. Potem wszedł do swego wozu, przejechał z hałasem i znów zamknęła się cisza.

— Jutro — wybelkotał przez sen Dziewiątka — kochana...

Zabawa odwrócił się i spojrzał na niego; w tej chwili Dziewiątka rzucił się gwałtownie i spadł z łóżka. Zabawa pochylił się nad nim i wciągnął go z powrotem. Chciał odejść, lecz zobaczył rozsypaną talię kart; podczas podnoszenia, wysypały się Dziewiątce z kieszeni. Pozbierał je starannie. Były wyświechtane i zatłuszczone jak fartuch masarza.

Orsaczek wyciągnął ze skrzynki puszkę i otworzył wieko śrubokrętem. Zaklął : farba zaschła i na jej powierzchni utworzył się wstrętny, żółty kozuch. Medytował chwilę, potem nabrał butelkę benzyny ze zbiornika : dolał do farby i począł rozrabiać ją patykiem. Kiedy wreszcie stała się płynna, włożył na maskę i przygryzając z przejęciem koniuszek języka zaczął malować. Zobaczył przechodzącego Warszawiaka i krzyknął :

— Chodź na chwileczkę !

Warszawiak podeszedł.

— No ?

— Potrafisz malować ?

— Zależy ?

Orsaczek zmrużył oko.

— Serce — powiedział. — Serce przebite strzałą.

— Zakochałeś się ?

Orsaczek znów mrugnął na niego.

— Poniekąd tak, poniekąd nie — powiedział. — Ale ona mi się cholernie podoba. Chciałbym ją, bracie, względem tego, co i owszem.

Warszawiak milczał przez chwilę.

— Wiesz — rzekł — ja ci coś powiem. Ja bym ci chętnie namalował, ale wiesz — sam mam kupę roboty. Muszę napompować zapas. Zrobimy tak: ja ci namaluję serce, a ty mi zrobisz zapas. Stoi?

Orsaczek namyślał się chwilę.

— Potrafisz malować? — zapytał z niedowierzaniem.

— Mowa. Pracowałem kiedyś u lakiernika. Możesz być spokojny.

— Kiedy wiesz... zrobić zapas, to jest jednak do cholery roboty.

— A serce tam namalować, żeby wszystko grało, to co?

Orsaczek mrugał rozpaczliwie oczami, potem zdecydował się nagle.

— Dobrze — rzekł. — Ale postaraj się tak, żeby wiesz.

— Spokojna głowa. Będziesz miał zrobione na model. Do końca życia mi tego nie zapomnisz.

Orsaczek odszedł. Warszawiak zawołał za nim:

— Strzała ma być z lewa na prawo, czy z prawa na lewo?

Orsaczek namyślał się chwilę.

— Z lewa na prawo. Tak będzie lepiej, prawda?

— Myślę... Pompka jest nad siedzeniem...

Orsaczek pompował koło ustając, co chwila; pompka podawała kiepsko, wentyl przebijał, noga mu się ślizgała i pot spływał po całym ciele, a opona wciąż jeszcze była miękka. Patrząc z zazdrością na Warszawiaka, który siedział wygodnie i malując podśpiewywał. Orsaczek pompował i mówił głośno: „Sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć...”

— Co ty tam chrzanisz? — zawołał Warszawiak.

Orsaczek otarł pot z czoła.

— Siedemdziesiąt — zachrypiał.

— To kiepska pompka — powiedział Warszawiak. — Musisz co najmniej z tysiąc razy przydusić.

— Sto pięć, sto sześć... Żeby cię szlag trafił!

— Jak?

— Żeby cię szlag trafił!

— Trudno, przyjacielu! Miłość wymaga ofiary...

Po godzinie Orsaczek skończył. Odłożył pompkę pod siedzenie i zachwiał się. Warszawiak już dawno skończył i poszedł sobie. Orsaczek odpoczął chwilę i podszedł do swego wozu. Na masce, przez całą jej szerokość, widniał napis:

Odczep się od niej, pęta, bo ci nogi z tyłka powyrywam i dam do zabawy; farba zaschła już na cement.

Przyszedł wieczór i księżyc w to samo miejsce okna, w którym zawsze tkwił nieruchomo, srebrząc krzaczaste kwiaty na szybie. Dziewiątka siadł do stołu.

— Apostoł.

— No?

— Posłuchaj synu: Onego czasu wziął Chrystus uczni swoich i szedł z nimi do miasta Jeruzalem. A gdy wyszli z miasta Betleem, a było gorąco, usiedli na górze wysokiej, w cieniu upragnionym i w kości grać poczęli. I wziął kości Piotr, i rzucił je, i wyrzucił dziesiątkę, i ucieszyło się serce Piotra a zasmuciło serce Jana. A wziął kości Jan, a rzucił je i wyrzucił dwunastkę; i ucieszyło się serce Jana a zasmuciło serce Piotra. A wziął kości Pan, a potrząsnął nimi i rzucił; i wyrzucił trzynastkę; i zasmuciło się serce Jana. Rzekł tedy: „Panie, nie czyniś cudów, azaliż jest to uczciwa gra na gotówkę... Czy zrobimy sobie ostatniego, uczciwego pokerka?

Usiedli do stołu. Dziewiątka potasował karty i podał do przebicia Zabawie.

— To już ostatni raz — powiedział. — Zaczynaj.

— Otwarcie? — spytał Apostoł.

— Jest.

— Za ile?

— Dziesięć.

— Dziesięć i dwadzieścia.

— Dwadzieścia i czterdzieści.

— Jestem. Jestem i sprawdzam.

— Co masz?

— Uczciwa karta, bracie. Nie gram na bluff. Full. Starczy?

Dziewiątka położył rękę na puli. Zabawa przytrzymał go.

— Kareta.

Grali przekomarzając się najpierw i żartując; potem twarze ich stężały, czoło Dziewiątki pokryło się potem, Apostoł mełł w ustach jakieś przekleństwa, nos Warszawiaka zaostrzył się jeszcze bardziej; pochylony nad kartami, wyglądał jak kruki. Orsaczek rozglądał się nieprzytomnie; stos banknotów przed Zabawą rósł stale.

— Ma chłopak szczęście — powiedział Apostoł.

Dziewiątka spojrzał na Zabawę.

— Nie takie znów, jak mu się wydaje — warknął.

A potem świt przyszedł mgłami; góry i doliny rozplywały się w mlecznych oparach, i księżyc uciekł jak zdmuchnięty; potem obudził się wiatr — przegnał mgły i słońce znów zaczęło drażyć pustkę nieba; i wszyscy już byli bez pieniędzy; zmięte, zatłuszczone i wygniecione spoconymi z podniecenia rękami, leżały przed Zabawą. Położył na nich obie dłonie; twarz pościemniała mu przez noc.

— Gracie dalej?

— Czym? — zapytał Orsaczek. Patrzył na ręce Zabawy jak zaczarowany i bliski był płaczu.

— Nie macie już nic?

Milczeli. Dziewiątka oddychał ciężko; Apostoł rozglądał się dzikim wzrokiem; tylko Warszawiak był spokojny i zimny, jakby dopiero rozpoczął grę.

Zabawa zebrał karty i począł je tasować.

— Ostatnia pula — powiedział. — Przykro mi, chłopcy, ale dam wam szansę... — Skończył, wyciągnął rękę z kartami do Warszawiaka. — Zagrajmy na dni — powiedział.

Apostoł poruszył się gwałtownie.

— Na dni? — powtórzył. Wpatrzył się w twarz Zabawy. — O czym ty myślisz, Judaszu?

— Tak — powiedział Zabawa — na dni. Ja stawiam forszę a wy — każdy dzień tutaj. Stoi?

Dziewiątka roześmiał się.

— Każdego dnia można sobie skrócić łeb — powiedział. — Ile to dla ciebie warte?

— Czy to uczciwie teraz zmieniać stawkę? — powiedział Zabawa.

— A jeśli rzeczywiście skrócę kark — powiedział Orsaczek.

Zabawa uśmiechnął się.

— Wyprawimy ci taką stypę, że nie będziesz narzekał — powiedział. Rozejrzał się po wszystkich. — Więc?

Dziewiątka zaklął.

— Gram — powiedział. — Nie wrócę przecież bez forsy do miasta. Ty, Warszawiak?

Warszawiak milczał. Patrzył na stos banknotów przed Zabawą. Potem wyciągnął rękę.

— Daj — rzekł.

Dziewiątka podszedł do drzwi i otworzył je.

— Słońce wschodzi — powiedział. Spojrzał w niebo. — Wieczorem pewno będzie padać śnieg... — Wrócił do stołu. — Karty!

Zabawa rozdał.

— Kładźcie papierosy — rzekł. — Papieros — dzień.

Dziewiątka zaśmiał się.

— Więc to tak wygląda?

— Co?

Stuknął palcem w stół.

— Życie.

— Tutaj, nawet tego nie warte — powiedziała Wanda. Stała za Dziewiątką. — Grajcie — powiedziała ochryple. — Grajcie, wy świnie.

Potem Zabawa nakrył wszystkie papierosy ręką; Dziewiątka przegrał tydzień, Warszawiak i Apostoł po dziesięć dni, a Orsaczek, który hazardował się najbardziej, przeszło trzy tygodnie.

— To był wielki bluff — powiedział Dziewiątka do Zabawy. — Taki cud zdarza się tylko raz za życia, dziecko. Daj karty!

Zabawa uniósł brwi.

— Chcesz jeszcze grać?

— Nie, talię. Jest moja.

Zabawa milczał przez chwilę.

— Mogę je od ciebie odkupić — rzekł z namysłem. — Przyniosły mi szczęście, to coś znaczy. Zobacz — tyle forsy...

— Ile dajesz?

— Nic — powiedział Warszawiak. Podeszedł do stołu i szybkim ruchem nakrył talię dłonią. — Pomyliło ci się, Dziewiątka — rzekł. — Karty są moje. Miałeś je ode mnie kupić, ale do dziś dnia nie dałeś ani grosza.

— Mogę je kupić i od ciebie — powiedział Zabawa. Ich ręce spotkały się nagle.

— Nie — powiedział Warszawiak. — Może mnie też przyniosą szczęście.

Był silniejszy i rozgiął dłoń Zabawy. Stuknął kartami o stół i schował je do kieszeni.

— Chryste — rzekł Apostoł. — Takiego bluffu nie widziałem w życiu. — Popatrzył na Zabawę takim wzrokiem, jakby go pierwszy raz zobaczył. — Człowieku — rzekł. — Czy ty jesteś diablem?

Warszawiak roześmiał się cicho.

— O, nie — powiedział. — On miał po prostu wielkie szczęście... — Popatrzył na Zabawę. — Warto by się przyrzec z bliska jak to szczęście wygląda. Zwyczajna talia kart — pstryknął palcami — tyle forsy, tyle dni.

Zabawa wstał.

— Nie warto się przyglądać — rzekł.

— Boisz się, żeby nie zapeszyć? — zapytał Warszawiak.

— Tak — rzekł Zabawa. Włożył ręce do kieszeni. — To rozmaicie bywa z tym szczęściem — powiedział. — Znałem kiedyś jednego cwaniaka, który jeździł jak wariat i miał cholerne szczęście. Kiedyś chciał wykołować jednego faceta, ale tak się dziwnie złożyło, że...

— Masz rację — powiedział Warszawiak. — Do cholery z takim szczęściem. To był największy poker, jakiego widziałem w życiu... — Spojrzał na Zabawę. — Ale pogramy sobie jeszcze, co?

Zabawa wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? Gra jest przyjemną rzeczą.

Warszawiak wyszedł na dwór. Zza lasu podnosiło się czerwone słońce i szczyty drzew były teraz złote.

— Warszawiak!

Odwrocił się.

— Oddam ci forszę — rzekł Zabawa.

Uśmiechnął się.

— Kiedy mu wyciągnąłeś talię?

— Spili się dzisiaj z Apostołem. Podczas snu.

Szli obok siebie. Warszawiak wyciągnął talię i obejrzał ją.

— Ładnie — rzekł. — Znaczki, znaczki. Grałeś na widno...

— Spojrzał na niego z boku. — Jak ty tyle tego spamiętałeś?

— Siedziałem kiedyś — powiedział Zabawa. — Pisaliśmy do siebie grypsy. Odklejałeś bibułkę od papierosa, pisałeś, potem skręcałeś z powrotem w tytoń. Literami byś nic nie napisał, chłopaki wymyślili więzienny alfabet. Pisałem nim całe referaty. To było trudniejsze od pokera.

— Za co siedziałeś?

— Za komunizm — rzekł Zabawa. — Za to samo, co i teraz.

— Siedziałeś teraz za komunizm?

— Siedzę tutaj z wami — rzekł Zabawa. — To jest gorsze od więzienia. — Zatrzymał się. — Ile chcesz za karty i za zamknięcie mordy?

— Teraz z tobą zostaną — rzekł Warszawiak. — Odebrałeś im forse, cały zarobek... To biedni ludzie. W mieście nikt im nie da. Zostaną tutaj i będą się walić po kolei...

— Ty bardzo pięknie mówisz — powiedział Zabawa. — Ale ile chcesz?

— Nic — powiedział Warszawiak. Wcisnął mu karty do ręki. — Mordę będę trzymał krótko, a znaczki wytrzymaj. Zostaję tutaj, żeby z tobą pograć...

Uszedł krok, potem zatrzymał się.

— Uczciwie.

Dziewiątka wyszedł na podwórko i przetaił zapuchnięte oczy. Wanda przeszła koło niego; trąciła go i poszła w stronę samochodów. Rozejrzał się i przemknął za nią.

— I co? — rzekła. — Przegrałeś. — Z czym teraz wrócimy, ty świnió?

— Nie bój się — rzekł. — Jutro pojedę do lasu i opchnę kurs w mieście. Damy sobie radę... — Podniósł głowę do góry. — Jeśli jest jeszcze coś na tym parszywym świecie — rzekł — to nie będziemy tu długo. — Spojrzał na nią. — Płaczesz? To dobrze. Jeśli jeszcze człowiek potrafi płakać, to wszystko można zacząć.

Byli już w lesie; usiedli koło siebie i znów nie zważając na nic kołysali się między niebem a ziemią.

MORDERCY SĄ MIĘDZY NAMI

Droga była wąska i kręta ; pięła się pod górę ostrymi serpentynami ; na zakrętach nie było znaków ani słupów ochronnych, a że padał gęsty śnieg, jechali niby w nocy. Warszawiak jechał pierwszy ; Partyzant, który miał najlepszy wóz, ubezpieczał ostatni. Posuwali się naprzód w ślimaczym tempie, a kiedy wydostali się wreszcie z lasu na szosę, Warszawiak wyrwał daleko naprzód ; ciągnął czterdzieści mil i nagle zobaczył w lusterku wóz Orsaczka ; ten wrzeszczał coś i wygrażał Warszawiakowi pięścią. Potem zrównali się i jechali maska w maskę zajmując całą szerokość szosy. Przy pięćdziesięciu milach — kiedy zjeżdżali ze spadku — Warszawiak wychylił głowę.

— Gdzie, durniu ?

— Puść, do diabła — wrzasnął Orsaczek. — Spiesz mi się.

— Dokąd ?

— Mam frajera na drzewo, puszczaj... Jutro ja cię będę blokował.

Warszawiak zdjął nogę z gazu.

— Jedź...

Sam zjechał na bok ; przepuścił Orsaczka a potem stopniowo zwalniał szybkość ; jechał środkiem szosy, nie zważając na rozpaczliwe sygnały z tyłu ; tamci również musieli zwolnić i nie zdejmowali rąk z klaksonów. Zaraz za nim jechał Zabawa ; Warszawiak ciągnął teraz nie więcej jak dwadzieścia mil i widział w lusterku jego czerwoną ze wściekłości twarz ; Zabawa usiłował raz za razem minąć Warszawiaka, kłął i wrzeszczał ; lusterko było wklęsłe, co tym śmieszniejszą czyniło jego rozwścieczoną twarz.

— Góra — wrzasnął Zabawa. — Gazu, ty kretyne...

— Gazu — ryczeli z tyłu pozostali. — Gazu, Warszawiak. Ga-zuu...

Warszawiak popatrzył przed siebie ; Orsaczek był już daleko i tylko śnieg kurzył się za nim. Wyciągnął dźwigienkę ssania ; silnik zaczął się krztusić i walić ogniem w tłumik. Przed nim było wszystko, kilkumetrowe wzniesienie ; po wierzchołku

góry szwendały się mgły i tam właśnie zniknął Orsaczek. Przed samym podjazdem Warszawiak stanął ; zatrzymali się również i inni.

— Co jest, do cholery? — ryknął Zabawa.

— Nie wiem — powiedział Warszawiak. — Nie ciągnie i koniec. Nie mogę go rozbujać, za Boga... — Rozpiął spodnie i stanął przy kole. — Masz swoje wozy — powiedział potem do Zabawy. — Tak jest zawsze.

— Teraz będziemy musieli piłować pod górę jedyneką — powiedział Zabawa. Zaklął. — Na raz nie przejedziemy. To potrwa z godzinę, trzeba studzić silniki... Nie mogłeś nas przepuścić?

— I co? W razie czego, zostanę sam i co mam robić? Zawsze tutaj tak jeździmy, do cholery...

Zabawa wyciągnął zegarek.

— Przed wieczorem nie dolecimy — powiedział. Usiadł na stopniu i zapalił papierosa. Dziewiątka podszedł i mrugnął na Warszawiaka. Odeszli na bok.

— Zrobiłeś go na szaro — szepnął. — Orsaczek ma ze dwie godziny czasu...

— To pierwszy z moich dziesięciu dni — powiedział Warszawiak. — Wygrał i niech się cieszy swoim szczęściem... — W sposób niebywale zręczny zapalił papierosa i podał ognia Dziewiątce. Pociągnął nosem. — Wiosna już idzie — rzekł. — Jeszcze tylko dwa tygodnie śniegu, Dziewiątka...

— Cóż z tego, dziecko?

— W Warszawie, na mojej ulicy, dzieci pewnie grają już w klasy, w niebo i piekło, kuchty łażą z żołdatami, ludzie otwierają okna. Potem zaczynają kwitnąć drzewa...

— Rozmarzyło cię?

— Potem kwiaty — rzekł Warszawiak. — W parkach, na zieleńcach, rozmaici faceci piją wódkę na trawnikach. O Boże...

— Niedobrze jest z tobą, dziecko — powiedział Dziewiątka. Pokręcił głową ze smutkiem, potem przytulił do siebie Warszawiaka. — Ja wiem, co jest z tobą. Ptaszynka zaczyna ci koncertować w mózdzku. Musisz sobie bracie, potentegować, a wtedy odleci. Tak jak ja.

Warszawiak wyprostował się nagle.

— Co — ty?

Dziewiątka poczerwieniał.

— Nic, do diabła... Jedźmy już, nic...

— Kłamiesz — powiedział cicho Warszawiak.

— Nie tylko ja, dziecko. Wszyscy. Cały świat, to taki zasrany, wielki bluff, jaki wczoraj wyszedł temu bubkowi. Te góry to też lipa wymyślona przez jakichś podłych idiotów — wskazał ręką na zachodzące słońce. Wsiadł do wozu. — Dalej — warknął. — Zaczynamy wszyscy głupieć...

Orsaczek z szybkością pięćdziesięciu mil wjechał do miasta. Jak burza przewalił się przez drewniany, prowizoryczny most nad śmierzdzącą rzeczką; potem skręcił w boczną ulicę i wypełnił grzmotem jej kamienne ściany; pozejmowali u swych wozów tłumiki, aby pracowały lżej; to dopiero słyszało się w wąskich ulicach tego miasta. Kiedy przejeżdżali, mieszkańcy podbiegali do okien rozpiaszczając na szybach twarze.

Przed którymś podwórkiem zatrzymał się. Wyskoczył z wozu i zakotłotał do bram; nad bramą umieszczony był szyldzik: **B. Marcinkowski — Stolarsnia**. Walił długą chwilę, potem wyszedł stamtąd mały, okrągły człowieczek w filcowym kapeluszu; za tasemką zatknięty miał gruby ołówek. Okrągły otworzył wrota, a kiedy Orsaczek wjechał — zamknął je natychmiast. Nie mówiąc do siebie ani słowa, poczęli zwałać dłużycę. Całe podwórko zavalone było tartacznym drzewem i teraz, w blaskach zachodzącego słońca, żywiczne słoje lśniły jak stężała krew. W kącie podwórka stał drewniany budynek; tam śpiewała wysoko elektryczna pila.

— Koniec — rzekł w pewnym momencie Orsaczek. Otarł pot z czoła; rękaw był brudny i na czole pozostała ciemna smuga. — Więcej nie można, bo się pokapuje.

— Kto? — zapytał okrągły.

— Przysłali nam... kapusia.

— Znaczy się: kto?

— Centrala, partia... panie, czy ja się na tym znam? Jak chcą przysłać, to zawsze przysła. Miały przyjść nowe wozy i...

— I co? — zapytał ciekawie okrągły.

Orsaczek zatrzepotał rękami.

— Nie mogę panu powiedzieć — rzekł. — Tajemnica państwowa.

Okrągły człowiek podrapał się pod kapeluszem.

— Czasy, cholera — powiedział. — Wam przesyłają kapusia, mnie podatek za podatkiem dosuwają, że ledwie zipię... — Wykonał pełen rezygnacji gest ręką i sięgnął do portfela. — To będzie razem...

— Nie, nie... — powiedział spieszenie Orsaczek. Znów zatrzepotał w ptasi sposób rękami. — Niech forsa leży u pana. Pan wie: ja chcę sobie uzbierać na wózek, a koleżków pieniądze w oczy kole. Jak będę się stąd zrywał, to odbiorę.

Okrągłego to zaciekawiło; stulił usta.

— Wózek, znaczy się — co?

Orsaczek spuścił skromnie oczy.

— Taksóweczka — szepnął.

Okrągły pokiwał głową.

— Można zarobić — powiedział. — Może ja bym panu coś wykombinował. Pan wie: tu jest Zachód, tu zawsze łatwiej. Chłopi po stodołach mają jeszcze Bóg wie co... — Wypiął do przodu brzuszki. — Jak pan chce — rzekł godnie. — U mnie

jak w banku. Ale spieszcie się chłopaki, bo czuję, że niedługo wszyscy pociągniemy. Takie czasy... Warszawiak wybiera się do mnie, nie wiesz pan?

— Czort go wie. Chyba panu coś podrzuci, powiem mu. Warszawiak lubi forszę.

— Ja o tym dobrze wiem — powiedział okrągły. — Pożył ode mnie z miesiąc temu dwadzieścia kawałków i go nie widzę. Przypomnij mu pan.

Orsaczek energicznie pokiwał palcem.

— Bądź pan spokojny — rzekł. — My jesteśmy uczciwi. Nie przywiezie panu dziś, to jutro. Im później, tym dla pana lepiej — drzewo przynajmniej obeschnie. Z nami pan nie zginie.

Wyjechał z bramy i pognał w stronę tartaku przy bocznicy kolejowej, tam, gdzie zwalali zawsze. Kiedy wreszcie nadjechali inni, on wracał już z pustym wozem do domu. W chwili mijania nie mógł się powstrzymać i zagrał im na nosie.

Następnego ranka, przed wyjazdem do lasu, Dziewiątka odwołał na bok Orsaczka.

— Kochasiu — powiedział. — Ja myślę, że tobie dziś nawali na przykład... pompa benzynowa. Te membrany są teraz takie kiepskie...

— W porządku, Dziewiątka.

— Ile wczoraj zarobiłeś?

— Ja wiem? Ze trzy kawałki może...

Dziewiątka zaklął wściekle.

— Nie lubię złodziei, psiakrew. Mało płaci.

— Weź więcej, więcej zarobisz.

— Chyba tak zrobię — powiedział Dziewiątka. — Naładuję, ile się da. Potrzebna mi dziś forsa...

Orsaczek spojrzał ciekawie.

— Po co?

— Chcę się odegrać — powiedział Dziewiątka.

Zabawa siedział już w wozie; Warszawiak, Apostoł i Partyzant zjeżdżali z doliny.

— Jedziemy, Dziewiątka.

— Jedź pierwszy — powiedział Dziewiątka. — Leć razem z Orsaczkiem, a ja was dogonię.

— Dlaczego nie chcesz jechać teraz?

— I tak wszystkim na raz nie załadują. Coś się, cholera, przeziębilem. Zagotuję sobie kawy...

Zabawa z Orsaczkiem pojechali. Dziewiątka pokręcił się chwilę przy swoim wozie, potem — kiedy na dobre już przebrzmiał głos tamtych wozów — wszedł do baraku. Wanda leżała jeszcze w łóżku. Przysiadł koło niej; pogłaskał chłodną ręką jej zaróżowioną twarz.

— Koniec — powiedział.

— Czego?

Spojrzał w okno ; skrzyło się w słońcu rozjeżdżone koleinami pole, wyżej szumiał kołysany potężnym wiatrem srebrny las.

— Wszystkiego co było tutaj. Śniegów, samochodów... Przeciągnął ręką po czole. — Tyle czasu siedziałem tutaj. Na myśl mi nie przyszło, że spotkam cię... akurat tutaj, teraz. Zbierałem trupa po trupie i przestałem wierzyć, że wyrwę się stąd kiedyś.

— Kiedy stąd wyjedziemy ?

— Kiedy ? — powtórzył. — Dzisiaj... Pojadę teraz do lasu, zawiozę drzewo do miasta i wrócę...

— A ja ?

— Ty ? Ty przez ten czas ślicznie się spakujesz, a ja wrócę pierwszy. Wsiądziemy do wozu i powiemy górcom : „Niech was szlag trafi”. A potem...

Urwał nagle. Znow patrzył na las.

— Co potem ? — zapytała.

Milczał. Po jakimś czasie odwrócił głowę.

— Potem — rzekł — będziemy jakiś czas w mieście razem, a ty sobie znajdziesz młodego, fajnego chłopaka i odjedziesz z nim. I będziesz miała i męża, i dom, i wszystko, i nic... A potem ? Potem znowu będą jakieś góry i jakiś las, i coś, co będzie dręczyć.

— Dlaczego tak mówisz ?

Uśmiechnął się i teraz dopiero, po raz pierwszy jak ujrzała go tutaj, był ładny.

— Żartowałem — powiedział. — Słyszysz jaki wiatr ?... Jutro już nie będziesz go słyszeć.

Wstał.

— Czekał powiedział. — Wrócę pierwszy, potem pojedziemy boczną drogą, przez las. Mogą nas szukać. Ubierz się ciepło, wieje dzisiaj strasznie. Ale już tylko dzisiaj.

Podszedł do drzwi.

— Dziewiątka.

Odwrócił się.

— No ?

— Jak tobie naprawdę na imię ?

— Dziewiątka.

— Ale naprawdę.

Uśmiechnął się.

— Powiem ci w mieście.

— Chodź na chwilę.

— Teraz nie. Muszę już jechać. Czekał.

Widziała przez okno, jak wsiada do swego wozu i bezskutecznie naciska starter. Potem zaklął, wyskoczył, mocował się chwilę z korbą ; wreszcie silnik zaskoczył i Dziewiątka ruszył ; w słońcu błysnęła biała czaszka na wachlarzu i wóz zniknął za zakrętem. Leżała jeszcze chwilę w łóżku, później zaczęła zbierać swoje sukienki.

Las był pełen słońca ; promienie jego łamały się w żywicznych sękach i oblodzonych szyszkach ; na zeszytywniałych igłach i śnieżnym pyłe, który zdmuchiwał z gałęzi pomruk silnika ; cały las pełen był promiennego, wirującego puchu. Dziewiątka jechał szybko ; przyczepa podskakiwała na wybojach i korzeniach i łańcuchy kołowrotów brzęczały dziwnym jakimś, fałszywym brzękiem. Kiedy wyjechał wyżej i pędził skrajem lasu brzęczenie prawie ucichło ; wszystko głużył wiatr, który szedł nisko swą siłę brał z samego środka przewróconej ziemi.

Wydostał się wreszcie na wysoką polanę ; stąd brali zrąbane przez drwali drzewo ; drwale ścigali je końmi pokrzykując i wrzeszcząc. Wozy stały już z klockami podłożonymi pod koła i opuszczonymi kłonicami ; były przygotowane do załadunku. Ładowacze — chłopci z okolicznych wiosek — podtaczali już pierwsze bale pod legary. Dziewiątka przygotował wóz i poszedł szukać Zabawy.

Kiedy go znalazł, Zabawa rozmawiał z jakimś człowiekiem w okularach. Zobaczył Dziewiątkę i skinął ; ten podszedł.

— Towarzysz inspektor z Centrali — powiedział Zabawa. — A to jeden z naszych kierowców.

Inspektor i Dziewiątka uścisnęli sobie dłonie.

— No jak ? — zapytał inspektor.

— Z czym.

— Jak wam leci, kurwa jego mać ?

— Dyc' jakoś ta idzie, wielmożny panie — powiedział Dziewiątka.

— Powinno iść dobrze, kurwa jego mać — powiedział inspektor. Zdjął okulary i począł je przecierać ; miał zmęczoną, zużytą twarz i worki pod zaczerwienionymi oczyma. Podniósł rękę do góry. — Nie zapominajcie, kurwa jego mać, że pracujecie dla klasy robotniczej. Na to drzewo czekają stocznie, czeka Nowa Huta, Warszawa. Jak wam będzie ciężko, to taka jego mać, pamiętajcie o tym. Pracujecie dla dobra człowieka, a człowiek, taka jego mać, to nasze najwyższe dobro... — Wskazał palcem na Dziewiątkę : — Towarzysz partyjny ?

— Nie, pokerzysta. Na razie, wielmożny panie. Idę, dyc' robota na mnie czeka. Niech was Matka Najświętsza wynagrodzi za ludzkie słowo.

Znów uścisnęli sobie dłonie ; Dziewiątka pokłonił się nisko, zamiótł czapką śnieg i odszedł. Inspektor nałożył okulary, spojrzał triumfalnie na Zabawę i złapał go za guzik.

— Do człowieka trzeba umieć podejść — rzekł. — Znaleźć podejście do człowieka, to najważniejsze, towarzyszu Zabawa. Widzicie, jak ja ? Po proletariacku do niego, po naszemu, z sercem. I od razu kontakt złapałem. Chodzi o to, żeby ludzie wiedzieli i rozumieli, że ci którzy kierują ich pracą i ich życiem, rozumieją ich samych i czują to samo. Widzi swojego i będzie robił... — Popatrzył na Zabawę z niezadowoleniem. — Dlaczego

on nie w partii? Dlaczego nie zaangażowaliście? Widzicie przecież, że to człowiek nieśmiały, ale garnie się do ludzi.

Zabawa gryzł zeschłą gałązkę.

— To dobra myśl — powiedział. — Będę musiał z nim porozmawiać, tak po naszymu. Tylko widzicie ; z nim pewna trudność.

— Nie ma trudności — powiedział inspektor. — Człowieka trzeba wychować, w jaki sposób? Wskazać mu perspektywę. Ot, co.

Zabawa poskrobał się w podbródek.

— Mogą być trudności z przyjęciem go do partii — powiedział. — Można by go było na razie do ZMP, ale on chyba już za stary... Sam nie bardzo wiem, co z nim robić.

— Jakie trudności ?

— On, widzicie, popadł w jakieś drobne kolizje z prawem i tego się osobiście boję. Zamordował kiedyś kochanka żony i został skazany na piętnaście lat. Tego się właśnie boję. Chociaż?... gdybyście byli jednym z wprowadzających?

Inspektor gwizdnął.

— Fatalnie — rzekł. — Fatalnie... — Znowu zdjął okulary i przecierał szkła jednostajnym ruchem. — On nie może tu z wami pozostać — rzekł. — Tacy ludzie tylko rozkładają kolektyw. Wiecie : kryminalista, morderca, a tu musi być twórcza praca, trzeba uświadamiać. Może zarażać innych, a wiecie : człowiek jest naszym najwyższym dobrem i musimy o tym pamiętać. Jak przyjadę do Centrali, to załatwię, żeby go zwolnili. Niech wam przysłać innego kierowcę.

— To bardzo dobry kierowca — powiedział Zabawa. — Pracuje pięć miesięcy i nie miał jeszcze ani jednego wypadku.

Inspektor tupnął gniewnie nogą.

— Ja mówię żebyście pamiętali o człowieku — rzekł — a wy mi tu, dobry kierowca. — Syknął : — Człowiek jest ważny, a nie kierowca. Ot, co...

— ... kurwa jego mać — dokończył Zabawa.

Spojrzeli po sobie.

— Tylko wy się nie łamcie, Zabawa — rzekł inspektor. Ruchem mówcy uniośł dłoń do góry. — Wiecie, o co walczymy. Macie trudności, to mówcie szczerze. Jak wam idzie z tymi ludźmi ?

— Polubiliśmy się — rzekł Zabawa. — Atmosfera serdeczna, wieczorami sobie czytamy, dyskutujemy...

— Potrzeba wam czego ?

— Tarcze sprzęgłowe są konieczne. Prawie wszystkie sprzęgła buksują.

— Z tarczami to bieda — rzekł inspektor. — Wszyscy narzekają... Może wam jakąś lekturę przysłać ?

— Koniecznie — powiedział Zabawa.

Trzech tęgich ładowaczy ustawiło legary do kołowrotu i przyczepę Dziewiątki. Potem — stękając i klnąc z wysiłku — łomami podtoczyli ogromny kloc i obwiązali go stalowymi linami. Stanęli po dwóch przy każdym bębnie i poczęli kręcić. Liny naprężyły się i poczęły skrzypieć. Kloc, centymetr po centymetrze, szedł do góry. Drewniane legary jęknęły wrzynając się coraz głębiej swymi końcami w ziemię.

— Wiosna idzie — powiedział Dziewiątka. Kloc był już na samej górze i upadł na przyczepę ; resory opuściły się momentalnie. Dziewiątka otarł spoconą twarz. — Ziemia coraz miększa, widać...

— Na wiosnę będzieta mieli strasznie — powiedział jeden z ładowaczy. — Teraz jeszcze ziemia twarda to idzie, ale potem? Jezu.

— Będzie im łatwiej groby kopać.

Znów kloc wylądował na przyczepie. Odczepili liny i podtoczyli następny. Kierujący załadunkiem leśnik — siwy staruszek z czerwonym nosem krasnoludka — podszedł do Dziewiątki.

— Ile pan weźmie ? — zapytał. Począł wypukiwać o opone krótką, szczerniałą fajkę.

— Ile pan chce ?

— Osiemnaście kubików pan weźmie ?

— Co to jest osiemnaście kubików ? Dawaj pan trzydzieści. Leśniczemu fajka wypadła z ręki.

— Coś pan ?

— Mówię poważnie.

— Nigdy pan nie chciał brać więcej jak dwadzieścia.

Dziewiątka przyciągnął go blisko.

— Uświadomiłem się — szepnął. — Trzeba pracować więcej. To zasługa tamtego — wskazał palcem na inspektora i Zabawę. Potem znów począł kręcić korbą kołowrotu : ludzie dyszelili ciężko, chwilami nie było widać ich twarzy, okrywała je para zmęczenia.

Inspektor spojrzał na zegarek.

— Mój wóz się spóźnia — powiedział. — Co się mogło z nim stać ?

— Skąd macie wóz ?

— Z komitetu powiatowego. Miał tu przyjechać po mnie i zabrać do miasta. O czwartej mam pociąg...

— Może zabłądził — powiedział Zabawa. — Tu ciężko trafić a dzisiaj taki wiatr, że może się błąkać po lesie i nie słyszy ani wozów, ani ludzi. Nie ma zresztą zmartwienia. W razie czego, pojedziecie jednym z naszych wozów. Na pociąg zdążycie.

Inspektor pomyślał przez chwilę a potem rozpromienił się. Klepnął Zabawę w plecy.

— Wiecie, że to jest myśl — powiedział. — Zobacze jak to idzie, pogadam sobie z kierowcą.

— Kierowca będzie bardzo zadowolony...

Pierwszy skończył załadunek Warszawiak. Chciał już zapuścić silnik, ale Dziewiątka podskoczył do niego.

— Poczekaj pół godzinki, Warszawiak. Ja już kończę, chcę lecieć pierwszy.

— Kursik?

— Komunia Święta.

Warszawiak wysiadł z wozu; pochylił się nad silnikiem i począł w nim grzebać. Orsaczek odciągnął na bok Dziewiątkę.

— Spokojnie — rzekł. — Dzisiaj ja mam defekt.

— Tylko nie w tym samym miejscu co Warszawiak.

— Nie. Moje delko zacznie przebijać już w lesie.

Dziewiątka poklepał go po policzku.

— Jesteś mądry chłopiec, bardzo się cieszę. Jak popracujesz nad sobą, możesz osiągnąć piękne wyniki. Człowiek, to nasze najwyższe dobro.

Orsaczek wytrzeszczył oczy.

— Jak?

— To nie ja, dziecko. To on — wskazał palcem na inspektora. — Co do mnie to uważam, że już najwyższy czas, aby mrówki zaczęły rządzić światem. Też by im się zresztą poprzewracało w głowach.

— Panie Piątka — zawołał leśnik.

Dziewiątka podszedł.

— Tylko nie piątka, tylko nie piątka... Piątka... to chyba sutenerstwo. Wypraszam sobie. O co chodzi?

Leśnik wskazał ręką na wóz; był już naładowany prawie po szczyty kłonic.

— Starczy?

Dziewiątka pokręcił głową.

— Jeszcze ze dwa kubiki.

— Po cholerę to panu? Całego lasu i tak pan nie wywiezie na raz...

— Drzewo jest potrzebne — rzekł Dziewiątka. — Klasa robotnicza przysłała tu najlepszych swoich synów, aby wozili drzewo. Stocznie, burdele, miasta, fabryki i ciche sioła czekają na te bale, żeby je w twórczym trudzie przerobić na wykałaczkę, rączki do parasolek...

Staruszek spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Zwariowałeś pan dzisiaj?

— Odzyskałem coś, od czego się ludzie odzwyczaili.

— Co?

— Wolność.

Staruszek poczerwieniał ze wściekłości. Szarpnął kołnierz munduru.

— Co pan mi tu łeb truje — wrzasnął. — Ładować, czy nie?

— Ładować — ryknął Dziewiątka.

Podszedł do niego Apostoł.

— Nie wygłupiaj się — powiedział. — Wiesz chyba, co to jest trzydzieści kubików?

Dziewiątka zapalił.

— Któryś ze świętych podobno w młodości był złodziejem — powiedział. — Tak nam mówił nasz więzienny kapelan. Czemuż ja nie mógłbym tą drogą zostać jednym z królów nieba?

— Bóg...

— Nie — powiedział Dziewiątka. — Nie skarże mnie. Gdyby znalazł się razem z nami, tutaj — robiłby to samo.

Apostoł pokiwał głową.

— Coś mi się zdaje — rzekł — że masz rację, ty świnió.

— Stworzył świat, w którym sam nie potrafiłby żyć — powiedział Dziewiątka. — Ale mimo to, inożesz kochać go dalej. Człowiek bez wiary jest jak więzień, który nie wie, z jakiego paragrafu siedzi: wszyscy biorą go za szpicla... — Dał znak ładowaczom. — Kończyć — powiedział.

Apostoł spojrzał na niego uważnie.

— Dziwny jesteś jakiś dzisiaj. Zdaje mi się, że masz zamiar zrobić dzisiaj jakieś świństwo.

— To można rozmaicie nazwać — powiedział Dziewiątka.

Spiął łaclunek łańcuchami, powbił klamry i usunął klocki spod kół. Spojrzał na resory przodu i pokręcił głową: wyginały się jak łuki.

— Radzę ci — zrzuc trochę — powiedział Apostoł.

— Nie — rzekł Dziewiątka. — Raz w życiu naprawdę przejadę się z drzewem. Polubiłem je... — Spojrzał na Apostoła z boku. — Cały kurs idzie na lewo — powiedział. — Odczep się ze swoimi radami.

Wsiadł do kabiny i poczał rozgrzewać silnik. Inspektor spojrzał na zegarek.

— Już chyba nie przyjedzie — rzekł do Zabawy. — Który tam jedzie pierwszy?

— Chwilę.

Poszedł wzdłuż wozów; Dziewiątka ruszał już z miejsca.

— Lecisz pierwszy?

— Tak.

— Inspektor pojedzie z tobą. Wysadzisz go przy stacji. Po drodze.

— Dawaj go.

Zabawa zawahał się.

— Słuchaj — rzekł. — Zroluj plandekę i opuść szybę, dobrze?

— Po jaką cholere mam marznąć? Nie ma wielkiego śniegu.

— Tamten ma astmę — powiedział Zabawa — i górskie powietrze dobrze mu robi.

— Chcesz, żebym sobie odmroził pysk?

— Będzie mniej gadał.

— Dobrze. Jeśli partia tego żąda...

Począł związać plandekę nad szoferką. Zabawa powrócił do inspektora.

— Pojedziecie z Dziewiątką. Ten, który wam się nie podobał...

Inspektor skrzywił się.

— Z nim? Niech to diabli... — Znowu rzucił rozpaczliwe spojrzenie na zegarek. — Nie ma rady, psiakrew. Muszę jechać z nim, inaczej pociąg mi ucieknie.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Czołem, towarzysze — krzyknął inspektor. — Wszystkiego dobrego.

— Znacie towarzysze Krukę? — zapytał Warszawiak.

— Nie.

— To...

— Odejdź, Warszawiak — powiedział Zabawa. Odepchnął go i usadowił inspektora obok Dziewiątki. — Jazda...

Dziewiątka włączył bieg; ciężki wóz ruszył z trudem, miazdząc ziemię. Popatrzyli za nim.

— Zwariował chyba — powiedział Zabawa; wóz Dziewiątki kołysał się jak pijany. — Po co tyle naładował... — Zwrócił się do Warszawiaka: — Kto jedzie następny? ty?

— Ja — powiedział Orsaczek. — Jeszcze mi trochę dołożą i jadę.

Amortyzatory przodu siadły, jakby w nich nie było ani centymetra płynu. Wóz szedł twardo i kierownica waliła w ręce Dziewiątki; już po kilometrze, od ciągłych wstrząsów wściekle zabolaty go barki. Odwracał co chwila głowę i patrzył na inspektora; ten, przy każdym wstrząsie dzwonił zębami i chwycił się rozpaczliwie taśm ochronnych.

— No, jak tam? — zapytał Dziewiątka.

— Co... co? — wydzwonił inspektor.

— Humorek jest?

— Czy ten las nigdy się nie skończy?

Przód zakołysał: inspektor wyrznął głową o pałąk plan-deki.

— Skończy się. Już dzisiaj.

— Jak to — dzisiaj?

— Ja sam się dziwię.

— Mówcie poważnie — warknął inspektor.

Dziewiątka spojrzał na niego.

— Poważnie. Szosa będzie za kilometr.

Drzewa już rzedły. Przejeżdżali teraz przez najgorszy odcinek drogi; jeździli tędy jesienią zamieniając drogę w bagno; potem chwycił gwałtowny mróz i droga pełna była twardych dołów i kolein. Resory dzwoniły o ramę; Dziewiątka jechał na pierwszym biegu, prawie do połowy wychylony z kabiny; oglądał uważnie każdy kawałek drogi i starał się wybierać najlepsze miejsca do przejazdu. Kiedy w końcu błysnęło pasmo szosy,

Dziewiątka od stałego manewrowania kierownicą, był tak wyczerpany, że musiał przystanąć.

Inspektor poruszył się nerwowo.

— Co jest ?

— Silnik się zagrzał.

— Człowieku, spieszy mi się na pociąg.

— Pogadaj pan z silnikiem, mnie się też spieszy, będę panu wdzięczny.

Kurek chłodnicy po kwadransie przestał dymić i ruszyli dalej. Jechali pustą, zaśnieżoną szosą wysoko nad lasem i widzieli teraz czerwono zachodzące słońce. Pod nimi, w dolinach i jarach kotłowały się ciemniejące już mgły.

— Stańcie na chwilę — powiedział po jakimś czasie inspektor.

— Co jest ?

— No co ? Pi pi.

— Pi pi ? Nasi chłopcy odlewają się w biegu.

— Bez żartów — powiedział drżącym głosem inspektor ; był siny z zimna tylko uszy jego płonęły jak dwie gwiazdy.

Dziewiątka nacisnął pedał hamulca ; wóz biegł jednak dalej. Z całej siły pociągnął za ręczny i wtedy dopiero — po wielu metrach — wóz niechętnie przystanął.

— Jasna cholera — warknął Dziewiątka.

Wyskoczył z kabiny i wśliznął się pod wóz ; inspektor patrzył ogłupiały i słuchał klątw Dziewiątki. Ten w końcu wyszedł.

— Hamulce poszły spać — rzekł.

— Co się stało ?

— Dobił na jakimś przeskoku i resor przeciął mi przewód. Cały hydrol wyciekł.

— A ręczny hamulec ? — powiedział nieśmiało inspektor.

Dziewiątka przysiadł na stopniu.

— Ręczny ? Na dwadzieścia ton ? Raz pociągnę i już po ręcznym.

— Więc co ?

Dziewiątka usiadł za kierownicą.

— Jadę dalej — powiedział. — Muszę być pierwszy w mieście, tak czy tak. Tam sobie coś pokombinuję.

— Poczekajcie lepiej na tamtych.

— Oni tędy będą jechać za dwie godziny.

— Dopiero ? Dlaczego ?

— Pracujemy kolektywnie. Jak jeden robi lewy kurs, to reszta ma defekty.

Inspektor nie dosłyszał ; wiatr porwał tumany śniegu i kołował nimi po szosie. Mówił coś do Dziewiątki, lecz usta jego poruszały się niemo.

Kiedy wreszcie wiatr scichł nieco, inspektor wrzasnął do Dziewiątki :

— Klakson, klakson...

— Odejdź pan od wozu o dwa kroki — wrzasnął Dziewiątką. Inspektor posłuchał go ; stał przez chwilę rozglądając się nieprzytomnie, potem podszedł do Dziewiątki.

— No i co ?

— O to chodzi, że nic. Cały czas trzymałem rękę na sygnale. Słyszał pan coś ?

— Nic.

Tu są góry. Kiedy jest taki wiatr jak dzisiaj, można o trzy kroki strzelać i...

Znów zakłębiło się wszystko. W jednej sekundzie szosa stała się niewidoczna ; olbrzymie masy śniegu kołysały wściekle i patrzącym zdawało się, iż to jest ostateczny kształt świata ; a w pewnej chwili wiatr zwałił się w dół, szarpnął tam zeschłe krzaki ; tu, na górze, wokół wozu stężała nagle cisza — miękka i śnieżna, nabrzmiała zimną słodyczą i znów inny świat wydawał się bajką.

— Dosyć tego — powiedział Dziewiątką. — Ja jadę... — Spojrzał na niebo ; czerwona kula malała. — Nie będę się włókł po ciemku bez hamulców. Mam zaszczyt pożegnać pana.

Włączył ze zgrzytem bieg ; inspektor wskoczył w ostatniej chwili. Dziewiątką rozpędził wóz ; niby ogromny nóż tnąc powietrze, podjeżdżali pod wysokie wzniesienie ; byli coraz bliżej słońca, widzieli coraz więcej zalanej czerwonym światłem ziemi, i w pewnej chwili, to lodowate, czyste słońce wydało im się nawet ciepłe ; a kiedy znaleźli się już po drugiej stronie wzniesienia, ujrzeli idącą środkiem szosy grupę żołnierzy pogranicza. Dziewiątką położył dłoń na sygnale, lecz wielki wóz był w ramionach wiatru małym kotem ; Dziewiątką usłyszał zaledwie żaloszny pisk. Żołnierze ryczeli :

Partia, co gromi faszystów

Partia orędziem mas.

Do socjalizmu — prowadzi nas.

Zwycięski krok...

— Nagła cholera — powiedział cicho Dziewiątką.

Przełączył bieg na czwórkę, potem na trójkę i słyszał straszny, wdzierający się światłem bólu pod czaszkę, jazgot skrzyni biegów — lecz nie słyszeli go tamci ; byli o kilometr pod nimi, szli w największym wietrze, a kanty ich okutych nart, lufy automatów i podkówki butów błyszczwały wesoło w zachodzącym słońcu. Dziewiątką ściągnął ręczny hamulec ; przez chwilę wóz biegł wolniej ; potem uczuł swąd spalonej taśmy ferroda i znów rozjazgotała się wściekle skrzynia biegów. A potem, u najwyższego jej tonu — kiedy całą mocą swego ciała przerzucił bieg na dwójkę — pod nogami Dziewiątki jęknęło, nie wytrzymał ogromnego ciężaru, sprzęgło i wóz ruszył jak oszalały ; i już po kilku metrach strzałka szybkościomierza waliła o sztyft.

I wtedy przyszedł spokój. Dziewiątka stęzał ; wychylił głowę i widział z obu stron szosy przepaść — piękny jar, na którego dnie, wiosną, rosły dziwne, czerwone kwiaty o żółtych łodygach, gdzie rosła trawa — pachnąca, gorąca i miękka, którą kołysał łagodnie ciepły, leśny wiatr ; ta czarna, pełna zeschniętych krzaków przepaść, pełna oblodzonych kamieni na jej głębokim dnie, skąd niebo nad górami wydawało się jeszcze czystsze i jaśniejsze ; ta wypełniona ostrym, dzikim wiatrem pustka ciągnęła się daleko. Chwycił kierownicę i chciał z całej siły przerzucić ją w bok, kiedy koło zamarło nagle ; inspektor wisiał na szprychach. Jego twarz rozciągnął wiatr i to były tylko wielkie, sine usta.

— Nie — zawył. — Nie... Prosto...

Zaparli się nogami w żelazo podłogi, aż zatrzeszczały kości ich stóp, kolan i łędźwi ; ciągnęli ku sobie koło sterowe i wóz tańczył od jednego do drugiego krańca szosy, w szumie coraz większym. Inspektor schylił nagle głowę i wgryzł się w przegub Dziewiątki ; ten osłabł na chwilę i pędzili wprost na idących — rozśpiewanych i głuchych od wiatru. Potem Dziewiątka wyszarpał się ; chwycił leżącą pod nogami tyżkę od opon i ciosem, który siłę brał ze wszystkich chwil jego życia, roztrzaskał głowę tamtemu ; na kolana opadła mu miazga. Ostatnie co czuł, to nagle ciepło swoich rąk. Spojrzał na nie ; były czerwone ; spojrzał na zachodzące słońce, na czerwone podkówki tamtych, potem — rozbijając na łupki swoimi trzydziestoma tonami ochronne, białe słupy — runął w ciemny szum.

WSZYSTKO W MIEŚCIE

— Szarlota — powiedział Warszawiak.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, ręce zatknął za pas. U jego ramienia wisiał miotany falami torsji Orsaczek, oczy miał błędne a usta fioletowe. Korzystając z tego, że wszyscy patrzyli na spiętrzoną kupę żelastwa i potrzaskanego drzewa, Apostoł pociągnął spory łyk ; stał z odkrytą głową, a wiatr rozwiewał jego brudne, siwe włosy. Partyzant przykucnął nad szczątkami silnika ; blok pękł i oliwa zakrzepła na śniegu razem z krwią.

— I co się właściwie stało? — zapytał Zabawa.

Warszawiak przestał się kołysać. Zmrużył oczy.

— Nigdy się tego nie dowiemy — rzekł. Zwrócił się do Zabawy: — Ty pewnie jesteś na niego wściekły, co?

— Czemu?

— Został ci winien osiem dni.

— Odbierze je sobie w piekle — rzekł Apostoł. — Wracajmy, chłopcy.

Warszawiak schylił się nagle i podniósł coś z ziemi. Była to maskotka Dziewiątki ; czaszka z czerwoną wstążeczką — Pawełek. Podrzucił ją na dłoń.

— Pawełek — rzekł. — Miał mu przynieść fart. A za dziesięć dni nikt ich nie rozróżni... — Zamachnął się nagle, lecz rękę jego przytrzymał Partyzant.

— Zostaw, ja go wezmę... — Zajrzał Warszawiakowi w twarz: — Jesteś przesądny?

— Nie — powiedział Warszawiak. — Ale kiedy patrzę na niego, to tak jakbym się przeglądał w lusterku... — Zawahał się. — Nie lubię swojej twarzy — rzekł.

Partyzant odebrał od niego Pawełka.

— Boisz się, po prostu.

— Tak samo jak i ty... — Odrzącił Orsaczka. — Prze stań już rzygać, do cholery. Przyjemnie ci będzie, jak ktoś zacznie bluzgać wiktem nad twoim grobem?

Wiatr uciszył się nagle ; spadł w dolinę i odsłonił na chwilę wyszczerzone zęby i szkliste oczy inspektora. Dziewiątka leżał

na boku podkurczywszy pod siebie dziecinnym ruchem nogi. Odwrócili się.

— Zrobię jutro krzyż — powiedział w zamyśleniu Apostoł — i postawię w tym miejscu. Napiszę ; „Tu zginął...” — umilkł nagle.

— Nic nie napiszesz, Apostoł — powiedział Zabawa. — Jutro przyjedzie komisja i zabiorą go. Jeśli Bóg nie widział Dżemsa — tym bardziej nie zobaczy krzyża. Idziemy.

Poszedł pierwszy, a wiatr targał jego kozuchem. Włosy miał obsypane śniegiem, który zakrzepł. Warszawiak skrzywił się ze wstrętem; teraz — w czerwonym i złym świetle zachodzącego słońca — głowa Zabawy przypominała Dziewiątkę.

— Zabawa.

Odwrócił się. Twarz miał pustą jakby jakaś niewidoczna siła zmasała jej rysy.

— Tak.

— Ratuń ludzi.

— Jak.

— Niech odejdą stąd żywi.

Milczał. Żyła na czole zgrubiała mu nagle i pulsowała gorąco pod stężalą skórą. Słońce uciekło i głowa jego zgasła.

— Póki żyją — zostaną tutaj.

Apostoł pochylił się i dotknął twarzy Dziewiątki; była sztywna, jakby napięta. Patrzył przez chwilę w milczeniu, potem poczłapał do samochodu; czapkę wciąż jeszcze trzymał w swej ogromnej, grubej łapie. Potykał się niezdarnie, raz nawet upadł.

— Stary jesteś — powiedział Partyzant. — To powinno spotkać ciebie, Apostoł.

Podniósł się. Otrzeptał ręce ze śniegu.

— Masz rację — rzekł.

Szli obok siebie; Apostoł dyszał ciężko; Partyzant biegł lekko, jakby nie czując góry. W pewnym momencie nadłamał gałązkę jakiegoś krzaka i wbił w nią zęby; język ścierpł mu od gorzkiej zieleni.

— Wiosna idzie — powiedział. Splunął zielonkawym sokiem. — Tu, w górach, drzewa prędzej odżywają. Ja się na tym znam, chłopcy...

Wieczorem Warszawiak usiadł przed lusterkiem. Oskrobał twarz z wielodniowego zarostu, potem sięgnął do swego kufra. Wyciągnął stamtąd granatowy garnitur w białe paski, żółtą koszulę, czerwony krawat i jadowicie brązowe buty. Na głowę założył jasną cyklistówkę.

— Odstawiłeś się jak stróż w Boże Ciało — powiedział Orsaczek. — Dokąd?

— Do miasta.

— Chcesz się podbawić?

— Nie.

— Więc?

Odwrocił głowę ; patrzył przez chwilę w lustro. Tam spotkały się ich oczy ; jego — puste i wstrętne ; jej — mroczne, jakby nasycone ciemnym światłem.

— Jadę na dziwki — powiedział Warszawiak. Światło jej oczu pozostało nieruchome. — Na kurwy — powiedział ; lustro pozostało martwe. — Przespać się z jakąś szmatą... — szepnął.

Partyzant skrzywił się.

— Akurat dzisiaj ?

— Taki sam dobry dzień jak i każdy inny... — Podniósł głowę. — Przypomniał mi się Dziewiątka — rzekł.

— I dlatego jesteś na musie ?

Warszawiak wstał. Przeszedł parę razy po izbie, aby sprawdzić, czy nie piją go buty ; skrzypiały cienko i żałośnie. Znow przysiadł przed lustrem i poprawił czapkę ; tak, czy inaczej — przede wszystkim widziało się jego krogulczy nos.

— Dziewiątka opowiadał mi o swojej ostatniej dziwce — powiedział. — Nie jestem gorszy od niego. Diabli wiedzą, czy pojeżdżę jeszcze tydzień. Nie chcę iść do ziemi ze spermą w mózgu ; potem kwiatki na grobie wędną. Dziewiątka tego uniknął...

— Ty, to jak dziecko — rzekł Apostoł i spojrzał surowo. Tobie tylko kurwa i wódka w głowie. Wiesz.

Wstał dopiero wtedy, kiedy w lustrze zgubiły się jej oczy. Wyciągnął kożuch, wziął wiaderko z gorącą wodą i wyszedł. Kiedy wlewał wodę do chłodnicy, para uniosła się w fioletowym świetle księżyca jak srebrny welon.

— Nic nie wiedziałam, że Dziewiątka miał dziewczynę — powiedziała Wanda.

Odstawił kubek.

— Nie znałaś go prawie.

— Daleko ?

— Co ?

— Czy daleko była ta dziewczyna.

— Blisko.

— Nigdy o niej nie mówił.

— Nie mógł mówić przy wszystkich.

Milczała chwilę.

— A tobie mówił ?

Zaśmiał się głucho. Włączył reflektory ; widział teraz jej twarz w ostrym, białym świetle ; zgasił je dopiero wtedy, kiedy odwróciła głowę.

— Mówił mi wszystko — rzekł.

Ziemia zadudniła, a po chwili był już daleko ; omiatał reflektorami korony oblodzonych drzew, potem zamknęła się nad nim ciemność.

— Marzenia ?

Odwróciła się ; Partyzant stał przed nią bawiąc się rękawicami.

— Ten człowiek zabije się chyba — powiedziała.

— Warszawiak ?

— Tak.

Wzruszył ramionami.

— To wariat.

— Nie tylko on — powiedziała. — Kiedy patrzę na was, myślę sobie po prostu, że jesteście bandą idiotów... — Przysunęła się o krok bliżej i teraz czuł na twarzy jej czysty oddech. — Choćby ty — rzekła cicho. — Jesteś młody, zdrowy, inny od nich...

— Inny ?

— Lepszy. Mógłbyś mieć dom...

Żachnął się.

— I co w tym domu ?

Pokręciła głową.

— Tak mówisz, bo nigdy go nie miałeś. Mógłbyś się jeszcze uczyć, zostać ważnym człowiekiem... Pomyśl, byłeś w lesie przez tyle czasu, narażałeś życie, nie spałeś i nie jadłeś, marnowałeś zdrowie, byłeś odważny...

— Skąd wiesz, że byłem odważny ?

Uśmiechnęła się.

— Kiedy patrzę na ciebie, nie mogę nawet myśleć, że było inaczej. Czy to nie głupie marnować wszystko... tutaj ? Jesteś sam i dlatego tak mówisz... — Nagłym ruchem wyciągnęła rękę i poprawiła mu szalik. — Zazębisz się — rzekła. Poszła spokojnie do baraku, Partyzant patrzył na nią ; chodziła miękko, płynnie i cicho jak młody kot. Kopnął ze wściekłością jakiś kamień ; z bólem kostki pokuszył się za nią.

— Zagramy ? — spytał Orsaczek.

— W co ?

— Normalnie.

Apostoł zgrzytnął zębami.

— Czym za co?... — Pogroził pięścią Zabawie : — Ty byś sobie pograł na dni, co ?

Otworzył oczy. Światło naftowej lampy kołysało się — dalekie jakby i nieprawdziwe ; i trwało długą chwilę, nim ujrzał wyraźnie żółty płomyczek.

— Każda gra jest dobra — powiedział z trudem. Odwrócił głowę od ściany. Ich głosy brzmiały jak brzęczenie muchy za szybą.

— Jak tylko przyjedzie Bużka z forszą, więcej stąd — powiedział Apostoł. Wciągnął na siebie kożuch. — Chodź, Orsaczek, pojedziemy do miasta.

— Po diabła ? Nie mamy przecież forsy...

— Dobrzy ludzie skredytują... — Popatrzył ciężkim wzro-

kiem na Zabawę : — Ile dla ciebie warta jest moja dusza, Judaszu?... Ty, Zabawa.

Znów otworzył oczy.

— Nie jestem zbawicielem.

— Wierząca, konserwowana spirytusem dusza. Ile?

— Mogę ci pożyczyć... tysiąc złotych.

Apostoł wziął pieniądze.

— Bóg ci tego nie zapomni.

— Wolę, żebyś ty pamiętał : to pożyczka.

Wyszli.

— Słuchaj Zabawa — powiedział Partyzant. — Możesz mi dać spluwę i ze trzy naboje?

— Po co to potrzebne?

Partyzant westchnął.

— Polubiłem Dziewiątkę — rzekł. — Nie chciałbym, żeby w nocy rozciągnęły go wilki. Posiedzę do rana. Poczekam na komisję.

— Masz...

Partyzant wziął latarkę i rewolwer. Wyszedł.

— Chodź tu do mnie — powiedział.

Usiadła na łóżku.

— Kładź się.

— Mamy jedno łóżko wolne. Nareszcie się wyśpisz.

— Połóż się tutaj... obok mnie.

— Chcesz jutro wyjechać? Wrócić?

Podniósł się.

— Wrócić? Teraz? Bez człowieka, bez samochodu, bez drzewa? I co mam powiedzieć? „Nie potrafiłem”, „nie umiałem”, „zawiodłem”... Nie ma drzewa, nie ma zaufania, nie ma Dziewiątki... Znasz te słowa? Wiesz, co mam im powiedzieć? Ja nie wiem... — Upadł z powrotem na łóżko. — Nie. Dopóki mam jeszcze wóz, trochę siły, zostanę tutaj.

— I rewolwer.

— I rewolwer także.

Wstała.

— Dobranoc.

Złapał ją za rękę i chciał przyciągnąć do siebie, lecz była silniejsza i odrzuciła go. Światło zgasło ; huknął daleko pierwszy strzał.

Warszawiak minął kościół wbity wieżami w zamglone niebo i zatrzymał się w ciemnej uliczce. Spuścił wodę z chłodnicy, potem wszedł do bramy : potykając się brnął przez długą sień, wreszcie — przyświecając sobie zapalkami — trafił do drzwi. Długo walił, wreszcie usłyszał człapanie.

— Kto? — zapytał głos kobiecy.

— Ja.

— Co za ja ?

— Warszawiak.

Chwilę trwała cisza. Pisnął nadepnięty kot.

— Nie jestem sama.

Kopnął, aż się wszystko zatrzęsło.

— Szybko.

Drzwi uchyliły się nieco, naparł ramieniem i wszedł.

— Nie jestem... — zaczęła kobieta. Biło od niej ciepło nagrzanego łóżka.

Milcząc wyrwał z jej rąk lampę. Minęli kuchnię i weszli do pokoju. Jakiś człowiek leżał w łóżku, rozpaczliwym ruchem naciągnął kołdrę na głowę ; spod kołdry wystawały teraz stopy w fioletowych skarpetkach. Warszawiak postawił lampę na stole i usiadł.

— Jesteś pijany, Warszawiak — rzekła kobieta. Poprawiła światło lampy, ręce jej drżały.

— Dlaczego on nie zdjął skarpetek ? — zapytał Warszawiak.

— Kto ?

— W łóżku.

— To narzeczony.

Mówiła coś jeszcze ; szybko i dużo, spod kołdry wtórował jej piskliwy głos. Warszawiak milczał ; siedział podparłszy głowę rękami . nie rozumiał i nie słyszał nic. Nagle sparzył go własny papieros, szarpnął się. Chwilę patrzył nieprzytomnie, potem wstał.

— Dlaczego nie zdjąłeś skarpetek ? — zapytał cicho.

Skoczył do łóżka ; zerwał kołdrę, skulonego człowieka złapał za włosy i kopniakiem wrzucił do korytarza. Na krześle wisiąco jego starannie złożone ubranie ; rzucił je za nim z krzesłem. Potem usiadł przy stole.

— Okno — powiedział. — Otwórz szeroko okno i dawaj czystą pościel. Wszystko : prześcieradło i powłoki. A jutro mogę się z tobą ożenić...

Miała tępe oczy i ciężką szczękę. Patrzyła na niego marszcząc czoło.

— Ty naprawdę zwariowałaś, co ?

— Okno...

Wyciągnął patefon. Kręcił bezmyślnie korbą patrząc na krzątającą się kobietę ; biegała po pokoju szeleszcząc pościelą, niby wielki ptak o krowiej głowie. Płyta poczęła się kręcić i patefon zachrypiał nagle ; tenor począł dudnić piosenkę o bzach. Kobieta przystanęła.

— Co ci się stało, Warszawiak ?

Podniósł z wysiłkiem głowę ; gdzieś u nasady karku tkwiła tona płynnego ołowiu. Patrzył na nią chwilę, potem przeniósł wzrok na czarną płytę po której biegało tłuste światło lampy.

— Kładź się — rzekł. Nie rozumiał słów tenora, nie widział twarzy kobiety, melodia wydawała mu się tylko skłóconym brzękiem: był zmęczony i to wszystko. Zasnął szybko jak zdmuchnięty płomień.

Miasto było puste. Jechali wzdłuż ciemnych okien sklepowych i zamkniętych na głucho bram; przez wymarły plac przywalony fioletowym cieniem kościoła, potem skręcili w ulicę tak wąską, że koła bieżyły tuż przy krawężnikach. Na końcu ulicy, omotana mokrym śniegiem, kołysała się szklana kula z napisem: „Bar”. Zatrzymali wóz.

— Bierz zapas — rzekł Apostoł. — Ja wezmę korbę...

Pchnął drzwi; wtoczyli koło do środka. Szatniarz, jak porażony prądem zerwał się z krzesła; wybiegł im naprzeciw i rozkrzyżował ramiona.

— Panowie zwariowali?

— Nie — powiedział Apostoł. Trącił go brzuchem i szatniarz oparł się o ladę. — Przyjechaliśmy zwariować. Bierz pan koło i na numerek...

— Z kołem do lokalu?

— Jak rąbną: będziesz pan płacił?

Zdjęli kożuchy i weszli na salę. Kilka par kręciło się w tangu; tańczyli brzydko i nie w takt. Muzykanci mieli spoczone twarze, skrzypkowi głowa kołysała się ze zmęczenia, refrenista chrząkał przyciskając tłustą dłoń do piersi. Apostoł i Orsaczek usiedli; kelner ziewnął i podniósł się od swego stolika.

— Dla panów?

— Butelka.

Przyniósł ją po chwili. Apostoł nalał.

— Twoje.

— Twoje.

Odstawili kieliszki, oczy Orsaczka przysłoniła mgła.

— No? — zapytał Apostoł.

— Z czym?

— Zabawa jest?

— Gdzie?

— Tu, durniu. Przecież nie tamten.

— Ma się rozumieć...

Milczeli. Orkiestra znów poderwała do tańca zgrzane pary. Kelner, który ich obsługiwał, popadł w drzemkę.

— Słuchaj, Orsaczek — powiedział Apostoł. — Pamiętaj o jednej rzeczy; my to my. Rozumiesz?

— Tak.

— To nalej. Zdrowie.

— Zdrowie.

— Wymienić? — zapytał kelner. — Za godzinę zamykamy...

— Dawaj pan.

Znów wypili i znów milczeli. Za oknami kołysała się noc: lodowata i ciężka od śniegu. Tu było duszno; wentylator kręcił się drętwo w tym samym powietrzu, sennym od dymu, kwaśnym od alkoholu, ciężkim od nieświeżych oddechów.

— Apostoł?

Uniósł grube powieki.

— Co?

— Będę miał tę taksówkę?

Uśmiechnął się.

— Synu, czy ty nie rozumiesz?

— Czego?

— Po diabła ci to?

— Chcę żyć.

— Jak?

Orsaczek popatrzył na niego. Odepchnął kieliszek.

— Stary durniu — rzekł. — Możesz mnie uderzyć.

Apostoł uśmiechnął się.

— Co chcesz zrobić?

— Wrócić do miasta... — powiedział Orsaczek. Trzasnął pięścią w stolik. — Wróć do miasta.

Podszedł kelner.

— Zamykamy...

Obliczył szybko zgryzionym ołówkiem; została im połowa.

— Wróć do miasta — powtórzył uparcie Orsaczek. — Wróć...

— Jesteś przecież w mieście.

— Tu?

— Właśnie.

Pokręcił głową.

— To nie jest miasto.

— Wszystkie miasta są takie same — powiedział Apostoł. Patrzył przez chwilę na zwitek banknotów, potem kopnięciem przewrócił stolik. Oddał kelnerowi resztę pieniędzy. — Kiedy będziesz miał swój wózek — powiedział — kiedy będziesz zarabiał kupę forsy — będziesz mógł codziennie sobie na to pozwolić — wskazał na potłuczone szkło. — I to wszystko.

Na ulicy Orsaczek wyrwał się Apostołowi; począł z dzikim szlochem biec przed siebie roztrącając rękami powietrze. Apostoł dogonił go dopiero przy moście. Zatrzymał wóz.

— Siadaj.

Jechali w milczeniu. Świt był żółty i mglisty, jak kożuch tężał nad mokrym śniegiem dachów.

— Apostoł.

— Co, synu?

— Ja jednak będę miał ten wózek.

— Będiesz miał — mignęła tablica zakrętu, na furce spał pijany chłopek — i będzie ci dobrze. Lepiej niż nam... lepiej niż nam... lepiej niż nam.

Orsaczek położył głowę na wielkim brzuchu Apostoła i zasnął.

Było już prawie widno. Kobieta wyciągnęła rękę i odsunęła firankę.

— Zasłoń — powiedział Warszawiak.

— Po co tu przyszedłeś? — zapytała. Poruszyła się nagle; głowa Warszawiaka ciążyła na jej ramieniu.

— Kochać.

— Kochać — syknęła. — Dużo kochałeś. Dlaczego nie możesz?

— Stul mordę.

Odsunęła się nagle.

— Chory jesteś, czy co?

— Mówię ci, żebyś zamknęła pysk.

— Kiedyś mówiłeś inaczej, ty chamie. Przypomnieć ci? Kochana, kochanie...

— Do każdej kurwy mówi się: „kochanie”. Mogę zresztą mówić inaczej. Jak się nazywasz?

— Nie pamiętam już?

— Kicia?

— Nie.

— Luba?

— Nie.

— Więc czego się czepiasz? Zawsze się nazywacie lalki, albo kicie, albo miłe...

— Nazywam się Dziunia.

— Widzisz, co za różnica? Kim była święta Dziunia? Taką samą dziwką jak i ty?

— Dziunia — to zdrobniale.

— A naprawdę?

— Wanda. Wandziunia...

Odsunął się nagle i popatrzył na nią. Miała białą miękką twarz i ślady własnej szminki na okrągłej, krótkiej szyi; miała jasne, twarde i pokręcone od maszynek włosy, oczy prawie białe, ledwo zabarwione, a ramięczka różowego stanika wrzynała się głęboko w jej pulchne ciało. I była ciepła, i miękka, trochę spocona pod ciężką kołdrą i mógł robić z nią co chciał, gdyż za każdym jego poruszeniem rozchyłała pokornie nogi, nie zmieniając ani wyrazu twarzy, ani oczu, ani pozycji swego pragnącego snu ciała; i wiedział już, że jego przyjazd był daremny; i że teraz będzie jeszcze gorzej. Zamknął oczy.

— Nie nazywasz się Wanda — powiedział.

— Jak to nie?

— Nie. Zapomnij o tym.
— Właśnie, że Wanda.
— Kłamiesz.
— Wanda.
— Kłamiesz.
— Wanda.
— Dobrze — powiedział.
Uniósł się nieco. Zapalił papierosa.
— Tak myślisz?
— No pewnie. Wanda.
Usiadł na łóżku.
— Chodź tu — powiedział. — Ukłęknij.
— Po co?
— Jak to po co? Przecież to jest wasz prawdziwy sakrament. Ukłęknij, Wandeczko. Ukłęknij i połóż mi głowę na kolanach.

Wstała niechętnie.

— Myślisz, że tu Paryż? Masz zachcianki, świnio...

Otworzyła usta a wtedy wsadził jej zapalonym końcem papierosa; ścisnął jej głowę udami i rękami. Szamotała się rozpaczliwie miotając swym ciężkim ciałem, z wyrazem męki w dzikich oczach; potem, kiedy papieros musiał już zgasnąć — poznał to po białych bąblach na ustach — puścił ją.

— Nazywasz się od dzisiaj Klaryssa — powiedział. — Pamiętaj o swoim chrzestnym ojcu. Żegnaj, córeczko.

Śnieg był mokry i pryskał spod kół. Wyjechał z miasta i pędził szosą przez spalone, puste wsie, gdzie nikt nie mieszkał, i patrzył jak słońce przedziera się przez mgły i złoci czarne zgorzeliska — sterczące niby kości kominy, szczątki ścian — gdzieś jeszcze kolorowych — i puste strychy, z których podmuch detonacji zerwał dachówki; potem wjechał w las i czuł już duszącą wilgoć odtajających drzew i słuchał zgłębliwego wrzasku przebudzonych ptaków; a potem był już w górach — blisko powalonego we śnie Diabła, Boga i wiatru i całymi kilometrami pędził prosto w złotą kulę słońca znieruchomiłą nad szczytami; i był coraz bliżej wszystkiego, od czego pragnął być jak najdalej.

Zatrzymał wóz. Ciężkim krokiem poszedł do baraku i upadł na prycę nie zdejmując ubrania.

— No i jak? — zapytał Orsaczek.

— Opowiem ci kiedyś. Daj mi spać.

— Bo myśmy, bracie, zabawili się...

— Spać.

— Wyjeżdżamy. Już jest poranek.

— Głupcy wierzą w poranek. Spać.

Orsaczek stanął w drzwiach.

— Ej, ty bradiago. Myśmy się bawili i...

Zatrzasnął drzwi; but stuknął w deskę.

BOHATEROWIE I DZIEWCZYNY

Od czterech dni Partyzant nie wychodził z baraku; przeziębiał się ciężko owej nocy, kiedy z rewolwerem pilnował zwłok Dziewiątki i inspektora. Gapił się w okno, widział, jak rozgrzany słońcem śnieg tysiącami żółtych strumyczków spływa z doliny odstaniając ziemię: czarną i moką, w której olbrzymie koła samochodów grzęzły teraz po osie; potem widział, jak rusza strumień — tydzień temu jeszcze skutym lodem i milczący, teraz — płynął szeroko po płaskich, szarych kamieniach bełkocząc monotonnie i głupio; przelewając się w słońcu niby wielka, tłusta i połyskliwa ryba; Partyzant słyszał, jak cisza w dolinie z białej i martwej stała się nagle kolorowa i żywa, a kiedy obudził się pewnego ranka, wyraźnie widział zieleniejące gałązki.

— Otwórz okno — powiedział do Warszawiaka.

Okrył się szczelnie kocem i wychylił głowę; powietrze było wilgotne i kleiste, wiatr pachniał igliwiem. Dalekie szczyty obmyły z resztek śniegu gwałtowne deszcze; nagie i czarne, rysowały się ciężko na tle bladego nieba.

— Teraz Bóg wstaje wcześniej — powiedział Apostoł.

— Dlaczego tak myślisz?

— Nie wiem.

Warszawiak zamknął okno.

— Długo będziesz się jeszcze wylegiwać?

— Mam gorączkę.

— Mnie się zdaje, że ty co innego masz.

— Powiedz.

— Nie wiem, jak się ta choroba nazywa... Śliskie drogi, zakręty...

— Bydlę!

— Stul pysk!

— Pomódlcie się lepiej — rzekł Apostoł. — Mówię wam: Bóg teraz wstaje wcześniej i musi was widzieć. Ja to czuję.

— Przestańcie bredzić — powiedział Zabawa. Dopił kawę i wstał od stołu. — Wyjeżdżamy. Chodź, Apostoł.

— Która może być godzina.

— Nie wiem. Nie mam przecież zegarka.

— Dziewiątka miał zegarek. Ale teraz już na trybikach kwiatki rosną. Chodź, Apostoł...

Apostoł siedział na swojej pryczy nieruchomy jak posąg. Patrzył z uporem w jakiś jemu tylko wiadomy punkt.

— Ciągłe nie mogę zrozumieć? — rzekł.

— Czego?

— Jak ci się udało wtedy tyle wygrać.

— Co tu jest do zrozumienia?

Apostoł uderzył pięścią w stół: Orsaczkowi kawa chlusiła na twarz, a Warszawiakowi skoczyła ręka z brzytwą — na policzku pozostała kreska.

— Jest — powiedział Apostoł. — Tyle lat gram w pokera, a jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. To mi się w głowie nie mieści.

— A Bóg ci się mieści?

— Tak. Ma się rozumieć. Bóg — to w porządku.

— A ten poker nie?

Pokiwał przecząco głową.

— Poker — nie.

— Widocznie ten poker był większy od Boga — powiedział Warszawiak. — Powinieneś modlić się do kart. Niektórym to pomogło. Prawda, Zabawa?

— Prawda. Jedziemy, jedziemy...

Wyszli na dwór; mrużąc oczy, z trudem brnęli przez potężne błoto; teraz dokoła było błoto — na drogach, górach, w lesie i w dolinach. Osie, stopnie i ramy samochodów zmieniły kształt; wszystko pokryte było twardą, szarą skorupą.

— Ja już teraz nie wiem, jak jeździć — powiedział Orsaczek do Warszawiaka patrząc smutnym wzrokiem na swój samochód. — Pół drogi muszę piłować na trzecim biegu. Wczoraj mi się woda zagotowała w chłodnicy. Jeśli pociągnę jeszcze ze dwa tygodnie, to wszystko. Może przyjadą wreszcie te nowe wozy?

— Może...

— Wziąłbym czerwony. Znałem kiedyś jednego chłopaka, który jeździł w straży pożarnej... On miał czerwony wóz.

Warszawiak patrzył na leniwie podnoszącą się strzałkę manometru.

— I dlatego chcesz mieć czerwony wóz? — zapytał.

— Tak — powiedział Orsaczek. Siedział już za kierownicą: umorusany i śmiesznie mały wobec swego wozu. Przykniął oczy: — Byłem wtedy dzieckiem. Chodziłem do tych garaży, gdzie stały samochody; kierowcy pozwalali mi czasem myć i coś przy nich robić; a kiedy wracałem do domu, matka mnie zawsze tłukła w łepetynę, bo przychodziłem brudny jak diabeł... — Umilkł; siedział przez chwilę z martwą

twarzą, a potem wrzasnął nagle : — Jedź już do diabła, na co czekasz...

Odjechali.

— Dlaczego nie ruszasz ? — powiedział Zabawa do Apostoła.

— Myśli mnie dręczą.

— Jakie ?

— Jak ty mogłeś wtedy tyle wygrać — to jest pytanie dla mnie.

— Stary człowieku, czy nie masz innych zmartwień na głowie ?

— Może i mam — powiedział Apostoł patrząc przed siebie szklanymi oczyma — ale ta nie daje mi spokoju. Gdzie nie spojrzę, widzę te przekłete karty i pieniądze przed tobą, nawet w nocy widzę to wszystko, tak jak wtedy... — Przycisnął do siebie Zabawę. — Słuchaj — szepnął gorąco — ja, bracie, co chcesz ci dam, drzewo wozić mogę, zostać tutaj, co chcesz, niech cię diabli; tylko powiedz — jest w tym jakaś siła nieczysta ?

Zabawa odtrącił go.

— Stary dureń.

— Posłuchaj — rzekł Apostoł i uderzył się pięścią w serce.

— Patrz, ja jestem stary. Nie wiem, czy będę jeszcze długo żył, a tu, w lesie, to sam wiesz jak jest. O nic mi nie chodzi, żyłem uczciwie, umrę uczciwie, życie przestało mnie cieszyć. Zrobię wszystko co będziesz chciał, muszę tylko wiedzieć : jest w tym jakieś diabelstwo ?

— Człowieku ! — krzyknął Zabawa. — Czy myśmy już wszyscy oszaleli ?

— Przysięgnij mi.

— Na co ?

— Jakże — na co ? Na Boga.

— Dawaj go, przysięgnę ci.

— On tu jest — szepnął Apostoł. Pochylił swą ogromną twarz ku Zabawie i rozejrzał się uważnie. — Musi być gdzieś blisko — szepnął. — Mówię ci : on teraz wstaje wcześniej. Wiatr też. I woda budzi się wcześniej. I góry. Tylko ziemia śpi długo. Długo, długo, długo...

Zabawa odetchnął.

— Jesteś pijany — rzekł. — A ja myślałem...

— To przez te karty — mruknął Apostoł. — Nie dają mi spokoju, i duszę mi dręczą, i wszystko...

— Powinieneś się wypowiadać — rzekł Zabawa. — Niech cię pierwszego załadują, potem skacz sobie do kościoła i już. Tylko idź na trzeźwo.

— Ile ty masz lat, Zabawa ?

— Trzydzieści trzy.

— Chrystus w twoim wieku wygłosił już kazanie na górze, a ty kim jesteś? Dręczycielem, synu... Czy tak musi być?

Nie czekając na odpowiedź, przeżegnał się szeroko i odjechał; gnał przez pulchne, złote od słońca błoto doliny. Zabawa stał bez ruchu i patrzył za nim jak urzeczony.

— Widzisz — powiedziała Wanda. — On już zwariował. Wracajmy, słyszysz. Wracajmy. Zobaczysz — wszystko ci wybaczę. Wszystko ci daruję.

Westchnął.

— Przeziębisz się — rzekł. — Wracaj do baraku, córeczko.

Włączył bieg; tryby zazgrzytały opornie w zgęstniałym smarze; błoto wypryskiwało spod kół gęstymi fontannami; potem — kiedy wyjechał już z zalanej słońcem doliny — otworzyła się przed nim droga sucha i jasna, równa i bezpieczna, której koniec ginał gdzieś w złotych mgłach i granatowych spokojnych, wciąż na tę samą nutę śpiewających drzewach. Partyzant patrzył, jak wóz staje się coraz mniejszy, potem odwrócił się od okna.

— Czy tu nie ma jakiejs książki?

— Po co ci książka?

— Jak to po co? Chcę sobie poczytać.

Wzruszyła ramionami.

— Ja nie mam.

— A twój mąż?

— Też chyba nie ma.

— Zobacz dobrze.

— Przecież mówię ci.

— Może Warszawiak coś ma. Zobacz w jego kuferku.

Niechętnie wyciągnęła spod łóżka czarną skrzynkę i szybko przerzuciła rzeczy.

— Nic.

— A Orsaczek?

— Ten dureń?

— Więc może Apostoł?

— On ma tylko książkę do nabożeństwa. Sam mi kiedyś powiedział, że niczego więcej nie czyta.

Partyzant trzasnął pięścią w ramię.

— Więc co ty robisz, kiedy nas nie ma?

— Kiedy jesteście w lesie.

— Tak?

— Nie wiem.

— Nic nie robisz?

— Nic.

— I siedzisz tutaj cały dzień?

— Tak. Czasem wyjdę na dwór i pochodzę trochę. Potem znowu czekam.

Umilkli. Partyzant patrzył na czarne wrony brodzące po kałużach. Potem wrony obsiadły wysokie drzewo i krakały długą chwilę. Wreszcie sfrunęły. Westchnął. Miotał się na łóżku; to przykrywał się kocem aż po samą szyję, to wyciągał ręce i układał je wygodnie; podsuwał poduszkę wyżej, to znów leżał na płask spozierając z nadzieją przez zamglone szybki, wreszcie, kiedy zawiodło go wszystko, rzekł:

— Swoją drogą: jedno mnie dziwi.

Ożywiła się.

— Co takiego?

— Jak wy to robicie?

— Kto?

— Ty i twój mąż?

— Co robimy?

— Nie udawaj. Jak wy to robicie w nocy, że nikt tego nie słyszy. Myśmy tu z chłopakami już rozmawiali. Nikt tego nie może zrozumieć.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— A co cię to obchodzi?

— Mnie? Nic.

— Nic?

— Nic. Dla mojej przyjemności w ogóle możecie tego nie robić.

— Właśnie nie robimy — powiedziała z dumą. — Ale nie myśl sobie, mój mąż, to bardzo porządny człowiek.

Podniósł się na łokciu. Oczy błysnęły mu nagle.

— Naprawdę?

— A co ty myślisz? Pewno, że porządny człowiek.

— Nie o tym mówię. Tylko czy wy naprawdę — nic?

— Nic.

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? — zawołała. — Dlatego, że go nie kocham. Trzeba człowieka kochać, żeby być z nim blisko.

— Więc po co z nim jesteś, ty ciotku?

— A z kim mam być?

— To rzuć go, do diabła i wracaj do domu.

Wzruszyła ramionami.

— Przecież mówiłam ci, że nie mam żadnego domu — powiedziała cicho.

— Prawda — mruknął.

Odwrócił się do niej plecami, gdyż wydało mu się, że zobaczył w jej oczach łzy. Przetarł szybkę; wrony znów przyleciały na drzewo. Kotłowały się chwilę wrzeszcząc ochryple, potem usiadły na gałęziach i tępyimi dziobami poczęły czyścić pióra; płaskie łby ptaków lśniły niby posmarowane tłuszczem. Po jakimś czasie znów odleciały napelniając dolinę wstrętnym krzykiem. Słońce świeciło teraz prosto w okno; Partyzant musiał odwrócić się na bok.

— Partyzant?
— No?
— Porozmawiajmy o czymś.
— O czym?
— Nie wiem.
— No więc: jak to jest z tobą i z nim?... O Boże, żebym ja już mógł wstać...

— Przywiózł mnie tutaj. A ja chcę wracać do miasta. Zresztą — nie kocham go.

— To po co wychodziłaś za niego za mąż?

— Myślałam, że będzie lepiej.

— A w mieście? Co będziesz robić?

Milczała. Widział jak zaciska szczęki. Potem rzekła:

— Nie wiem. Coś bym przecież musiała robić.

— Pewnie — mruknął. — Miasto to zawsze co innego... — Poderwał się nagle żywo: po kałuży spacerował jakiś dziwny, filuterny ptak; ani wrona, ani żaden ze znanych mu ptaków: okrągły, niezdarly, na krótkich łapkach — dziób jego tęczał. Pluskał się chwilę, podskakiwał śmiesznie, potem uniósł z godnością ciężki kuper i odleciał; jeszcze chwilę drżała powierzchnia kałuży, potem woda zastygła w lustro. — Nudzi mi się — powiedział Partyzant. — Tak mi się nudzi, że coś okropnego.

Usiadła na skraju jego pryczy.

— Ty musisz wrócić do miasta — powiedziała. — Serce mi pęka, kiedy patrzę na ciebie. Jesteś taki młody i... taki ładny. Nie mogę myśleć, że może się z tobą stać to, co z tamtym bandziorem... jak wyście go nazywali? Siódemka...

— Dziewiątka — poprawił Partyzant. Spojrzał na nią ze złością: — Ale cóż ja ciebie obchodzi?

— Ty? — wzruszyła ramionami. — Nic. Ale lepiej wracać do miasta.

Potrząsnął głową.

— W mieście mi się też nudziło — powiedział ze smutkiem. — Czasami jeszcze gorzej niż tutaj.

— W mieście musi być inaczej — powiedziała z uporem. — Mimo wszystko tam coś musi być.

— Brednie — warknął. — Patrzył w okno, na drzewo, lecz nic się nie działo; wychylił się trochę i przetarł szybę — dolina milczała; pusta i pełna błota, kołysana leniwym bełkotem strumienia, spojrzął w sufit — tam, na nitce kołysały się dwa pajaki poruszające szybko kosmatymi nóżkami; w pewnym momencie zamarły; i znów opadł na poduszkę, pełen gorączki i wściekłości. Milczał, potem ożywił się niespodziewanie: — Więc jak to jest z wami?

— Mówiłam ci przecież.

— Tak — mruknął. Szarpał koc niecierpliwie palcami: rozłaził się jak stara szmata. — Opowiedz coś może...

— O czym ?

— O czym chcesz.

— Niebo jest najładniejszą rzeczą na świecie, prawda ?

— Tak... Nie... Chociaż zależy... No, opowiadaj.

Pomyślała chwilę marszcząc czoło.

— Kiedyś miałam koleżankę — rzekła — Nie pamiętam już jak się nazywała; chuda, brzydka, pocily jej się ręce i stale moczyła je w formalinie, ale to nic nie pomogło. Kiedyś ją chcieli porwać, ale uciekła.

— Kto ją chciał porwać ? — z nadzieją zapytał Partyzant.

— Nie wiem.

Westchnął; poprawił sobie poduszkę i znów gapił się w okno. Słońce stanęło u szczytu nieba; resztki śniegu spływały żółtymi strumyczkami, na gałęziach znów siadały i dolatywały wrony. Śmieszny ptak nie powrócił; martwe lustro kałuży odbijało niewzruszone niebo.

— Nudzę się — warknął. — Jutro pojedę z nimi po drzewo, żebym miał nawet kopyta wyciągnąć. Dosyć tego leżenia... — Popatrzył na nią ze złością : — Czy naprawdę nie potrafisz niczego opowiedzieć ?

— A ty ? — powiedziała tym samym tonem. — Przecież ciągle mówisz : las, las, las... Ty opowiadaj o czymś.

— Mogę ci opowiadać... coś z lasu — powiedział. — Jeżeli tylko chcesz, to mogę ci bez przerwy opowiadać o lesie. Mogę się z tobą nawet ożenić i opowiadać o ci o lesie dzień i noc, dzień i noc. O gałęziach, o błotach. O śniegach; o tym jak ludzie odmrażają ręce, nogi, tylki i zęby; i o tym, że nie było ich gdzie chować, więc rzucało się ich po prostu byle jak, a kiedy wracaliśmy w te same strony wiosną, to zostawały z nich tylko kupa szmat i kości. Mogę ci mówić o tym, że naprawdę las nigdy się nie zmienia : w lecie, w zimie, jesienią, jest tak samo nudny i niebezpieczny; tak samo męczący i wredny; i taki sam jest o świcie, wieczorem i w dzień; i zawsze jest w nim pusto; i że jedyną rzeczą którą czuję, jest nienawiść do lasu, ale ty i wszystkie takie jak ty, macie za małe mózdzki, aby to zrozumieć.

Uśmiechnęła się z wyższością.

— Od kiedy tak myślisz ?

— Od kiedy diabli mnie tu przynieśli — powiedział. — Gdybym nie przyjechał tutaj — miałbym chociaż wspomnienia. Miałbym to, czego inni nie mają i o czym marzą : walkę, trochę trupów, i tę myśl, że człowiek kiedyś nie był szmatą. Teraz mi to wszystko obrzydło; teraz, kiedy wróciłem tutaj.

— Więc wyjedź stąd.

— Gdzie ?

— Tam, gdzie mieszkałeś przedtem.

— I co ? Żeby ci wszyscy idioci tutaj śmiali się ze mnie; żeby mówili — przyjechał, gadał, podskakiwał i zwiął. Nie.

Zamilkł. Pochyliła się nad nim.

— A jeśli skręcisz kark, ty głupi?

Nic nie odpowiedział: uwagę jego przykuł pająk, który już od rana pełzał po brudnym suficie; teraz kołysał się na długiej nitce, tuż nad jego głową. Przez okno wdarł się strumień słońca i pajęcza nitka lśniła niby złota struna. Oczy Partyzanta rozszerzały się coraz bardziej; widział jak pająk oplątuje błyskawicznie drugiego; jak chwilę szamocą się z sobą wprawiając w ruch nić, która gasła i zapalała się niby neon; wreszcie, jak zdławiwszy przeciwnika, pożera go powoli i bez pośpiechu na spokojnej i nieruchomej złotej strunie. Szarpnął głową i w twarzy Wandy zobaczył odbicie własnej — stężełej ze wstrętu i przerażenia. Przyciągnął ją rozpaczliwie — słońce powędrowało dalej: nić zgasła.

— Więc jak to jest z wami naprawdę?

— Mówiłam ci.

— Ciągłe mi się nie chce wierzyć.

— Przecież bym nie kłamała — teraz.

— Może z tobą uda mi się zapomnieć.

— O lesie?

— Tak. Przyjechałem tutaj — żeby pamiętać; teraz ucieknę z tobą — żeby zapomnieć. Widocznie jakieś gówno musi człowieka ścigać przez całe życie.

— Kiedy wyjedziemy?

— Za parę dni. Wezmę tylko wypłatę.

Znów patrzył w pustkę okna; przylatywały i odlatywały ptaki, niebo ciemniało stapiając się już w oddali z granatową kreską lasu.

— Ubieraj się — rzekł. — Ubieraj się, bo jeszcze kogoś z nich mogą diabli przynieść. Poczekam na wypłatę i pryśniemy do miasta. Niech diabli porwą wszystkie drzewa i wszystkie lasy na świecie...

Patrzył długą chwilę jak dziewczyna wkłada sukienkę błyskając nagimi ramionami, potem znów przeleciał jakiś strzęp czasu, znów odwrócił się do okna — wrony poszły już spać, a drzewo szyderczo poruszało kościstymi ramionami, spoza których księżyc wychylił chudy pyszczek; potem okno stało się ciemne i księżyc zajął miejsce słońca.

— Nudzę się — warknął Partyzant. Naciągnął kołdrę na głowę i nie słyszał już ani głosu dziewczyny, ani warkotu silników, ani przekleństw Warszawiaka i modłów Apostoła.

Pierwsze krople deszczu poczęły spadać w chwili, kiedy kłonicie ostatniego wozu dźwignęły już połowę ładunku. Ludzie przerwali pracę i podnosili głowy, gnane południowym, ciepłym wiatrem, ciężkie, granatowe chmury przedzierały się od dolin, las ściemniał w jednej chwili ogarnięty posępnym mrokiem.

— Tego właśnie brakowało — powiedział Zabawa do Warszawiaka. Rozpinał plandekę nad szoferką; potem podniósł szybę. — Jeśli nie przestanie padać, to lichy wie, jak się stąd wydostaniemy.

Warszawiak uniósł do góry sępi nos.

— Przestanie padać — rzekł. — Za trzy dni... — Siedział na stopniu i strugał patyczek. — Chcesz czekać?

— Zwariowałeś? Jedziemy...

— Pewnie, możemy jechać — rzekł Warszawiak. — Ale spuść plandekę i opuść szybę. Jesienią jeździł tu z nami niejaki Albertyniak. Przejeżdżał przez zakręt, miał plandekę nad głową, przyczepa mu się obsunęła i szlag go trafił na sucho.

— Co znaczy — na sucho?

Nie chciało mu się opuszczać plandeki — wtedy właśnie padał deszcz; zarzuciło przyczepę i nie zdążył wyskoczyć. To był bardzo miły człowiek, jeździł w garniturze i w ogóle można powiedzieć, że dbał o siebie... — Znow zajął się patyczkiem, potem rzekł: — Sam zobaczysz jak to będzie, musimy lecieć przez ten zakręt.

— Może jednak zaczekać?

— Trzeba by czekać trzy dni — aż przestanie padać. Potem do lata — aż wyschną drogi.

Zabawa opuścił szybę.

— Jedna rzecz mnie zawsze dziwiła w Bogu — powiedział. — Dlaczego mu się nigdy nie nudzą te ograne sztuczki. Najpierw wiosna, potem lato, najpierw deszcze, potem śniegi i tak w kółko, nigdy się nie zmienia. Zupełnie tak jak u kobiety: wszystko można z góry przewidzieć.

Warszawiak uniósł głowę.

— Tak myślisz?

— Pewnie.

— U własnej żony też potrafisz wszystko przewidzieć?

— Oczywiście — powiedział Zabawa. — Wszystko. Każda kobieta jest podobna do Boga. To mnie zawsze odpychało od religii... — Westchnął, potem zapytał: — Kto jest pierwszy?

— Partyzant.

— Potem?

— Apostoł, Orsaczek, ty i ja.

Zabawa przyjrzał mu się uważnie.

— Dlaczego ty dziecino jedziesz na końcu? Kiedyś lubiłeś prowadzić innych. Dobrze chyba pamiętam, nie?

— Może — powiedział Warszawiak. — Dużo rzeczy kiedyś lubiłem, dobrą jazdę, gadanie z ludźmi, uczciwego pokera... Ale tutaj wolę przejeżdżać ostatni... — Znow opuścił głowę, rysował patykiem jakieś świństwa. Potem uśmiechnął się: — Wtedy tam już będzie smar zamiast ziemi. Poczekam, aż wy przejeździecie, a wtedy polecę na całym gazie, ile wóz wyciągnie — innej rady nie ma. Jeśli już mam być następnym...

Umilkł.

— Następnym? — powtórzył jakby ze zdziwieniem Zabawa.

Warszawiak milczał; pochylił jeszcze bardziej głowę i rysował zawzięcie patykiem. Litery były duże i niezgrabne, chwiały się w błocie jak płomień świecy. Zabawa spojrzał na napis z góry, siedział już w szoferce, a ludzie wrzeszczeli, aby jechać. Napis brzmiał: NASTĘPNYM DO RAJU. Warszawiak skończył, rzucił patyk, potem deszcz rozmazał litery, gołe kobiety potężnej wielkości i dziwne wyglądające męskie genitalia, stwierdzenie: Moja ciocia jest blać, i zaraz potem przewaliło się nędznym skrawkiem ziemi kilkaset ton drzewa i stali, a kiedy wozy były już daleko — na miejscu tym pozostała kałuża; olbrzymia i pełna gęstego błota.

Na kilometr przed zakrętem zatrzymali się. Tutaj nie padał deszcz, wiatr pognał dalej zwały chmur — dusiły się teraz w dolinach przyplaszczone do ziemi. Wyskoczyli z wozów i ciężko człapiąc powlekli się do zakrętu. Ziemia była grząska, buty tonęły w niej z tłustym chlupotem; stali w milczeniu, patrząc na otwierającą się jak znak zapytania przepaść po swojej lewej ręce — była tam dolina sieczona różgami deszczu; z rzadka odsłaniały ją przelatujące chmury; nagle wydarło się zdziwione słońce i zobaczyli wtedy swoje długie cienie, które spadały aż stąd w pustkę pełną słońca, chmur, hałasu i wody.

— Ładne miejsce na grób — powiedział Zabawa.

— Wilgotne — rzekł Orsaczek.

— Ty i tak się branzlujesz w nocy, więc jesteś przyzwyczajony — rzekł Warszawiak.

Zabawa przeszedł parę kroków, — ziemia uginała się pod nim jak materac.

— Tędy nie można przejechać — powiedział.

— Więc co zrobić? — zapytał Partyzant.

Zabawa kopnął butem jakiś kamień, potoczył się z grzmotem.

— Trzeba przejechać.

— Ty też zwariowałeś tutaj, prawda?

— Prawda. Ale nie tutaj. Już dawno. — Usiadł na kamieniu i majdał nogami nad pustką. — Kto chce, niech zjedzie na bok — powiedział nie patrząc na nich. — Kto chce, niech zjedzie na bok i zrzuci do diabła całe drzewo. Będziemy puste wozy przeciągać na linach; jeden wykręci tyłem i będzie przeciągał na bębnach. Nie wierzę, żeby tędy można było przejechać. Przyczepa ściągnie w dół. Amen. Kropka.

— Nie wierzysz? — zapytał Warszawiak.

— Nie.

— Więc zrzucaj drzewo. Pomogę ci.

— Nie — powiedział Zabawa. — Ja przejadę. O innych historiach będę myślał po tamtej stronie... — Dźwignął się ciężko i otrząpał spodnie. — Kto chce, niech zrzuca drzewo — rzekł.

— Zjeżdżajcie na bok i dajcie drogę. Tu trzeba przejechać do dechy, żeby samochód nie zdążył pomyśleć. Dalej. A kto chce jechać, niech się przedtem wysika — to dobra rada. Ale już.

— Jeśli ktoś się zatrzyma na zakręcie — powiedział cicho Warszawiak — nigdy się stąd nie wydostaniemy. Trzeba będzie rzucać drzewo na drodze i przeciągać linami przez zakręt. Trzy dni roboty.

— Dwa — rzekł Zabawa. — No, dalej. Zjeżdżajcie na bok i dajcie drogę. Trzeba uciekać przed nocą... gdzie ty idziesz Partyzant?

Odwrócili się. Partyzant szedł przez błoto w swoich lśniących butach. Początkowo przesłakiwał jeszcze z kamienia na kamień, potem brnął ciężko środkiem duktu nie zważając na wodę. Widzieli jak idzie do wozu uśmiechając się dziwnie ; z białą twarzą i rozszerzonymi niesamowicie oczyma ; słyszeli głuchy ryk jego silnika i zgrzyt kolejno przerzucanych biegów ; weszli wyżej — na wysoką ścianę jaru — i stamtąd widzieli jak wóz jego staje się coraz większy — czarna larwa miotająca fontanny błota swym długim odwołkiem ; widzieli jak kładzie się na masce — wóz biegł coraz szybciej, wyjąc coraz głośniej wszystkimi trzema mostami ; a kiedy zrozumieli już, że piłujący mózgi dźwięk dobiegł do szczytu, na kilkadziesiąt metrów przed zakrętem pisnęły hamulce i wóz — podrygując gwałtownie i dzwoniąc łańcuchami — zarył się nagle w błoto. Partyzant wysiadł ; zaczął się rozglądając błędnie ; potem osunął się w błoto, dysząc jak zwierzę. Podniósł wzrok do góry i widział tylko ich szeroko rozstawione nogi, białe twarze i złote policzki ; niby wycięci z tektury, znieruchomieli we wściekłym słońcu.

— Skurwysynu — krzyknął i podniósł pięść ku górze, ku niebu i słońcu, które dwa razy przetaczało przez nieskończoność swą obojętną kulę, nim przeciągnęli jego drzewo, jego wóz i jego strach przez zakręt ; nim przejechali sami i stanęli znów naprzeciw niego, patrzył na nieogolone, zaskorupiałym brudem pokryte twarze i nie mógł wyczytać z nich nic, brud i zmęczenie zamieniło je w maski.

— No, bohaterze — powiedział Zabawa. — Nie kazałem ci przecież jechać.

I uderzył pierwszy ; pięścią ciężką jak dzwon roztrzaskał mu okulary, które miały chronić jego oczy od słońca ; a potem pięści ich wszystkich wbijały okruszyny szkła w jego twarz aż do chwili, w której czyjaś noga nie wbiła mu się w kiszki — dalej, gdzieś pod kręgosłup rozniecając ogniste plamy w jego mózgu ; potem wdeptywali go w błoto, we własny strach nie mówiąc, jeden do drugiego, ani słowa — od trzech dni ; a potem pojechali do miasta — jasną, bezpieczną i twardą drogą, którą wysuszył wiatr i słońce — biegnące szeroko wśród spokojnych drzew.

Apostoł zakasał rękawy i wziął się do dzieła. Rzucił na stół olbrzymie ilości mięsa i rozdzielił je potężnymi uderzeniami błyszczącego noża, mięso mlaskało, stół jęczał, Apostoł nucił ponurym barytonem — ludzie leżeli na pryczach nie mówiąc, nie myśląc i nie czując nic. W kotle stojącym na ogniu już od godziny, szumiąca przyjacielsko woda; kiedy poczęły wyskakiwać bąbelki — Apostoł rzucił całą torbę kaszy i miskę starannie oskrobanych kartofli. Chwilę zastanawiał się, twarz jego stężała od wysiłku; potem nagle klepnął się w czoło, pobiegł do wozu, a po chwili wrócił trzymając pęki pietruszki i selerów. Usiadł na stołku i przyglądał się swemu dziełu z miną zwycięzcy.

— Tak, panowie — rzekł. — Kiedy byłem młody, znałem pewną dziewczynę, która potrafiła gotować krupnik na zeberkach. Lata minęły, dziewczyna zapewne stała się potworem, ale ja ten jej krupnik pamiętać będę aż do zgonu. Gdyby dzisiejsze kobiety potrafiły gotować tak jak tamte, świat inaczej musiałby wyglądać. Nie byłoby wojny, pożarów, ani zgłiszcz. Po cholere ludzie mieliby wojować, kiedy w domu mieliby tłuste żony i przyzwoiłą wyżerkę? Wszystko powoduje nadkwasota i złe żarcie... — zamieszał z rozmachem: krupnik chlupnął aż na sufit, potem Apostoł ciągnął dalej: — Najgorszą rzeczą jest, jak chudzielcy dorwą się do władzy; taki gówniarz, jeden z drugim, nie potrafi zeżreć porządnego obiadu i zachciewa mu się mieszać milionami. Napoleon był kurduplem; upijał się od setki wódki, a jadł tylko jarskie dania. Dodek Hitler też nie znał się na kuchni, no i proszę. O Ziutku nie będę mówił ze względu na Zabawę — ostatecznie święty Szymon Słupnik też był pizdzielcem i Zabawa może mi to wypomnieć w każdej chwili, ale jeśli chodzi o naszego Bolka, to też mi nie wygląda za zdrowo — coś tam z nerekami musi być nie tak. Pod tym względem mam zaufanie tylko do Kostii, u nich, narodowo, można powiedzieć, lubią tłusto podeżreć i fest popić, a do ruskiej gorzały, człowiek musi mieć żołądek jak się patrzy... — Zamieszał, tym razem krupnik zalepił oczy Orsaczka. Apostoł przeżegnał się i ciągnął dalej: — Gdyby Chrystus miał ochotę zejść na ziemię po raz drugi, powinien to zrobić dzisiaj — zjadłby coś takiego, o czym nawet Bóg nie ma pojęcia... — Zwrócił się do Partyzanta groźnie potrząsając łyżką: — Gdybyś zjadł tego przedtem, gówniarzu — przeleciałbyś przez ten zakręt jak na skrzydłach...

Partyzant dźwignął się z pryczy. Chwiejnym krokiem przeszedł przez izbę i pchnął drzwi — wilgotny wiatr runął na niego; zataczając się brnął przez mrok; padał i znów dźwigał swe ciężkie, połupane ciało; szedł naprzód w stronę lasu, nad którym przecierały się dopiero gwiazdy niepewne i drżące.

— Partyzant !...

Nie odwrócił się, nie przystanął. Słyszał, że biegnie za nim po błocie i przyspieszył kroku.

— Partyzant !...

Rozglądał się jak osaczone zwierzę, gdzieś majaczyło drzewo, nad suchą koroną płonęły światła Wielkiego Wozu. Poszedł tam, znów upadł i ręce zapadły mu po łokcie w gęstą maź ; gwiazdy świeciły mu teraz prosto w oczy. Leżał chwilę bez ruchu, oddychając ciężko, w baraku gruchnął śmiech — wtedy wyciągnął się z trudem : kosząc ścieżkę długim i fioletowym cieniem udręczonego ciała, zaczął biec w wilgotną, mroczną pustkę.

— Partyzant !...

Uwiesiła się jego ramienia ; chciał ją odepchnąć, lecz nie miał siły ; upadłby znów gdyby go nie podtrzymała — jej ręce były silne i ciepłe. Doszedł do drzewa i oparł się o nie ; znów ból wypełnił podruzgotane jego ciało, wtedy zgasiła i ciemność i gwiazdy, i nadałany pysk księżycy.

Objęła go, płynęło od niej ciepło, ból mroczniał.

— Widzisz — szepnęła. — Trzeba było od razu, wtedy.

— Nie bałem się nigdy — wybelkotał. — Słyszysz, nigdy.

— Odejdziemy stąd — szepnęła. — Odejdziemy stąd i zapomnisz o wszystkim. Nie będziesz już myślał o lesie, ani o tym. Już jutro możesz o tym nie myśleć. Będziemy daleko, a to wszystko jest śmieszne.

Potrząsnął głową.

— Nie bałem się nigdy — powtórzył. — Nigdy. Teraz to już wszystko nic nie znaczy, ale kiedyś byłem inny. Powiedział mi : zabij. Szedłem przez miasto, był straszny upał, widziałem jak koń wpadł pod tramwaj i obcięto mu kopyta ; miałem pistolet i zimną pustkę pod czaszką. Nie myślałem o niczym, nie czułem ani strachu, ani gorączki — wiedziałem tylko co mam zrobić. Ulicą jakaś mamka pchała wózek z dzieckiem, ten dzieciak darł się obrzydliwie i pamiętam, że jego, najchętniej jego bym trzasnął — taki mały, zaryczany ślimak w gorących pieluchach. Gdzieś wyszedł ten człowiek ; było gorąco, a on miał na sobie czarny płaszcz — poprosiłem go o ogień i strzeliłem mu prosto w twarz, kiedy się pochylił z papierosem, łysy, spocony łeb — i ten łeb otworzył się jak orzech, zanim jeszcze upadł. Ludzie na chodnikach uciekali ; zrobiło się cicho — tylko ten gnój w wózku darł się jeszcze głośniej : mamka porzuciła go i uciekła. Może to zresztą była jego matka. A ja wiedziałem, że muszę się pochylić nad tym swoim sztywnym i chwilę zostać z nim, żeby już na zawsze przestać się bać. Potem wepchnąłem wózek z tym szczeniakiem do bramy, dałem mu w papę i poszedłem przed siebie...

Umilkł ; pot na jego pokrwawionym czole lśnił niebiesko w zimnym świetle gwiazd.

— To wszystko przez ciebie — powiedział. — Gdybym był sam, przejechałbym jak nic. Ale tam, na zakręcie, myślałem o tobie ; o tym czarnym trójkacie między twymi nogami... — Potrząsnął nią : — Człowiek musi być sam, rozumiesz ? Zaw-

sze sam, jeśli chce zrobić cokolwiek. Bóg dał człowiekowi jedno dobrodziejstwo — to jest właśnie samotność. To wszystko dobre, czym człowiek może być. Każdy drugi jest wrogiem. Ludzie tego nie rozumieją i łażą po sobie jak pająki w gównie. Byłem sam i było dobrze a kiedy myślałem o tobie? Nie, trzeba być samemu, zawsze samemu, aż stąd do wieczności... Tylko wtedy jest siła, i pragnienie, i nie ma ni cierpień, ani strachu, ani złych snów po drodze... A, teraz odejdz. Odejdz już, kochanie. Nie mógłbym cię nawet dotknąć — czuję, że jestem kupą gówna. Może dlatego, że naprawdę cię pokochałem. Spotkaliśmy się w złym miejscu drogi. Odejdz, słyszysz. Przecież ty też mnie kochasz... zrozum to.

Uderzyła go w twarz ; głowa głucho stuknęła o pień.

— No, panowie — rzekł Apostoł. Postawił na stole dymiący kocioł. — Ten krupnik jest nagrodą od Boga i losu za wszystkie złe chwile naszego życia...

Brzęknęła szyba, zupa uniosła się olbrzymią fontanną i zapryskała wszystkim oczy. Zabawa skoczył na równe nogi z rewolwerem w rękę i przywarł do ściany. Znieruchomieli wszyscy ogłuszeni nagłym wyciem silnika. Apostoł przetarł oczy ; sięgnął do kotła i wyciągnął stamtąd czaszkę ; zaklejona gęstą zupą wyglądała figlarnie.

— Dzisiaj będzie spał w mieście — powiedział Warszawiak. Podeszedł ociężale do okna i przytulił czoło do zimnej szyby. Widział niewyraźną sylwetkę dziewczyny oblaną zimnym światłem — wyglądała jak posąg, groźny i niemy ; patrzyła za odjeżdżającym samochodem. Partyzant zjechał z doliny, uciszył się głos jego silnika, i znów zapadła cisza nad mrocznym, kłamrami gwiazd zamkniętym światem.

APOSTOŁ I JUDASZ

Warszawiak z Orsaczkiem pierwsi ukończyli załadunek ; wyjechali z lasu i w mieście byli wczesnym popołudniem. Miasto wyglądało wiosennie ; w otwartych szeroko oknach wiatr kołysał kolorową bielizną, gapie siedzieli przed bramami, z tępym zachwytem wpatrując się w przeciwległą stronę ulicy ; tęgie, jasnowłose dziewczyny o głupich twarzach i ogromnych tyłkach, łąziły ulicami trzymając się pod ręce — odpowiadały na zaczepki szczęśliwym chichotem lub odęciem tępych twarzyczek : powietrze zgęstniało od kurzu, potu, lichych perfum i benzyny. Warszawiak z Orsaczkiem jechali wolno rozglądając się z ciekawością ; na rynku kilku rozleniwionych słońcem rzemieślników snuło się wokół olbrzymiej sterty desek — budowali trybunę pierwszomajową ; ulicami ciągnęły samotne furki, na których wracali do domu pijani po jarmarku kmiotkowie, a przed magistratem stała grupka ludzi słuchając komunikatu radiowego.

Przed restauracją Orsaczek zatrzymał wóz ; po chwili nadjechał Warszawiak.

— Napijem się jedno piwko ? — zapytał Orsaczek.

— Stawiasz ?

— Ma się rozumieć. Ty sobie spokojnie wypij, a ja zaraz przyjdę. Muszę jeszcze wstąpić na pocztę.

— Od kiedy lewe kurwy sprzedają na pocztę ? — zapytał Warszawiak. — Zakładasz album ze znaczkami pocztowymi ? Możesz zresztą nie stawiać ; dzisiaj i tak Bużka przywiezie pieniądze.

Wziął pod pachę korbę i wszedł do środka. Usiadł przy stoliku — miał stąd widok na słoneczną stronę ulicy — i położył czapkę na kolanach. Chwilę siedział bez ruchu ; potem zawył przeciągle nie otwierając ust. Kelner drzemiący przy stoliku w kącie otrząsnął się, przetarł oczy i podszedł.

— Szaaaawanie — rzekł.

— Daj pan coś do poczytania — rzekł Warszawiak. Kelner odszedł, nie było go piętnaście minut, potem położył przed Warszawiakiem kartę.

— Kotlet schabowy proszę — rzekł Warszawiak.

— Nie ma.

— To siekany.

— Tylko dorsz w śmietanie może być.

— Tylko?

— Tylko.

— To gdzieś pan chodził przez ten czas?

— Życzył pan kartę, czy nie?

— Jeśli jest tylko dorsz, to na cholerę mi karta?

— Też gość — powiedział kelner; patrzył przez zakurzoną szybę na słoneczną stronę ulicy. — Tu nie tacy jak pan przychodzą i jest dobrze. Jaśnie pan szofer, tak?

Warszawiak klepnął go w plecy.

— Kierownika lokalu — powiedział. — Dorsza możesz pan wsadzić w tyłek swojej kochance; ona pana pewno i tak podgląda w ubikacji. Książkę zażaleń i kierownika lokalu. Szybciutko.

Kelner odszedł. Warszawiak położył czapkę na krześle i wyciągając swobodnie długie nogi, zapalił papierosa. Na murze ulicznym ktoś przylepiał plakat: „Wszyscy do czynu pierwszomajowego”, nalepiacz odszedł, przed plakatem stanął jakiś człowiek o wyglądzie krety; przeczytał plakat i zerwał go; nalepiacz powrócił i bez najmniejszego zdziwienia nalepił ten sam plakat po raz drugi, odszedł — zaraz zjawił się kretynek; począł czytać plakat, tak jak i poprzednim razem wodząc po nim paluchem; zerwał i odszedł — z drugiej strony ulicy już nadchodził nalepiacz.

— To ten gość — powiedział kelner i wskazał na Warszawiaka. Kierownik lokalu był wysoki i chudy, miał taki sam długi i ponury zagięty nos jak i Warszawiak — spojrzeli na siebie z nienawiścią.

— Czego pan życzy? — zapytał ostro kierownik.

— Kotlet schabowy ze świeżymi kartofelkami — rzekł Warszawiak. — Niech pan pilnuje, żeby nie był za bardzo przysmażony, a kartofle mają być ze świeżym maselkiem. Zresztą zawołaj pan kucharza — sam mu powiem, co i jak ma być zrobione.

— Jest tylko dorsz — powiedział kierownik. — Kelner panu mówił... — Chciał odejść, lecz Warszawiak przytrzymał go.

— Siadaj pan — rzekł podbijając mu nogi krzesłem; kierownik klapnął miękko. — Pan mnie naprawdę nie pamięta?

— Nie.

— Naprawdę?

— Panie...

Warszawiak pochylił się ku niemu, uderzając prawie swym nosem w nos tamtego.

— A podczas okupacji, to pan mnie też nigdy nie widział, co?

Kierownik milczał. Kelner sapnął i wytarł spocone czoło białą ścierką. Bufetowa nastawiła adapter; szczekliwy tenorek zapewniał o wierności.

— Co pan życzy? — zapytał kierownik. Wyrwał z rąk kelnera białą ścierkę i wytarł nią własne czoło. — Może co... z drobiu?

— Nie, po co tyle fatygi. Proszę o kotlet schabowy.

— Proszę uprzejmie... — Skłonił się Warszawiakowi, potem ryknął na kelnera: — Co mi się pan przyglądasz? Gość czeka.

Odszedł. Warszawiak znów patrzył na ulicę; przystanęła fura z węglem. Furman kłócił się z milicjantem — stanął nieprzepisowo; z tyłu wozu, człowieczek o wyglądzie krety napełnił pospiesznie worek; dwaj żołnierze obserwowali to wszystko z twarzami pełnymi szczęścia.

— Skąd ja wezmę o tej porze schabowego? — zapytał ktoś w kuchni.

— Milczeć! — krzyknął gniewnym basem kierownik. — Raz, dwa!

Bufetowa przewróciła płytę na drugą stronę; szczekliwy tenorek tym razem groził zerwaniem. Szczęknęły drzwi; do środka wszedł motocyklista Bużka. Zobaczył Warszawiaka, skinął ręką i przysiadł do niego.

— No, jak u was?

Wiosenny wiatr opalił go, był jeszcze ładniejszy niż zazwyczaj.

— Masz pieniądze dla Partyzanta?

— Mam.

— Ale Partyzanta już nie ma. Będiesz mógł ukraść.

Bużka uniósł długie rzęsy.

— Po połowie.

— Nie chcę. Zostaw mi moje.

Odliczył pieniądze i wstał.

— Muszę lecieć — powiedział. — Złapię ich jeszcze w lesie?

— Chyba. Apostołowi coś się z zapłonem popaskudziło, zostali z Zabawą. Zostań, zjedz coś.

— Jest coś dobrego?

— Jest. Dorsz.

Skrzywił się.

— Nie lubię.

— Wierzę ci.

— Słuchaj — rzekł Bużka — a jak tam ta wasza dziewczyna?

— Co znaczy: jak?

— Jest?

— Gdzie jej będzie lepiej?

— Ona mi się podoba — powiedział Bużka. — Jak myślisz: wyjdzie coś z nią?

Warszawiak poprawił się na krzesło, wyrzwał na ulicę ; milicjant wypisywał furmanowi mandat, sprawdzając jego wszystkie dokumenty ; kretynek w tyle wozu operował już ze współnikiem — żołnierze przyprowadzili jeszcze trzech kolegów i ryczeli ze szczęścia.

— Nie myśl o tym — powiedział Warszawiak. — Masz dosyć dziwek w mieście, ją zostaw. Jesteś ładny chłopaczek i zawsze dasz sobie jakoś radę. Słyszysz, serce ?

— Co ci do tego ? Płaci ci Zabawa, żebyś pilnował jego garażu ?

— Jesteś ładny — powtórzył Warszawiak. — Sam chciałbym wyglądać tak, jak ty. Mnie wszyscy od dziecka mówili, że mam pysk bandyty ; nawet matka. Gdybym miał twój wygląd — nie szukałbym awantury. Brzydkie chłopaki nie mają szczęścia ; często muszą myć ręce pachnącym mydłem. Pamiętaj, że ja ci to mówiłem.

— A co to takiego — ty ?

— Ja się na tym znam. Jedź, złapiesz ich na drodze.

Buźka wyszedł. Po chwili kelner przybiegł z podrygach i nakrywszy stół czystym, lśniącym obrusem — postawił przed Warszawiakiem talerz.

— Służę.

— Dzięki.

Pochylił się.

— Panie — szepnął — czy on naprawdę — podczas okupacji ?

— Rzeczywiście — potwierdził Warszawiak.

— Pan go znałeś ?

Warszawiak spojrzał pogardliwie.

— Nie — rzekł. — Ale znam swój naród : tu nic nie trzeba wiedzieć, żeby człowiek trząsł się ze strachu... — Przełknął kęs, pochylił się ku niemu i wrzasnął nagle : — Co pan robił w czterdziestym siódmym roku w Wałbrzychu ? Skąd pan zna Michalaka ?

Kelner uciekł. Warszawiak żuł powoli wpatrując się w ulicę, na ławeczce pod drzewem zasiedli Orsaczek i właściciel stolarni — Marcinkowski. Rozmawiali z ożywieniem pochyliwszy głowy.

— No, panie Marcinkowski — powiedział Orsaczek. — Już niedługo i będę miał wózek.

— Pewnie — rzekł Marcinkowski. — Kto odkłada, to i ma. Chce pan forszę ?

Orsaczek wzdrygnął się.

— Nigdy — szepnął. — Panie, ja z kolegami jestem, pan wie, jak bywa : podkuszają człowieka i już po gotówce. Niedawno przegrałem w karty... — Poczzerwieniał ze wstydu i ugryzł się w język. Zmienił szybko temat : — A panu jak idzie ?

— Złe. Słuchaj no pan : co jest z Warszawiakiem ?

— A co ma być. Lata.

— Kiedy on mi zwróci forszę?

— Spytaj pan jego.

— Ja już go nie widziałem Bóg wie jak długo.

— Wie pan co — rzekł Orsaczek — on poszedł do knajpy coś zjeść, i czeka na mnie. Niech pan idzie do niego i powie mu przy okazji, że ja pojechałem po pióra do resorów. Ja już nie będę zachodził po niego: jeszcze mnie podkusi, albo diabli wiedzą co.

— W porządku — rzekł właściciel. — Czołem.

Przeszedł przez ulicę i wszedł do lokalu. Warszawiak siedział szeroko rozwalony i smakowicie ogryzał kość.

— Dzień dobry — rzekł Marcinkowski. Usiadł nie zdejmując zielonego kapelusza. — No i jak?

Warszawiak odłożył kość.

— Piwo — rzekł do kelnera. Zdjął Marcinkowskiemu kapelusz i położył delikatnie na krześle. — Słucham pana? — zapytał uprzejmie.

— Kiedy będą pieniądze?

— Pieniążki? A za co?

— Jesteś mi pan winien pieniądze — rzekł Marcinkowski. Przeciągnął dłonią po łysinie. — Dziesięć tysięcy.

— Pan raczy żartować — rzekł Warszawiak. Nalał sobie piwa: — A ja będę zmuszony szanownego pana opieprzyć. Czy nie przywoziło się drzewka?

— Przywoziło się — rzekł Marcinkowski. — Ale zaliczkę się wzięło?

— Może — rzekł Warszawiak i wzruszył ramionami — ale się nie pamięta. Z powodu ciężkie przejścia, się jest roztargnionym. Się rozumie? — Pochylił ku niemu głowę: — Ale mam dla pana ważną wiadomość.

— No?

— W socjaliźmie łysych będą kryć papą.

Marcinkowski sapał.

— Kiedy będzie drzewo?

— Nie będzie w ogóle — rzekł Warszawiak. — Nie mam ochoty iść do pudła, rozumiesz pan? Niech pan kombinuje z Orsaczkiem.

— Panie Warszawiak — rzekł Marcinkowski. — Co się z panem stało? Ja pana nie poznaję, dlaczego się pan tak zmienił?

— Zagadka życia — rzekł Warszawiak i znów popił piwa. Marcinkowski uderzył dłonią w stół.

— Jutro mi pan przywiezie drzewo — syknął.

Warszawiak odstawił kufel.

— Nie będzie drzewa — powiedział. — Może być coś ze szkła. Dobrze?

Schwycił butelkę od piwa, rąbnął nią o stół i podsunął tamtemu pod oczy lśniąca gwiazdkę ze szkła. Potem wstał, wziął czapkę i podeszedł do drzwi.

— Hej, panie! — krzyknął kelner. — A rachunek?

Odwrócił się. Popatrzył na kelnera z miłym, pełnym przyjacielskiej nagany uśmiechem, potem wskazał na właściciela stolarni, siedzącego bez ruchu z otwartymi ustami.

— Ten pan zapłaci — rzekł. — Odjeżdżam. Żegnaj, miasto...

Przesłał całusa bufetowej. Wyszedł.

Bużka zahamował z piskiem; oparł motocykl o drzewo, zdjął okulary, otrząpał spodnie i poszedł przez polanę do baraku wesoło wymachując skórzaną torbą. Wszystkie wozy były jeszcze w lesie; o tym, iż tutaj — w samym sercu spiętrzonej zieleni: od wschodu, zachodu, południa i północy — są samochody, świadczył tylko pocięty koleinami plac; z lotu ptaka musiało to wyglądać, jak porysowany przez dzieciaka arkusz papieru. Bużka zapukał do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział; naparł ręką na klamkę — drzwi były otwarte, ale w baraku nie zastał nikogo; rozglądał się chwilę — jedno łóżko było posłane — inne rozgrzebane, jak je opuścili rano. Zaklął i wyszedł przed barak.

— Panie Boże — powiedział głośno motocyklista Bużka. — Czy po to człowiek jedzie setkę jak głupi, łyka kurz, robi marmoladę z pieska, opryskuje się błotem — żeby teraz nie zastać nikogo? Gdzie ta małpa poszła?

— Małpa stoi przed drzwiami — odezwał się głos Wandy.

Bużka skoczył jak oparzony.

— Gdzie pani jest? — krzyknął.

— Na dachu.

Podniósł głowę do góry. Wanda leżała na dachu, ubrana w kostium kąpielowy, chłonęła słońce całym ciałem.

— Dzień dobry — powiedział grzecznie Bużka. — Jak się pani tu podoba?

Nie otrzymał odpowiedzi. Przewróciła się na plecy zaplatając ramiona pod głowę. Przystąpił z nogi na nogę.

— Dlaczego pani nic nie mówi?

— O czym mam z panem mówić?

— Kiedy wrócą chłopcy?

— Nie mam pojęcia — rzekła. — Czasem się tak zdarza, że w ogóle nie wracają... Wyjechali rano. Niech pan jedzie do lasu; teraz są dłuższe dni i robią po dwa kursy.

— Wolę poczekać tutaj — rzekł Bużka. — Już od świtu jestem w drodze. Mogę wejść do pani na dach?

— Po co?

— Porozmawiamy.

— O czym będziemy mówić?
— Opowiem pani kino.
— Potrafi pan opowiadać kino?
— Pewnie — rzekł z przechwałką Bużka. — Kino, teatr — co pani tylko chce.

— Niech pan idzie do baraku — rzekła. — Może pan sobie i tam wypocząć. Zresztą... niech pan wchodzi.

Położył się obok niej na rozgrzanym kocu.

— Niech pan opowiada — rzekła.

— Jeden facet kupił sobie los na loterię. Zgubił go razem z portfelem. Portfel znajduje drugi, patrzy — a tu los. Wziął i schował. Aha, a znowuż narzeczona tego faceta...

— Którego?

— Tego, który zgubił — wyjaśnił Bużka. — To była taka jedna dziewczyna, która pracowała w hotelu. Blondyna taka, ciało miała, że mówię pani. Kochał się w niej jeden książę, starszy człowiek. „Co chcesz — mówi — dla ciebie będzie: samochód, willa, brylanty”. Ale ona w ogóle nic do niego nie czuła. To ten facet...

— Który?

— Ten co znalazł. Przychodzi do niej i mówi: żebym wygrał jakieś pieniądze, to byśmy sobie kupili mieszkanie, motor i co niedziela za miasto. Aha, a w niej się kochał taki sklepikarz: starszy, wredny, zawsze na kredyt jej dawał co potrzebowała. Ale tak, w ogóle, to był świnią: ciągle ją namawiał, a ona — nie i nie. Zaraz, aha... — No więc wtenczas, ten gość...

— Który?

— No ten, który miał tę à la narzeczoną. Przychodzi do niej i mówi...

— Koniec — powiedziała Wanda. Popatrzyła na niego pogardliwie. — Nic pan nie potrafi — rzekła. — Sam pan chyba nie rozumiał tego filmu.

Bużka uśmiechnął się marzycielsko; był tak śliczny, że patrzyła na niego tak, jak się patrzy na silne światło — musiała zmrużyć oczy. Uniósł długie rzęsy, jakoś rozmyślnie bardzo powoli, a wtedy jego zielone oczy wypełniło światło: gęste i gorące.

— Dobrze — rzekł. — Opowiem pani inny film, który rozumiemy oboje. To było daleko stąd, w obcym kraju. Żył jeden człowiek, z obcej ziemi i chciał wrócić do siebie. Poznał dziewczynę ze swego kraju, która też się tam jakoś zaplątała, zaczął z nią chodzić, potem wzięli ślub i wrócili do starego kraju. Rozumie pani, czy jeszcze raz powtórzyć początek?

— Mów.

Przysunął się do niej. Widział złote włosy na jej opalonym i giętkim karku; smagły brzuch przecięty pasemkiem ciemnych włosów; widział teraz, że dolna jej warga jest bardziej

wypukła od górnej, i że stale, w sposób prawie niedostrzegalny, przygryza ją delikatnie, sama nie zdając sobie z tego sprawy.

— Mów — powtórzyła.

— I wyjechali do Polski — powiedział. — Daleko, w lasy, gdzie nikt nie mieszkał i nie przychodził; i nie było z kim pogadać, ani gdzie pójść. Dobrze? Niech pani mówi: dobrze, czy nie?

— Masz dom w mieście? — zapytała cicho.

— A tam, w lasach — ciągnął Bużka nie zwracając na nią uwagi: podparł brodę pięściami i wpatrywał się w niebo — żyła łobuzeria, złodzieje, grandziarze; bo, proszę pani, jej mąż dostał robotę w takiej firmie, gdzie żadnego porządnego człowieka nie przyjmowano do pracy, bo wiadomo, że porządnych ludzi, to w ogóle szkoda. Więc jak kogoś wypuścili z kryminału i nie mógł się nigdzie zahaczyć — to szedł do tej firmy, jak ktoś śmierdział politycznie — szedł do tej firmy; jak ktoś się chciał na parę lat zamelinować przed bezpieką — szedł do tej firmy, a bezpieka siedziała spokojnie, bo i tak wiedzieli, że klient pewnego dnia poleci na łeb, na szyję...

Ścisnęła jego ramię.

— Masz dom w mieście? — powtórzyła.

— I tam właśnie, w te cholerne lasy — ciągnął Bużka niewzruszenie — zawiózł ją jej mąż. I nie miała nikogo, kto by ją stamtąd zabrał, i tak płynęło to życie bez śmiechu, bez ludzi, bez radości. Aż pewnego dnia...

— Ja dokończę — powiedział Warszawiak stał na dole, nieruchomy jak posąg z rękami w kieszeniach. — Pewnego dnia, zjawił się facet, który potrafił ładnie mówić. A sam też bardzo ładnie wyglądał. I opowiadał takie różne historyjki. Ale wiedział o jednym — bo to był mądry chłopczyzna — że w górach bardzo łatwo o wypadek, że motocykle też spadają na łeb, na szyję, że faceta można w górach bardzo łatwo przesłać do raju, i że żadna bezpieka na świecie, nie zatroszczy się o takiego gnojka: bo bezpieka ma bardzo dużo innych rzeczy do roboty... — Podczas gdy Bużka zszedł na dół i zapalał swój motor, Warszawiak ciągnął: — I ten mądry chłopiec, posłuchał rad swego starszego, kochanego kolegi — wsiadł na motor i pojechał do wszystkich diabłów.

Umilkł.

— A co z dziewczyną? — zapytała po chwili.

— Wiem co było z Dziewiątką — powiedział Warszawiak. Spojrzeli na siebie: on pierwszy spuścił oczy.

— Z Partyzantem było to samo — rzekła. — Tylko, że jeszcze przyjemniej.

Milczał; twarz pociemniała mu od krwi.

— Powiem Zabawie — rzekł. — Nie mogę patrzeć, jak dziwka robi szmatę z mężczyzny. Nie mogę patrzeć, jak śpi ze wszystkimi naraz.

— Nie ze wszystkimi — powiedziała. — Ze wszystkimi na świecie, ale z jednym — nigdy. Z takim jednym wysokim, chudym, który ma wielki nos, twarz jak pusty plac i oczy bandyty. Ze wszystkimi na świecie, tylko z tym jednym nigdy i nigdzie. Żeby nawet nie móc odezwać się do nikogo, aż do samej śmierci, żeby po śmierci również był las, i ci sami ludzie, i wszystko tak samo, to z tym jednym — nigdy, nigdy i nigdzie.

Podniósł głowę.

— Przecież ja cię kocham — wybelkotał. — Ty to widzisz. Chodź, odejdź ze mną. Ja jeden mam naprawdę dom w mieście, matkę i braci. Oni będą cię kochać, zobaczysz... I mogę tam wrócić, i naprawdę wziąć cię ze sobą. Nie mogę myśleć o tym wszystkim, co się tutaj dzieje. Odejdź ze mną, słyszysz.

Roześmiała się.

— Z tobą? Kup sobie lustro i popatrz na swoją mordę, — słyszysz? — krzyknęła. Odwrócił się i odszedł powoli w dolinę. — Kup sobie lustro, małe lustro i stań przed nim. Patrz ciągle w lustro, w lustro, w lustro...

Dolina powtarzała: lustro, lustro, lustro. Potem umilkły ptaki i znów kolorowa cisza przyszła nad dolinę; wypełniona pasmami mgieł i srebrnym światłem księżyca, milczała w posępnym oczekiwaniu świtu, słońca i światła. Tylko potok śpiewał nieprzerwanie; wyłobił w rozmięklej, wiosennej ziemi szerokie koryto i spadał po szerokich kamieniach — płaskich i gładkich jak policzki dziecka — niosąc w doliny aż do rzeki świętą i mroczną ciszę gór, kotlin i spokojnych drzew.

Kiedy wiedział już, że ludzie wszyscy śpią — ich zmęczone oddechy rwały się w ciemności — usiadł koło niej; teraz, po ucieczce Partyzanta i śmierci Dziewiątki spali na osobnych łózkach.

— Wanda — szepnął.

Objęła go za szyję.

— Uciekajmy stąd — szepnęła. — Wszystko ci przebaczę. Zobaczysz, że wszystko ci daruję, tylko uciekajmy stąd... — Rozpłakała się nagle: — Nie mogę tu żyć: bez ludzi, bez nikogo, bez żadnej radości. Cały dzień jestem sama, nie mam do kogo stworzyć ust.

Położył ręce na jej gorącym ciele.

— Posuń się — szepnął.

— Ale powiedz, że jutro mnie stąd zabierzesz.

Pogłaskał ją po twarzy, mokrej od łez i rozpalonej; chwyciła jego dłoń i poczęła ją całować.

— Musimy jeszcze zostać — szepnął w ciemność. — Jeszcze trochę.

— Ile?

— Dopóki mnie nie odwołają.

— Kiedy to może być?

Patrzył za okno: księżyc błakał się między gałęziami uschłego drzewa, błądził i nastraszone.

— Nie wiem — rzekł.

— Wrócimy już do miasta — mówiła. — Urządzimy sobie życie inaczej. A ja ci wszystko przebaczę.

— Co masz mi do przebaczenia, dziecko? — powiedział. — To tylko obowiązek. Chcesz, żeby się ze mnie śmieli i ci — tutaj, i ci — tam?... — położył głowę na jej ramieniu: — Posuń się, córeczko. Trzeba sobie przebaczyć. Tak dawno nie było nic... między nami.

Chciał ją objąć, lecz odskoczyła w ciemność.

— Nie, nie... Dopóki nie wrócisz tam, nie...

Uniosł rękę do góry, lecz opuścił ją bezsilnie. Narzucił na ramiona kożuch i wyszedł na dwór, szedł przed siebie — śliską i srebrną trawą, a nagle dostrzegł jakiegoś człowieka, stał oparty plecami o pień drzewa i patrzył w niebo.

— Apostoł — szepnął Zabawa. — Dlaczego nie śpisz?

Apostoł odwrócił się bez pośpiechu. Patrzył na niego poważnie i spokojnie.

— Dręczy mnie ta noc — powiedział.

— Co cię dręczy?

Apostoł uniosł dłoń ku górze.

— Czy Bóg mnie widzi?

Przystanął obok niego. Obaj patrzyli w niebo, gwiazdy drżały sięgając światłem w lodowatej pustce, księżyc przekornie czmychnął za chmury.

— Tak — powiedział Zabawa — na pewno... ty — pijany?

— Pijany, bracie.

Milczeli. Zabawa palił papierosa, Apostoł stał bez ruchu patrząc w pustkę nieba szklanymi oczyma. Księżyc znów wypłynął, wędrował spokojnie, pyszny niby paw, wśród przestraszonych gwiazd.

— Co zrobisz, jeśli ludzie będą chcieli wrócić do miasta? — zapytał Apostoł.

Zabawa przydeptał papierosa.

— Puszczę ich — rzekł. — A wtedy, ci z miasta, przysła mi innych.

— I będziecie wozić od początku?

— Tak.

— Ty naprawdę nie wierzysz w Boga?

— Nie.

— To lepiej.

— Dlaczego?

— Nie będziesz miał wyrzutów sumienia.

Zapalił nowego papierosa i zaciągnął się głęboko; czerwone światło zagrało krótkim poblaskiem na jego umęczonej twarzy.

— Nigdy ich nie miałem — rzekł. — Czy nie zostało ci trochę wódki?

Apostoł wyciągnął z kieszeni butelkę.

— Pij — rzekł. — To głuszy i Boga, i sumienie, i wszystko.

— Tak.

Dokończył i rzucił butelkę, poleciała aż w dolinę.

— Bóg już śpi — powiedział. — Zawsze miał twardy sen. Nie myśl teraz o nim... A ty co?

— Myśli — rzekł Apostoł. — Myśli do rana, bracie. Coś mi nie gra w mojej wierze.

— Mnie w mojej też — powiedział Zabawa. — Szkoda, że nie mamy jeszcze wódki.

— Szkoda — powiedział bezbarwnie Apostoł.

Księżyc znów zapadł w pierzynę chmur; fioletowy cień powłókł dolinę. Odezwał się jakiś ptak; zaskrzeczał krótko i umilkł natychmiast, jak człowiek przestraszony własną śmiałością.

— Słuchaj — rzekł nagle Apostoł. — Czy z tymi kartami, to prawda?

Zabawa milczał; patrzył ponad głowę Apostoła w rdzawe płamy na księżycu i w gwiazdy poniewierane wiatrem.

— Prawda — rzekł wreszcie a słowa jego zabrzmiały jak nikiel rzucony o szkło. — Idź już spać, stary.

— Mnie się czasem wydaje — powiedział Apostoł — że to wszystko, bracie, bluff...

Podniósł ku górze swą ogromną rękę i cień jej spłynął aż w dolinę. Księżyc wyskoczył; płynął spokojnie niebem szerokim i pustym; i znów ożyły wszystkie cienie i szmery świata.

— Każdemu się czasem tak wydaje — powiedział Zabawa. — Ale to wszystko, niestety, prawda. Gdyby to nie było prawdą, nie trzeba by było ani Boga, ani bezpieczeństwa, ani...

— Ani ciebie.

— Ani mnie — powiedział Zabawa. — Chodź już spać, stary.

Objął go ramieniem; powlekli się zgarbieni po srebrnej trawie.

Jechał bardzo powoli oślepiiony zachodzącym słońcem. Stąd, z góry, widział wszystko: przydymione już wieczorną mgłą lasy, ogarnięte chłodem doliny, wygasające palenisko słońca i połyskliwy strumień, którego bełkot towarzyszył mu już od godziny. O kilkaset metrów przed nim warczał silnik Apostoła — jeździli teraz parami do miasta; Warszawiak i Orsaczek powinni już być w powrotnej drodze. Dukt skończył się nagle; Zabawa skręcił w prawo rozmijając się ze strumieniem i jechał przez podmokłą dolinę skracając sobie w ten sposób o parę kilometrów drogę do szosy. Wóz zaczął zwalniać, a silnik mruczał niechętnie, dławiony wilgotnym powietrzem — podniosły się

już wieczorne opary — włączył więc duplikator i przedni napęd niby hałaśliwy owad wwiercał się całą mocą swych stu koni w miękką ciszę wieczoru.

Zobaczył nagle, że wóz Apostoła stoi, a on sam kręci się przy nim z ogromnym drągiem, wymyślając wściekle. Zaha-mował.

— Łańcuch mi pękł na przyczepie — powiedział Apostoł. Stał po kolana w błocie, starając się podeprzeć wóz drągiem; drzewo zsuwało się na bok pogrążając coraz bardziej koło w roz-wilgłej, cmokającej z zadowoleniem ziemi. Apostoł rzucił ze wściekłością drąg: — Muszę czekać na chłopców.

— Sami nie podciągniemy? — rzekł Zabawa.

Wzruszył ramionami.

— Nie.

— Oni będą za jakąś godzinę — powiedział Zabawa. — Nie zdążymy już potem do miasta.

— Będziemy nocować z wozami. To już nie pierwszy raz.

Patrzyli obaj na obsuwające się drzewo; przyczepa pochy-liła się skośnie wyginając ramiona kołowrotu, a koło ugrzęzło po oś.

— Niech to diabli — powiedział Apostoł, znów sięgnął po porzucony drąg. — Jeszcze parę minut i cała bryczka się przewróci.

— Może nie... Ale przyczepę diabli wezmą, to fakt.

— Słuchaj — rzekł Apostoł — gdybyś utrzymał łańcuch z tamtej strony — spróbowałbym może spaść kłonicie klamrami.

— Będziesz miał cały ciężar na sobie. Człowieku...

— Nie martw się o mnie. Ale ty utrzymasz?

— Postaram się. Daj mi drąg, powieszę się na nim.

Przeszedł na drugą stronę wozu; odpiął bezpiecznik kło-nicy, podpadł korbę drągiem i uwiesił się na nim całym cięża-rem swego ciała. Apostoł siedział już okrakiem na kłonicach i walił młotem w klamry.

— Jedna jest — krzyknął.

— Dobra — rzekł Zabawa. Krew przepłynęła w nim gorą-cym strumieniem, żyły na szyi i przegubach rąk nabrzmiały jak postronki, patrzył na nie z przerażeniem doznając wrażenia, że za chwilę pękną, w uszach głucho łoskotało mu serce i uderze-nia młotem słyszał, jak przez szczelnie owiniętą wokół głowy koldrę. Po chwili Apostoł krzyknął:

— Druga...

— Dobrze... — wymamrotał Zabawa. Czuł każdą chrząstkę, kostkę i żyłę swego ciała, był teraz tamą położoną między życiem tamtego a dwudziestoma tonami drzewa. Uderzenia brzmiały teraz delikatnie niby niekontrolowane bębnienie palcem po stole; szum w uszach gęstniał ogarniając go całego szczel-nym prześcieradłem. Odetchnął głęboko i wraz z oddechem frunął nagle w górę wyrzucony nieznana jakąś i niesamowitą siłą;

guma prawego koła przyczepa nie wytrzymała — wystrzeliła z hukiem wyrzucając w powietrze fontannę, zaraz potem rozległ się krzyk Apostoła odbity przez mroczniejące niebo — leżał na ziemi skulony w kłębek — drzewo przetoczyło się po nim, a wszystkie dziesięć kół przewróconego samochodu kręciło się w górze.

— Aposto! — krzyknął Zabawa.

Wstał z ziemi i zataczając się błędnie, poszedł ku niemu; szum w uszach trwał jeszcze ciągle. Upadł; począł pełznąć ku niemu na czworakach, przełaząc przez śliskie pnie.

— Aposto! — bełkotał. — Ty mów coś, mów...

Dociągnął wreszcie do niego swe potłuczone ciało. Powstał; chciał dźwignąć tamtego z miejsca, lecz Aposto! odpechnął go resztką sił; leżał na boku z podkurczonymi nogami i wydawał się teraz o wiele mniejszy.

— Nie ruszaj — jęknął.

— Boli?

Poruszył głowę z wysiłkiem. Pograżał się coraz bardziej w bulgocące wokół niego błoto. Zabawa klęknął obok niego.

— Daj rękę — szepnął Aposto!. Ucisnął ze straszną siłą swe palce na przegubie tamtego; Zabawie ból zmroził oczy.

— Wyciągnę cię — powiedział. Szarpnięciem uwolnił dłoń, Aposto! znów krzyknął takim głosem, że mróz przeszył plecy Zabawy. Puścił, stał nad nim z bezwładnie opuszczonymi rękami dysząc rozpaczliwie.

— Nachyl się — wycharczał Aposto!.

Przyklęknął.

— Jeszcze.

Oparł się ręką, która natychmiast po łokieć zanurzyła się w mazi. Leżał teraz prawie. Aposto! wyciągnął dłoń ku niemu, Zabawa patrzył jak rozczapierzone palce tamtego błędzą wokół jego pasa.

— Nie nosisz ze sobą? — szepnął Aposto!.

— Nie mów tak.

— Daj — wybełkotał Aposto!. — Chrupnęło, słyszałem... Daj.

Zabawa milczał wpatrując się w twarz Aposto!a; białała ciągle, a krew wokół jego głowy mieszała się z błotem. Aposto! otworzył oczy, widział pochylonego nad sobą Zabawę, zdziwiony i błydy rożek księżycy nad szczytami, i rdzawe plamy słońca konające na bagnisku. Uśmiechnął się.

— Wyciągnij — szepnął. — Jest... na piersiach.

— Co?

— Książka.

Zabawa wyciągnął z jego kieszeni książkę do nabożeństwa i otarł ją z błota.

— Modlitwa za konających... jeszcze nie teraz.

— Chodź — krzyknął Zabawa.

Pokręcił głową. Krew wypełniła mu usta i odpluł ją z trudem.

— Czy Bóg mnie widzi? — szepnął. — Mów...

— Jest przy tobie — rzekł Zabawa. — Zawsze był. Jest tutaj, obok. Nie czujesz go?

— Czytaj — szepnął. — Już...

— O najłaskawszy Jezu — wybełkotał Zabawa. Otarł pot z czoła: małe, czarne literki biegały jak myszki. — O Najłaskawszy Jezu. Miłośniku dusz, błagam Cię przez konanie Najświętszego Serca Twojego i przez boleść Matki Twej Niepokalanej, obmyj we Krwi Swojej grzeszników całego świata, co teraz w konaniu zostają...

— Czekaj — szepnął Apostoł. — Czy On jest kimś... czy do niego można oko zmrużyć?...

— Na pewno jest — powiedział Zabawa. — I będziesz już teraz przy nim. Będziesz miał spokój i wolny czas, i dobry sen; nie będzie ani więzień, ani bezpieki, ani politruków. Zacznie się wszystko, czego nie było tutaj.

— Czytaj...

— ...obmyj we Krwi Swojej grzeszników całego świata, co teraz w konaniu zostają i dziś jeszcze umrzeć mają. O Serce Jezusa Konające, zlituj się nad konającymi... — Modlitwa skończyła się, dalej już było co innego, lecz Zabawa patrzył na Apostoła i mówił: — Daj im prawdę o śnie, o życiu, o spokoju, o odpoczynku, o sumieniu i wolności. Daj im ziemię bez drzew i bez gwałtu, na której mogliby czynić i robić to, co myślą, co czują, czego pragną, spraw, aby zapomnieli o broni, gwałcie i przemocy.

Przerwał, widział jak Apostoł rozwiera usta do krzyku i przykrył mu delikatnie dłonią, czuł teraz — drgające na swej dłoni — całą siłę płuc tamtego. Krzyk zamarł i Zabawa dostrzegł w jego oczach wdzięczność.

— Czy to była prawda? — szepnął Apostoł.

— Co?

Patrzył na bezgłośnie poruszające się usta tamtego — zszniala i starczo obwisła, lecz nie słyszał nic. Pochylił się nad nim, ujął jego głowę i przechylił ją delikatnie; znów krew z jego ust spłynęła w błoto, łącząc się swym kolorem z resztkami czerwonego słońca. Przeleciało wysoko — z posępnym wrzaskiem — stadko dzikich ptaków, i zdawało im się, że czują na swych twarzach twardy powiew ich skrzydeł.

— Prawda?

— Co?

— Karty — szepnął Apostoł. — Karty, Boże...

Milczał i przemówił dopiero wtedy, kiedy dostrzegł jak ucieka światło w żrenicach tamtego.

— Gówno — powiedział. — Gówno jest prawdą.

A potem ciągnął to potężne, nieruchome i nie czujące już nic ciało przez błoto, sam w nie zapadając, ciągnął je do stojącego daleko samochodu przez łąkę na której zgasło już światło dnia — był z nim sam wobec zachodzącego słońca, chłodu ziemi i nieba, które nie zawala się nigdy i którego obojętności nie można dotknąć słowem, ręką ni pociskiem. Ułożył go wreszcie na suchej trawie, był tak zmęczony, że padł zaraz przy nim i leżał oddychając ciężko i chrapliwie jak zmęczone zwierzę. Słońce ślizgało się już końcem swego rozpędu; potem zdtławił je mrok.

Warszawiak i Orsaczek dostrzegli przewrócony wóz. Poczuli biec ku leżącym przez mokrą łąkę. Pierwszy dobiegł Orsaczek.

— Zabawa? — zapytał Warszawiak.

— Apostoł.

Zabawa podniósł się z trudem.

— Dziwne — rzekł Warszawiak. — Nie wiem dlaczego, myślałem, że to ty teraz będziesz.

Zabawa milczał.

— Zwalajcie drzewo — rzekł. — Tutaj: ty i Orsaczek.

— Dlaczego go ruszałeś? — spytał Orsaczek. — Powinieneś go zostawić do jutra, aż przyjedzie komisja i zrobi szkic wypadku. Ty chyba wiesz o tym najlepiej, nie? Chcesz, żeby się milicja przyczepiła?

— Zamknij pysk, szczeniaku — powiedział Zabawa. — Idź do samochodu i zwalaj drzewo tam, gdzie leży wóz Apostoła... — Zwrócił się do Warszawiaka: — Ty na co czekasz?...

Orsaczek już odszedł. Warszawiak patrzył za nim, uśmiechając się w zamyśleniu.

— Chcesz tutaj — powiedział — na pamiątkę?

Zabawa szedł już do swego wozu. Przystanął.

— Gówno — powiedział. — Pamiątki to gówno.

Warszawiak milczał.

— Dlaczego nie zwalasz? — krzyknął Zabawa.

Uśmiechnął się.

— Myślę o tym — rzekł — że jeśli kiedyś komu przyjdzie ochota podpalić ten stos — całe lasy pójdą z dymem. Takiego pożaru nic nie ugasi, ani samoloty, ani cała straż pożarna na świecie — święci popiekliby się w niebie. Tu są góry — wiatr z tego ognia robi drugie słońce — i nie znajdzie się ludzi z piaseczkiem.

Zabawa zbliżył się do niego.

— Tak myślisz? — szepnął.

Rozległ się przeciągły łoskot i odwrócili głowy; to Orsaczek rozbił kłonicę i zwałił drzewo.

— Byłoby na co patrzeć — powiedział Warszawiak. Uśmiechnął się: — Przez parę lat samochody nie miałyby tu nic do roboty. Dwa miesiące żaru a potem — drogi pozawalane,

górkę tyse... — Westchnął, poklepał Zabawę po ramieniu. — Nie miałbyś po co i z kim grać w pokera, przyjacielu — rzekł. Zabawa popatrzył na niego.

— Wrócisz jutro do miasta — rzekł.

— Nie — powiedział Warszawiak. — Nie bój się, ja nie zrobię tego. Zostanę z tobą. Chcę jeszcze coś zobaczyć.

— Co?

Warszawiak nie odpowiedział, poszedł wolno do swego samochodu. Znow rozległ się łoskot, który odbiło niebo i który powtórzyła zasnuta mrokiem dolina, potem podjechał Zabawa — rozpiął kloniec, drzewo poleciało w dół.

— A teraz śpij — powiedział. — Nareszcie śpij... — usłyszał nagle gwałtowne uderzenia i odwrócił się. — Warszawiak — krzyknął. — Co robisz, bydlaku?

Warszawiak nie odwrócił się. Stał przy samochodzie Apostoła i uderzeniami korby rozwalał silnik; roztrzaskał już delko, gaźnik i karter, z którego ciekła brunatna oliwa. Demolował systematycznie i spokojnie; tak spokojnie i pewnie, jak niegdyś Apostoł reperował swój gaźnik, swoje delko i sprawdzał stan oliwy w swoim karterze. Zabawa podszedł wolno ku niemu.

— Stój — powiedział. — Nie w ten sposób. Ja...

Odsunął Warszawiaka. Wyciągnął rewolwer i strzelił parę razy w bak; kule przebiły blachę, benzyna poczęła cieknąć cienkimi stróżkami, ale wybuch nie nastąpił. Warszawiak uśmiechnął się krzywo.

— W kinie takie numery przechodzą — rzekł.

Pstryknął niedopałkiem papierosa i nitka ognia z ziemi uniosła się do baku; pociągnął Zabawę na ziemię, a w następnej chwili szczątki baku z hukiem przeleciały im nad głową. Wóz płonął, paliła się poczerwiała od deszczu plandeka nad szoferką i teraz dopiero — w ogniu pomarańczowym i pełnym dymu — widzieli, ile na niej cer i szwów, ile razy zszywał ją Apostoł; paliły się pokrycia siedzeń, i gumy, i kable, i przesycone smarami okładziny koła kierownicy, a obdrapany lakier samochodu ożył w tej chwili — skwierczał i gotował się na rozgrzanej, dziesiątki razy prostowanej i spawanej blasze. Wielki wóz leżał przewrócony w jakiejś wstydlivej pozie, a płomyki ognia lizały go zawzięcie niby szczeniaki ogromnego psa.

— On by tak chciał — powiedział Warszawiak. — On by zwariował w niebie, gdyby widział, że jakiś pętać jeździ na jego wozie... — podniósł ku górze krzywy nos i wciągnął z zadowoleniem woń spalenizny, a pomarańczowe płomyki czyniły jego puste oczy jeszcze wstrętniejszymi. — A jednak — rzekł z żalem — nie zapaliło się ani jedno drzewo. Ani jedno mokre drzewo.

— Gówno — rzekł Zabawa. — Gówno.

DOMY BOGÓW

— Nie ma kawałka drzewa — powiedział Orsaczek. — Co mam robić?

Zabawa podniósł się z pryczy.

— Szukałeś wszędzie?

— Tak, łążem po podwórzu... Zresztą ciemno. Nie ma.

— Wszystko jedno — rzekł Zabawa. — Musimy mu zrobić jakąś trumnę. Rozwalaj pryczę.

Orsaczek wyciągnął z kąta siekiere.

— Partyzant — rzekł i trzasnął siekierą; prycza rozleciała się na kawałki. — Dziewiątka — powiedział; znów zamachnął się krótko i z pryczy pozostała kupka desek. — Apostoł — ta prycza była największa i najsilniej zrobiona; musiał zdrowo uderzyć parę razy, zanim deski rozsypały się bez sensu po podłodze. — Gdzie idziesz, Zabawa?

— Znajdę Warszawianka i pójdziemy do lasu po jedlinę — rzekł Zabawa, przypiął sobie do pasa latarkę. — Pospiesz się, Orsaczek. Już noc.

Wyszedł.

— Otwórz okno — powiedziała Wanda do Orsaczka. — Zobacz jaki kurz.

— To właśnie z tych desek — wyjaśnił Orsaczek. Podszedł do okna i pchnął je ramieniem; wtargnął słup tęgiego powietrza nocy. Wyjrzał, księżyc drętwiał już na swoim zwykłym miejscu. — Ej — powiedział Orsaczek — w taką noc, myśleć nawet nie można o śmierci... — Porozbierał deski do kupy i począł mierzyć je sznurkiem; miara była ogromna i Orsaczek gwizdał raz za razem. — To nasza stachanowska — powiedział do Wandy. — Nie znam się na numerach trumien, ale chyba coś takiego, jak czterdziesty czwarty numer butów... — Przez chwilę walił łbem siekiery w zardzewiałe gwoździe wysuwając z przejściem koniuszek języka, potem westchnął głęboko i zwrócił się do Wandy: — Mój Boże, już takiego drugiego mechanika nie znajdzie w całej Polsce. Cóż on miał za ręce. Do czego się nie dotknął — zaraz wszystko żyło. A teraz on sam... — Pochylił głowę i walił z całej siły, aż mu delta żyły nabrzmiąta

na czole. Zbił już ramię, potem począł przybijać dno, miały chwile i księżyc wzięty w środek okna łypał podejrzliwie nikłym oczkiem. — Z nim mieć na spółkę warsztat — powiedział Orsaczek — człowiek by nie zginął. Tu się z niego zawsze ludzie śmieli, że wozi z sobą drugi samochód w częściach, a on był tylko jedynym z nas, który nigdy nie stał, nikt go nigdy nie brał na dewizkę i zawsze dojeżdżał, gdzie chciał i kiedy chciał. On nie znał tajemnic, zawsze sobie dawał radę ze wszystkim, nawet z takimi rzeczami, których ludzie w warsztatach nie rozumieli, ludzie z przyrządami i w ogóle... — Przewrócił skrzynię na bok. — Tak — wybełkotał niewyraźnie: w zębach trzymał calowe gwoździe. — To on powinien być Panem Bogiem a nie kto inny. On by wykombinował człowieka jak się patrzy. A tak co? Człowiek choruje, męczy się, a jak ma już jaki wypadek i nogę mu na przykład wyrwie, to co? Kaleka, nic się nie da wymienić. Żeby nie wiem co, to najsilniejszy gość jest zawsze kościotrupem...

— Ty, ty mądralko — powiedziała Wanda. — Zamiast się mądrzyć, przygotuj sobie od razu taką samą gablotkę. Myślisz, że ty się migniesz?

Orsaczek uśmiechnął się pogodnie i z wyższością.

— O mnie możesz być spokojna — rzekł. — Ja mam swój cel. — Pojeżdżę jeszcze jakiś czas i nie zobaczą mnie więcej cudne twe oczy... — Walił z pasją, już dwa boki były gotowe. — Zresztą — powiedział wyjmując z ust kolejny gwoździe — może tu jeszcze kiedyś zawitam... — Przerwał, popatrzył na nią z wyćięsko: — Własnym wózkiem.

Roześmiała się.

— Wujek z Ameryki ci przyśle, prawda?

— Nie potrzeba aż tak — powiedział Orsaczek. — Potrzeba tylko tutaj — klepnął się w czoło — żeby główka pracowała. Mój ojciec zawsze mówił do mnie: „Synu: koń ma grzbiet, baba ma tyłek, człowiek ma ręce, a mądry człowiek — głowę...” Tak, proszę pani.

— I co się stało z twoim ojcem?

— Co się miało stać? Murował, spadł i umarł.

— Dużo twoją głową wykombinowałeś, chłopku-roztropku?

— Na samochodzik — wystarczy.

Usiadł okrakiem na skrzyni, bił teraz gęsto — łebek przy łebku.

— Mówię ci — rzekł. — Przyjadę tu jeszcze własnym wózkiem. Takim, że wam oczy wyskoczą z nitek.

Podeszła do niego.

— Widziałam już paru takich — rzekła patrząc ponad jego głowę w księżyc, który pulchniał z chwili na chwilę. — Jechali gdzieś, mówili o samochodach, sklepach, warsztatach, a potem — przepijali wszystko w czym startowali, okradali ich jacyś kanciarze lub dziwki, i wracali boso. Wracali boso i wszyscy

śmieli się z nich... — Poglądziła go po zjeżonej czuprynie. — Co ty wiesz, o świecie, chłopaku — rzekła — i o ludziach? Znajdzie się jakaś dziewczyna, zawróci ci w głowie i po pieniądzach. Albo jaki cwaniak. Czy wiesz, ilu ich kręci się w mieście i czeka na takich jak ty? W każdym mieście pełno jest cwaniaków...

Orsaczek zamarł z młotkiem wzniesionym do góry.

— Słuchaj — rzekł. — Ty... naprawdę?

— Naprawdę — rzekła. — Ludzie czekają tylko na to, żeby się wzajemnie oszukiwać... — westchnęła. — Szkoda mi ciebie — rzekła. — Jesteś młody i jeszcze mógłbyś chyba żyć inaczej... — Przysiadła obok niego i oparła podbródek na pięściach. — Kupiłbyś sobie jakiś samochodzik — rzekła — potem, po jakimś czasie — drugi, i trzeci, i byłbyś człowiekiem. Mógłbyś spać do dziesiątej, jeść co ci się podoba, a inni ludzie kłanialiby ci się na ulicy i z daleka pełzali przed tobą. Miałbyś mądrą żonę, która by pilnowała każdego twojego grosza i pędziła won wszystkich koleżków, którzy by skamlali u ciebie o pożyczkę...

— Tak — rzekł Orsaczek. Opuścił młot i przymknął oczy. — Wiesz, na początek kupiłbym kompresor. Każdy, komu by się nie chciało pompować podjeżdżałby do mnie, minuta i — dziesięć złotych. Raz po raz, proszę ciebie — dziesiątka, dziesiątka. A ja bym się kręcił po mieście wózczykiem, kursik po kursiku, kursik po kursiku...

— No — rzekła — a kto by przez ten czas pilnował kompresora? Minuta — i dziesięć złotych, minuta — i dziesięć złotych...

Spojrzał na nią baraniami oczyma.

— Tak — wybełkotał ze zdumieniem. — Właśnie... kto?

— Widzisz — rzekła — tak to jest z wami: porywacie się na coś, o czym pojęcia nawet nie macie. Minuta — i dziesięć złotych, minuta — i dziesięć złotych — ale dla kogo?... — Przysunęła do niego skurczoną wściekłością twarz. — Zginiesz — syknęła — jeśli nie tutaj, bo głupcy mają szczęście i zawsze wierzą w poranek, to tam, w mieście, na pewno. — Zaczęła śmiać się histerycznie. Chwyciła go za rękę i wykrzykiwała mu się prosto w twarz: — Minuta — dziesięć złotych. Minuta — dziesięć złotych. Ty matolku. Przybijaj, na co czekasz? Minuta i dziesięć złotych, minuta...

Rozległy się kroki po błocie, potem skrzypienie drzwi, Zabawa z Warszawiakiem weszli do środka niosąc naręcza jedliny — jedlina była mocna i elastyczna; ułożyli na niej wielkie ciało Apostoła, obmyli z błota i jego stężałą wciąż z bólu twarz, opletli mu zgrabiące ręce wytartym różańcem i przenieśli skrzynię w mrok — przez plac, na którym nie stał już jego samochód. Potem pędzili przez mrok i deszcz, który zjawił się nagle, jakby rzucony im naprzeciw za sprawą nocy; pędzili w milczeniu rozcinając ciemność żółtymi nożami reflektorów, w górę

i w dół, ku zamglonym i nieprawdziwym gwiazdom i w płaczące pod deszczem doliny; silnik dudnił ciężko — już zostawili za sobą zdrętwiały w mokrym śnie las i pędzili po szosie, rozniecając kołami monotony śpiew.

— Daleko jeszcze ten kościół? — zapytał Zabawa.

— Nie wiem — rzekł Warszawiak. — Ja się nie modłę.

— Nie wierzysz w Boga?

— Po co jest zarost na twarzy?

Z hukiem przelecieli przez most.

— Musimy to zrobić dla niego — rzekł Zabawa. — Umarł jak wielkie zwierzę. Czytałem to — dawno — wielkie, silne zwierzęta umierają w samotności i milczeniu. Odchodzą w pustkę i nie skarżą się nikomu. Tylko człowiek szczeka wspomnieniami.

— Nie krzyczał?

— Nie — rzekł Zabawa. — Ani razu. Wstał jeszcze po tym wszystkim i chciał dojść do wozu; dopiero potem go złamało. Pozdrowiał was i życzył wam szczęścia.

— O mnie nic nie mówił? — spytał Orsaczek.

— Chyba nie.

Orsaczek westchnął.

Był mi winien pięćdziesiąt złotych.

— Ach — rzekł Zabawa — racja, zapomniałem... Mówił mi, żeby ci oddać. Ja byłem mu winien jakiś pieniądz, zwrócę ci.

— Możesz zaraz? Bo potem... wiesz.

— Proszę cię uprzejmie.

— Wiedziałem — szepnął z rozczuleniem Orsaczek. Schował pieniądze do kieszeni i zapiał ją na zmyślnie przyszyty guziczek. — On był taki.

— Jaki?

— Właśnie... taki.

Przejeżdżali przez wieś, wszystkie okna były ślepe, wiatr szarpał w zgnitych gontach i siekł deszczem po zmytych, czarnych polach, tylko na końcu wsi, w gospodzie ludowej paliło się światło, szalała pijana harmonia i kłębił się głupi tłumek.

— Stop — powiedział Zabawa. — Nacisnął nogą hamulec.

— Nie jedziemy dalej na trzeźwo... — Wóz stanął, poruszała się przypięta łańcuchami trumna, Zabawa spojrzał na Warszawiaka: — Złe sny po drodze, tak?

— Tak.

Orsaczkowi — postawimy — rzekł Zabawa. Wyskoczył w błoto. — Chodźcie.

Weszli do środka ogarnięci dymem, wrzaskiem, złymi spojrzeniami. Kupili litr wódki i usiedli w kącie; na blat stolika kapąła woda z sufitu.

— Może on był już ostatni — powiedział cicho Warszawiak, obracając w rękach szklanke. — Jak myślisz, Zabawa?

Drgnął wyrwany ze snów.

— Co?

— Może on był już ostatnim — powiedział Warszawiak. — Może już ludzie nie będą ginać. Jak myślisz?

— Nie.

Wypili, odstawili szklanki. Woda z sufitu odmierzała czas nocy. Przysiadł się do nich harmonista, krzywonosy chłopiec bez nogi. Zmrużył oko do Zabawy i zaśpiewał.

Kałokolczyki, bubieńczyki lublu.

Zawtra na rabotu nie pajdu.

Puskaj — rwiot sia — dynamitnyj amonał.

Na chuj zdał sia Biełomorski nam kanał?...

Zabawa uśmiechnął się, wpadł mu w głos. Ryczeli obaj:

A jeśli na rabotu nie pajdiosz.

W ciemnoju izboszku papadiosz.

Tam — w karty nie sigrajesz.

Nikawo — nie ogrywajesz.

Tam — systematiczeskoj dajdiosz...

Pijem, koleś i stradam.

Wsiech legawych preklinajem.

Ej — za czem nas mama rodziła?...

Harmonista odszedł i skończył; znów podniosła się bełkotliwa wrzawa. Uchodziła noc w kroplach z sufitu; deszcz za oknami dręczył gołą ziemię; przepływały mgły i daleki szum lasów.

— Cóż — rzekł Zabawa. — Nalej, Warszawiak. Jutro znowu jest dzień, chwal się imię Twoje. Las, chwal się imię Twoje. Ziemia jest niewzruszona: żywi czy zdechli, tak czy owak, musimy się kręcić. Pojedziemy jutro po drzewo i będziemy je wozić, wozić, wozić — w poprzek drzew i wzdłuż szosy. Tony, kubiki, metry, sągi, cale, milimetry... — Wyciągnął rękę w kierunku okna: — słyszysz ten szum. To los wzrusza ramionami. Zawsze będę to słyszeć, choćbym nawet spał w centrum piekła. — Wychylił szklankę. — Ale humorek jest, prawda? Chciałem kiedyś zostać lotnikiem. To dobry zawód: taki człowiek ma prawo czuć pogardę do innych ludzi. Nawet drzewa są małe.

— Lotnicy najlepiej zarabiają — rzekł Orsaczek. — Znałem jednego porucznika, miał wypadek, uznali, że stracił zdrowie, dostał odszkodowanie i kupił sobie...

— Taksówkę — powiedział Zabawa. — Wózeczek. Samochodzik. Automobil.

Orsaczek drgnął.

— Skąd wiesz?

— Ja dużo wiem — powiedział Zabawa. — Nawet pojęcia nie masz ile.

Warszawiak podniósł głowę.

— Słuchaj — rzekł. — Jak myślisz : czy tamci, w mieście, wiedzą o nas ?

— Wszystko wiedzą — powiedział Zabawa. — Wszystko wiedzą. To przecież jasne. Wiedzą o wszystkich naszych kłopotach i nieszczęściach. O tym, że nie mamy samochodów, forsy, części, oleju. Wiedzą o naszych wypadkach, i rozumieją to tak, jak my byśmy chcieli. Jest w Warszawie taki dom, gdzie wszyscy ci ludzie pracują i myślą o nas jak o własnych dzieciach. Myślą o wszystkich robotnikach i o tym, co ich dręczy. Odmawiają sobie wszystkiego i żyją tak samo biednie jak i my. Tak samo nie mają ubrań, mięsa i forsy. Sami przecież byli robotnikami i rozumieją to wszystko dobrze.

— Jak wygląda ? — zapytał Warszawiak.

— Co ?

— Ten dom.

— Nie wiem — powiedział Zabawa. — Napijmy się.

Wypili. Łysnęło zdradzieckim oczkiem dno. Warszawiak uniósł pustą butelkę.

— Jeszcze raz ?

— Tak.

Orsaczek przyniósł butelkę : pili w milczeniu i szybko, ludzie brali czapki i chwiejnie peltali do domu — od płotka do płotka — przez błoto, glinę i wodę. Krople spadające z sufitu utworzyły już kałużę, starli ją rękawem, potem znowu woda odbijała ich zmętniałe twarze, i znowu łysnęło dno.

— Jak wygląda ten dom ? — powtórzył Warszawiak.

— Nie wiem — powiedział zmęczonym głosem Zabawa. — Wiem tylko, że jest. Nigdy go nie widziałem.

— Może jest z piaskowca ? — wykrztusił Warszawiak. — U nas, na Marymoncie mieszkali ludzie w budach, budy, papa, rura od piecyka i to wszystko... — Twarz jego przecinały spadające krople, nie bronił się przed nimi. — Może jest biały ? — powtórzył. — Z ogromnymi oknami ?

— Może — rzekł Zabawa. — Jedźmy już.

Wyszli. Silnik nie chciał zaskoczyć i starter jęczał boleśnie, mocując się z siłą sprężonego tłokami powietrza. Znow pędzili śpiewając idiotyczne piosenki, spleceni ramieniem i niepamiętni czasu, drogi i jutra, a zimny blask zegarów oświeślał ich ciemne twarze. Droga przed nimi biegła z uporem w ciemność, rozplywała się w mgłach i skotłowanych masach wody, migotały ostrzegawcze tablice zakrętów, huczały mostki i brzęczał wiatr.

— Kiedy byłem dzieckiem — bełkotał Zabawa — chciałem zostać lotnikiem. Świat jest okrągły, ale trzeba to zobaczyć...

— Znałem jednego lotnika — tłumaczył Orsaczek ściskając chude dłonie Warszawiaka. — Zaczął od tego...

— Człowiek działa na jednej zasadzie — krzyknął Warszawiak. — Na scenę wyszedł garbus : śmiechom i żartom nie było końca...

— Kiedy byłem dzieckiem — ryczał Zabawa — kochałem jak dziecko. A kiedy osiągnąłem wiek męski, wziąłem do ręki broń, aby mścić i zabijać tak samo nieszczęśliwych i zagubionych w ciemności życia jak i ja...

Naprzeciw nich wyskoczyła z mroku tablica; przystanęli:

— Z JEDNEGO DRZEWA — czytał Zabawa — MOŻNA ZROBIĆ TYSIĄC ZAPALEK. ALE JEDNA ZAPALKA MOŻE PODPALIĆ TYSIĄCE DRZEW. STRZEŻ SIĘ POŻARU. — Zatoczył się: — A gdzie kościół?

— Tam — powiedział Warszawiak i wyciągnął rękę; ruszyli przez wieś prowadzeni zajadłym szczekaniem psów. Gdzieś na końcu drogi, majaczyła wieża kościoła przekreślając cieniem swego krzyża, na który wbijał się księżyc — asfalt szosy, pola i wypalone chałupy. Przystanęli i wyszli z szoferki trzymając się rozpaczliwie pod ręce. Teraz szli w poprzek wiecznego biegu ziemi; ciągnęła ich w dół i w dół, kołysała ich bezsilnymi ciałami dręcząco i boleśnie, ukazując ich niebu — pustej bani bez jednej nawet gwiazdy.

— Do zakrystii — wybełkotał Zabawa.

Długo walili pięściami w drzwi; wyszedł wreszcie ksiądz, oświetlając ich twarze blaskiem naftowej lampy.

— Czapki, dranie — syknął Zabawa.

Zerwał im czapki.

— Niech będzie pochwalony — rzekł Zabawa, usiłując przytrzymać zębami rozlatujące się złośliwie słowa. — Przywieźliśmy człowieka.

— Co z nim?

— Nie żyje.

Ksiądz uniósł lampę wyżej, miał młodą, jasną twarz i czujne oczy.

— Panowie są bardzo pijani — rzekł. — Prawda, czy mi się tylko zdaje?

— Prawda — powiedział Zabawa. — Ale tak jest lepiej.

Warszawiak wysunął się do przodu.

— Ojcie — rzekł nienaturalnie głośno. — To był nasz przyjaciel. Wierzył w Boga tak, jak nikt chyba na świecie. Odpraw nabożeństwo, ojcie. Nic więcej nie możemy dla niego zrobić.

Umilkł: zmrużył oczy uśmiechając się głupio. Narastało w nim pragnienie aby zaśpiewać z całych sił: plugawie i głośno. Mamrotał coś ocierając z uporem mokrą od deszczu twarz.

— Ojcie — rzekł Zabawa. — Wysłuchaj nas. Jesteśmy sami. Jutro musimy jechać dalej i nie będziemy nawet wiedzieć, gdzie on jest pochowany. Nikt z nas nie pójdzie nigdy na jego grób... — Oparł się ciężko o framugę drzwi i histerycznie załkał. — Zginął człowiek — krzyknął. — Ktoś, kto żył. Czy to nie wystarczy za wszystko? — Podniósł rękę, wyrwał księdzu

lampę i zaświecił mu prosto w twarz. — Czy naprawdę nie istnieje miłosierdzie?

Ksiądz w milczeniu odebrał lampę i unióśł ją jeszcze wyżej; rozświetlił błoto, podwórze i udręczone ich twarze.

— Wnieście go do środka — rzekł. — Ja zaraz przyjdę.

— A drzwi?

— Co?

— Zamknięte?

— Zamknięte? — rzekł ksiądz i uśmiechnął się. — To jest dom Boga.

Weszli z trumną i przystanęli na środku. Kaszlący dziadek zapalił świece i znaleźli się w kręgu woskowego ich blasku, ze ścian patrzyły posępne twarze świętych, konał w mroku bolesny grymas rozciągniętego na zimnym krzyżu Chrystusa. Pachniało kurzem i starymi książkami; tu gdzieś — pośród kamiennych ścian, cieni i męczeńskich oczu, nieruchomo wpatrzonych w przestrzeń — zamykała się pełna wściekłości wieczność. Ksiądz wyszedł po chwili.

— Nic nie mogę zrobić — rzekł. — Nie mam ministranta.

Milczeli; trumna kołysała się na ich ramionach.

— Czy nikt z was nie służył do mszy w młodości? — zapytał ksiądz.

— Kiedy to było? — szepnął Zabawa. — I tutaj?

— Nikt? — powtórzył ksiądz.

— Ja nie — powiedział Warszawiak.

— Ja nie — powiedział Orsaczek.

— Stawiajcie trumnę — rzekł Zabawa. — Chyba jeszcze pamiętam...

Ostrożnie opuścili trumnę; dziad — wciąż zaspany i pokaszający — obstawił ją świecami.

— Jak się nazywał ten człowiek? — spytał ksiądz.

— Apostoł — rzekł Orsaczek.

— Który?

— No ten.

— Apostołów było dwunastu.

— Ten był tylko jeden — rzekł Warszawiak. — Tak mówiliśmy na niego; on wierzył w Boga, był pobożny. On... nawet wódki... nie pił.

— A organista? — zapytał Zabawa. — Kto będzie grał requiem?

— Organista pojechał do miasta — rzekł ksiądz. — Odprawimy cichą mszę.

— Musi być requiem — rzekł Zabawa. Potrzęsnał z pijackim uporem głową.. — Musi być requiem. On był taki pobożny... — Drgnął nagle, chwycił Orsaczka za ramię. — Ty przecież — powiedział. — Ty przecież potrafisz grać.

— Ja... ja... ja?...

— Dalej. Idź tam. Dam ci znak ręką.

Warszawiak z Orsaczkim odeszli

— Pamięta pan początek mszy? — zapytał ksiądz. — Na pewno?

— Pamiętam — rzekł. — Pamiętam jak dziś.

Ksiądz ruszył w milczeniu do ołtarza. Zabawa podniósł wzrok ku Orsaczkowi i pogroził mu pięścią. Katastrofa nastąpiła już w czasie mszy; Zabawa dał znak ręką a Orsacek — rozpaczliwie zmrużywszy czoło — milczał, ręce znieruchomiały mu na klawiaturze, jakby przyciśnięte ciężarem. Ksiądz przewrwał z rękami wzniesionymi ku górze i spojrzał na Zabawę, wtedy ten — podkasując komżę — pobiegł na górę.

— Graj! — krzyknął. Podstawił mu nagan pod nos: — Zabiję!

— Nie pamiętam — wyjąkał Orsacek. — Nic nie pamiętam.

— Graj... byle co.

Orsacek przebiegł palcami po klawiaturze; nie wierząc sobie i własnym uszom, zrozumiał nagle, że gra tę samą piosenkę, którą grał im zawsze — tam. Spojrzeli na siebie — przerażeni melodią — potem unieśli twarze ku górze; górą przebiegał wiatr, przebiegały gwiazdy, prądy międzygwiazdne i miliony lat świetlnych; krzyżowały się odległości, których nie może obliczyć i zrozumieć zaplątany w słowa, kłopoty, długi i pragnienia człowiek, lecz im — stojącym nieruchomo z czapkami w rękach, zdawało się, że ponad wszystkie odległości i sprawy, dochodzi do nich szum spokojnych drzew.

— Nie płacz — wybelkotał Zabawa do Warszawiaka. — Spiewaj...

I śpiewali we trójkę:

*Harmonia na trzy czwarte z cicha rżnie.
Ferajna tańczy — ja nie tańczę.
Z szacunkiem, bo się może skończy źle.
Gdy na Gnojej bawimy się.*

*Bez jedzenia i bez spania.
Aby było za co pić.
Antoś na harmonii z cicha zaiwania.
Trzeba tańczyć, trzeba żyć.*

*Świt latarnie już zagasł.
Z cicha gwizdże nocny stróż.
A pod szubienicą, tam daleko, na Antosia
Kat Maciejewski — czeka już...*

Potem wyszli na dwór. Wiatr rozgonił chmury, zdławił deszcz i niebo ukazało swe kamienne oblicze. Na wschodzie gasły już ostatnie gwiazdy. Z dolin i miast — ku przejaśnionej górze — podniósł się świt pełen mgieł i lęku; i znów — dzwoniąc pod kołami — uciekała droga w pełen jeszcze mroku las.

OHYDNI I SLICZNI

I znów oko księżycza znieruchomiało w tym samym punkcie okna. Wanda już spała. Orsaczek także; Warszawiak wyjechał do miasta wieczorem, aby się upić i do tej chwili nie powrócił. Zabawa wstał cicho z łóżka, usiadł przy stole i pokręciwszy nieco leniwy płomień lampy naftowej, począł pisać:

Do Egzekutywy Partyjnej „Drzewa”.

Oświadczam co następuje: dłużej drzewa wozić, rady nie dam. Ludzie mi się kruszą jeden po drugim, już zostało nas tylko trzech, części nie mamy i wozy nam się sypią, aż strach na nich jeździć. Dwa dni temu zginął nasz najlepszy kierowca, o czym meldunek załączam osobno, oraz szkic wypadku. Zwiozłem już całe wyrąbane drzewo z rejonu szóstego, a teraz muszę jechać na osiemnasty, co jest jeszcze wyżej, przy samym pasie granicznym, droga gorsza i piętnaście kilometrów dalej do zwalki. Ja jestem człowiek prosty i starałem się jak najlepiej, ale oświadczam: jeśli nie dostanę nowych wozów — przestanę wozić drzewo, bez względu na konsekwencje. Wykonywałem zadanie dokąd mogłem i nie patrzyłem na nic, ale wiem czym to się skończy i dlatego proszę, żeby mnie przerzucono na inny odcinek, w niższe góry, lub dano mi wozy zdolne do normalnej eksploatacji...

Urwał nagle i cisnął ołówek o stół. Podszedł do okna i otworzył je szeroko, usiadł na parapecie i wsłuchiwał się w ciszę: patrzył w błyszczące nad doliną gwiazdy i zdawało mu się, iż przerywany, głuchy szum potoku, jest ich głosem. Daleko gdzieś błysnęły reflektory, potem przybliżył się wrzask silnika, żółte światła przesunęły się po jego twarzy i Warszawiak chwiejnie wyszedł z kabiny. Śpiewał skrzeczącym głosem:

Miły nabrałam się kiły...

Dotoczył się do okna, złapał ręką futrynę i ciężko dysząc wpatrywał się w twarz Zabawy.

— Humorek jest — powiedział Zabawa, — prawda?

Warszawiak milczał i uśmiechał się.

— Ty będziesz następnym — powiedział wreszcie.

— Ja mam już upatrzone miejsce na dołek — powiedział Zabawa. — Nie masz mnie co straszyć.

Warszawiak uśmiechnął się smętnie.

— Będę pluł na twój grób — wymamrotał. — Będę pluł na wasze groby. Na wasze wszystkie groby...

— Dobrze, serce. Potem możesz sobie robić co ci się podoba. Ale dopóki ja żyję, daj spać mojej żonie.

Warszawiak otrzeźwiał nagle. Podniósł twarz do góry przekreślając krzywą nosa spokój nieba.

— Twojej żonie? — powtórzył, — Czy ty masz jeszcze żonę? Czy ty jeszcze w ogóle coś masz? Z czym przyjechałeś tu do nas? Z kłamstwem — że przyjdą nowe wozy; że spluwa — kiedy kłamstwo nie pomogło; z blefem — żeby zatrzymać ludzi; z dziwą — którą podajesz za swoją żonę, a która...

Umilkł nagle. Patrzyli na siebie w milczeniu a sekundy rozszerzały ich źrenice. Potem Zabawa chwycił Warszawiaka za koszulę i przyciągnął go do siebie.

— A gdzie spluwa? — zapytał Warszawiak. — Zapomniałeś już, że masz to żelazne oczko?

— Mów co wiesz.

— Ej — powiedział Warszawiak — nie wygłupiaj się... — Stracił jego rękę. — Przecież i tak nic nie zrobisz, a nieboszczycy są małomówni. Bohaterowie także. Tylko ty dużo gadasz. Partia. Drzewo. Wozy. Ludzie... Czego ty chcesz od niej? Puść ją, niech jedzie do miasta. Niech jedzie do wszystkich diabłów. Masz drzewo, spluwę i nas. Mało?

— Gdzie idziesz? — krzyknął Zabawa.

Przystanął, odwrócił się.

— Od dziś śpię w wozie — powiedział. — Nie będę spać w baraku. Tam śmierdzi tą dziwą, twoją żoną. I spermą nieboszczyków. Dobranoc.

„Miły — nabawiłam się kily...”

„Miły — wiem na pewno, że ty...”

Odszedł do swego wozu, do jednego z trzech ostatnich samochodów, które stały w swych odwiecznych koleinach, a trzy puste koleiny obok nich ciągnęły się aż w mrok doliny; napelnione połyskującą w księżycu wodą, lśniły niby srebrne wstęgi. Zabawa stał chwilę nieruchomo, potem odszedł od okna. Wziął do ręki naftową lampę i pochylił się nad Wandą; spała spokojnie, założywszy jedną rękę pod głowę, a drugą przesło-

niwszy oczy — jak dziecko, a spokój jej snu był — jak zdawało mu się — spleciony z ciszą i milczeniem doliny. Stał w milczeniu patrząc na nią rozszerzonymi oczyma, wciąż z wyciągniętą w rękę lampą, potem nagłym ruchem postawił ją na stole.

— Obudź się — rzekł. — Słyszysz?

Otworzyła oczy i powracała przez chwilę ze snu.

— Wrócisz jutro do miasta — powiedział. — Dobrze?

Patrzyła na niego nie rozumiejąc nic, potem przytuliła się nagle swym rozgrzanym, ciężkim od snu ciałem.

— Kochany — rzekła — kochany... Wszystko ci przebaczę.

— Wszystko?

— Och, tak. Wszystko.

Wstał.

— To dobrze. Jutro wrócisz do miasta — sama. Spakujesz swoje manatki, a ja rano odwiozę cię na pociąg.

— Sama?

— Nie słyszałaś?

— Co będę robić — sama?

— Twoja sprawa.

— Ty zwariowałeś?... — Roześmiała się nagle. — Wiem, ten bydlak powiedział ci, tak? Ale ja sama nie wrócę, słyszysz? Ty mnie tu przywiozłeś. Ty mnie przywiozłeś stamtąd i obiecywałeś mi złote góry: życie i mieszkanie, i dzieci, i spokój. Ty, czy nie ty?

Milczał.

— Dobrze — rzekł po chwili. — Zostaniesz dokąd będziesz chciała. Przyjdą nowi ludzie i nowe wozy. Znów będą się sypać. Zostań, jeśli lubisz miauczeć pod nieboszczykami. Obrączkę!

— Co?

Zdarł jej z palca obrączkę i cisnął ją w ciemność.

— Śpij, kochana — powiedział. — I nie myśl dużo. To nie dla ciebie. Pracuj raczej czym innym, a miasto będzie blisko.

— Śmieliby się ludzie w mieście — rzekła — gdybym im powiedziała.

— Co?

— O tobie. Że przez cały czas, jak jesteś tutaj — ani razu mnie nie miałaś. Że zawsze było tak, jak ja chciałam, a nie jak ty. Zwariowaliby ze śmiechu. Wykończyłeś ludzi, wykończyłeś wozy, a mnie nawet nie tknąłeś. I chodziłeś z kutąsiną po prośbie. Bo ja tak chciałam. Dobranoc.

— Dobranoc, kochanie.

Znów usiadł przy stole. Przeczytał swój list raz i drugi, potem uniósł go nad płomień lampy; patrzył jak gorący podmuch unosi sadzę ku górze i jak wsysa je ciemność za oknem, następnie począł pisać:

Zwiozłem — zgodnie z poleceniem i z zadaniem wyznaczonym mi przez Partię — drzewo z rejonu dwudziestego szóstego. Strat w drzewie nie było. Jutro rozpoczynam zwożenie z rejonu osiemnastego. Zostało nas tylko trzech kierowców. Zgodnie z Waszym poleceniem prowadzę akcję uświadamiającą — upolityczniającą wśród ludzi. Już są pewne wyniki. Potrzeba mi ludzi. Czekam na następnych.

— O czym myślisz, kochanie?

Uśmiechnął się.

— Myślę o tym — rzekł — że gdybym potrafił wymyśleć o kobiecie jakieś nowe słowo, będące czymś więcej od „kurwy” — byłbym bogatym człowiekiem i wtedy mógłbym ci kupić całe miasto. Świat by mi za to zapłacił wszystkimi swoimi drzewami. Dobranoc kochanie...

Odwrocił się do okna i patrzył do świtu w gwiazdy — owe posępne róże nocy, rozkwitające w jej sercu i więdnące wraz z urodą poranka, kiedy jasność i słońce zdobywają władzę nad pogrążonym w chłodzie świtem. Potem ubrali się i odjechali na swych gruchotach w wysokie, omotane jeszcze mgłami góry, tam, skąd słońce wydaje się jeszcze dalsze, jeszcze bardziej zimne, i jeszcze bardziej niepotrzebne.

Słońce było już wysoko; wylegiwała się w jego promieniach jak puma i kiedy usłyszała znajomy grzechot motocykla nadjeżdżającego od szosy, nie chciało jej się nawet otworzyć oczu i poruszyć ociążonego od wchłoniętego słońca ciała. Ranek był wyjątkowo ciepły i jasny, duszny od zapachu ożyłego już lasu i nic nie mąciło jego spokoju, a cikliwy bełkot strumienia w dolinie, sprzyjał temu, by nie myśleć o niczym i trwać w bezruchu, ze słoneczną ciemnią pod powiekami.

— Ej — powiedział Bużka, ustawivszy motocykl na podpórce. — Kiedy byłem tu dwa tygodnie temu, leżała pani tak samo na słońcu, prawda?

— Nie, nieprawda. Na plecach.

— Tak, pewnie — przyznał motocyklista Bużka. Ściągnął już z zakurzonej twarzy okulary i stanął przed nią: promienny i radosny. — Tylko ja jestem delikatny.

Usiadł na pieńku do rąbania drzewa i począł grzebać w swojej skórzanej torbie; obliczył pieniądze i układał je w małe kupki na ziemi.

— Może pani pokwituje — rzekł skończywszy robotę. — Niech pani przeliczy i pokwituje. Nie chce mi się czekać do wieczora.

Zeskoczyła z dachu i zbliżyła się do niego. Była zupełnie brunatna, dzięki czemu twarz jej sposepniała. Kiedy widział ją

ostatni raz, była zaledwie złotawa, tak, jak potrafi tego dokończyć z ludzkim ciałem pierwsze, delikatne słońce.

— Opaliła się pani — rzekł oblizując zeschłe nagle wargi.

— Kiedy?

— Mam chyba czas. Jak pan myśli?

Myślę — rzekł Bużka i westchnął. — Proszę liczyć...

Zabawa — zgadza się?

— Tak.

— Warszawiak — zgadza się?

— Tak.

— Orsaczek?

— Tak.

— Apostoł?

— Nie — powiedziała. Odsunęła pieniądze na bok.

— Nie? — zdumiał się Bużka. — Dlaczego?

— Nie ma Apostoła.

— A gdzie jest?

— Poszedł.

— Dokąd?

Popatrzyła ponad piękną jego głową na bliskie i dalekie korony drzew; były prawie tak samo zielone jak w chwili, kiedy przyjechała tutaj, choć wtedy leżał jeszcze wszędzie śnieg i wilki zostawiały na nim ślady swych wstrętnych łap; tak samo odgradzały ten skrawek rozjeżdżonej i porytej ziemi od nieba, miasta i świata, i ciągły ich szum był wtedy tak samo spokojny.

— Dokąd? — powtórzył Bużka.

Odwróciła się.

— Drogą wszystkich ludzi.

Bużka skrzywił się.

— Mój Boże — rzekł. — Niech pani powie... To człowieka już nie ma, a oni tam nic nie wiedzą i przysyłają pieniądze dla niego, i ja jadę, i wiozę...

Przerwała mu.

— Niech się pan nie wygłupia — rzekła. — Tu wszyscy wiedzą i mówią o tym, że to pan kombinuje, żeby brać wypłatę za nieboszczyków korzystając z bałaganu w Centrali, i z tego, że oni o nas nic nie wiedzą. Raz, jak mówią, woził pan przeszło trzy miesiące wypłatę komuś, na kim już dawno przekwitły tuje. Do mnie proszę tak nie mówić, śliczny chłopcze.

Popatrzył na nią zimno.

— Kłamstwo — powiedział. — Po pierwsze: nie trzy miesiące a dwa. Po drugie: temu człowiekowi nikt nie sadił na grobie kwiatów, tak, jak nikt nie sadi kwiatów Dziewiątce, ani Apostołowi. Pani dobrze wie, jacy ludzie pracują w „Drzewie”, o groby takich ludzi nikt nie dba. A w końcu: umarli są umarłymi i pani się też o tym przekona przymierzając pewnego dnia welon przed lustrem. I wreszcie jedno: w Polsce tylko ci nie kombinują, którzy nie mogą, bo potrafi prawie

każdy. Ja okradam tych, co są albo w raju, albo w piekle, a tam nasza waluta i tak nie ma wartości; a ci w Centrali i ci jeszcze wyżej, okradają nas i z życia, i z zarobków, kombinując w ten sposób, że „Drzewo” jest dla wszystkich tutaj ostatnim miejscem gdzie mogą pracować. Ja kombinuję na grobach, a oni na żywych ludziach. Niech pani mi powie, śliczna panienko: kto tu naprawdę jest złodziejaszkiem?

Milczała, patrząc na niego z uwagą. Wstał i poczał chodzić wielkimi krokami, a w pewnym momencie spostrzegł leżące na ziemi pieniądze i kopnął je w bok. Ogarnęła go wściekłość i szarpnięciem rozerwał koszulę na piersiach. Teraz był naprawdę śliczny, kiedy tak chodził kocimi krokami, z pociemniałą twarzą i rozszerzonymi pasją oczyma — wodziła za nim wzrokiem jak za ptakiem zwiastującym burzę.

— Co ty myślisz? — powiedział. — Mam żyć tak, jak wy tu? — Podskoczył do baraku i kopnięciem otworzył drzwi. — W takiej norze? W zaduchu? Czekając, aż połamię sobie nogi i ręce, i kark? A wtedy przyjdę do ciebie i ty mi dasz żyć, prawda? — Otrząsnął się jak pies. — Nie, miła — powiedział. — Wszystko, tylko nie to. Opowiadałem ci wtedy film, ale ten bandzior nie dał mi skończyć. Skończę go teraz — szybko i bez pudła. Słuchaj: oni wszyscy powędrują w chmury, lub do piekła gdzie ich tylko będą chcieli przyjąć. Twój mąż z nimi. Może zresztą zostanie ci wzruszający kaleka? Kto to wie? Nie wiem ile to potrwa: tydzień czy rok, głupcy mają w końcu szczęście. Może pięć lat? Nikt tego nie wie. I wtedy ty...

Urwał nagle i pochylił się nad nią.

— Co — ja?

— Wtedy ty — rzekł — wrócisz do miasta, to pewne. Ale już nie będziesz taka, jaka jesteś teraz. — Uśmiechnął się i przeciągnął dłonią po jej twarzy. — O, nie — rzekł — ten film nie skończy się ładnie. Do miasta wróci stara, brzydka baba, z którą nikt się nie ożeni i która będzie musiała płaszać pod latarnią, żeby pijani chcieli na nią popatrzeć... — Urwał potem rzekł: — Smutne, prawda? Cóż robić? Ja bym sam chciał, żeby mogło się to skończyć inaczej.

— Ty masz dom w mieście?

Wyprostował się.

— Mam — powiedział. — Pewno, że mam. I dom, i trochę forsy, która kwitnie na waszych grobach. I żeby miał jutro skonać, to dziś jeszcze składałbym forszę na nowy, czarny, porządny garnitur, żeby się odróżnić czymś od was i waszego przekłętego życia.

— Jak wygląda twój dom?

— Jak wygląda? — powtórzył. Znów pochylił się nad nią; ujął jej głowę w ręce i przyciągnął do siebie. Teraz z bliska ujrzała jego oczy — czule i jasne, pełne dobrego światła. — Po co ci mam mówić? — rzekł. — Opowiem ci, odjadę, a ty wró-

cisz do baraku, będziesz liczyć pluskwy tych szmaciarzy i myśleć o tym. Po co ci to potrzebne? Kiedy żyje się w takim miejscu jak tutaj, człowiek nie powinien marzyć o niczym.

Wstał, raz jeszcze przeciągnął suchą dłońią po jej twarzy, podszedł do motocykla i sprowadził go z podpórki.

— Jak wygląda twój dom? — powtórzyła.

Uśmiechnął się.

— Codziennie rano trochę słońca — rzekł. — A to przecież najważniejsze. Nic nadzwyczajnego, ale człowiek lepiej myśli niż tutaj... — Kopnął rozrusznik i silnik zagrzechał monotonię. — Żegnaj — krzyknął Bużka przekrzykując warkot; miał już zasunięte na oczy okulary i wyglądał bardziej na przybysza z obcej planety, niż na tego pięknego chłopca, z którym rozmawiała przed pięcioma minutami, pomyślała wtedy, że wszystko by dała, aby raz jeszcze spojrzeć w prawdziwą jego twarz. — Żegnaj — krzyknął — i nie pamiętaj o tym...

— Pojadę z tobą — krzyknęła. — Słyszysz? Wezmę tylko sukienkę.

Zdjął rękę ze szpuli gazu: silnik przycichł i pykał teraz, niby kolosalna fajeczka. Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

— Nie bierz nic stąd — rzekł. — Jedź tak, jak teraz. Po co ci sukienka? Chodź, oni mogą nadjechać...

Objęła z tyłu jego szyję i pędzili teraz przez dolinę i ciepły wiatr, przechylając się to w prawo, to w lewo, zwyciężając raz po raz swymi rozgrzаныmi ciałami i rozdygotaną masą żelaza wszystkie prawa ziemi i równowagi — potem — przez zakręt Warszawiaka i Zabawy, Partyzanta i Dziewiątki; potem koło ogromnego stosu drzewa, które obmyły już gwałtowne deszcze i którego górne bierwiona prawie na białą, w ciągu dwóch dni, spłowiąły od słońca; wyjechali wreszcie na szosę, która oddalała ich od baraku i przybliżała do miasta, i której oslepiająco białą asfalt mętniał z chwili na chwilę, gdy motor wciąż nabierał szybkości; aż w końcu stał się szarym, zatartym pasem biegnącym wśród niewzruszonej zieleni. Nagle Bużka skrzyknął w bok tak gwałtownie, aż krzyknęła z przestachu i jeszcze mocniej przycisnęła się do jego twardej szyi; motocykl znów biegł w podskokach po leśnej drodze przez dobre kilkaset metrów. Potem Bużka zatrzymał się.

— Chodź — szepnął.

— Tu? To może w mieście?

— W mieście? — rzekł. — Daleko jest miasto.

Znów ustawił motor na podpórce — tuż nad stromym urwiskiem, którego dno wyszczerzyło swe zęby kamieniami, ona powlokła się za nim. Nie myślała o niczym i nie czuła nic, teraz — kiedy przedzierali się przez gąszcz, obcierając swe nieosłonięte ciało szorstkimi gałęziami, i potem — odsunawszy z ramienia jego spocone, nieco podrygujące czoło. Poprzez ciemne kopuły drzew patrzyła w niebo i do rozedrganej maszyny wtła-

czającej jej ciało w ostre, słońcem nagrzane igły, mówiła — zamiast tysiąca przygotowanych — tylko dwa prawdziwe słowa, brzmiące jak jęk i które on brał za jęk :

— Miasto, miasto.

Warszawiak skończył pracę pierwszy ; zrzucił drzewo w tartaku i wracał już do domu, ciągnąc za sobą spiralę białego kurzu. Przejeżdżając przez ostatnią wieś na swojej drodze, musiał przystanąć — szosą ciągnął uroczysty orszak weselny ; družbowie i ciemno ubrani goście kompletnie pijani, tarzali się na rozklekotanych furkach ; chudym szkapom powbijano w wypłowiałe grzywy kolorowe wstążki i papierowe kwiaty, co przy ich pokraczności i wychudzeniu, nadawało im wygląd i śmieszny, i żaloszny. Panem młodym był tęgı chamuś o spoconej twarzy ; siedział dumnie i sztywno, rozglądając się władczo tępy mi oczami. W pewnym momencie spojrzenia jego i Warszawiaka skrzyżowały się — Warszawiak mrugnął na niego i narysował palcem kółko na czole.

— Po co ci to było, kochany ? — krzyknął. — A nie lepiej tak na rybki pójść ? Taka sama przyjemność i z rybą nie trzeba się od razu żenić...

Ruszył na cały gaz przerażając i konie, i pijanych weselników. Szosa ukryta była w cieniu, słońce pastwiło się nad nieruchomymi drzewami i stamtąd tylko — kiedy budził się ciężki wiatr — dochodził podmuch ; niemrawy i lepki ; w tym powietrzu gęstym jak smoła silnik pracował ciężko i bezdźwięcznie.

Daleko przed sobą zobaczył służbę pograniczną, jechali otwartym łożyskiem, a jeden z żołnierzy podniósł już do góry żółtą chorągiewkę : s t o p. Warszawiak uśmiechnął się.

— O nie, kochani — powiedział. — Nie lubimy się przecież, prawda ?

Zerknął w prawo, lecz tu trwała niewzruszona ściana lasu. Wychylił się w lewo i zobaczył leśny dukt ; wyboista droga prowadziła w ciemną, senną wilgoć. Rzucił w bok kierownicę, aż piszczały koła, wyłączył silnik i na jałowym biegu zjeżdżał w dół przez las skryty w cieniu a wszystkie dziesięć kół jego wozu miażdżyły gałęzie i konary : dukt był wąski i Warszawiak co chwila pochylał głowę, aby uniknąć uderzenia gałęzią w twarz.

Kiedy zobaczył motocykl Bużki — zatrzymał się. Wyszedł z wozu i stał nieruchomo wysunawszy do przodu krogulczy nos ; chudy, wysoki z ciemną, spaloną twarzą i w brudnej koszulce gimnastycznej, na tle świeżej, spiętrzonej i nieprzytomnie radosnej zieleni — wyglądał jak zły duch wszystkich ciemnych lasów i trzęsawisk. Nad głową jego wrzeszczały ptaki, a błotnistą ścieżką przesunął się miękko zielonkawy, mały wąż. Stał wciąż

nieruchomy i oczekujący, patrząc przed siebie pustymi oczyma i kołyszając długimi rękami, a potem — kiedy usłyszał ich głosy — jego oczy napęłniły się powoli zielonym światłem. Rozejrzał się raz jeszcze; w górze było niebo i oni, i las; po prawej stronie drogi — błoto i urwisko.

A potem wszedł na górę ciszej od węża i widział ich leżących obok siebie — obezwładnionych upałem i miłością; i widział ich miłość taką, jaką widywał czasem w postrzępionych książkach i na brudnych zdjęciach, które przeszły przez tysiące rąk, budząc uśmiechy niedowierzania; i patrzył na to wszystko przez czas bardzo długi nie zamykając oczu ani na sekundę — i niebo, i zieleni, pozostały nieruchome, i tak samo spokojnie szumiał las.

— Jedźmy już — powiedziała Wanda.

— Dokąd?

— Jak to — dokąd? Do miasta.

— Pojedziemy — rzekł Buźka — ale nie wszyscy.

Podniósł się.

— No, no — rzekł. — Ale ciebie łatwo obujać. Mój dom? Mieszkam w hotelu robotniczym, kochana. Czterdziestu na jednej sali; nocami awantury, pijaństwa, kradzieże. Kiedy chcę robić z własną żoną to, co z tobą — musimy się spotykać na korytarzu, albo jeszcze gdzie indziej... — Uchwycił tuż przed swoją twarzą jej rękę. — Ej — rzekł. — Nie wyglupiaj się. Bądź miła do końca.

Pozapinał się, naciągnął okulary na twarz i zszedł na dół mrużąc coś do siebie; a kiedy stanął już na drodze zobaczył Warszawiaka; Warszawiak siedział okrakiem na zderzaku swego wozu — był uśmiechnięty, palił papierosa i wyglądał milej niż zwykle. Buźka rozejrzał się: motocykla nie było. Podbiegł do urwiska: kilkadziesiąt metrów pod nim leżała kupa potrzaskanego żelastwa, karter silnika rozłupał się na kawałki i wyciekła oliwa lśniła tłusto w zachodzącym słońcu.

— Mój motocykl — wybełkotał Buźka. Złapał się rękami za głowę. — Spadł...

— Mnie się też tak wydaje — powiedział Warszawiak. Siedział nieporuszony i uśmiechał się; jak zwykle, w każdej wolnej chwili rysował patykiem brzydkie rzeczy na ziemi, tym razem była to naga kobieta rozpięta na krzyżu.

— I co teraz będzie? — wymamrotał Buźka.

Warszawiak uniósł głowę i odrzucił patyk. Przyglądał się chwilę swemu dziełu, potem rozmazał rysunek obcasem.

— Wiele różnych rzeczy — powiedział.

Buźka oprzytomniał nagle. Spojrzał na Warszawiaka i cofnął się do tyłu.

— No — powiedział Warszawiak — jak ci tam poszło z nią. Buźka?

Bużka wsadził rękę do kieszeni i nieznacznie wyciągnął nóż; położył palec na cynglu sprężyny.

— Nienajgorzej.

Warszawiak skończył palić, rzucił niedopałek i starannie zgasił go nogą. Wciąż siedział na zderzaku majdając nogami.

— Przykro mi — rzekł. — Ale to już chyba ostatnia dziewczyna w twoim życiu, mój śliczny.

— Tak ci się wydaje, Warszawiak.

— Ech, skąd. To ty raczysz żartować.

Stała nad nimi i widziała jak Warszawiak nie zmieniając wyrazu twarzy, chwycił się nagle rękami za zderzak i ruchem sprężyny wyrzucił obie nogi prosto w twarz Bużki miazdząc ją w ciągu sekundy; jeszcze mokry dźwięk uderzenia wisiał nad drogą a ona widziała już, jak Bużka wali się do tyłu przez głowę w najgęstsze błoto i Warszawiak skacze ze zderzaka znów obcasami na twarz tamtego; a potem już nie mogła odróżnić, kto jest kim — w tej mazi błota walczyły ze sobą dwa upiory bez twarzy i oczu, zanurzając nawzajem w breję własne głowy i przelewając się wciąż uderzeniami w brzuch, w twarz, w kręgosłup, w nerki i w wątrobę; celując kolanami w rozkrocz a palcami w oczy; a wszystkie te uderzenia — szybkie i dławiące, brzmiały w tym błocie niby klekotanie pralki o wodę; aż w końcu jeden wywindował się na drugiego, chwycił jego głowę za włosy i zanurzył ją w błoto, siedząc na drgającym niby stalowy resor karku — a wtedy na powierzchnię błota poczęły wyskakiwać, jeden za drugim; szalenie szybko i w sposób jakiś komiczny — pęcherzyki powietrza, podczas gdy nogi tego człowieka młóciły w tyle breję, unosząc aż ku koronom drzew fontanny gęstego błota. które bryzgało i na jej twarz, i na szybę samochodu; wreszcie zamarły i nogi i powierzchnia błota.

Warszawiak wstał, otarł twarz. Chwycił Bużkę za nogi i wyciągnął go z błota. Podniósł z ziemi nóż, który już w pierwszej sekundzie wypadł z dłoni tamtego.

— Mój śliczny — wymamrotał. — Bużka...

I znów patrzyła jak Warszawiak — niby leśnik starannie nacinający korę żywiczną drzew — starannie i bez pośpiechu szpeci twarz tamtego otwierając ją ze wszystkich stron. Podniosła ręce do góry, zasłoniła nimi twarz.

— Przestań! — krzyknęła.

Wstał i odrzucił nóż. Zatoczył się parę kroków i upadł, leżeli teraz obok siebie. Uniosła go z trudem.

— Uciekaj — krzyknęła. — Coś ty zrobił.

Popatrzył na nią błędnie, potem wstał. Wciąż patrzył na nią mrugając oczami, potem uśmiechnął się nagle.

— Kto teraz ładniejszy — rzekł. — Ja czy on?

Wstał i szedł ku niej, błędnie wyciągając przed sobą mokre ręce; patrzyła na niego i nie miała siły się cofnąć.

— Wszystkie jesteście jednakowe — powiedział łapiąc z trudem oddech. — Moja matka była taką samą dziewczką, moje siostry były takie same, i ty jesteś taka sama. Wszystkim wam ... patrzy z oczu; nawet na krzyżu widzicie nie Boga, a jego koniec... — Chwycił ramiączko jej stanika i zerwał go; stała wciąż z opuszczonymi rękami. — Pewnie cię boli tam wszystko w środku, prawda? Czy możesz od początku? Ale to nic, przejdzie. I te twoje śliczne usta też cię bolą, co? Przystaną. Może cię nawet i boli, ale nic po tobie nie widać. Nigdy po was nie widać. Można bawić się z wami, podmywać, i bawić od początku... — Znow wyciągnął rękę; szarpnął perkalik, który pękł jak pajęczynka, a ręka jego pozostawiła na jej ciele ślad błota. — Czego szukacie, czego pragniecie, ponure bydłota? Po nagłą cholerę rodzicie się wśród nas? Nylonowe zwierzęta...

— On umrze — rzekła.

— Umrze? — powtórzył. — Taki prędko nie umiera. To by było za dobrze

Chwycił Bużkę za włosy i postawił go na nogi. Skrwawiona twarz patrzyła na niego jednym okiem, otworzywszy kilka ust. Odwrócił go szarpnięciem i kopnął; upiórek szedł wśród spiętrzzonej zieleni, obłany czerwienią konającego słońca: wyciągnął przed siebie ręce i szedł, i padał, podnosił się i brnął od urwiska do ściany lasu, ni to płacząc, ni wyjąc, ni śmiejąc się głupkowato. Warszawiak usiadł na błotniku.

— Wracaj — rzekł po chwili. — Uciekaj stąd w każdym razie.

— Warszawiak — szepnęła. — Ja teraz wiem, że tylko ciebie...

Zatrząsł się z wściekłości i umilkła. Podniósł na nią oczy, znow tak samo puste jak zwykle i bez światła.

— Lusterko — syknął. — Lusterko. Teraz ty się sobie przyjrzyj...

Odwrócił tylko lusterko i pochylił jej twarz; patrzyła chwilę w śmiesznie zmniejszone odbicie własnej twarzy; a po chwili — poprawiła włosy i oblizwała usta; teraz wyglądała już o wiele lepiej. Okręcił ją w miejscu i pchnął kopniakiem; odeszła w drugą stronę, tak samo zataczając się jak Bużka, lecz już po kilku metrach zrównała krok i szła spokojnie. Został sam, na środku portej drogi; ptaki wciąż śpiewały nad jego głową, a daleka dolina powtórzyła po wielu chwilach słowo: lusterko. I znow wąż przemknął ścieżką unosząc na swej połyskliwej skórze skradziony słońcu promień; zresztą było ono ogromne i oświetlało wszystko: i węża, i doliny, i kamienne drzewa, i kałużę oliwy z roztrzaskanego motocykla, i czerwone ręce Warszawiaka, który oglądał je ze wstrętem, marszcząc krogulczy nos.

Wóz nadjeżdżał z doliny i Wanda wyszła przed barak. Orsaczek wysiadł z kabiny, lecz nie kwapił się wcale z powrotem do baraku; podniósł maskę, sprawdził stan oleju, cmoknął przy tym, mamrotał coś do siebie kręcąc jasnym łbem; potem wyciągnął smarownicę i rozłożywszy na błocie brudną derkę — wpelzł pod samochód. Patrzyła długą chwilę jak Orsaczek morduje się z zapiekłymi sworzniami, zwyciężając je stopniowo żółtym smarem, który lśnił w słońcu jak bursztyn, wreszcie zapytała:

— A gdzie tamci?

— Nie wiem — rzekł a głos jego, dochodzący spod ramy brzmiał głucho i bezdźwięcznie. — Jeśli nie wrócili jeszcze, to musiało im coś nawalić.

— Ty, oczywiście, wyrwałeś się pierwszy do miasta — rzekła. — Kursik, co? Taksóweczka.

— Taksóweczka — potwierdził Orsaczek.

Wylazł spod wozu; otarł starannie smarownicę i schował ją do skrzynki, którą zamknął na małą klódeczkę. Potem obszedł jeszcze kilka razy swój samochód, pochylając się i wspinając na palce — wycierał szmatą niewidoczne dla niczyjego oka pyłki; walczył stalową szczotką z plamami rdzy i sprawdzał ciśnienie w oponach; potem raz jeszcze zapuścił silnik i podstawivszy rękę pod uciętą pod tłumikiem rurę wydechową — wąchał ją przez chwilę — wreszcie uznał, że wszystko jest w porządku i wrócił do baraku. Tam ściągnął koszulę i zaczął się myć, parszkając przy tym jak koń. Umyty już i ogolony, położył się wygodnie na pryczy.

— Widzisz — rzekł i uniósł rękę: na ścianie, tuż nad łóżkiem miał naklejane wycięte z gazet fotografie samochodów. — Coś takiego będzie się mieć.

Popatrzyła na jego uśmiechniętą twarz, potem — na oblepioną fotografiami ścianę i roześmiała się.

— Nic z tego, dzieciaku — powiedziała. — Do niczego nie dojdiesz tutaj, nie masz nawet co o tym myśleć. Do końca życia będziesz nalepiał na ścianach własne sny.

Uśmiechnął się z wyższością, lecz dostrzegła w oczach jego niepokój.

— Wydaje ci się — rzekł. — Mam już trochę forsy.

— Wiesz, ile kosztuje wóz w mieście?

— Rozmaicie można pokombinować — rzekł.

Znow spojrzała na jego uśmiechniętą, pewną siebie twarz — wyglądał jak człowiek, który wie czego chce i zdaje sobie sprawę, że nic z jego pragnień nie jest mrzonką. Podeszła do ściany i w milczeniu poczęła drzeć i zrywać fotografie.

— Co robisz? — wrzasnął.

— Idź — powiedziała — pojedź do miasta, upij się, rób co chcesz ale nie myśl o tym. Już teraz na to za późno.

— Za późno? Co ty o tym wiesz?

— Zabawa mi mówił — powiedziała. — Od pierwszego maja nie będzie już wolno kupować prywatnym ludziom samochodów, on chyba zna się na tym, prawda? A dziś jest dwudziesty siódmy kwiecień. Przez trzy dni nic nie zrobisz, a więc po co masz o tym myśleć? Zajmij się czym innym. Możesz na przykład kupić maszynę do szycia.

— A ja chcę taksówkę — zawył Orsaczek. — Trzy dni.

— Och — rzekła — cóż to jest: trzy dni? Mam jednego znajomego, który się tym zajmuje — pośredniczy, kupuje, spekuluje — i on mi się nieraz skarżył, ile czasu trwa załatwienie takiej sprawy.

Orsaczek usiadł na pryczy i złapał się za głowę.

— Gdzie jest ten twój znajomy? — szepnął.

— We Włocławku — rzekła. — On wiedział jak się urządzić.

Zeskoczył na podłogę.

— Daj mi jego adres — powiedział wciągając gorączkowo buty. — Szybko.

— Adres? — powtórzyła ze zdziwieniem. — Adres? Ty myślisz, że on nieznanemu człowiekowi coś załatwi? To są delikatne sprawy. Powiedz, Orsaczek, czy ty jesteś rzeczywiście taki głupi, czy tylko udajesz?

Ale Orsaczek biegł już do samochodu zapinając po drodze kurtkę.

Adres — krzyczał kopiąc w akcelerator. — Błagam cię! Albo pojedź ze mną.

— Oszalałeś. Przecież wiesz, że mam męża.

— Do cholery z twoim mężem — ryczał Orsaczek bez skutecznie naciskając rusznik; jego wycackany silnik jak na złość nie chciał zaskoczyć. — Do diabła z twoim mężem. Jedź ze mną po taksówkę.

— Aha — rzekła uśmiechając się do niego niewinnie. — A potem zostanę sama?

— Nie sama — krzyczał — nie sama. Ze mną, z taksówką. O, Boże. To przecież teraz, albo nigdy.

— Tak — powiedziała niewzruszonym tonem. — Teraz — albo nigdy.

— Ożenię się z tobą — krzyczał. — Siadaj. Z tobą, z twoją babką, z kim tylko chcesz. Zresztą... kocham cię. Najdroższa, siadaj.

Pokręciła głową.

— Tere fere kuku, mój drogi — rzekła. — Teraz tak mówisz, a potem, w mieście mi prysniesz i tyle cię będę widziała. Już raz to zdaje się zrobiłeś, prawda? Masz gdzieś słodką dziecinę, tak?

— Ja prysnę? — krzyczał Orsaczek patrząc na nią obłąkanymi oczyma. — Ja prysnę? Taksówka przecież. Panie Boże

święty, no siadaj już. Niech ja jednej szczęśliwej chwili w życiu nie doczekam, jeśli ci prysnę. No, siadaj. Najdroższa.

— Przysięgnij.

— Przysięgam, przysięgam.

Jechał jak szalony; zmieniając biegi nie zdejmował wcale nogi z gazu; jego ukochany silnik, który ani przez sekundę nie pracował na pełnych obrotach, teraz wył potępieńczo, jakby za chwilę miał wyrwać się z ramy i pobiec swoją drogą; świat wokół nich zawarł się i stanowił mętną, szaro-zieloną plamę wirującą półkolistą, gdyż wciąż przelatywali przez zakręty — z prawa w lewo, i z lewa w prawo, a wskazówka licznika biła o sztyft osadzony za cyfrą sześćdziesięciu mil. Orsaczek zmarszczył niskie czoło i zacisnął zęby tak silnie, że zsiniały mu mięśnie szczęk.

— Co to za drzewo tu leży? — krzyknęła.

— Apostoł tu zginął.

Nie dosłyszała.

— Co?

— Apostoł tu trzasnął kopytami.

Wzdrygnęła się; wóz pędził dalej środkiem szosy ciągnąc za sobą welon kurzu. Z daleka zobaczyła coś, od czego ścierpła jej skóra na głowie; tuż przed zakrętem, na żelaznym pomoście, ustawiona była roztrzaskana karoseria samochodu; na zardzewiałej blasze ktoś wymalował kulfonami: **RAJ JEST BLISKO. CHCESZ BYĆ NASTĘPNYM?** Chwyciła Orsaczka za ramię.

— Tu Dziewiątka się sypnął — krzyczał Orsaczek. — Zabawa kazał ustawić, żeby widzieli lepiej zakręt. A litery, to już Warszawiak. On lubi hece...

Przeskoczyli przez łuk zakrętu i znów Orsaczek położył nogę na gazie. Po raz pierwszy jechała tym posępnym światem w świetle dnia: wszędzie widziała potrzaskane drzewa, klody leżące obok drogi, doły pełne błota i kamienie wyszczerzone na dnie przepaści, z których kończyły się jedne a zaczynały drugie; gdzieniegdzie wyciągały się ku niebu kominy spalonych w czasie wojny chałup — nieorane od lat pola zdziczały, a na zgorzeliskach rozpleniły się beztrosko chwasty. Wszędzie były tablice ostrzegawcze: **Z JEDNEGO DRZEWA ZROBIĆ MOŻNA TYSIĄC ZAPALEK, ALE JEDNA ZAPALKA MOŻE PODPALIĆ TYSIĄC DRZEW** — na których Warszawiak rysował wstrętne rzeczy i napisy. Wóz to zwalniał, to pędził, wskazówka znów biła o sztyft, lecz jej zdawało się, że nigdy już nie wyjadą z tego lasu i nigdy nie skończą się drzewa.

— O — powiedział nagle Orsaczek. — Patrz...

Zwolnił i wskazał ręką — tuż przy drodze stał lśniący samochód, którego lakier przekreślała pozioma kreska: taksówka. Koło samochodu, na kraciastym kocu, leżał tęgi mężczyzna w gimnastycznej koszulce i pił z termosu, naokoło niego walało

się mnóstwo skorup i tłustych papierków, i tęgi człowiek spoczywał wśród tego wszystkiego otoczony jakby koroną. W samochodzie zainstalowane było radio i tęgi człowiek na kocu poruszał owłosioną głową w takt dziarskiego walczyka.

— Boże — wybełkotał Orsaczek. — To taksówka...

Patrzył chwilę na tęgiego człowieka z uwielbieniem, wreszcie rzekł nieśmiało.

— To pana wóz?

— Ano — rzekł tęgi — mój.

— To Opel-Kapitan.

— Zgadza się. A bo co?

— Nic — rzekł Orsaczek i zaczerwienił się. — Można obejrzeć?

Tęgi spojrzał na niego uważnie.

— A proszę — rzekł łaskawie. — Oglądaj pan.

Wanda szarpnęła Orsaczka za łokieć.

— Jedźmy...

Spojrzał na nią błędnie.

— Zostaw — pisnął i wyszarpnął łokieć.

Wyskoczył z kabiny i podszedł do taksówki. Przeciągnął dłonią po lakierze, lecz cofnął ją natychmiast jak oparzony — to spocone palce pozostawiły na błyszczącej gładzi tłusty ślad i człowiek na kocu zmarszczył groźnie grube brwi — przyglądał się temu wszystkiemu z szyderczym uśmiechem wolno zataczając kręgi nogą; teraz słychać było tango.

— Ile pali? — zapytał Orsaczek kościelnym szeptem.

— Czternaście.

Zmienił pan zychlery?

— No, jasne.

— I jak teraz ciągnie?

— Oo, ho — powiedział tęgi.

— To w mieście pan kręci?

— A gdzie mam kręcić? Pewnie, że w mieście. Przyjechałem sobie tutaj odpocząć dwa dni... — Tęgi człowiek wskazał ręką na drzewa. — Lubię las — oświadczył.

— Las — wybełkotał Orsaczek — las... Pewnie, że to przyjemne. — Znowu zniżył głos do szeptu: — Tłoki ma pan oryginalne?

— No, chyba.

— Ale po remoncie?

— Sam robiłem — oświadczył tęgi.

— Cordsy mu pan zastosował?

— Tak, będzie dłużej chodził. Cordsy można stosować od nowości, tylko...

Wanda patrzyła w lusterko i widziała zbliżające się dwa samochody: Zabawy i Warszawiaka. Cmokała, mrugała i krzyczała na Orsaczka, lecz ten — zdawało się — oślepił i ogłuchł,

wsadził głowę pod taksówkę i stamtąd coś gadał do tęgiego, który opowiadał mu nonszalancko wciąż popijając z termosu, wyszedł zaś spod taksówki dopiero wtedy, kiedy Zabawa delikatnie kopnął go w zadek.

— Majóweczka, co? — zapytał.

Orsaczek stał niemy i skulony; patrzył okrągłymi oczami w pas Zabawy, zza którego wychylała swój łebek kolba rewolweru. Zabawa nie zwrócił nawet uwagi na to.

— Wracaj — powiedział — do drzewa... — Ujął Orsaczka za ramię i okręcił go w miejscu; Orsaczek poszedł do swego wozu na zgiętych nogach. Zabawa poszedł za nim i wyciągnął z kabiny Wandę. — Ty do miasta — rzekł. — Ale on wróci.

— Słuchaj — krzyknęła. — Ja wrócę z tobą. Teraz będzie dobrze. Ja ci wszystko...

Odszedł; patrzył jak Orsaczek wykręca swym ogromnym wozem w poprzek szosy i wraca; potem — nie bacząc na czepiające się go ręce — odjechał sam.

Warszawiak patrzył w swe zniechęcone lustro i widział jej małą postać biegnącą za nimi i słyszał jej krzyk: przyspieszył, lecz zdawało mu się, że Wanda biegnie razem z samochodem — w lusterku była wciąż taka sama i zdawało mu się, że jej wyciągnięte ręce dotykają jego; włączył sygnał, aby zagłuszyć jej krzyk, a kiedy i to nie pomogło, bo wciąż jeszcze widział jej twarz — uderzył w lustro łyżką od montowania opon, i wtedy dopiero wszystko rozprysnęło się w słońcu jak tęcza: i mała, wciąż biegnąca kobieta, i jego ponury nos, i ściekające po nim łzy.

Przystanęła na środku szosy; wozy były już daleko, a po chwili zniknęły za zakrętem przed którym ustawiony był szkielet z pytaniem: TY BĘDZIESZ NASTĘPNYM? Patrzała chwilę, a kiedy urwał się już ich głos, zawróciła i poczęła iść z powrotem w kierunku taksówki. Tęgi człowiek w dalszym ciągu popijał z termosu, a radio znów grało walczyka.

— Chce pani gdzie jechać? — powiedział.

— Do miasta.

— Do jakiego miasta?

Popatrzyła na niego z nienawiścią.

— Wszystko jedno — rzekła.

— W porządku — rzekł tęgi. Starannie otrząpał kraciasty koc i zwinął go; potem zakręcił termos i schował to wszystko do kufra, potem — zerknąwszy na nią i upewniwszy się, że nie widzi — ściągnął z pulchnego palca obrączkę i schował ją do kieszeni. Wsiadł do samochodu i wskazał jej miejsce obok siebie. — Taki piękny las — rzekł — i taki ładny wóz. Aż przykro czasem, że człowiek jest sam zupełnie na świecie.

Silnik nie chciał zaskoczyć i tęgi musiał wyjść; kiedy podniósł maskę, która zasłoniła jego twarz, spojrzała na palec

i chciała ściągnąć obrączkę, lecz obrączki przecież nie było — na palcu pozostało tylko jaśniejsze kółeczko. Rozejrzała się szybko i upewniwszy się, że tęgi nie widzi — schyliła się i potarła ręką o gumową podłogę; po chwili kolor palca zrównał się.

— Pan jest sam? — zapytała.

— Tak. A pani?

— Ja? — zdziwiła się. — No, pewnie...

Tęgi wrócił i usiadł przy kierownicy. Lśniący wóz ruszył.

NASTĘPNY DO RAJU

— No — powiedział Zabawa — ubierać się, panowie. Jedziemy do miasta na Pierwszego Maja. Raz w życiu popijemy sobie na wesoło.

Poczęli się golić i ubierać starannie i bez pośpiechu, wydierając sobie z rąk szczerbate lusterko. Zabawa włożył czarny garnitur i białą koszulę. Warszawiak — granatowy w białe paseczki, żółte półbuty, cytrynową koszulę, krawat z tandetnego jedwabiu z ręcznie wymalowaną papugą, a jego posępny leś zdołała kremowa, jasna cyklistówka. Orsaczek włożył samodzielną marynarkę, bryczesy i buty z długimi cholewami, które czyścił już od świtu, plując co chwila na szmatkę.

— Wyglądasz jak stróż w Boże Ciało — powiedział Zabawa przyjrzawszy się Warszawiakowi.

Warszawiak popatrzył na niego.

— A ty — rzekł — jakbyś się przed chwilą zerwał z katalku.

— A ja? — odezwał się Orsaczek.

Odwrócili się i popatrzyli na niego.

— Ty — rzekł Warszawiak — jak zwykle, dziecino.

— Znaczy się?

— ... na kaczych nogach.

— Dlaczego na kaczych nogach? — zapytał Zabawa.

— Zagadka życia — powiedział Warszawiak. — Kiedy jeździłem jeszcze za pomocnika, mój król mówił do mnie: jak cię kopnę w tyłek, to zeskoczysz z kości i na żyłach będziesz chodził. Nikt tego nie mógł zrozumieć.

— A ty?

Warszawiak uśmiechnął się ponuro.

— On to mówił już po wszystkim — wyjaśnił. — Jedziemy?

— Jedziemy.

— No, to już.

Wsiedli w dwa wozy, aby siedzieć wygodnie i nie pobrudzić garniturów. Zabawa i Warszawiak siedli do wozu Warszawiaka, Orsaczek jechał sam swoim wozem — wypucowanym i lśniącym od ropy. Kiedy przyjechali do miasta — wczesnym

po południu — na rynku kłębiła się już masa ludzi; wszędzie porozwieszano transparenty i olbrzymie portrety wąsatego człowieka o dobrotliwym spojrzeniu gospodarza. Ktoś przemawiał z czerwono przybranej trybuny, lecz instalacja nawaliła i nie słychać było jego słów; tylko od czasu do czasu kilkunastu młodych ludzi w czerwonych krawatach wznosiło okrzyki: „Niech żyje”, a tłum podchwytywał ten okrzyk. Nagle monterzy od instalacji włączyli głośnik i ktoś zaśpiewał potężnym tenorem podrywając ludzi na rynku: „Już nikt nie zatańczy jak ty...” — głuszac już zupełnie mówcę na trybunie; powstał niesamowity rwetes, umundurowani milicjanci rozbiegli się po rynku z szybkością błyskawicy, lecz po chwili wszystko wróciło do porządku.

— Towarzysze — ryczał mówca na trybunie. — A teraz przemówi przodownik pracy ze spółdzielni wikliniarsko-koszykarskiej, towarzysz Wieczorek. Niech żyją wikliniarze — duma i chluba klasy robotniczej.

— Niech żyją — podchwycili ludzie. — Niech żyją, niech żyją...

— Towarzysze — zaczął bąkać przodownik pracy wlepiając przerażone oczy w ludzki tłum. — Towarzysze...

Zabawa rzekł:

— Towarzysze... krzyknem zachrypniętym głosem. Zachwiejem się, zapłaczem i zaryjem w dupę nosem.

Warszawiak spojrzał na niego z boku.

— Mówiłeś co?

— Zdawało ci się.

Postawili wóz w bocznej ulicy.

— Spotkamy się po zabawie — rzekł Warszawiak. — Nie później jak o dziesiątej. Jak się schlejesz — nie będę czekał.

— To cześć.

— Cześć.

— Czołem.

Pożegnali się i wszyscy trzech poszli w jednym kierunku: ku trybunie. Usiłowali nie patrzeć na siebie, lecz po kilku krokach Warszawiak przystanął.

— Dlaczego, do cholery, idziecie za mną?

— Ja idę za tobą? — powiedział Zabawa. — To ty wleczesz się za mną.

— Ja?

— Ty.

— Na pewno nie.

— A gdzie ty w ogóle idziesz?

— Nie wiem. A ty?

— Też nie wiem.

— Mój Boże — rzekł Warszawiak. — W mieście też nie możemy się rozstać. Chodźmy wobec tego na wódkę; tu i tak jest tylko jedna knajpa.

— Dobrze — zgodził się Zabawa.

Orsaczek zatrzepotał rękami.

— O, nie — rzekł. — Ja nie idę. Spotkamy się potem.

— Słusznie, młodzieńcze — rzekł Zabawa. — Idź sobie na strzelnicę. Na pewno taniej wypadnie, a może nawet coś wygrasz.

Orsaczek odszedł. Wstąpili do małej knajpy i siedzieli tam do wieczora, nie mówiąc prawie do siebie nic poza słowami: „No, więc”, albo jeszcze krócej: „Przytyk”. Kiedy wyszli na rynek trzymając się pod ręce — nad miastem płonęły już gwiazdy. Przystanęli nagle.

— Od nas lepiej je widać — powiedział Warszawiak.

— Co?

— Gwiazdy.

Zabawa podniósł twarz ku górze.

— Lubisz gwiazdy? — zapytał.

— Nienawidzę — rzekł Warszawiak.

— Dlaczego?

— Wcale ich nie ma na niebie — powiedział Warszawiak.

— Wymyślili je tacy sami dranie jak ty, żeby ludzie mieli się czym dreczyć.

— Racja — rzekł Zabawa — ale zapomniałem ci powiedzieć: jutro przyjeżdżają nowe wozy. Tym razem już naprawdę.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

— Po co?

— Spakowałbym od razu manatki.

— Odjeżdżasz jednak?

— Tak.

Ruszyli przed siebie pracując łokciami i szli w milczeniu: wokół pełno było pijanych, śpiewających, zakochanych; miasto nabrzmiało mrokiem i bełkotem. Nad miastem toczył się gładki talerz księżycy, po niebie rozjaśnionym sztucznymi ogniami; wystrzeliwano je gdzieś nad rzeką i każdej rakiemie towarzyszyło wycie zachwyty — ludzie podnosili ku górze ręce i otwierali usta, a kiedy purpurowe kwiaty rozpryskiwały się na niebie, tu, na zaśmiecanej i zaplutej ziemi rodził się wrzask: „Aaaa...”. Do Zabawy i Warszawiaka podbiegł nagle jakiś facet z opaską na rękę i chwycił Zabawę za łokieć.

— Towarzysz Zabawa — sapnął — co za szczęście, co za szczęście. Szukaliśmy was wszędzie, chodźcie szybciej...

— Gdzie?

— Na trybunę, do mikrofonu. Powiecie ludziom coś od siebie, parę słów wystarczy... zresztą powiem wam co... Coś serdecznego, coś o swojej pracy, tak po naszymu... Chodźcie.

Złapał Zabawę za rękaw i pociągnął go za sobą z siłą motoru. Zabawa uczeplił się rozpaczliwie Warszawiaka i pobiegli ku trybunie wszyscy trzej. Kiedy ocknęli się i opamiętali — było

już za późno; stali na czerwono udekorowanej trybunie i tysiące ludzi patrzyło na nich.

— Towarzysze — krzyknął facet z opaską do mikrofonu. — Teraz przemówi towarzysze Zabawa, delegat kierowców „Drzewa”. Niech żyją nasi kierowcy — duma i chluba klasy robotniczej.

— Niech żyją — zawył tłum. — Niech żyją. Niech żyją...

Facet wręczył mikrofon Zabawie.

— Powiedźcie, towarzyszu — zawołał. — Powiedźcie coś o swojej ukochanej pracy, o swoich kłopotach i radościach, i osiągnięciach. Proszę... — Na ułamek sekundy przystąpił dłoń i warknął do Zabawy: — Uważać. Nic nie mówić o mieście...

Zabawa milczał. Stał pośrodku trybuny — jasny, groźny i niemy; patrzył na twarze ludzi otaczających podium, pijane i znużone, przestraszone i zaciekawione, obojętne i tępe, i zniecierpliwione — orkiestra przestała grać, a wszyscy rwali się do tańca; spocone dziewczyny we wstrętnych sukienkach, przestępowały z nogi na nogę. Stał i milczał, i patrzył, a mikrofon parzył jego dłoń; wreszcie uśmiechnął się — triumfalnie i tak wstrętnie, że jego ostra twarz stała się nagle najohydniejsza w tłumie. Podniósł mikrofon do ust.

— Towarzysze — rzekł, a jego chropawy głos powtórzyły wszystkie głośniki miasta. — Cóż tu mówić, to ciężko idzie. Ale powiem po naszymu, po robotniczemu; kochamy swoją pracę. Co dzień rano budzimy się z radością, że mamy nowy dzień przed sobą i nowe zadania, które musimy wykonać. Pracujemy ze śpiewem i radością, z ochotą i ze szczęściem, bo wiemy, że serca wszystkich prostych ludzi są z nami, że myślicie o nas, że kochacie nas i naszą piękną pracę. Kochają nas nasze kobiety, nasze żony i nasi towarzysze pracy i co jest najpiękniejsze, to właśnie to, że nas wszystkich — kierowców „Drzewa” — łączy prawdziwa, ludzka przyjaźń. I że praca nasza jest po raz pierwszy w historii naszego kraju — pracą radości, a nie pracą niewoli, pracą wolności, szczęścia i lepszego jutra... Wciąż trzymając mikrofon odwrócił się do Warszawiaka i wskazał go ręką: — Oto stoi koło mnie kierowca, towarzysze pracy, mój najlepszy przyjaciel, który będzie chciał wam powiedzieć więcej niż ja, i lepiej ode mnie. Oddaję mu mikrofon.

Wcisnął mikrofon w drewniane ręce Warszawiaka; ten patrzył na niego mrugając oczami.

— Co mówić? — szepnął.

— Wszystko — rzekł Zabawa. — Co chcesz. Prawdę.

Warszawiak stał nieruchomo patrząc głupimi oczyma na mikrofon. Potem spojrzął przed siebie i napotkał tysiące oczu.

— Mówcie — syknął ktoś.

— Wal prawdę, mój przyjacielu — krzyknął wesoło Zabawa.

— Towarzysze — wybełkotał Warszawiak. — Towarzysze... To znaczy, co ja chciałem powiedzieć? Tak jest, tak jest... Piosenki też śpiewamy, to prawda. Kochać też kochamy... Co to ja chciałem powiedzieć?... — Zaciął się nagle beznadziejnie. Patrzył przed siebie, potem zawył rozpaczliwie: — Niech żyje.

— Niech żyje — powtórzyli wszyscy ludzie miasta.

Zeszli z trybuny i szli obok siebie w milczeniu, przepychając się między tańczącymi parami. Napotkali po drodze Orsaczka; zataczał się i płakał.

— Co ci jest bydlaku?

— Oszukali mnie — bełkotał. — Wiecie ile kosztuje dobry wóz? Półtora miliona, nawet dwa. A ile ja ukradłem? Siedemdziesiąt tysięcy... — wyciągnął z kieszeni garść pieniędzy i podetknął Zabawie pod nos. — O — krzyknął — gównu za to mogę kupić, nie samochód. On mi tak mówił, żebym mu woził drzewo; woziłem. A kiedy dziś przyszedłem do niego, to go już upaństwowili i nie będzie mógł ode mnie kupować więcej drzewa. Więc wziąłem forszę. Chodźcie, bawcie się chociaż wy...

Odrzucili go; pojechał twarzą po bruku. Poszli dalej — w kierunku ulicy, na której pozostawili samochody; tam Warszawiak zatrzymał się przy swoim wozie.

— Masz spluwę, Zabawa?

— No?

— Weź do ręki.

Zabawa spojrzał na niego i wyciągnął broń; żelazne oko patrzyło prosto w twarz Warszawiaka. Warszawiak uśmiechnął się — uderzył Zabawę na odlew w twarz: raz i drugi — rewolwer wyskoczył z ręki i chlupnął w rynsztoku.

— Wiesz za co? — cicho spytał Warszawiak.

Zabawa uśmiechnął się. Otarł krew z warg.

— Ja wiem — powiedział. — Ale po co oni mają wiedzieć? Widziałeś ich twarze? Te głupie ryje? Cóż, mamy powiedzieć im prawdę o nas? Że nam źle? Że się nienawidzimy? Że przeklinamy i siebie, i ich, i ziemię, i lasy, i wszystko, co nam tylko przyjdzie na myśl? Po co? Co my ich obchodzimy? To wszystko musi zostać z nami. A te nieszczęśliwe mrówki muszą przecież w coś wierzyć... — Przeciągnął ręką po czole i powtórzył: — To wszystko musi zostać z nami. Wszystko co żeśmy przeżyli. Bardzo złe rzeczy wydają się innym ludziom głupie i nie chcą w nie wierzyć. Pytają: to takie jest życie? — i mrużają na siebie. A życie jest jeszcze gorsze i jeszcze paskudniejsze od wszystkiego, co da się na ten temat powiedzieć... — Spojrzał na Warszawiaka, który stał nieruchomo. — Dlaczego ty im tego nie powiedziałeś? — zapytał.

— Nie mogłem — powiedział głucho Warszawiak. — Było ich tu tylu i takie głupie mordy. Zrozumiałem, że człowiek zawsze, zawsze, zawsze jest sam. Myślałem teraz, że strzelisz do mnie, ale też nie potrafiłeś; nic nie potrafimy dla siebie

zrobić... — Pochylił swe długie ciało ku Zabawie. — Więc nikt — rzekł — nie dowie się naprawdę, co my, robotnicy, przeżyliśmy w naszym raj? —

— Nie — powiedział Zabawa. — I nie myśl o tym. Każda ziemia, choćby najgorsza, jest prawdą; a każdy raj, choćby najlepszy, jest, mimo wszystko, kłamstwem. I nic więcej nie warto na ten temat mówić. Jedźmy.

Wyjechali z pijanego, pełnego zgiełku i zaduchu miasta i znów pędzili szosą, ku jasnym gwiazdom, ciemnym drzewom i sercu nocy — tam, gdzie stał ich dom.

Obudził się nagle porażony chłodem; usiadł z jękiem i począł przecierać oczy rękami. Leżał na stosie porwanych plakatów, papierków, kolorowych serpentyn; jacyś figlarze owiązali mu wokół szyi papierową girlandę. Bolała go głowa, wstał i chwiejąc się na nogach poszedł parę kroków przed siebie. Miasto już opustoszało; został sam na rynku, w środku rozjaśnionej gwiazdami nocy. Wszystkie okna miasta były ciemne.

— Warszawiak! — krzyknął. — Zabawa!... Gdzie wy jesteście, świnię?

I nagle uświadomił sobie wszystko — echo zadudniło w kamiennej pustce i odpowiedziało: świnię. Sięgnął ręką do kieszeni, tam, gdzie schował niedawno plik pieniędzy — kieszeń była pusta, inne również. Upadł na ziemię i wył jak pies, waląc łbem w zapluty cement rynku. Potem podniósł się: łaził na czworakach i gmerał rękami w tłustych papierkach, skorupach, skórkach od kielbasy, w plwocinach, rzygowiskach i ekskrementach; łaził po gnojowisku tysięcy ludzi na czworakach, pełzał zapadając raz po raz ciężko głową w stosy oślizgłych śmieci, lecz nie znalazł ani złotówki. Podniósł głowę; gwiazdy uśmiechały się do niego z wysoka, księżyc wychylił zza drzew swój łysy, ciekawy łeb; z pustej trybuny patrzyły na niego twarze dostojników — dobre i szczerze.

— To wy — powiedział Orsaczek. — Półtora miliona...

Wstał; chwiejąc się patrzył prosto w tekturowe oczy tamtych. Girlanda wciąż jeszcze otaczała jego szyję i litościwie przykrywała strzępy samodziałowej marynarki. Schylił się nagle, wyrwał z ziemi jakiś kamień i cisnął nim w portret — tektura otworzyła się dziurą pełną gwiazd; potem, drugi i trzeci, a potem Orsaczek wskoczył na trybunę i począł demolować ją systematycznie. Miasto spało a w jego centrum milczący człowiek szalał łamiąc drzewo, drąc płótna, zrywając transparenty i druty od megafonów, gołymi rękami odrywał bariery, które przybite były calowymi gwoździemi, roztrzaskiwał tablice, darł portrety, wyrwał deski z podium i łamał je na trzaski, przewracał budki, w których sprzedawano piwo i wył przy tym, od czasu do czasu.

— Pół-to-ra mil-io-na...

Z bocznej ulicy wyszło dwóch milicjantów. Podeszli do niego od tyłu. Szarpał się chwilę z nimi i zataczali się po pustym podium niby trójka szalonych tancerzy; wreszcie — uderzony kolbą pistoletu w tył głowy — wyskoczył w górę jak szczupak i upadł bezwładnie między nimi. Taszczyli go, a nogi jego obijały się o bruk i ciągnęły bezsilne jak i girlanda.

— Cholerę w bok — powiedział jeden milicjant do drugiego. — Nie damy rady. Spiło się ścierwo na amen.

Z daleka zobaczyli światło taksówki. Zatrzymali ją i upchnęli Orsaczka na przednim siedzeniu.

— Co jest? — zapytał kierowca.

— Ciężko gość posiedzi — powiedział jeden z milicjantów. — Piątkę najmarniej. Może i więcej? Obraził głowy państwa.

Kierowca gwizdnął. Orsaczek ocknął się na moment i otworzył oczy; zobaczył przed sobą świecącą chorągiewkę licznika z napisem: wolny. Uśmiechnął się szczęśliwie; położył rękę na liczniku i przekręcił chorągiewkę — teraz zapalił się napis: zajęty.

— Taksówka — wybełkotał. — Taksóweczka... — Znów stracił przytomność; głowa opadła mu między nogi.

— Co on mówi? — spytał jeden milicjant drugiego.

— A skąd ja mogę wiedzieć? — odparł drugi. — Bredzi coś. Wszyscy oni bredzą.

— Dokąd? — spytał kierowca.

— Do bezpieczeństwa.

— Dla mnie każdy klient dobry — rzekł kierowca. — Jak zapłaci — mogę go nawet do raju zawieźć.

Roześmieli się wszyscy trzej.

I znów przyszedł dzień; i słońce dzwignęło już swe leniwe cielsko ponad chłodny świat.

— Świta — rzekł. Zabawa. — Może zagramy w karty?

— Chyba tylko w oko — rzekł Warszawiak. — Orsaczka też diabli wzięli.

— Uciekł?

— Chyba. Miał przecież jakąś forszę.

— To dobrze — powiedział Zabawa.

— Dobrze?

— Może jemu się przynajmniej uda.

— Co?

— Nie wiem. Byle co.

— Może — powiedział Warszawiak. — Może... — Wstał i wyszedł przed barak — mgły już uciekały i było prawie jasno. — Będę jechał — rzekł. Odwrócił się i patrząc na puste łóżko, na poobrywane fotografie nad pryczą Orsaczka, na walającą się na stole książkę do nabożeństwa Apostoła, na czaszkę wyziera-

jącą z kąta, na rozrzuconą talię kart. — Zabawa — rzekł. — Słyszysz?

— No?

— Wierzysz w to jeszcze, co mówiłeś na początku?

Zabawa stanął obok niego: obaj patrzyli w dolinę.

— Nie — rzekł po chwili.

— W to, co robiłeś na początku?

— Nie.

— W to, co wierzyłeś na początku?

Zabawa milczał; coraz wyżej podnosiły się mgły, ukazując ich oczom zmaltretowaną kołami ziemię.

— Nie wierzę — w wiare — rzekł Zabawa.

— Chciałem cię zobaczyć takiego — powiedział Warszawiak i uśmiechnął się. — Chciałem zobaczyć szmatę, która już w nic nie wierzy, i która niczego nie potrafi już zrobić. Najpierw chciałem cię skończyć, ale potem przyszło mi na myśl, że to drugie będzie lepsze. Człowiekowi nie potrzeba od razu ucinać kutasa, żeby zrobić z niego szmatę, czasem wystarczy tylko rozmawiać, czekać i przyglądać się z boku. Można mu nawet robić manikiur, cóż to szkodzi? — Odwrócił się ku niemu. — Zmarnowałeś ludzi — rzekł — zmarnowałeś żonę, wozy, wszystko. Apostoł, Partyzant, Dziewiątka... Żyliśmy tu z nimi, piliśmy, mieszkaliśmy, a co o nich wiemy? Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywali... Jak ty się nazywasz na imię, Zabawa?

— Stefan. A ty?

— Tadek. Nazywam się Tadek — powiedział Warszawiak. I po chwili ciągnął dalej: — Przecież oni by nawet nie mogli wrócić do miasta — nikt by ich nie przyjął, wszyscy byli spaleni. Mówili, żeby im łatwiej było żyć, a tyś im pokazywał spluwę, mówił o wozach i oszukiwał w karty. A Wanda? Przecież nawet nie była ładna... była jedna, i to wszystko. Czego chciała? Trochę radości, trochę miasta... a tyś ją walił jak sukę, żeby trzymała krótko pysk i nie budziła nas. Mój Boże, oni wszyscy przecież chcieli tak mało, tak strasznie mało... — Przeszedł parę kroków, potem znów odwrócił się. — Nigdzie nie można uciec — rzekł. — Tylko oni o tym nie myśleli. Miasto? W mieście są tysiące takich jak ty: tutaj — byłeś tylko jeden i to było lepsze. Nigdzie nie można uciec. Zamieniliście życie w tak wielki koncentrat, że nie potrzeba nawet drutów kolczastych i strażników, psów i karabinów maszynowych. Wystarczą przecież tacy jak ty, tacy, którzy wierzą w coś, o czym nie są do końca przekonani. A reszta poleci sama... — Umilkł, podniósł głowę, do słońca, potem mówił dalej: — Miałem brata i to był śliczny chłop, ładniejszy od Bużki i od wszystkich. Przesłuchiwali go po swojemu i dzisiaj jest wariatem. Miał taki śliczny nos, pogruchotali mu krzesłem, spacerowali mu między nogami... — Znów umilkł. — On miał taki śliczny nos — powtórzył z żalem

— a dziś wygląda jak widmo. Żegnaj, Stefan. Żyj choćby sto lat i myśl o tym wszystkim co widziałeś.

— Gdzie jedziesz?

— Szukać — powiedział Warszawiak. — Szukać następnego mocnego ze spluwą. I tych, którzy śpieszą do raju.

— Cicho — rzekł nagle Zabawa. — Słyszysz? Jadą?

— Co?

— Nowe wozy.

Patrzyli w milczeniu; a potem widzieli je jak wyjeżdżają z szosy i skręcają w dolinę.

— Jadą — powtórzył Zabawa.

— Tak — powiedział Warszawiak — widzę. Teraz jadą naprawdę. I czerwony jest — ten dla Orsaczka. I dla Partyzanta także, na nim mógłby przejechać przez piekło, nie przez zakręt. I dla Dziewiątki, i dla Apostoła. Nowe, dobre samochody. Jadą. Teraz. Czołem...

Zabawa patrzył za nim jak idzie; wysoki, ciemny i zgarbiony, jak wsiada do swego wozu i odjeżdża rozrywając ciszę na strzępy; potem spojrzał na stojący samotnie, ostatni już swój samochód — potrzaskany, brudny, biedny i już nie do jazdy; potem przeniósł wzrok w dolinę, skąd nadjeżdżały te nowe, lśniące, bezpieczne i wspaniałe; milczał porażony ich blaskiem i blaskiem słońca, które poprzez mgły i chłody, wiatry i wirujące wciąż rosy wdarło się zwycięsko na białe niebo i oblało świat bezlitosnym blaskiem — chciał obronić się przed tym blaskiem, przysłonić oczy, lecz nie miał sił podnieść rąk — były bezwładne i ciężkie; tak ciężkie, jakby uczepliła się ich cała ogromna ziemia, ze wszystkimi swymi spokojnie szumiącymi drzewami.

ANI WSTĘP, ANI POSŁOWIE

To jest okropna historia pisać wstęp, lub posłowie. We wstępie autor książki usiłuje przeważnie ustawić swoich czytelników, w posłowniu zaś — usprawiedliwić się z tego lub owego. Chciałbym bardzo uniknąć i pierwszego i drugiego — stąd ten głupi tytuł, ale ci, którym ta książka wyda się fantastycznie nieprawdziwa, niech zechcą przyjąć ode mnie małą garść informacji — co oczywiście nikogo do niczego nie zobowiązuje.

Nie pamiętam, kiedy to się zaczęło. Kiedy sięgam myślą w tamten czas i znów widzę rozchlapane drogi, śliskie zakręty, rozklekotane samochody i obdarte postacie, kiedy wydaje mi się, że słyszę wrzask silnika druzgoczący słodką ciszę gór, to jestem prawie pewien, że zaczęło się to owego dnia, kiedy wszyscy pojechali do lasu i wypadł mój „dyżur” obierania kartosli. Pamiętam dobrze, że obrałem te kartosle i ugotowałem, potem rozgotowały mi się na miazgę, gdyż zbyt długo trzymałem je na ogniu, więc już wieczorem, przy świetle naftówki, częściej trafiając nożem we własne kości niż w kartosel, obierałem po raz drugi i znów gotowałem na ogniu podsycanym pakułami i ropą; potem odlałem wodę z tych kartosli i z rozpaczą obserwowałem jak dębieją; i słyszałem już te przekleństwa, którymi będą we mnie ciskać, i ciągle jeszcze — mimo iż kartosle znów rozsypały się w przykrą paczkę — wierzyłem, że wrócą. Ale nie wrócili. W środku nocy obudzili mnie ludzie z pobliskiej wsi, a potem biegłem kilometrami przez śnieg osłaniając światło lampy dłonią; i stanąłem wreszcie nad potokiem na którego dnie leżał samochód: nie Dżems, ale Studebaker, pamiętam jak dziś. Za parę dni przyjechała komisja i nowi kierowcy; i znów woziliśmy drzewo na innych, tak samo złych, samochodach. Acha, zapomniałem dodać, że ci, dla których gotowałem kartosle także leżeli na dnie owego zamrożonego potoku. Ale oni już nigdy więcej nie wozili drzewa. I nie jedli kartosli. Ani niczego.

Teraz widzę jednak, że to nie wtedy się zaczęło. Zaczęło się to wszystko wcześniej. Zaczęło się to w mieście i od tego, że ze swojej winy rozbiłem wóz i nie mogłem nigdzie dostać pracy. Łaziłem od bazy do bazy, od warsztatu do warsztatu i wszędzie ciągnęła się za mną sława tego, który „sztachnął” wóz. Nie chciałem zmieniać zawodu; wolałbym umrzeć niż odejść od kierownicy — ci, którzy jeżdżą lub jeździli, zrozumieją mnie — nie mogłem. Ale nie mogłem również o nic się zaczepić: byłem młody, dyspozytorzy i kierownicy transportu patrzyli na mnie z niedowierzaniem, kazali mi się dowiadywać za dzień lub za miesiąc i w końcu musiałem pryskać w góry. Tam nikt o nic nikogo nie pytał, tam wszystko było jasne; to znaczy, że na góry i na tę robotę nie ma innych amatorów. Przyjechałem nocą do miasteczka B., przespałem się w brudnym i zimnym hoteliku — a następnego dnia byłem już w górach; jechałem czystymi jasnymi drogami i wierzyłem w to, że będę tędy jeździć wiecznie i kochać góry; ich ciszę, ich hałas, ich wściekłość i ich spokój. Jechałem długą, jasną drogą: jakąś dziwnie równą jak na leśny dukt, ale w pewnym momencie, po przejechaniu któregoś tam zakrętu, musiałem się zatrzymać — w dole leżał samochód, leżało drzewo i leżał człowiek, i ja byłem pierwszym, który to zobaczył.

Nie, teraz dopiero widzę, że wszystko pokręciłem. To się na pewno zaczęło owego dnia, kiedy ładowaliśmy drzewo gdzieś bardzo wysoko i w duży mróz. Tak, na pewno. Wozy stały na dukcie, a my na legarach podtaczaliśmy kłody. Trzech; jeden z jednego końca, drugi z drugiego, trzeci w środku. Jeśli puści ten w środku, to ci z boku zdążą jeszcze odskoczyć. Jeśli jednak puści któryś z bocznych — wtedy właśnie puścił jeden z bocznych i oblodzony kłoc zmiażdżył mu kręgosłup, a stało się to tak szybko i tak zwyczajnie, że nie było w tym nic strasznego, nic wielkiego i nie bardzo rozumiem dlaczego to tak dobrze pamiętam. Pamiętam, że staliśmy nad tym człowiekiem i nie można go było ani podnieść, ani przenieść, ani zawieźć do miasta, bo nie było czym i wiedzieliśmy wszyscy, że to koniec; a on wiedział także i wrzeszczał ile razy chcieli go przenieść z drogi w bok — aby wozy mogły jechać do tartaku. Wszyscy stali nad nim, wszyscy przestępowali z nogi na nogę, bo zimno było okropnie; silniki w samochodach pracowały bez przerwy, bo z zapuszczaniem tych starych wozów zawsze był kłopot — i wszyscy się wściekali i dąsali, że to tak strasznie długo trwa, a wiadomo przecież, że i tak jest po wszystkim. Więc odchodzili w bok i odlewali się, i poprawiali silniki, i tupali, bez przerwy

tupali, bo naprawdę był to wyjątkowo zimny dzień i wszyscy już mieli wszystkiego dość — i jeżeli pamiętam ten dzień to chyba tylko dlatego, że odbywało się to wielkie tupanie; to tak, jakby złościli się na niego, a jednocześnie chcieli mu pomóc. A potem nagle zapanowała jakaś radość i ożywienie; i wszyscy stali się dla siebie lepsi i miłsi — kiedy już było po wszystkim i nareszcie można było założyć z powrotem czapki. Nie wiem, dlaczego nie napisałem tej akurat sceny w książce. Może dlatego, że chciałbym umrzeć sam, nie widząc nad sobą żadnej twarzy i nie słysząc żadnych słów ani niczego. Ale to było.

Było to wszystko w górach i na drogach, byłem i Warszawiakiem, i Zabawą, i Dziewiątką, i Wandą, i Orsaczkim, i Apostołem, i żadnym z nich. Takie jest prawo człowieka, który żeby przekazać prawdę, musi zmieniać i zmyślać fakty. I tu już powinienem skończyć, tylko jeszcze dwa zdania. Napisałem kiedyś opowiadanie, które jest hańbą mojego życia i którego tytułu za nic nie przytoczę; ale jedna ze scen tej książki była już w tym opowiadaniu. Proszę mi wybaczyć, że powtarzam ją tutaj po raz drugi, ale ten człowiek — Dziewiątka — naprawdę, choć to nie jest żadnym moim usprawiedliwieniem, zginął; i chyba tak jak ja bym chciał zginąć. Boję się szpitala, zastrzyków, nocników i okrucieństwa lekarzy — więc proszę mi wybaczyć. Proszę mi również wybaczyć tę książkę — pękniętą i nierówną, ni to relację z własnego życia, ni to fantazję, gdzie wszystko pomieszało się z sobą i nikt już się w tym nie rozezna; ale napisałem ją z wielkiej miłości do samochodu. Do samochodu — najpiękniejszej rzeczy jaką wymyślił człowiek dwudziestego wieku; jedynej rzeczy, dzięki której można uciec od życia, od siebie i od innych.

Nie stawiam żadnej daty. Mimo wszystko nie pamiętam, kiedy i gdzie się to zaczęło; wiem również, że nie skończyło się jeszcze. Zapytajcie innych. Oni nie muszą zmyślać, a wszystko co było, jest i będzie, przetrwa w ich słowach i w ich sercach — na tym polega zmora.

Marek HŁASKO

SPIS RZECZY

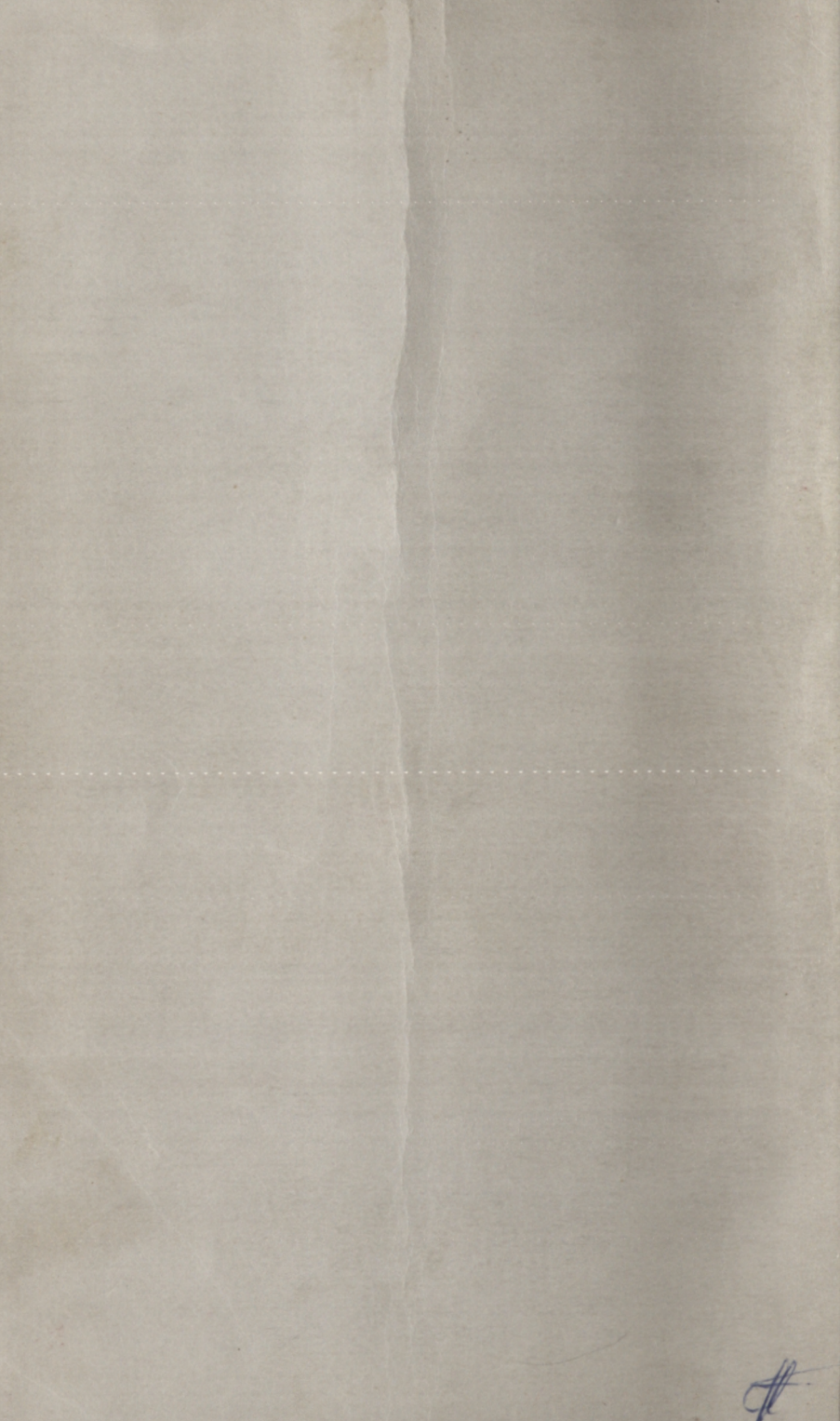
CMENTARZE	11
NASTĘPNY DO RAJU	99
<i>Gdzie diabeł mówi dobranoc</i>	101
<i>Nieboszczycy</i>	104
<i>Drogi</i>	113
<i>Barak</i>	119
<i>On i ona</i>	128
<i>Rewolwer</i>	132
<i>Daleko jest miasto</i>	141
<i>Wielki bluff</i>	157
<i>Mordercy są między nami</i>	167
<i>Wszystko w mieście</i>	181
<i>Bohaterowie i dziewczyny</i>	191
<i>Apostoł i Judasz</i>	205
<i>Domy bogów</i>	221
<i>Ohydni i śliczni</i>	230
<i>Następny do raju</i>	247
ANI WSTĘP, ANI POSŁOWIE	256



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 20 MARS 1958
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (18^e).

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1958.

"Kulturreise
22. x. 58



Odkwasze

25-04-2008